

KARLHEINZ DESCHNER



Opus diaboli

PIĘTNAŚCIE
BEZKOMPROMISOWYCH
ESEJÓW O PRACY
W WINNICY
PAŃSKIEJ



KARLHEINZ DESCHNER

*

Opus Diaboli

PIĘTNAŚCIE BEZKOMPROMISOWYCH ESEJÓW O PRACY W WINNICY PAŃSKIEJ

*

Przełożył Norbert Niewiadomski Tytuł oryginału: Opus Diaboli Fiinfzehn unversöhnliche Essays uber die Arbeit im Weinberg des Herrn Copyright © 1987 by Rowohlt Verlag GmbH, Reinbek bei Hamburg Copyright © for the Polish edition and translation by Agencja Wydawnicza URAEUS, Gdynia 1995 Tłumaczenie z języka niemieckiego: Norbert Niewiadomski Opracowanie graficzne: MBS studio Maciej Boguszewski Martin Makarewicz Skład komputerowy: Lech Chańko Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dziełowa S.A. 90-215 Łódź ul. Rewolucji 1905 r. nr 45 Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 83-85732-16-0

Wydawnictwo URAEUS składa serdeczne podziękowanie Panu H. R. Gigerowi za udostępnienie i wyrażenie zgody na wykorzystanie w niniejszej książce Jego obrazu „Szatan I” Poświęcam Katji, Barbel i Thomasowi (2.2.1959-20.10.1984)

*

Przedmowa

Ta książka zawiera piętnaście krytycznych rozpraw o dziejach chrześcijaństwa. Niektóre z nich ukazały się wcześniej, lecz od wielu lat są niedostępne; niemal codziennie napływają zapytania o nie.

Dzięki opublikowanej w wydawnictwie Heyne książce Kirche des Un-Heils (Kościół pozbawienia) pięć spośród tych szkiców zyskało sobie większą poczytność niż inne; następna piątka – tych, które ukazały się dawniej – nie była szerzej znana; pięć dalszych wychodzi drukiem po raz pierwszy.

Z wyjątkiem wygłoszonej w 1969 roku w norymberskiej Meistersingerhalle mowy Ecrasez l'infame..., która stała się powodem wytoczonego mi w roku 1971 procesu sądowego, wszystkie rozprawy opracowałem na nowo pod względem formy, to i owo bardzo znacznie poszerzyłem, zarówno pewne fragmenty sformułowałem zwięźle, jak też usunąłem większość powtórzeń – świadomie nie wszystkie, nigdy bowiem dość przypominania faktów szczególnie znamiennych.

Esej Pierwszy ukłon w stronę rzeczników postępu przedstawia pokrótce nadzieje środowisk katolickich i innych związane z II soborem watykańskim i w zwięzły sposób wprowadza w problematykę niniejszego zbioru.

Rozprawa To się nazywa dziejami zbawienia stanowi dość obszerne omówienie średniowiecznych wojen prowadzonych przez Kościół, dokonanej przezeń zagłady pogan, polowania na „kacerzy”, czarownice i Żydów, a ponadto przedstawia – w konfrontacji z ukazaniem równoległe przepychem dworu papieskiego – wyzysk, jakiego dopuszczano się wobec wiernych: od chrześcijańskich niewolników i chłopów aż po dziewiętnastowieczny proletariats przemysłowy.

Szkic „Wypasaj moje owieczki!” omawia fatalne przeobrażenie, mającego trzechsetletnią tradycję, pacyfizmu najdawniejszego chrześcijaństwa w zainicjowane w 313 roku duszpasterstwo polowe, pokrętne argumenty teologów moralistów, zdumiewającą propagandę wojenną kleru nawet w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej oraz postawę duchowieństwa po roku 1945.

Seksualizm a chrześcijaństwo to rozprawa przedstawiająca dany problem historycznie, od Jezusa i świętego Pawła po współczesność, a jej przedmiotem są: osobliwości kultu Chrystusa i Maryi w klasztorach męskich i żeńskich; celibat i jego rażąco ujemne skutki; budzące oburzenie poniżanie kobiet, które trwa już bez mała dwa tysiące lat; obrażanie uczuć małżonków; walka Kościoła z przerywaniem ciąży; „grzeszny seks” i manipulowanie tym pojęciem przez duchownych; aggiornamento współczesnej teologii moralnej; pesymizm seksualny ostatnich papieży.

Ecrasez l'infame albo O potrzebie wystąpienia z Kościoła – mowa, która sprawiła, że stanąłem przed sądem – nakreśla skorumpowanie Kościoła (katolickiego), jego umyślną nieudolność w sferze socjalnej, ogromne profity, jakie czerpie ze światowej produkcji wielkoprzemysłowej, a także wypaczanie, pozorowanie i fałszowanie zasad wiary oraz, nie rokujący żadnych nadziei na rozwiązanie, problem „reformy”.

Esej Dar Konstantyna omawia tło historyczne, motywację i trudne do przecenienia skutki owego największego fałszerstwa w dziejach świata.

Polityka papieży w XX wieku unaocznia współodpowiedzialność Kurii rzymskiej za pierwszą i drugą wojnę światową, zarówno decydującą pomoc Watykanu w umacnianiu reżimów faszystowskich we Włoszech, w Niemczech i Jugosławii, jak i jego ryzykowną politykę powojenną.

Szkic Michael Schmaus – jeden z wielu dokumentuje, posługując się tym przykładem, entuzjastyczne przystosowanie się do reżimu jednego z najwybitniejszych teologów Trzeciej Rzeszy, poprzednika Karla Rahnera w Munster i Monachium.

Rozprawa Kto ma władzę, ten ma wszystko stanowi odpowiedź na sformułowaną w 1975 roku przez katolickiego historyka Kościoła Georga Denzlera i adresowaną do „przyjaciół i wrogów” Kurii ankietę: 1. Jak ocenia Pan(-i) obecną pozycję papieża w Kościele i społeczeństwie? 2. Jak papieżstwo powinno w najbliższej przyszłości prezentować siebie w Kościele i poza nim?

Szkic Ciężkie czasy dla papieży nawiązuje w ironicznym tonie do śmierci (czyżby zamordowanego?) w Watykanie trzydziestodniowego papieża Jana Pawła I.

Esej Papież udaje się na miejsce zbrodni konfrontuje piękne słowa Jana Pawła II (Karola Wojtyły) z jego homilii wygłaszanych w Ameryce Łacińskiej z dokonany przez katolików krwawym podbojem tego kontynentu.

Mordowanie w imieniu Maryi odsłania mało znane janusowe oblicze „Matki Boskiej”, zniszczenia wynikłe z odgrywania przez nią roli „bogini wojny” i z powoływania się na nią w walce z komunizmem.

Atak i kontratak. Replika na skargę pewnego sługi Kościoła to esej gruntownie i szczegółowo komentujący lament jednego z niższych duchownych z archidiecezji wiedeńskiej po moim udziale w wyemitowanym jesienią 1986 roku przez telewizję austriacką programie „Klub 2”. Występ solowy Deschnera w bibliotece albo Przeciwno dwojgu ewangelickim oszczercom stanowi odpowiedź na dwa artykuły, które ukazały się przed publicznym czytaniem przeze mnie fragmentów Kryminalnej historii chrześcijaństwa w Marł i po nim.

Alternatywa dla Bożego Narodzenia to moja wypowiedź w ankiecie przeprowadzonej w 1975 roku przez rozgłośnię Hessischer Rundfunk.

Z przypisów do zamieszczonych w tej książce esejów zrezygnowałem. Kto zechce, ten znajdzie aż nadto wskazówek źródłowych i bibliograficznych do wszystkich poruszonych tu tematów (oraz pod dostatkiem materiału faktograficznego) w moich dotychczas wydanych książkach, a zwłaszcza w *Abermals krahte der Hahn. Eine kritische Kirchengeschichte* (Giinther, 1962, Econ, 1986), *Dos Kreuz mit der Kirche. Eine Sexualgeschichte des Christentums* (Econ, 1974 i 1987) – w przekładzie polskim Marka Zellera *Krzyż Pański z Kościołem. Seksualizm w historii chrześcijaństwa* (Uraeus, 1994), *Ein Jahrhundert Heilsgeschichte. Die Politik der Papste im Zeitalter der Weltkriege* (2 tomy, Kiepenheuer-Witsch, 1982-1983) bądź też w mających się ukazać kolejnych tomach mojej *Kriminalgeschichte des Christentums* (Rowohlt). Pierwszy ukłon w stronę rzeczników postępu

Ponieważ biskup nie chce już bynajmniej być ekscelencją, ksiądz nosi się czasem po cywilnemu, a zakonnica krócej; ponieważ Kościół uniewinnił nareszcie Galileusza i z zimną krwią wykreślony został z kalendarza niejedyn pomocny święty, i to tylko dlatego, że nigdy nie istniał; ponieważ jezuita nie podróżuje już ze sztuczną brodą, lecz nago wkrada się między nudystów albo też – mniej ostentacyjnie – między uczniów świętego Marksa; ponieważ w Rzymie ojciec święty machinalnie jak pewien pozłacany gwiazdkowy aniołek woła „Pokój, pokój!”, nie tylko w okresie Bożego Narodzenia urbi et orbi celebrując pozy, które sprawiają, że mężowie stanu bledną z zawiści; i wreszcie ponieważ w bazylice Świętego Piotra – *superflua non nocent* – znów pompatycznie zagościło zgromadzenie purpuratów i przy tej okazji przecież tyle spraw „ruszyło z miejsca”, „posunęło się naprzód”, nastąpiło „otwarcie się” na „świat”, na „pluralizm poglądów”, „dialog” – przeto właśnie bodajże nie tylko ci najgłupszy sądzą, iż nasz glob się odmienił, iż katolicyzm stał się bardziej liberalny, a jego teologia jest bardziej postępową... Ale kiedy teolog staje się postępowy, to nie jest już teologiem! Kiedy katolicyzm się liberalizuje, to nie jest już katolicyzmem!

A gdy chrześcijanin zaczyna myśleć, i to logicznie, i postępuje zgodnie z takim myśleniem, wtedy zawsze wychodzi z niego niechrześcijanin albo i oportunistą.

Ależ nic podobnego – co jest teraz inne? I zapytajmy, co by się zmieniło, gdyby nawet po „wyruszeniu” mimów i statystów nie nastąpiło od razu wielkie hamowanie, gdyby zgromadzenie świętych mężów nie skończyło się pod każdym względem? Czy nie mówiono by już o boskości Jezusa? O tajemnicy istnienia w trzech postaciach? O cudzie przemienienia? Czy zniknęłyby cała bajeczność dogmatów maryjnych? Ergo – owa wspaniała materia, na którą złożyły się grubymi nićmi szyta sofistyka i objawienia w stanie łaski?

Albo czy zaprowadzono by prachrześcijański komunizm i szybko a skutecznie usunięto biskupów wojskowych? (Tylko paru pasterzy zamiast całych tych stad?!) Czy nie byłoby już tej odra-żającej moralności seksualnej? Czy dopuszczono by aborcję? Antykoncepcję? Spółkowanie z każdą osobą, która osiągnęła dojrzałość płciową i pragnie tego?

Czy religia miłości na pewno głosi... miłość? Czy raczej nie jest tak, że nadal żąda ona wstrzemięźliwości poza małżeństwem i dosyć często w samym małżeństwie? Czyż Kościół nie wzbogaca się wciąż razem z bogatymi – i czym kosztem? Czyż nie chce wciąż skazywać swych owieczek na rzeź, skoro tylko domaga się tego jakieś państwo? Zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie? Czyż nie działał ręką w rękę z chilijskimi faszystami? I z komunistami w Polsce, w Związku Radzieckim? Czyż w Hiszpanii nie są nadal odprawiane msze za Hitlera?

Krótko mówiąc: czyż ta religia nie jest taka, jaką była od niepamiętnych czasów? Czyż na pulchnej twarzy Kościoła nie pojawia się ciągle ta sama pobożna mina do wypróbowanej złej gry? Czy nie prostytuowano religii już za życia Pawła? Czyż nie sprzedawano jej od czasów Konstantyna? Czyż nie wpychano jej w chwilach dziejowych zawirowań wielkim tego świata do łoża – już to sztywną, majestatyczną, już to z giętym, gumowym kręgosłupem? Bo sam Kościół pałał żądzą władzy? Bo intrygował, był chciwy, diaboliczny, zarozumiały i bezgranicznie barbarzyński? Czyż bezczelnie zagarnięta suwerenność nie służyła mu bezustannie do ukrywania własnej niegodziwości? Czyż frazeologia pokojowa nie była mu w każdej epoce potrzebna na to, by zatuszować podżeganie do wojen? A głoszona przezeń miłość bliźniego na to, żeby zakamuflować wyzysk? I czyż domaganie się od ludzi życia cnotliwego nie służyło kreowaniu grzeszników? Czy dobrzy wyznawcy tej religii nie stanowili zawsze tylko listków figowych dla tych złych? I czyż o polityce Kościoła nie decydowali wręcz gangsterzy? Czyż to nie oni byli protagonistami historii? Dziejów zbawiania? Zbawiania i zwycięstw? Wielkiego oszustwa? Ciągłego zabijania i ciągłej eksploatacji?

Jak widać, nie serwuje się tutaj misteriów. Nie ma tu prawie wcale mowy o grzechu pierworodnym i odkupieniu. Niewiele się też mówi o prorocत्वach i cudach. W żadnym miejscu nie unosi się dym kadzidła. W żadnym miejscu nie ma transcendencji. Zamiast tego skromnie i przerażająco zarazem pojawiają się fakty – oczywiście jedynie dowody zła, najstraszliwsze terrores religio-nis. One jedne bowiem mogą tu przemówić. I tak jak budujące opowieści o „pięknie Kościoła katolickiego”, o „radosnym podążaniu do Boga”, jak opowiadki w stylu „z różańcem do nieba”, jak podnoszące na duchu wywody rozpoczynane pytaniem: „Dlaczego w naszym katolickim Kościele jest tak słonecznie i przyjemnie, tak przytulnie i tak ciepło?” („Ponieważ tam, przed nami, pali się światełko, i ponieważ śpiewamy pieśni ku chwale Maryi”), jak tego rodzaju opowieści – co jest chyba słuszne – nie zawierają niczego, co wiązałoby się z naszym tematem, tak i przedstawione tu rozprawy – jeszcze słuszniej -*jgie wspominają o słonecznej, przyjemnej atmosferze Kościoła katolickiego, o dostrzeganiu w nim ciepła, o rozkwicie w nim kiczu. Ludzie znają to z milionów książek, milionów kazań, milionów lekcji religii i rozmów ze spowiednikami – a jednak wierzą w to coraz mniej.

Jeśli więc to, co tu zostaje zaprezentowane, jest jednostronne – taka sama jest druga strona! I czy nawet nie o wiele bardziej? I to z najgorszych pobudek? Z okropnym działaniem praktycznym, z szokującą rolą historyczną i bezmiarem niegodziwości – mimo dzielnych siostr zakonnych w szpitalach, katedry kolońskiej, misji dworcowych itd. itp.?

Dlaczego bowiem Kościół tak bardzo unikał publicznej dyskusji? Dlaczego uchyla się od niej również dzisiaj? Albo gdzie pozwalał nam, choćby na krótko, zmierzyć się ze sobą, niemalże zupełnie pokojowo? Czy w świątyniach? W szkołach? Na rynku, na placu apelowym w koszarach? Przez radio, na przykład tuż po „Słowie na niedzielę”, kiedy to jego przecież słudzy, owi często tak bardzo jowialni wrogowie oświecenia, już z rzadka tylko używają słów „Chrystus” i „chrześcijański”, tak jakby już sami ich nie znosili, i dopiero pod koniec zdobywają się pocziwie na mały wybieg, już prawie że wstydliwie zastosowany ostatni fortel, dzięki któremu – przy tonie poważnym, a ponadto przyjaznym i stanowczym zarazem, z patrzeniem dalekiemu widzowi jakby prosto w oczy – niczym zrodzony z popiołów feniks ukazuje się deus ex machina”?

Dlaczegoż to Kościół tak się bał i boi konfrontacji sądów, dyskusji na oczach ludzi, którymi przecież niepodzielnie kierował, których zawsze sam nauczał, wychowywał? Do czego

potrzebował indeksu? Tortur? Cenzury? Palenia ksiązek już od czasów apostołów? I potem również masowego palenia ludzi? Dlaczego w nim, jak nigdzie indziej, rozpowszechnione było całkiem niestrawne starcze bajanie i wręcz fatalne doktrynerstwo? Dlaczego wciąż panowały nietolerancja, terror i despotyzm? Dlaczego przez dwa tysiąclecia nieustannie przechodzą od słów do mordów? Czy znowu naświetlamy zbyt jednostronnie? Ale choćby tu nawet była jednostronność, jest w tym i prawda! I rodzi się zaraz pytanie, czy jeszcze zachowały swą prawdziwość głoszone przez Kościół dogmaty. Albo raczej: nie ma już o co pytać!

Dlaczego bowiem zawsze kładziono tak wielki nacisk na Credol Czemuż to zawsze stawia się wiarę ponad wszystkim innym? Czemuż propaguje się pokorę, głupotę, płaszczanie się przed krzyżem, flectamus genua, sacrificiwn intellectus – i to zawsze nader drastycznie, z niebem i piekłem w tle, na pierwszym planie i u dołu obrazu, z wyczarowywaniem wszelkich aniołów i archaniołów, a jeszcze częściej oczywiście księcia ciemności oraz jego zastępów i piekielnych mąk?

„Chciałby Pan dotrzeć do wiary, a nie zna Pan drogi do niej” – pisze nawet taki geniusz, jak Pascal. „Chciałby Pan uleczyć się z niewiary i prosi Pan o lekarstwo: niechże się Pan uczy od tych, co już byli w takiej sytuacji... Niech Pan zacznie od tego, od czego oni zaczynali, a mianowicie od pokazywania całym swoim zachowaniem (używając wody święconej, zamawiając msze itd.), iż jest Pan człowiekiem wierzącym. W całkowicie naturalny sposób sprawi to, że nawet Pan uwierzy i ogłupieje”.

Uwierzyć i ogłupieć – nie takie jest nasze remedium, nasze vademecum, nasza oferta zbawienia. Wprost przeciwnie. Wzywam wszystkich: bądźcie sceptyczni! Pełni nieufności! Nie dowierzajcie mi! Szukajcie s[^]mi! Ale jednak nie tylko w biskupich postyllach, w „Bildpost”, u Ratzingera, Rahnera i Kunga! Przeczytajcie chociaż kilku spośród ich adwersarzy! Czytajcie to, co piszą obie strony! Porównujcie! A reszta będzie zależała już wyłącznie od uczciwości. To nazywa się dziejami zbawienia [...] pragnę na sto różnych sposobów powtórzyć, że nigdy nie przysłuży się Bogu ten, kto wyrządza zło ludziom.

Wyznawca nihilizmu i wyznawca chrystianizmu – te określenia się rymują, ale ich obu łączy więcej...

NIETZSCHE

[...] jeśli się nie nawrócicie, wszyscy podobnie zginiecie. ŁK. 13, 3

Oglądam właśnie fotografie: trupy dzieci w chorwackim obozie koncentracyjnym. I oto nadchodzi moja rozszczębiotana córka – coś opowiada. Patrzę na jej pociągłą, bladawą twarz, w jej jasne, wiele rozumiejące oczy, przenikam ją wzrokiem. Nagle, w środku zdania, ona urywa. „Tatusiu...!” – mówi.

Idę dokądś z dziećmi po obu moich stronach, trzymam je za ręce. W pewnej chwili przypomina mi się ktoś. Gdzieś na Wschodzie ten człowiek szedł na egzekucję; jego dwoje dzieci obejmowało go, Ignęło do niego, a on ciągnął je za sobą, póki nie oderwano ich wystrzałami od jego ciała.

Gdy piszę te słowa, mój syn chodzi tam i z powrotem wzdłuż strumyka. Czasem uderza kijem o trawę. A za nim klęczy na łące, wyciągnąwszy ręce do kotka, jego siostrzyczka.

Inne dzieci trafiały do Teresina, do Oświęcimia, do Jasenovca. Inni ojcowie ginęli pod Stalingradem, nad Atlantykiem, w Afryce. Moi towarzysze broni umierali bezdzietnie. Sami byli jeszcze dziećmi. W taki marcowy dzień jak ten zasapani szliśmy po jakiejś łące pod Wrocławiem. Było to po południu, świeciło słońce, czuło się już wiosnę. A tamci strzelali do nas jak na polowaniu... Klęczałem przy nim chwilę. Leżał na wznak, jego włosy były jasne, z jego brzucha wydobywały się wnętrzności. Miał siedemnaście lat. Uporczywie wpatrywał się swymi niebieskimi oczami w niebo, w to wiosenne niebo, wciąż wyjękując: „Mamo, mamo”...

Tak umierały miliony ludzi. Na tej wojnie. Tej ostatniej. Jak daleko sięgniemy pamięcią: pazerność, przemoc, ciąg katastrof. Odwieczne bankructwo. Historia.

Sporadycznie pojawiały się postacie świetlane. Budda, oko świata, światło niezrównane. Chrystus, ten, który widział wszystko, słońce sprawiedliwości, światło prawdziwe. Oni zabraniali zabijania, chcieli, by zło przewyciężano dobrem. Chwalili ludzi nastawionych pokojowo. Głosili miłość bliźniego i miłość wroga. Znajdowali uczniów, całe gminy.

Przez półtora tysiąclecia chrześcijaństwo kształtowało Europejczyków, pokolenie za pokoleniem, rządzących i rządzonych, kapłanów i ludzi świeckich, nauczycieli i uczniów. Chrześcijaństwo przenikało wszędzie, wszystko determinowało, miało wpływ na życie prywatne, publiczne, na rodzinę, małżeństwo, miłość, kształcenie, gospodarke, prawodawstwo i państwo. A jednak jeszcze w XX wieku chrześcijańskie narody toczyły największe w dziejach wojny, w których zginęło więcej ludzi niż kiedykolwiek przedtem.

Jak to było możliwe? Jak te narody osiągały dojrzałość? Jak wychowywano owych ludzi? Jak rządzono nimi?

Najlepszej odpowiedzi na te pytania udziela przeszłość Kościoła. Kościół bowiem wpływał dłużej i przemożniej na mieszkańców Europy, dłużej determinował ich losy niż wszelkie królestwa, dynastie, ustroje społeczne, a był to wpływ pod każdym względem wysoce negatywny, tak też oceniany zgodnie – czego nie należałoby lekceważyć – przez myślicieli całkowicie odmiennych od siebie: Goethego, Nietzschego, Marksa, Kierkegarda, gdy tymczasem historycy, z nielicznymi wyjątkami, nadal go nie dostrzegają, a w najlepszym razie

ów wpływ bagatelizują. A przecież właśnie to jest istotne.

Niech wykaże to zaprezentowana tu zwięzła prehistoria dwudziestowiecznego barbarzyństwa: jedynie zarysowana i być może jednostronna, ale w tym tylko, że dalej będzie wciąż mowa o regule, nie zaś o wyjątkach, naświetlam bowiem wyłącznie decydujące, przesądzające o orientacjach politycznych oddziaływanie miarodajnego chrześcijaństwa reprezentowanego przez Kościół powszechny, a ignoranci, pochlebcy, najrozmaitsi piewcy religijnej idylli zechcą je pewno poddać w wątpliwość.

Dla najdawniejszych chrześcijan służba frontowa była nie do pomyślenia. Nigdzie w ich piśmiennictwie z pierwszych stuleci nie ma zgody na to, co więcej, wszyscy Ojcowie Kościoła zakazywali zabijania w obronie koniecznej – i oto w 313 roku cesarz Konstantyn obdarzył chrześcijan pełną swobodą praktyk religijnych, po czym – w 314 roku – uchwalono ekskomunikę dla dezertersów. Kto porzucał broń, narażał się na wykluczenie z Kościoła. Przedtem wykluczano tych, którzy broni nie porzucali. Dawnych pacyfistów zastąpili więc kapelani polowi, a zabijanych chrześcijan uchylających się od udziału w wojnie – zabijający chrześcijańscy wojownicy. Sprzyjający armii Kościół wykreślił spieszenie wszystkich żołnierzy-męczenników ze swych kalendarzy i odtąd wspierał władców dopuszczających się masowych mordów, a nawet niebawem sam ich zaczął do takich mordów nakłaniać – i czyni to po dziś dzień. Papież Stefan II, w worku pokutnym i z głową posypaną popiołem, wyżebrał od króla Franków Pepina wojnę przeciw Longobardom, z którymi Frankowie żyli przedtem w najlepszej zgodzie. Gigantyczne klerykalne fałszerstwo (wyznane po jedenastu wiekach) oraz dwie krwawe kampanie doprowadzają do założenia Państwa Kościelnego, które było uznawane i powiększane przez kolejnych władców frankijskich i saskich.

Ale i papieże zaczęli niezadługo pokazywać się w hełmach, zbrojach, z mieczami. Mieli własne wojska lądowe, marynarkę wojenną, fabrykę broni. Walczyli o każde hrabstwo, każdy zamek, każdą twierdzę. Zagrabiali całe księstwa. Wszędzie werbowali żołdaków i dokonywali rzezi na własnych ziomkach.

Leon IX zignorował w 1053 roku uchwały pokojowe z Cluny, zignorował wydany przez siebie zakaz służby wojskowej duchownych, zignorował obiecaną mu przez chrześcijańskich Normanów przysięgę na wierność oraz wasalne uzależnienie i rozpoczął wojnę przeciw nim. Kluniacki teolog Hildebrand wezwał – jako Grzegorz VII (ulubiona dewiza: „Niech będzie przeklęty ten, kto nie chce miecza umaczać we krwi!”) – cały świat do stworzenia armii, którą chciał poprowadzić w roli „wodza i biskupa”. Grzegorz IX zwrócił się zbrojnie przeciwko powracającemu jako zwycięzca z krucjaty cesarzowi Fryderykowi II. Urban VI, który – między innymi rękoma byłego pirata mianowanego generałem zakonu joannitów – nakazał zamordowanie po straszliwych torturach biskupa Akwilei oraz egzekucję pięciu kardynałów, wziął ze swymi żołdakami udział w sycylijskiej wojnie sukcesyjnej. Pius V i Sykstus V stoczyli wielkie bitwy morskie: pierwszy pod Lepanto przeciw Turkom, drugi na kanale La Manche przeciwko

Anglikom. Juliusz II (dewiza; „Jeśli nie pomogą klucze Piotrowe, to niechaj pomoże jego miecz!”) prowadził wojny niemalże w każdym roku swojego pontyfikatu, i to tak skutecznie, że cesarz Maksymilian rozważał, czy nie zostać papieżem. Paweł IV wyznał w połowie XVI wieku, że ma ręce „po łokieć umarzone we krwi”, był jednak takim moralistą, iż kazał zamalować „nieprzyzwoite” fragmenty Sądu ostatecznego Michała Anioła. Jeszcze nieco ponad sto lat temu Pius IX werbował żołnierzy. I jeszcze przed czterdziestoma, trzydziestoma laty mogliby papieże powtórzyć słowa Pawła IV, mając więcej podstaw po temu – chociaż i

oni bardzo dbali o moralność; na przykład Pius XII, który w wystosowanym pod koniec 1939 roku liście do hierarchii kościelnej USA dopatrywał się przyczyny „dzisiejszych nieszczęść” bynajmniej nie w faszyzmie, który właśnie pogrążył świat w największej wojnie w dziejach ludzkości, lecz między innymi w krótkich spódnicach pań. Nie jest to kuriozalny epizod historii Kościoła, raczej fakt świadczący o istniejącej również dzisiaj moralności – jeśli nie brać pod uwagę owych stuleci, w których niejeden klasztor żeński był częściej odwiedzany niż burdele, a wszyscy duchowni – od szczytów hierarchii po wiejskiego proboszcza – mieli konkubiny. Co zaś czynili papieże, to powtarzali biskupi, opaci. Byli oni synami, braćmi, kuzynami świeckich przedstawicieli szlachty, nie mniej pазernymi i żądnymi władzy niż ta ostatnia, zapewne też równie znieawidzonymi, o czym świadczą częste w średniowieczu morderstwa spotykające biskupów i opatów, wojny przeciw klechom i polowania na nich, a także niezliczone dokumenty literackie. W dawnym państwie niemieckim duchowni bywali ministrami, podskarbimi, dowódcami królewskich wojsk. Za czasów cesarza Ottona II Kościół wystawił dwukrotnie więcej rycerzy niż wszyscy książęta świeccy. I na Pomocy, i na Południu kardynałowie i biskupi dowodzili całymi armiami. Niektórzy wyżsi duchowni dokonywali własnoręcznie krwawej zemsty. Nie było też takiej diecezji, w której choćby jeden z biskupów nie toczyłby długoletniej wojny lokalnej. Często nie oszczędzali ani kobiet, ani dziewcząt, zabijali starców i dzieci, czasami nawet ręka w rękę z „kacierzami”, jak w wypadku arcybiskupa Kolonii Dietricha von Moers. Wykluwali wrogom oczy, tak jak to uczynił w 1368 roku opat klasztoru w Reichenau z każdym obywatelem Konstancji, który wpadł mu w rękę. Posyłali na tamten świat wszystkich jeńców, jak tego w 1379 roku dopuścił się biskup Osnabriick Die-trich. Zmuszali powstańców do błagania na klęczkach o litość, a potem jednak kazali ich masowo zabijać, tak jak to uczynił w roku 1415 biskup Liege, Johann von Wittelsbach. „Z kleszym stanem bywało tak, iż gdy słyszano o czymś złym czy o jakiejś wojnie i pytano, kto by owo sprawił, to pokazywało się, że biskup, klecha”.

Biskupi przymierzali się z królami przeciw książętom, walczyli u boku książąt przeciw królom, u boku papieża przeciwko cesarzowi, u boku cesarza przeciw papieżowi, po stronie jednego papieża przeciwko innemu (aż sto siedemdziesiąt jeden lat), po stronie duchownych duszpasterzy przeciw duchownym z zakonów, ale i przeciw innym duszpasterzom – biskup Die-trich z Osnabriick przeciw biskupowi Gerardowi z Minden; biskup Eryk z Osnabriick przeciw biskupowi Henrykowi z Munster itd. – na polu bitwy, na ulicy, we wnętrzu świątyni, sztyletem, trucizną, na wszelkie sposoby.

Przez całe wieki kler propagował też świętą wojnę, do której Urban II jeszcze w roku 1095 – właściwie rzecz oceniając – nakłaniał zbójców. Papież zapewniał odpuszczenie grzechów, obfity łup, krainę mlekiem i miodem płynącą i krzyczał: „To nakazuje Chrystus!”

I wyruszyli z krzyżami na odzieniu i na sztandarach. Już nad Renem i nad Dunajem wymordowali tysiące Żydów. Potem dopuszczali się gwałtów i mordów na chrześcijańskich Węgrach. Podczas zwycięskiego ataku na Jerozolimę latem 1099 roku – w piątek, w godzinie ukrzyżowania, o czym donoszą urzeczeni tym kronikarze – zmasakrowali blisko siedemdziesiąt tysięcy Sa-racenów... Zabijali, bo, jak pisze arcybiskup Wilhelm z Tyru, postanowili grabić zawsze i wszędzie, „każdego mieszkańca miasta”. Ociekali krwią i u wejścia do każdego „oczyszczonego” domu wieszali, na znak przejęcia na własność, swoje tarcze – jest to jedno z najstarszych świadectw używania tarcz herbowych jako dowodów tożsamości. W świątyni urządzili taką jatkę, że – jak pisze ksiądz Rajmund z Agiles – „za sprawą cudownego, sprawiedliwego zrządzenia bożego aż po kolana, a nawet aż po końskie

siodła, nurzali się we krwi". A następnie, co odnotował autor *Gęsta Francorum*, świadek noczny, „szczęśliwi, z radości roniąc łzy, poszli nasi oddać cześć grobowi Zbawiciela". Żaden artysta kabaretowy nie potrafiłby lepiej sparodiować tego chrześcijaństwa.

Tabula rasa! Wojna totalna. Ich ideał od średniowiecza po faszystowskie krucjaty w Abisynii, Hiszpanii, Chorwacji, Rosji. Aż po masowe mordowanie w Wietnamie z udziałem kardynała Spellmana. Aż po moralno-teologiczne placet cieszącego się zaufaniem Pacellego jezuita Gundlacha dla masowej zagłady poprzez wojnę atomową. Aż po „odwagę” jezuita Hirschmanna „przyzwolenia na ofiarę zbrojeń atomowych w obecnej sytuacji, mimo perspektywy utraty życia przez miliony ludzi”, co – według niego – jest bliskie „postawy świętego Franciszka” oraz „ducha teologii krzyża”. Aż po książkę *Die sittliche Ordnung der Yólkergemeinschaft* (Ład moralny społeczności międzynarodowej), w której spora grupa teologów katolickich pochwała „stworzenie zapasu broni jądrowej” i bagatelizuje masową śmierć niewinnych ofiar jako dopuszczalne „działanie uboczne”, co – według nuncjusza apostolskiego, arcybiskupa Muencha, który okazywał już swą sympatię hitlerowcom, „stanowi odpowiedź zgodną z zaleceniami ojca świętego”. „Wyznawca nihilizmu i wyznawca chrystianizmu – te określenia się rymują, ale ich obu łączy więcej [...]”.

Krucjaty stały się wkrótce dla świata katolickiego jedną wielką klęską. Całe armie zniknęły niemalże bez śladu, zniknęło nawet pięćdziesiąt tysięcy dzieci; potem już tylko Hitler posyłał dzieci na wojnę. Umocnił się natomiast islam i to był najtrwalszy efekt wypraw krzyżowych. Muzułmanie bywali zresztą nierzadko skorzy do rokowań i kompromisów. Po odzyskaniu przez nich w roku 1187 Jerozolimy nawet chrześcijańscy kronikarze przyznawali, że sułtan Saladyn okazał się wspaniałomyślny, ludzki. Islamska obyczajność zrobiła zresztą niebawem pozytywniejsze wrażenie na wielu krzyżowcach niż obyczaje ich własnych dowódców.

Ale papież nie ustawiał w nakłanianiu do nowych krucjat. Była to myśl przewodnia całej ich polityki zewnętrznej, nie „tylko” w XII i XIII wieku, lecz aż po schyłek średniowiecza. Eugeniusz III, Innocenty III, Grzegorz IX, Klemens VI, Urban V, Klemens VII – który podczas wyprawy krzyżowej do Tunisu już wypróbował proch strzelecki, co stanowi jeden z najwcześniejszych wypadków użycia go w dziejach świata – oraz Benedykt XIII, Bonifacy IX i Eugeniusz IV niezmordowanie propagowali świętą wojnę, w której – jak wiadomo – coraz bardziej liczyły się aspekty polityczne, militarne, gospodarcze; „wyższe stadium piractwa – mówi Nietzsche – i nic więcej!”! Jeszcze pod koniec

XV wieku Pius II żądał od wszystkich europejskich monarchów powszechnej krucjaty. A przekonanie Piusa, iż „państwa trwają dzięki broni, nie dzięki prawom”, podzielała bez wątpienia większość papieży, którzy przecież zawsze pozwalali na to, żeby wierni wykrwawiali się właśnie dla dobra państw, choćby istniały tam okrutne, zbrodnicze reżimy. Podczas gdy wierni giną jako ofiary coraz straszliwszych rzezi, papieże pozostają przy życiu. To nazywa się dziejami zbawienia!

Ach, „jakież to wspaniałe przykłady niezłomnej wierności wobec monarchów, które nie mogły nie wynikać z przestrzegania świętych zasad religii chrześcijańskiej”. Tak zachwyca się Grzegorz XVI, właśnie ten, który – wyraziwszy to, co ojcom świętym leży na sercach od 1789 roku – gani wolność sumienia jako „szaleństwo”, jako „zaraźliwy błąd”, który zjadliwie wypowiada się przeciw wolności handlu książkami, „zasługującej na ciągłe potępienie i odrazę”, który jeszcze w wydany w 1936 roku Indeksie ksiąg zakazanych uzależnia czytanie Biblii w językach narodowych od zgody rzymskiej inkwizycji. To rozporządzenie odwołał definitywnie dopiero Leon XIII w 1897 roku.

„Duchowieństwo – pisze Schiller (dla chrześcijaństwa, tego „szaleństwa, które skorumpowało świat”, mający równie mało es-tymy, jak Goethe, któremu „nauki Chrystusowe” nie wydawały się „nigdzie bardziej poniewierane niż w Kościele chrześcijańskim”, któremu protestantyzm jawił się jako „stek bredni”, a katolicyzm przypominał teatr, karnawał, „hokus-pokus”) – było od niepamiętnych czasów podporą władzy królewskiej i musiało nią być. Złote czasy duchowieństwa i królów przypadają zawsze na czas zniewolenia umysłów – i duchowni, i monarchowie zbierali żniwo głupoty i nonsensu”.

Przed Stalinem i Hitlerem nikt w Europie nie gardził tak bezwstydnie ludzkim życiem, nie pomiatał nim tak, jak czynił to chrześcijański Kościół, powołując się wręcz, co jest szczytem cynicznej przewrotności, na „wolę bożą”. Świadczy o tym także rozprawienie się z pogaństwem.

Początkowo odnoszono się wprawdzie do pogan, jako do znikomej mniejszości, z wyraźną rezerwą, czasem tylko polemizowano z nimi, a co więcej: z anielską słodyczą w głosie opowiadano się za wolnością religijną. Ale poczucie większej siły każe – na przełomie II i III wieku – działać bardziej stanowczo, atakować całą mocą własnych słów. Deprecjonuje się, choć bynajmniej nie jednomyślnie, tradycyjną kulturę, filozofię, z której czerpie się korzyść, jeszcze gwałtowniej atakuje się widowiska i oczywiście najokrutniej szydzi się z pogańskiej religii, z kultu dla kosmosu, z deifikacji wody, ognia, gleby, nie mówiąc o uznawaniu zwierząt za święte.

I ledwo się przełom dokonał – komentuje to teolog von Campenhausen – „dawna kościelna ideologia męczeństwa i prześladowania zniknęła bez śladu, przemieniając się prawie że we własne przeciwieństwo”. Już za czasów pierwszego chrześcijańskiego cesarza proklamowana w 313 roku koegzystencja i stanowiąca zasadę wolność wyznania ustępują miejsca uciskowi. Już i Konstantyn zabrania stawiać nowe posągi bóstw, zabrania kultu dla istniejących, radzenia się wyroczni oraz wszelkich nabożeństw pogańskich. Już Konstantyn każe zamykać, ograbiać, demolować, burzyć świątynie, na przykład sanktuarium Eskulapa w Egeis, świątynię Afrodyty na Golgocie, Afakę w Libanie, Heliopolis. Jego syn, arianin Konstancjusz przeciwstawia się jeszcze radykalniej „zabobonowi”, „bezsensowi ofiar”. Jest pierwszym z cesarzy chrześcijańskich, który wyznacza karę śmierci za uprawianie pogańskiego kultu i zarządza konfiskatę mienia skazanych. Dochodzi już wówczas do ataków na świątynie, tortur, terroru sądowniczego. A katolicki cesarz Teodozjusz I zwalcza pogaństwo nie tylko mnóstwem surowych przepisów prawnych, lecz i prowadzoną zaciekle wojną.

Krótko mówiąc, już w IV, a jeszcze wyraźniej w V wieku, Kościół idzie ku triumfowi krzyża po zgłiszczach i trupach.

W Aleksandrii ariański biskup-autokrata Jerzy nakazuje atak na świątynię Mitrasa, obrazoburstwo, plądrowanie sanktuariów. Jego następca, katolicki patriarcha Teofil własnoręcznie niszczy toporem słynny posąg Serapisa i poleca, by w sąsiednim ośrodku handlu, mieście Kanopos, zrównano wszystkie świątynie z ziemią. Jego z kolei bratanek i następca, Ojciec Kościoła święty Cyryl, wielki adorator Maryi, który uciekając się do przekupywania ogromnymi sumami, przeforsowuje dogmat o Bogurodzicy, poleca w 415 roku napad na znaną i czczoną w całym ówczesnym świecie kobietę-filozofa Hypatię, zakończony sprowadzeniem jej do jednego z kościołów, rozebraniem do naga i dosłownie rozerwaniem na strzępy kawałkami szkła. Wyznawców dawnej wiary zwalcza też fanatycznie

patriarcha Jan Chryzostom, inny Ojciec Kościoła. W budzących podziw mowach, dzięki którym stanie się patronem kaznodziejów, nie tylko Izy pogan, lecz również nakłania do zburzenia wielu fenickich świątyn.

Szczególnie w prowincjach wschodnich, gdzie chrześcijanie byli początkowo najliczniejsi, już pod koniec IV wieku niszczone coraz więcej świątyni, a podjudzane tłumy nierzadko masakrowały pogan. Nieomal zawsze działało się to pod przewodem biskupów czy opatów, przy czym najaktywniejsi byli mnisi, „święskie czarne habity”, jak nazywali ich Grecy, wyglądali bowiem jak ludzie, lecz żyli jak świnie. Atakują oni świątynie – twierdził Libaniusz w napisanej w 389 roku, adresowanej do cesarza rozprawie *Pro templis* – „obładowani drewnem albo uzbrojeni w kamienie i miecze, czasem nawet bez tego, tylko z siłą rąk i nóg. Potem, tak jakby chodziło o dobro bezpieczeństwa, zrywają dachy, burzą mury, roztrzaskują wizerunki bóstw, rozbijają ołtarze. Kapłanom pozostaje tylko wybór między milczeniem a śmiercią. Po zniszczeniu pierwszej świątyni spieszą ku drugiej i trzeciej, i gromadzą łupy, drwiąc z prawa”.

Jednym z najgorzej osławionych niszczycieli świątyni był Sze-nute (= syn Boga), przeor „Białego Klasztoru” w Tebaidzie, klasztoru męsko-żeńskiego, mieszczącego w pewnych okresach bez mała dwa tysiące dwustu braci oraz tysiąc osiemset siostr zakonnych. Jako „wielki opat”, „prorok”, „apostoł” nie cofał się ani przed oszustwem, ani przed własnoręcznym zabijaniem, morderstwami. Na czele wystarczająco wygłodzonych hord wdzierał się do świątyni, rabował, dewastował i wyrzucał „obrazy bożków” do Nilu. Wszystko, co cenne, co nadawało się do spieniężenia, zabierał ze sobą. Zdarzało się – tak było w Achminie – że ograbiał całe miasto, po czym je podpalał, a mieszkańców okrutnie masakrował.

Nie ustawano w wymuszaniu okupów za ocalenie świątyni od podpalenia, w przemienianiu ich w świątynie chrześcijańskie, niszczone unikatowe dzieła sztuki, urządzano szydercze procesje, pogańskich kapłanów spotykała śmierć i wreszcie – w VI wieku – wszyscy poganie zostali uznani za ludzi bez majątku i bez praw, „izby – jak głosi dekret chrześcijańskiego cesarza – ograbieni z mienia, popadli w nędzę”.

Ale dwudziestowieczny katolicki teolog Jean Danielou stwierdza: „Kościół zawsze podkreślał swój szacunek dla wartości religijnych świata pogańskiego”.

W rzeczywistości żaden kościelny autorytet nie wystąpił przeciw owej eksterminacji. Przeciwnie: zachęcano do niej, z pozorną dbałością o interes państwa apelowano do władców: „Najświętsi cesarze, zabierajcie, zabierajcie bez skrupułów świątynne ozdoby” – judzi już około roku 347 Ojciec Kościoła Firmicus Mater-nus. „Niechaj ogień mennicy albo płomień pieca hutniczego roztopi posągi owych bożków, obróćcie wszystkie dary wotywnie na swój pożytek i przejmijcie je na własność. Po zniszczeniu świątyni zostaniecie przez Boga wywyższeni”. Ten sycylijski renegat spośród senatorów zaleca chrześcijańskim monarchom „najsurowsze prawa”, stosowanie „ognia i żelaza”, prześladowanie „na wszelkie sposoby”, „izby nie zachowała się nawet najmniejsza część tego diabelskiego nasienia [...], by nie zachował się żaden ślad po owym pogańskim plemieniu”.

I Augustyn był wśród tych *doctores Ecclesiae*, którzy występowali przeciw poganom – przeciwstawiał się „najrozmaitszym monstrualnym bożkom”, „bluźnierczym kultom”, „bałwochwal-czemu motłochowi”, mówił o „zarazie” i „zbrodni”. Zapalał się, szydził, wciąż na nowo podsyczał furję niszczycieli, w swoim *magnum opus* pod tytułem *O państwie bożym* przedstawia polite-izm jako przyczynę wszystkich okropności, wszystkich *malae bella*,

discordiae w dziejach Rzymu, nie cofa się nawet przed świadomym przeinaczeniem, mówiąc o poganach, pozwala sobie wręcz na stosowanie „wszelkich środków” aż po „fałszowanie cytatów” (Andresen).

Owe pogromy przebiegały więc nieporównywalnie bardziej krwawo i okrutniej niż jakiegokolwiek wcześniejsze prześladowania chrześcijan. Tabula rasa! Totalna „czystka”, Usunięcie wszystkich elementów szkodzących społeczeństwu. „To, co nie jest zgodnie z prawdą czy z normą obyczajową – poucza jeszcze w 1954 roku papież Pius XII – nie ma prawa istnieć”. Dlatego też likwidacja pogaństwa temu Kościołowi nie wystarczyła.

Chrześcijanie zawsze zwalczali się nawzajem, lżyli jedni drugich, oczerniali, już Paweł nazywał członków gminy pierwotnej „psami”, „kalekami”, określał ich jako „kłamliwych apostołów”, Piotr zaś w // Liście nazwał chrześcijańskich innowierców nierozumnymi zwierzętami, które z natury stworzone są tylko do tego, by je chwycić i pozbywać się ich; zresztą już za czasów Konstantyna zwracano się przeciw niekatolikom. Zakazywano im nabożeństw, niszczone piśmiennictwo, grabiono kościoły, rabowano mienie i skazywano ich na banicję. Już w 385 roku w Trewirze katolicki biskupi polecieli po raz pierwszy ściąć innych chrześcijan z powodów wyznaniowych.

Od Augustyna, prekursora łowców kacerzy, wiedzie prosta linia ku inkwizycji, ta zaś już w epoce Karolingów zainicjowała tworzenie specjalnych sądów biskupich i stopniowo doprowadziła do prześladowania sekt, z premedytacją rozpętała terror, który w ciągu następnych stuleci pozbawił życia niezliczone masy ludzi i który odnowił się w czasach faszystowskich, kiedy to nawet uczniowie Franciszka z Asyżu stali się ludobójcami, prowodyrami strasznych pogromów, komendantami obozów koncentracyjnych.

Kulminacją zbrodni inkwizycji było wycinanie języków, duszenie, palenie na stosie, uprawomocnione najpierw – w 1194 roku – w Hiszpanii, a następnie we Włoszech, Niemczech, Francji i wreszcie także w Anglii. W bulli *Ad extirpanda* z 1252 roku papież Innocenty IV przyrównał wszystkich chrześcijan niekatolików do zbójców i zobowiązał władców do tego, by winnych heretyków zabijano w ciągu pięciu dni. Dominikanie, uczniowie Tomasza z Akwinu, oficjalnego filozofa tego Kościoła, który sam domagał się wykluczenia „ludzi dotkniętych zarazą” ze społeczeństwa, zaczęli tresować psy do polowań na kacerzy i przez pół tysiąclecia przewodzili inkwizycji.

I oto zaczęły się tortury, oblewanie wodą święconą, układanie na specjalnych ławach, sadzanie na huśtawce, na rozżarzonych węglach, zakładanie butów hiszpańskich. Robiono znak krzyża i robiono miazgę z ludzi. Gdy zbierał się trybunał, odwoływał się do Ducha Świętego, po czym zezwalał na wszelkie oszustwa. „Dla dobra sprawy – skomentował zbiór zeznań przez szesnaście dni coraz okrutniej torturowanego Savonaroli jeden z jego sędziów – to i owo pominięto, to i owo dodano”. Podobnie fałszowano protokoły zeznań świadków obrony.

Każdy katolik był zobowiązany składaną przez siebie przysięgą do prześladowania heretyków i musiał tę przysięgę powtarzać co dwa lata, rodzice musieli denuncjować dzieci, te zaś swoich rodziców, mężowie denuncjowali żony, a te ostatnie – swoich mężów. Tak rozpoczęły się donosicielstwo, działalność konfidentów, szpiegowanie i zastraszanie, co później bardzo rozwinęły nowoczesne państwa policyjne, tak rozpoczęło się na wielką skalę wymuszanie pozornej uległości i zarazem owo niepowtarzalne, ohydne połączenie strusiej polityki z obłudą, charakterystyczne odtąd dla mentalności narodów chrześcijańskich.

Jakże tolerancyjne były – w porównaniu z nimi – kultury pogańskie! Jakże wspaniałomyślni

bywali często sami Rzymianie wobec chrześcijan, którym po dziś dzień zdarza się w groteskowy sposób wyolbrzymiać zaciełość doznanych prześladowań. Reskrypt Trajana z roku 112, który przesądza o stosunku do chrześcijan przez następnych sto kilkadziesiąt lat, nie zezwala na śledzenie ich ani też na anonimowe donosy. „Albowiem byłby to zły przykład, niegodny naszej epoki”. „Nie chcę – dekretuje później cesarz Hadrian – by dręczono niewinnych, i trzeba uniemożliwić oszczercom bezkarne uprawianie ich haniebnego procederu”.

A tysiąc lat później: jakież postępowanie w obyczajowości czasów chrześcijańskich! Przy tropieniu „kacerzy” dopuszczalne jest wszelkie oszustwo. Ludzie są wszędzie podjudzani do polowań na heretyków, otwarcie zaszczepia się okrucieństwo. Dużo płaci się za miejsca w oknach z widokiem na stos, a wiernym, którzy zgromadzą drewno, zapewnia się odpust zupełny. Urządzane są imponujące autodafe, stanowiące okazje do masowego mordowania ludzi – czasem na oczach dwustu tysięcy widzów. Na ostatnią drogę zakłada się skazanym nawet czapki błazeńskie, przytyka im się do ciała rozżarzone obcęgi, niekiedy ucina się im prawą rękę, a potem słycać śpiew, podczas gdy ofiary – zależnie od kierunku wiatru – już to się duszą, już to z wolna się palą: „Chwalimy Cię, wielki Boże”. „Budujący przykład społecznej doskonałości” – tak chwali jeszcze w 1853 roku inkwizycję wydawane przez jezuitów watykańskie czasopismo. Żaden artysta kabaretowy nie potrafiłby lepiej sparodiować chrześcijaństwa.

Zdarzało się, że umierające kobiety zabierano w łózkach na miejsce egzekucji i tam wrzucano je w ogień.

Sam wielki inkwizytor Torquemada osobiście posłał w Hiszpanii dziesięć tysięcy dwieście dwadzieścia osób na stos oraz dziewięćdziesiąt siedem tysięcy trzysta siedemdziesiąt jeden osób na galery. I jeszcze w połowie XX wieku chrześcijanie torturują we frankistowskiej Hiszpanii, w Korei, Algierii, Grecji, Wietnamie i w więzieniach Republiki Federalnej Niemiec. W hitlerowskich Niemczech zostaje przywrócona straszliwa kara odpowiedzialności rodzinnej – papież Grzegorz IX ekskomunikował aż do siódmego pokolenia, a papież Urban II nie uważał za morderstwo zabicia osoby ekskomunikowanej, „gwoli przysłużenia się Kościołowi – naszej matce”.

Nie wszystkich heretyków palono. Skruszonym okazywano łaskę. Bito ich w niedziele podczas mszy, raz w miesiącu w każdym domu, gdzie spotykali się z podobnymi sobie, oraz w czasie procesji, na każdej stacji. Czasem pędzono ich też nago po ulicach, po czym byli biczowani przy ołtarzach i nawet legaci papiescy nie uważali udziału w tym za uwłaczający im. Inni skruszeni trafiali pod „mur”. Skazywano ich na murus largus, dosyć łagodne ograniczenie wolności, albo na murus strictus, co oznaczało dożywotnie przykucie rąk i nóg do ściany pozbawionej okien celi, zgodnie z nakazem papieża, jak najmniejszej i jak najciemniejszej, a więc karę nie stosowaną nawet za Hitlera. Jeszcze straszniejszy był murus strictissimus, o którym protokoły inkwizycji jednak milczą.

Znani nam są katolicy, którzy w XIII wieku zaświadczali swoją prawowierność następującą przysięgą: „Nie jestem kacerzem, bo mam żonę i śpię z nią, mam dzieci i jem mięso, kłamie, przeklinam i jestem wierzącym chrześcijaninem, tak mi dopomóż Bóg!”

Zmarłych, których „herezja” wychodziła na jaw dopiero po ich śmierci, trzeba było ekshumować i traktować tak, jak gdyby jeszcze żyli. Niesławnym wczesnym przykładem na to jest postępowanie z papieżem Formozusem. Stefan VI kazał go w 897 roku wykopać, wydał nań wyrok i pozbawił go dwóch palców prawej ręki. Sergiusz III zarządził w 905 roku

ponowną ekshumację zwłok Formozusa, polecił przyodziać je w szaty papieskie, posadzić na tronie, po czym – skazawszy go jeszcze raz – kazał odrąbać mu kolejne trzy palce oraz głowę.

Gdy zadźgano Zwingliego, został poćwiartowany i spalony, a dla zbezczeszczenia jego prochów dorzucano do ognia świńskie łajno, pod stosem Husa umieszczono natomiast potajemnie zgniłego muła, żeby zademonstrować ludowi odór diabła.

Ale sporadyczne akcje przeciw „kacerzom” nie zadowalały papieży. Pograżyli oni całą Europę w wojnie. Na południe i na północ wysyłali krucjaty. To, co nie było katolickie, musiało zniknąć, i tak samo działo się jeszcze w XX wieku w klerykalno-faszystowskiej Hiszpanii oraz w Chorwacji.

Pierwsza krucjata przeciwko chrześcijanom odbywała się od 1209 roku i dotknęła albigensów, „zakałę i hańbę rodu ludzkiego”, jak pisał jeszcze w XIX wieku papież Grzegorz XVI, albigensów, którzy ewidentnie i w takiej mierze nawiązywali do pierwotnego chrześcijaństwa, że nawet doktor Kościoła Bernard z Clairvaux mówił o nich: „Nie ma pewno bardziej chrześcijańskich kazań niż wygłaszane przez nich, czyste były też ich obyczaje”. A tymczasem Innocenty III wezwał, w niecałe dwa miesiące po intronizacji, cały świat chrześcijański do palenia „kacerzy”, którzy by się nie wyrzekli swojej wiary. Szlachcie północnofrancuskiej obiecał posiadłości, królowi Francji (który wyraził swoje wątpliwości co do krucjaty!) panowanie nad krainą zamieszkiwaną przez albigensów, a wszystkim katolickim krzyżowcom, nawet najgorszym grzesznikom, wieczną szczęśliwość w raju.

Po owym wezwaniu chwycili za krzyże władcy duchowni i świeccy, całe hufce rycerzy, włóczągów, tysiące łupieżców zwłok, najemni żołdacy, ładacznie z przewoźnych świątyń Wenery. Z pieśnią Przyjdź Duchu Święty atakowali miasta, wyrzynali mieszkańców, i „heretyków”, i katolików, jak popadło. Wyrzynali trzymających monstrancje kapłanów przy ołtarzach, wyrzynali niemowlęta i starców: w samym tylko Beziers dwadzieścia tysięcy ludzi. Już wówczas matki tuliły dzieci do piersi, by nie widziały wrzucania w ogień, tak jak to było później w komorach gazowych Auschwitz. Ale że jeszcze po dwudziestu latach tej rzezi jacyś albigensowie się uchowali, Kościół płacił dwie marki srebrem jako premię za każdego żywego lub martwego „kacerza”, dostarczonego już po zawarciu pokoju.

Krucjaty i wojny religijne szaleją odtąd w Europie przez całe stulecia. Kontynuowane jest również nawracanie pogan na Wschodzie, zainicjowane już w 782 roku nakazaną przez Karola „Wielkiego” egzekucją czterech i pół tysiąca Sasów. W roku 1147 odbywa się krucjata na ziemi Wenetów. Hasło: „Kto nie zechce się ochrzcić, niech zginie”.

U schyłku średniowiecza rycerze w habitach wymordowują na Wschodzie mieszkańców całych regionów. I w końcu katolicy staczają dziewięć bitew między sobą, bo papież żąda dla siebie – jako „dziedzictwa Matki Boskiej” czegoś, co rycerze też chcą sobie zatrzymać.

W połowie XV wieku ofiarą trwającej wojny prowadzonej przez zakon w Polsce padło tysiąc dziewiętnaście kościołów i siedemnaście tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt siedem wsi. Pięćset lat później „europejska krucjata” (jak określają katolicki kapelan połowy Wehrmachtu), kampania rosyjska Hitlera, której postępy odnotowują „z satysfakcją” wszyscy biskupi niemiecko-austriaccy i którą papież Pius XII pochwała jako „obronę podstaw cywilizacji chrześcijańskiej”, otóż ta „krucjata” pociąga za sobą zniszczenie ponad tysiąca siedmiuset miast i siedemdziesięciu tysięcy wsi i pozbawia dwadzieścia pięć milionów ludzi dachu nad głową, nie mówiąc już o zabitych. O dalszych perspektywach pisze katolik Friedrich Heer: „Planowanie, obmyślanie, przygotowywanie nowej wojny przez chrześcijański Kościół – chcący odegrać rolę współnika w tej zbrodni – jest prostą kontynuacją poparcia dla wojny

prowadzonej przez Hitlera, udzielonego przez przywódców obu głównych Kościołów".

Sześćset lat prześladowuje się waldensów – tylko dlatego, że poważniej traktują Biblię. W roku 1234 papież Grzegorz IX nakłania do krucjaty przeciw chłopom ze Steding, którzy odmawiają arcybiskupowi Bremy nadmiernej daniny. Pięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci ginie z rąk krzyżowców, a zagrody owych chłopów zajmują osadnicy obdarzeni nimi przez Kościół.

Na początku XV wieku Marcin V i Eugeniusz IV propagują krucjaty przeciw husytom, podczas których dochodzi do strasznych wyczynów obu stron: katolikom rzeźbi się na czołach krzyże, a husytom – kielichy; kapłanów piecze się w beczkach pełnych smoły albo zasztyletowuje się ich przy ołtarzach. Dokonywane rzezie wyludniają całe miasta, setki wiosek płoną, już wtedy zostaje wypróbowana taktyka spalonej ziemi. Ale jeszcze po drugiej wojnie światowej zostajemy pouczeni przez protestanckiego teologa Thielickego: „Chrześcijanie, którzy swą służbę frontową odbywają pod okiem Boga, zawsze pojmowali rzemiosło wojenne jako wykonywane w imię miłości [!]”. A jego kolega Kilmeth oświadcza w trzydzieści lat po Hiroszynie: „Nawet bomby atomowe mogą służyć okazywaniu miłości bliźnim”. Żaden artysta kabaretowy...

W 1538 roku Paweł III wzywa do krucjaty przeciw odszczerpieńczej Anglii, której „kacerzy” chciałby przemienić w niewolników – wszystkich razem i każdego z osobna.

W roku 1568 hiszpański trybunał inkwizycji postanawia likwidację trzech milionów Niderlandczyków, którzy – jak brzmi hasło wypisane na kapeluszach „gezów” – wolą być „raczej Turkami niż papistami”. Gdy książę Alba ma już za sobą wymordowanie wielu tysięcy ludzi, papież przesyła mu dla podtrzymania ducha poświęconą szpadę i od tej chwili rozpoczyna się wyludnianie całych miast, nie oszczędzające nawet jednego dziecka, a towarzyszą temu wymyślne okrucieństwa, na przykład dławienie córek krwią ich ojców.

We Francji dochodzi w 1573 roku – okrzyk bojowy: „Niech żyje msza! Zabijajcie, zabijajcie” – w ciągu jednej nocy do zmasakrowania dwudziestu tysięcy hugenotów. „Wyplenienia” ich żądał Pius V, Grzegorz XIII zaś urządza z uciechy publiczne festyny i każe wybić okolicznościowy medal z wizerunkiem anioła, który zabija hugenota, na awersie i własną podobizną na odwrocie.

Potem, po roku 1685, opuszcza Francję dwieście tysięcy hugenotów. Masowe przesiedlenia, banicje, emigracje obserwowane w XX wieku mają swoje wielkie precedensy już w średniowieczu, kiedy to w różne strony świata uciekają waldensi, humaniści, luteranie, erazmianie, baptyści, socynianie, antytrynitarze itd.

W roku 1584 papież Grzegorz XIII stawia w bulii *In co-ena Domini* protestantów na równi z piratami i zbrodniarzami. A gdy po toczonej przez trzydzieści lat XVII wieku wojnie religijnej, która pochłonęła od czterdziestu do siedemdziesięciu procent ludności krajów zaangażowanych w nią, całkowicie wyczerpane strony walczące zawierają traktat westfalski, z oficjalnym protestem występuje papież Innocenty X.

Pokrótkie tylko wspomnimy tu o krwawej działalności misyjnej Kościołów chrześcijańskich poza Europą: w Indiach, Afryce, Ameryce, gdzie eksterminacja spotkała wiele milionów ludzi, na Kubie, gdzie objęła wszystkich mieszkańców, a wszystko to działo się oczywiście również – jak szydzi Schopenhauer – „in maio-rem Dei gloriam i gwoli ewangelizacji, a ponadto dlatego, że kto nie był chrześcijaninem, tego nie uważano za człowieka”.

Teoretycznie chrześcijaństwo jest najbardziej pokojową, ale w praktyce najkrwawszą religią w dziejach świata. Uczciwi badacze podkreślali to niejednokrotnie. Angielski historyk

William E. H. Lecky nie uważa bynajmniej za przesadne stwierdzenia, iż „Kościół zadał ludziom więcej niezasażonych cierpień niż jakakolwiek inna religia”. A niemiecki teolog Bruno Bauer przyznaje: „Żadna religia nie pochłonęła tylu ofiar w ludziach, i tak haniebnie ich wymordowując, jak ta, która szczyli się przezwyciężeniem śmierci na zawsze”.

Oni toczyli wojny i nakłaniali innych do prowadzenia wojen, które im właśnie służyły. Rozprawili się z pogaństwem. Stworzyli inkwizycję. Wywoływali krucjaty przeciw Turkom i chrześcijanom. Ale tego im nigdy nie wystarczało.

Od wieku XIII do XIX chrześcijański Kościół palił czarownice – podczas gdy w starożytnej Babilonii palono tylko ich wizerunki. Charakteryzująca nawet najsławniejszych katolików nader prymitywna, obsesyjna wiara w zjawy (Augustyn wierzy mocno w faunów napastujących kobiety; Tomasz z Akwinu – w demony wpływające na pogodę; papież Grzegorz I – uczczony przydomkiem Wielkiego i rzadkim tytułem doctor Ecclesiae, przyznany prócz niego jednemu tylko papieżowi, przez z górą pięćset lat źródło chrześcijańskiej inspiracji i „nauki” – wypełnia cztery książki stekiem nonsensów, od których włos się jeży, na przykład doniesieniem o zakonnicę, która nieopatrznie połyka szatana siedzącego na liściu sałaty itp.; wszystko najzupełniej serio!), owa nader prymitywna wiara w zjawy, groteskowa psychoza strachu przed diabłem, tłumiony popęd seksualny i bezgraniczna żądza wzbogacania się sprowadziły na miliony ludzi, zwłaszcza na kobiety, śmierć w strasznych męczarniach.

Papież Grzegorz IX, Aleksander VI, Leon X, Juliusz II, Hadrian VI i wielu innych wierzyli w istnienie czarownic, w istnienie mężczyzn i kobiet, którzy – jak to formułuje Innocenty VIII w swojej bulli O czarownicach, „obcuja cieleśnie z nocnymi duchami”, czyniąc tym wielką szkodę ziemi, ludziom i zwierzętom. Tak więc prócz pogan, Turków i „kacerzy” polowano już też na czarownice i wyznaczano nagrody za schwytane kobiety – w katolickim Offenburgu na przykład dwa szylingi za sztukę – podczas gdy trzy tysiące lat wcześniej babiloński władca Hammurabi grozi w §2. najstarszego kodeksu świata każdemu, kto fałszywie oskarży kogoś o uprawianie czarów, śmiercią i konfiskatą mienia.

W czasach nowożytnych ofiary oskarżeń poddawano bezlitosnym torturom, zmuszano dzieci i matki do wzajemnych denuncjacji, wymuszano torturami kłamliwe zeznania i nazwiska kolejnych ofiar, z których potem, również torturami, wydobywano następne nazwiska. W podziemnych lochach przywiązywano owe nieszczęsne kobiety do drewnianych krzyży, przykuwano je od zewnątrz do murów, narażano je na ataki szczurów, na wszelką pogodę, a ponadto znęcano się nawet nad dziećmi, często bliskimi śmierci po oćwiczeniu przez duchownych i oprawców. Były one na łańcuchach wywieszane z wież na zewnątrz, głodzone, pozwalano, by zamarły, a potem smażono je na ogniu. Jedno z hasel towarzyszących rozprawianiu się z czarownicami brzmiało: „Będiesz torturowana, dopóki twoje ciało nie zacznie przepuszczać promieni słonecznych”.

Wysłuchajmy się w krzyki tych nieszczęsnych ludzi! Wczytajmy się w to, co niektórzy pisali z więzień, żony do mężów, ojcowie i matki do dzieci: zapewnienia o własnej niewinności, słowa po-żegnania na zawsze. Trzeba to poznać, by zrozumieć, że diabeł jest chrześcijaninem, a chrześcijanin często diabłem, albo inaczej: że – jak mówi Kierkegaard – chrześcijaństwo to „wynałazek szatana”. Zaraza wśród bydła w archidiecezji salzburskiej doprowadziła w 1678 roku do śmierci dziewięćdziesięciu siedmiu kobiet na stosie. Biskup Bambergu Fuchs von Dornheim wymordował około roku 1630 blisko sześćset osób płci obojga, które oskarżono o czary, oraz wszystkich pięciu burmistrzów miasta. Jego kuzyn, arcypasterz Wiirzburga Adolf

von Ehrenberg posłał na stos około tysiąca dwustu czarownic i magów, po czym zarządził odprawianie mszy świętych za ich dusze. Arcybiskup Trewiru Jan zlikwidował w 1585 roku tyle czarownic, że w dwóch wioskach ocalały tylko dwie kobiety. „Niechybnie zginie całe miasto” – skarży się w połowie XVII wieku pewien ksiądz z Bonn, gdzie pod naciskiem arcybiskupa Kolonii, bawarskiego księcia krwi Ferdynanda palono nawet trzyletnie dzieci za rzekome obcowanie z diabłami.

Jak pisze się w chrześcijańskich kronikach, wszędzie „sprzątano” i „usuwano brud”, pozbywając się owych kobiet. „Jako że ze starymi nieomal się uporaliśmy i zostały one na nasze polecenie pozbawione życia – informuje landgraf Jerzy z Darmstadt w roku 1582 swojego przedstawiciela w augsbruskim Reichstagu – teraz zabierzemy się do młodych [...]”. W ogień wrzucano stuletnie kobiety, roczne dzieci, kalekich i ślepych, śmiertelnie chorych, kobiety ciężarne, całe klasy szkolne, nawet duchownych i zakonnice. Szkody czynione w poszczególnych krajach były większe niż na skutek wojen. A każdy, kto przeciwstawiał się temu szaleństwu, jako uznawany za „protektora czarownic”, najczęściej sam służył za „opał”, że użyjemy tu określenia z czasów hitlerowskich, zilustrowanego przez długą praktykę Kościoła. Bo przecież w archidiecezji bamberskiej i w diecezji wrocławskiej istniały już piece krematoryjne dla czarownic!

Po uśmierceniu owych nieszczęśników kler zagrabił ich mienie i nierzadko był to prawdziwy powód wszczynania procesów o kacerstwo i czary. Jeden z mogunckich dziekanów zarządził spalenie ponad trzystu osób z dwóch wsi po to tylko, by móc przyłączyć ich ziemie do swoich. Pewien skryba w Fuldzie, którego przełożony, opat, był znanym łowcą czarownic, groził zwłaszcza bogatym i pysznił się tym, że w ciągu dziewiętnastu lat trafiło na stos siedemset osób płci obojga. Każdy z licznych wyroków wydanych w diecezji augsburskiej kończył się formułą: „Ich majątek przepada na rzecz fiskusa Jego Księżęcej Wysokości, przewielebnego Marquarda, biskupa w Augsburgu i proboszcza katedry w Bambergu”. Cesarz Ferdynand II przestrzegał biskupa Bambergu: „Co się jednak tyczy niegodnej zaiste konfiskaty, My nie możemy już bynajmniej pod żadnym pozorem pozwolić Warn na takie poczynania”.

Skropione krwią pieniądze inkasowali też inkwizytorzy i spowiednicy. Kata czarownic, GeiBa, który działając w Wetteru, nie tylko wspominał w swoich rachunkach o pokryciu kosztów „go-rzałki wypitej tam w ciągu dwóch dni polowania na czarownice przez członków komisji”, ale również zabierał dla siebie jedną trzecią mienia ofiary, uratowała przed gniewem ludu jedynie ucieczka, lecz gdy zwolniono go ze służby, zażądał dalszego wypłacania poborów – postępując bardzo podobnie, jak wielu sędziów hitlerowskich w Republice Federalnej. Najszybszy i najłatwiejszy sposób wzbogacenia się – mawiano – to palenie czarownic. Często ustawało ono, gdy znikąca perspektywa obłowienia się. Reformacja nie zahamowała tego szaleństwa. Wręcz przeciwnie. Tak jak zwolennicy reformacji w Holandii w barbarzyński sposób zdziesiątkowali katolików, tak jak plądrowali, burzyli ich kościoły i klasztory, wrzucali w ogień krucyfiksy, wizerunki świętych oraz księży i zakonników, tak jak w 1527 roku w Rzymie luterańscy lancknechci uśmiercili tysiące papistów i nawet w bazylice Świętego Piotra zmasakrowali dwieście osób, po czym pod groźbą palenia domów wymuszając ogromne okupy albo – jak uważają sami luteranie – „dzięki łasce bożej wzbogacili się tak, że niepodobna tego opisać”, tak zabijali teraz również czarownice. Luter, który wszędzie widział szatana, zgadzał się na spopielenie „diabelskich ladacznic” równie łatwo jak papież albo – powtórzmy jego określenie – jak ta „papieska świnia”, której zresztą

także chciał – podobnie jak całej Kurii – wyrwać język przez gardło na zewnątrz, a potem wszystkich tych dostojników według starszeństwa w takim stanie przygwoździć do szubienicy. Kalwin zaś, który swoich krytyków z zapalem uspokajał torturami i mieczem, a ponadto posłał na stos Serveta, chętnie przyznawał genewskiej radzie miejskiej wielkie zasługi w łowieniu czarownic i zwracał uwagę na to, że „jest takich jeszcze wiele”, domagając się, by „wypleniono [...] tę rasę”.

Na wielu ziemiach zamieszkałych przez protestantów zabijano w istocie więcej czarownic niż na ziemiach katolickich. W Brunszwiku, w okolicy Wolfenbittel, gdzie pod koniec XVI wieku palono często nawet dziesięć kobiet dziennie, słupy, przy których stawały one trafiając na stos, wyglądały jak zwęglony las. Prześladowania osiągnęły punkt kulminacyjny dopiero po okresie reformacji. Jeszcze w XVII wieku ich ofiarą padło w Europie przypuszczalnie około miliona ludzi, głównie kobiet. I nawet u schyłku XVIII wieku ewangelicki biskup Troilus ze szwedzkiej diecezji Dalarna wyraził głębokie zatroskanie „naszą epoką obojętności i wolnomyślności”, w której nie chciano już palić kobiet oskarżonych o czary.

W całych dziejach świata chrześcijańskiej kobieta była w ogóle źle traktowana, co też stało w sprzeczności z postawą Jezusa. Rozpoczął to Paweł, stawiający mężczyznę znacznie wyżej niż kobietę, a prócz Pawła również inni dawni teologowie, dopatrujący się w kobiecie tylko istoty niższego rzędu, uosobienia cielesności, istoty uwodzącej mężczyznę, po prostu Ewy i grzesznicy, którą najchętniej ostrzyżono by do gołej skóry, co zaleca święty Hieronim, której czasem zabrania się nawet śpiewu w kościele, a często i wchodzenia doń i przyjmowania komunii w czasie menstruacji, i to pod groźbą surowych kar; kontynuatorem postawy Pawła okazuje się Luter i znajduje ona swoje odzwierciedlenie w wielu dyskryminujących przepisach prawnych – aż po XX wiek.

Parlament niemiecki odrzuca projekt ustawy o prawie głosu dla kobiet jeszcze w sierpniu 1918 roku. We Francji kobiety uzyskują czynne i bierne prawo wyborcze dopiero w roku 1955. A w kraju pochodzenia papieża istniało i po tej dacie dwojakie ustawodawstwo dotyczące jednej i drugiej płci, a mianowicie zdrada męża – jak jeszcze niedawno uznał Sąd Najwyższy Włoch, powołując się na stare prawo, w rażącej sprzeczności z konstytucją – nie była nawet wykroczeniem, natomiast zdrada kobiety uchodziła za przestępstwo.

Kościółowi nie wystarczało jednak także nabożne polowanie na pogan, muzułmanów, „kacerzy”, czarownice – dołączono do nich Żydów.

Co prawda wszystko w chrześcijaństwie, co nie pochodziło od pogan, było żydowskie, od Starego Testamentu począwszy, poprzez zastępy aniołów, praojców, proroków, Modlitwę Pańską, aż po całą liturgię słowa. Ale właśnie dlatego, że Żydzi nie potrafili pojąć rzekomo chrześcijańskiego charakteru swojej wiary, dlatego że pozostawali „uparci”, w ciągu dwóch tysiącleci płonął ogień nie-nawiści do Żydów.

I ta nienawiść zaczęła się już za czasów Pawła, nasiliła się w Ewangelii świętego Jana i wciąż przybierała na sile. Już w II wieku, najwybitniejszy podówczas apologeta Kościoła powszechnego, święty Justyn uznaje Żydów nie tylko za winnych zła, jakie sami wyrządzają, „ale i tego, które wyrządzają wszyscy inni ludzie” – czego nie zdołał przelicytować nawet Streicher. Doktor Kościoła Efraim, „cytra Ducha Świętego”, Izy naród żydowski jako ludzi o naturach niewolników, szaleńców, sług szatana, morderców, ich przywódcy są nazywani zbrodniarzami, a sędziowie niegodziwcami, „oni są dziewięćdziesiąt dziewięć razy gorsi niż nie-Żydzi”. Doktor Kościoła Jan Chryzostom uważa Żydów za „nie lepszych niż świnie i barany”, a o synagodze mówi: „Choćby ją nazwać domem publicznym, miejscem rozpusty,

przybytkiem diabła, twierdzą szatana, zgubą duszy, otchłanią pełną wszelkiego zła albo jakkolwiek inaczej, to nie powie się jednak wszystkiego, na co synagoga zasługuje".

Nie ma więc nic dziwnego w tym, że już w IV wieku dymią żydowskie bożnice, że również rzymscy chrześcijanie podpalają już wówczas jedną synagogę, a inną każe zburzyć biskup Dertony Innocenty, że nawet święty doktor Kościoła biskup Ambroży deklaruje żarliwą solidarność z podpalaczami z Kallinikon i utrzymuje, iż spopieliłby także synagogę mediolańską, gdyby nie zniszczyło jej uderzenie pioruna. Nic dziwnego, że w V wieku staje w płomieniach następna rzymska synagoga; że patriarcha Aleksandrii Cyryl, również święty i doktor Kościoła, konfiskuje wszystkie synagogi Egiptu i że pod jego przewodnictwem, co prawda bez żadnej podstawy prawnej, synagoga w jego mieście rezydencjonalnym staje się obiektem szturmów ogromnego tłumu i ulega zniszczeniu, majątek Żydów zostaje rozgrabiony, a oni sami, obarczeni żonami i dziećmi, lecz wyrzuci ze wszystkiego i głodni, muszą opuścić miasto; było ich ponoć z górą sto tysięcy, a możliwe, że i dwieście, i tak przedstawiało się to pierwsze „ostateczne rozwiązanie” – Endlösung.

Już u schyłku starożytności uchwała się na dziesiątkach synodów kolejne surowe restrykcje antysemityczne, aż wreszcie w 638 roku szósty sobór w Toledo nakazuje przymusowe ochrzczanie wszystkich Żydów zamieszkałych w Hiszpanii, natomiast siedemnasty sobór toledoński roku 694 uznaje wszystkich Żydów za niewolników. Ich kapitały ulegają konfiskacie, zostają im też odebrane dzieci od siódmego roku życia wzwyż.

Zdarzało się oczywiście i tak, że władcy świeccy i duchowni ochraniaли Żydów, ale na ogół tylko z motywów ekonomicznych albo politycznych; kazali sobie za to słono płacić, a ponadto często żądali zmiany wiary. Kiedy Ojcowie Kościoła występujący u schyłku starożytności wprowadzili pojęcie żydowskiego zniewolenia, servitus Judeorum, listy żelazne cesarzy i królów z czasów ostatnich Karolingów ustanawiały coraz większą zależność Żydów, najpierw w zachodniej Francji, a potem w Anglii, gdzie w XII wieku zadekretowano: „Żydzi i wszystkie rzeczy, jakie posiadają, należą do króla”. W Niemczech byli odpowiednio własnością „komory” cesarza, który uważał siebie za właściciela żydowskiego mienia, a przynajmniej miał do niego stałe prawo hipoteczne i odstępował to prawo episkopatowi, szlachcie, miastom, przez co sytuacja Żydów destabilizowała się coraz bardziej, biskupi pochwalali stosowanie przemocy wobec Żydów i zapewniali im ochronę tylko w wypadku ochrzczania się, choćby ci ludzie zdychali na ich oczach.

Od 1103 roku ochrona królewska została przyznana wszystkim Żydom – z niewielkim pożytkiem dla nich – na sto dwadzieścia, sto trzydzieści lat, a ustanowił to Henryk IV, którego panowanie zapoczątkował spór z papieżem o inwestyturę. Za ową ochronę Żydzi musieli co rok płacić wysokie podatki, co więcej, za „łaskę” ocalenia od stosu przychodziło im wyzbywać się jednej trzeciej majątku przy okazji wyboru każdego kolejnego króla Rzymu oraz koronacji każdego cesarza rzymskiego.

Byli co prawda chronieni ponadto bullami protekcyjnymi niejednego papieża: Aleksandra III w końcu XII wieku, Grzegorza IX w roku 1237, Innocentego IV w roku 1247, ale ten ostatni już w 1244 roku kazał spalić Talmud. W innych jednak bullach – z roku 1279, 1577, 1584 itd. – papież regularnie zmuszał Żydów do słuchania ściśle kontrolowanych kazań nawracających, przy czym byli oni bici laskami, żeby nie zasypiali.

„Złe traktowanie Żydów uważa się za dzieło miłe Bogu” – donosi w XII wieku Abelard. „Gdy chcą udać się do następnej miejscowości, muszą wysokimi sumami zapewniać sobie ochronę ze strony Kościołów chrześcijańskich, które w istocie pragną ich śmierci, by

przywłaszczyć sobie spuściznę. Ziemi uprawnej ani winnic Żydzi posiadać nie mogą, bo nie ma komu gwarantować ich mienia. Jako źródło zysku pozostaje im więc tylko lichwa, a to z kolei naraża ich na nienawiść chrześcijan".

W 1179 roku trzeci sobór laterański dekretuje, że „chrześcijanie, którzy wazyli się współżyć z Żydami, podlegają ekskomunice”. Innocenty III nazywa ich w roku 1205 „wyklętymi przez Boga niewolnikami” i pisze do hrabiego Tuluzy, którego obłożył ekskomuniką: „Na poharńbienie chrześcijaństwa obdarzasz Żydów urzędami [...]. Nasz Pan zmiążdży Cię!”, a ponadto pragnie widzieć ich w wiecznej niewoli. Sobór w Zamorze w roku 1313 ponownie zarządza zniewolenie ich i pod groźbą ekskomuniki żąda wykonania tego postanowienia przez władze świeckie. Krótko mówiąc, antysemityczne dekry kościelne pojawiają się aż do wieku XIX. Jeszcze Leon XII, intronizowany w 1823 roku (papież tak moralny, że zakazuje walca jako tańca nieprzyzwoitego), tworzy nowe getta i poddaje ich mieszkańców inkwizycji.

Nic dziwnego, że stale podjudzany chrześcijański motłoch zaczął również likwidować Żydów. Byli oni kamienowani, topieni, łamani kołem, wieszani, rąbani na kawałki, paleni żywcem i grzebani żywcem. Na postronkach i za włosy zaciągano ich do chrzcielnicy i czynny udział w tym przymusowym chrzczeniu brał wyższy kler, który ciągle domagał się coraz zacieklejszych prześladowań.

Pierwsze rzezie Żydów na większą skalę były następstwami krucjat. Wyprawy krzyżowe finansowano w znacznym stopniu żydowskimi pieniędzmi, tak więc zabijanie Żydów uwalniało od zwrotu kapitału z procentami. Pierwszy taki wypadek to ograbienie przez krzyżowców w 1096 roku gminy żydowskiej w Rouen, po czym spalono domy i wymordowano ludność żydowską miasta. To samo spotkało Żydów nadreńskich w Kolonii, Wormacji, Trewirze, gdzie biskup Egilbert uratował tylko tych, którzy się ochrzcili, a pozostałych zamordowano. W Moguncji arcybiskup Ruthard obiecał Żydom ochronę w zamian za wysoką sumę, a potem jednak kazał ich zlikwidować – od siedmiuset do tysiąca dwustu osób. Podobny los zgotowano im w Ratyzbonie, Pradze i innych miastach. Podczas szturm na Jerozolimę 15 lipca 1099 roku, kiedy to krzyżowcy nurzali się we krwi po kolana i po siodła koni, zapędzono ludność żydowską do synagog i tam spalono żywcem.

W czasie tak zwanej drugiej i trzeciej krucjaty również doszło do prześladowania Żydów, do czego we Francji zachęcał opat Cluny Piotr, wielce czcigodny i święty, w Niemczech natomiast inicjatorem działań terrorystycznych był brat zakonny Rudolf. W Anglii rzezie rozpoczęły się podczas trzeciej krucjaty lat 1189/1190; jak się twierdzi, tamtejsze gminy żydowskie nigdy nie przewyciężyły w pełni skutków owych rzezi.

W wieku XIII i XIV wybuchy antysemitycznej nienawiści, które wstrząsnęły całą Europą, były inicjowane przede wszystkim przez sobory laterańskie.

Czwarty z nich, który obradował za czasów Innocentego III, najpotężniejszego papieża w całych dziejach – „Żyd – napisał on w 1205 roku do biskupa Paryża – jest jak ogień w łonie, jak mysz w worku, jak żmija u szyi” – otóż ten sobór potwierdził, powołując się na Augustyna, tezę o wiecznym podporządkowaniu, zniewoleniu Żydów i wydał szereg antysemitycznych dekretów. I tak zakazano Żydom sprawowania funkcji publicznych, co rok w okresie Wielkiejnocy musieli płacić specjalny podatek i pozostawać w domach, mając zamknięte sklepy. Nie wolno im było współżyć z chrześcijanami, a ponadto musieli nosić zarówno określoną odzież lub znaki rozpoznawcze, jak też wysokie stożkowate kapelusze, tak zwane kapelusze żydowskie, później zaś złoty pierścień; stąd wzięła się hitlerowska gwiazda dla

Żydów. Surowo zakazane były stosunki płciowe między Żydami a chrześcijanami. Taka kopulacja, potem tępiona przez nazistów, uchodziła za zbrodnię przeciw chrześcijaństwu, zaparcie się wiary, czasem też objaw zezwierzęcenia. Prawo miejskie Moguncji karało to ucięciem członka i pozbawieniem jednego oka, jihlavskie – pogrzebaniem za życia, praskie – wbiciem na pal i konfiskatą mienia, augsburskie prawo miejskie oraz Zwierciadło szwabskie – spalaniem ułożonych warstwowo „winnych”.

W 1235 roku zabito w Fuldzie trzydzieści cztery osoby, mężczyźni i kobiety, ponieważ dwoje spośród tych Żydów zamordowało jakoby piątkę chrześcijańskich dzieci, co później zwołana cesarska komisja uznała za oskarżenie całkowicie bezpodstawne. W latach 1257 i 1267 wymordowano członków gmin żydowskich w Londynie, Canterbury, Northampton, Lincoln, Cambridge i innych miastach. W roku 1281 wtrącono do więzień wszystkich Żydów Kastylii i wymuszono na nich horrendalne kontrybucje: metoda stosowana równie chętnie jak banicja, jeśli biskup albo władca świecki zapragnął większych pieniędzy. Z Francji wypędzono Żydów pięciokrotnie między rokiem 1182 a 1322, za każdym razem ograbiając ich i ponawiając wypędzenie. W 1290 roku pogrom dokonany w Czechach pozbawił życia około dziesięciu tysięcy Żydów.

We Frankonii, Bawarii oraz Austrii doszło, jak się utrzymuje, w 1298 roku, po oskarżeniu o mord rytualny, do eksterminacji stu czterdziestu sześciu gmin żydowskich, przy czym pierwszą większą gminą, którą spotkały prześladowania, była wspólnota wiirzburska: dziewięćset ofiar. W katolickim Bambergu zginęło wówczas około stu trzydziestu pięciu Żydów, w katolickiej Norymberdze – sześćset dwadzieścia osiem osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. W roku 1328 następuje niemal całkowita likwidacja gmin żydowskich w Królestwie Nawarry. W 1337 roku z Deggendorfu rozprzestrzenia się na Bawarię, Czechy, Morawy i Austrię fala mordów, która obejmuje pięćdziesiąt jeden miejscowości. W roku 1348 zostają na jednej z wysp reńskich spaleni Żydzi bazylejscy, strasburscy zaś – na cmentarzu.

W 1349 roku w ponad trzystu pięćdziesięciu niemieckich miastach i wsiach giną niemalże wszyscy Żydzi, na ogół paleni żywcem. W tym jednym roku chrześcijanie wymordowali o wiele więcej Żydów niż niegdyś, w ciągu dwustu lat prześladowań, poganie zdążyli wymordować chrześcijan! Wielu Żydów mogłoby ocaleć dzięki ochrzczeniu się, ale prawie zawsze przedkładali męczeńską śmierć nad życie w katolicyzmie. W Moguncji katolicy zlikwidowali podówczas największą gminę żydowską Niemiec – sześć tysięcy osób. Po wymordowaniu Żydów norymberskich następuje konfiskata ich domów i mienia, z czego biskup Bambergu inkasuje osiemset guldenów. W samym Bambergu część Żydów wybito, a inni z rozpaczki dokonywali samospalenia z całym majątkiem. Wszystkie niemalże domy ofiar przypadają bamberskiemu biskupowi Fryderykowi, a synagoga zostaje zamieniona w kaplicę ku czci Maryi. W Wiirzburgu następuje zbiorowe samospalenie w domach całej ludności żydowskiej.

W Hiszpanii wielkie rzezie rozpoczynają się w XIV wieku straszliwymi krwawymi orgiami w Geronie i Barcelonie. W Sewilli likwiduje się w 1391 roku pod przewodnictwem arcybiskupa ko-adiutora Martineza cztery tysiące Żydów, a bez mała dwadzieścia pięć tysięcy zostaje sprzedanych w niewolę. Potem pogromy objęły liczne inne miasta, wszystkie dzielnice żydowskie zamieniły się w zgłiszczyska, a ich mieszkańcy zostali poćwiartowani bądź wypędzeni.

Wydana 1 listopada 1478 roku bulla papieża Sykstusa IV upoważnia monarchów hiszpańskich do ustanowienia trybunału inkwizycyjnego, który 17 września 1480 roku

otrzymuje polecenie rozpoczęcia „pracy” w Sewilli. Potem całkiem otwarcie odbywają się istne festyny ludowe z okazji palenia na stosach. Jeszcze za pontyfikatu Sykstusa inkwizycja pali w Toledo w ciągu trzech dni dwa tysiące czterystu marranów – tak nazywano przechrzczonych Żydów, a słowo to oznacza świnię. W krótkim czasie egzekucje objęły, jak się oblicza, blisko trzydzieści tysięcy osób.

W roku 1389 ginie w Pradze jednego tylko dnia trzy tysiące Żydów, w roku 1420 w Austrii – tysiąc trzystu Żydów, w 1453 roku na Śląsku, w następstwie agitacji generała kapucynów Jana Kapistrana – zacieklego antysemitę, orędownika krucjat, inkwizytora i świętego Kościoła katolickiego, który czci go po dziś dzień 28 marca -r wybito wszystkich Żydów, a w 1648 roku w Polsce – około dwustu tysięcy Żydów. Takich danych liczbowych można by podać więcej.

Reformacja nie zmieniała ani na jotę chrześcijańskiego antysemityzmu. Wręcz przeciwnie. Po wczesnym okresie filosemityzmu, kiedy to urzeczeni Lutrem Żydzi rozgłaszali, iż nastął czas pojawienia się Mesjasza, ów reformator zalecał w zjadliwych pam-fletach „surowe miłosierdzie” i ze swadą powtarzał gwoli przekonania wyznawców prawie wszystkie kłamstwa i straszliwe opowieści katolików, między innymi posądzenie o zatrucie studni i o mordy rytualne. Utożsamiał Żydów ze świniami, uznawał ich za „gorszych niż prosięta”, żądał dla nich kary śmierci za odprawianie nabożeństw, domagał się zakazu publikacji, zniszczenia domów, spalenia szkół i bożnic, „iżby nikt nigdy nie zobaczył pozostałego po nich kamienia czy popiołu. I niechaj to się dzieje na chwałę Pana naszego i chrześcijaństwa, by Bóg widział, że jesteśmy chrześcijanami”. Jeszcze na krótko przed swoją śmiercią namawiał Luter władców niemieckich do wypędzenia Żydów. Ale z większości dużych miast wypędzono ich już wcześniej.

Kontrreformacja, zapoczątkowana w 1540 roku utworzeniem zakonu jezuitów – żądali oni od każdego kandydata udowodnienia braku koligacji żydowskich najpierw do piątego, potem zaś do trzeciego pokolenia wstecz – ze szczególnym fanatyzmem tępiła Żydów. Paweł IV, który – jeszcze jako kardynał Caraffa – był świadkiem zarządzonego przez siebie w 1553 roku spalenia na rzymskim Campo dei Fiori wszystkich znalezionych w mieście egzemplarzy Talmudu (na tym samym placu spalony został kilkadziesiąt lat później jeden z największych geniuszów czasów nowożytnych Giordano Brano), w roli papieża restytuował wiele średniowiecznych dekretów antysemitycznych, narzucił Żydom noszenie żółtych kapeluszy, zakazał im posiadania ziemi i pełnienia urzędów, uniemożliwił im wykonywanie wszelkich profesji akademickich – te rozporządzenia zachowały się we Włoszech, prawie bez wyjątków, aż po wiek XIX – i kazał spalić publicznie dwudziestu czterech mężczyzn oraz jedną kobietę spośród marranów. Gdy wielu marranów po odkryciu Ameryki przeniosło się pospiesznie do „Nowego Świata”, Stary Świat dopadł ich tam niebawem, urządzając okrutne autodafe – to słowo, pochodzące od łacińskiego actus fidei, oznacza „akt wiary”.

We Francji los Żydów uległ poprawie dzięki rewolucji, w większości miast niemieckich zaś, ale nie w Bawarii, dzięki wydarzeniom roku 1848. Natomiast w Rosji, gdzie w XIX wieku żyły dwie trzecie Żydów całego świata, przy czym w znacznej liczbie byli to potomkowie ludzi, którzy w średniowieczu salwowali się ucieczką przed krzyżowcami i innymi pobożnymi chrześcijanami, otóż w Rosji dochodzi do pogromów wynikłych z kazyńskości, postawy wrogości i jawnego szczucia ze strony kleru prawosławnego. Nie był to przypadek, iż owe ekscesy zaczęły się na Wielkanoc 1881 roku, a w następnych latach zabijano, wypędzano, na przykład w roku 1903 usunięto Żydów z dwustu osiemdziesięciu czterech rosyjskich miast i zapowiedzią akcji stało się bicie kościelnych dzwonów, czasem też na czele

ludu stawał pop ze sztandarem ukazującym Chrystusa ukrzyżowanego: przy aprobacie rządu wymordowano pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

I na Zachodzie antysemityzm trwa, nadal dochodzi do oskarżeń o mordy rytualne, tortur, ofiar krwi. W Państwie Kościelnym zostaje ze wszystkimi szczegółami odtworzony system gett. W Niemczech powstaje pod koniec XIX wieku protestancki związek antysemicki na czele z kapłanem nadwornym Adolfem Stoeckerem z Berlina; jako gadzinówki antysemickie funkcjonują przede wszystkim protestancka „Kreuzzeitung” i katolicka „Germania”, której głównym udziałowcem jest w 1924 roku późniejszy zastępca Hitlera i szambelan papieski Franz von Papen.

Na wzór niemiecki powstaje również w Austrii Partia Antysemicka, której przywódcy książę Liechtenstein i Karl Lueger otrzymują przed wyborami placet papieża. Lueger był potem długoletnim burmistrzem Wiednia, antysemityzm zaś stał się jedynym niezmiennym punktem programu austriackiej Partii Chrześcijańsko-Społecznej, a „bezpośrednią negatywną pochodną” (według katolika F. W. Foerstera, autora jednej z publikacji katolickiego Wydawnictwa Herder Verlag): Adolf Hitler.

Przyjmując 26 kwietnia 1933 roku w Berlinie biskupa Ber-ninga oraz wikariusza generalnego, księdza prałata Steinmanna, powiedział on, „w pełni przekonany o wielkiej potędze i głębokim sensie religii chrześcijańskiej”: „Atakowano mnie za sposób rozwiązywania kwestii żydowskiej, Kościół katolicki uważał Żydów przez tysiąc pięćset lat za szkodliwych, umieszczał ich w gettach itd., bo rozumiano, jacy są Żydzi [...]. Ja nawiązuję do tego, co robiono przez tysiąc pięćset lat [...], widzę w przedstawicielach tej rasy ludzi szkodzących państwu i Kościołowi, i możliwe, że największą przysługę wyświadczę chrześcijaństwu”.

Owi duchowni nie zaprotestowali ani jednym słowem. A przecież w tym samym miesiącu redaktor teologiczny miesięcznika „Seele” skarżył się w liście do arcybiskupa Monachium, kardynała Faulhabera, „że w tych czasach rozniecania skrajnej nienawiści do – zapewne w ponad dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach niewinnych – obywateli żydowskich, jak widzę, żadne pismo katolickie nie miało odwagi głosić katolickiej nauki katechetycznej, iż nie wolno nienawidzić ani też prześladować innych ludzi – a już najmniej ze względu na ich rasę”. Faulhaber zareplikował z zażenowaniem, rozdrażnieniem, ironią i wyjaśnił, że każdy chrześcijanin musi występować przeciw prześladowaniu Żydów; natomiast „najwyższe władze Kościoła” mają do czynienia z „o wiele ważniejszymi aktualnymi sprawami” i nie uważają za stosowne „dać rządowi pretekst do przeorientowania nagonki – z Żydów na jezuitów”.

Ale Kościół katolicki niejednokrotnie w przeszłości inicjował i popierał nagonkę na Żydów. Jeszcze w XX wieku Pius X oświadczył dosłownie: „Religia żydowska była podstawą naszej religii; została jednak zastąpiona nauką Chrystusa i nie możemy uznać dalszej racji istnienia tamtej”. Dlatego też papież, którego pontyfikat przypadł na lata drugiej wojny światowej, Pius XII, sprzeciwiał się stanowczo utworzeniu państwa izraelskiego. Gdy zaś powstało, „wciąż” nalegał na „umiędzynarodowienie Jerozolimy i miejsc świętych w całej Palestynie. Watykan nigdy nie uznał państwa Izrael i z tego właśnie powodu nie utrzymuje z nim stosunków dyplomatycznych” (Giinter Stemberger).

W czasach hitlerowskich Kościół często wygrywał dla siebie antysemityzm i narodowosocjalistyczną teorię ras.

I tak w opatrzonej kościelnym impnmatur książce katolickiego teologa Johannes Petera

Junglasa z roku 1935 pod tytułem *Christus und der deutsche Mensch* (Chrystus a naród niemiecki) cały jeden rozdział omawia naukowo, politycznie i światopoglądowo temat „chrześcijaństwo a rasa”. W wywodzie naukowym czytamy: „Kościół nie ma nic do zarzucenia temu nowemu rozumieniu kwestii. Bo Kościół błogosławi wszelkie dążenie do prawdy. Musi on więc przyjąć z uznaniem tę nową naukę [...]”.

Wywód polityczny wręcz piętnuje – „ze zrozumieniem” – fakt, że „w warunkach dotkliwego kryzysu gospodarczego tyle dziedzicznie zdrowych ludzi pozostaje w stanie bezżennym i bezdzietnym bądź ma niewiele dzieci, gdy tymczasem ludzie dotknięci chorobami dziedzicznymi rozmnażają się bez skrpułów i obarczają naród osobami niepełnowartościowymi pod względem duchowym i cielesnym”.

Trzeci wywód, światopoglądowy, poucza nas jak następuje: „Rasa żydowska istotnie od zarania dziejów odnosiła się z największą wrogością do chrześcijaństwa. W dzisiejszej ewangelii sam Zbawiciel [!] zapowiada odtrącenie plemienia Izraela [...], Zbawiciel mówi: «Dzieci tego królestwa zostaną wrzucone w najciemniejszą otchłań, będzie słycać płacz i zgrzytanie zębów»”. Chrześcijański Kościół jest tu gloryfikowany jako „Kościół ludów pogańskich”. „Wszystkie wartości rasy potwierdzają się i wzmagają”, ale „według tego, co zaświadcza teoria ras, najszlachetniejszymi przedstawicielami rasy nordyckiej w dotychczasowych dziejach świata byli średniowieczni rycerze epoki Hohenstaufów”, przy czym oczywiście „właśnie rycerstwo ukształtowało się pod wpływem chrześcijańskiego Kościoła”.

Zbiór kazań *Lebendige Predigt* (Kazania żywe), wydany z kościelnym imprimatur w 1936 roku, proponuje na niedziele wielkopostne homilię O wyższości rasowych chrześcijan, a w niej fragment opatrzony podtytułem *Krew Chrystusa przeważała nad religijnością Żydów*. Po wysunięciu na plan pierwszy „rasowości”, „rasowych chrześcijan” oraz „najautentyczniejszych rasowych chrześcijan”, świętych, następuje podsumowanie: „[...] religia żydowska musiała zostać przewyciężona. Chrystus może sobie przypisać dokonanie tego nadludzkiego dzieła [...]. Kto żyje we krwi Chrystusa, ten przewycięża w sobie stopniowo ducha i formy zewnętrzne religii żydowskiej”.

Jeszcze w 1941 roku jezuita Peter Browe dokumentuje obszernie na łamach „*Archiv fur katholisches Kirchenrecht*” sytuację Żydów ochrzczonych oraz ich dzieci z punktu widzenia prawa kanonicznego, przy czym wciąż jest mowa o „potomstwie Żydów”. Ani w starożytności, ani w szczytowym okresie średniowiecza nie istniała co prawda dyskryminacja tych konwertytów *de facto* czy *de iure*, ale jednak pieniąca się wszędzie, zwłaszcza w Hiszpanii i Portugalii, pogarda dla Żydów dotyczyła również „nowych chrześcijan”.

Na przełomie XV i XVI wieku zaczęło się usuwanie takich „potomków Żydów” z większości zakonów rycerskich, na przykład z zakonu alkantarskiego, z zakonu świętego Jakuba od Miecza, a poza Półwyspem Iberyjskim z rycerskiego zakonu joanni-tów oraz zakonu rycerzy świętego Stefana. Ale i inne zgromadzenia zakonne występowały po okresie średniowiecza przeciw chrześcijanom krwi żydowskiej, na przykład kanonicy regularni, trynitarze, mercedarianie, karmelici, benedyktyni, cystersi, eremicy świętego Hieronima, franciszkanie, tearyni, dominikanie – szczególnie po to, „by móc usłużyć inkwizycji”; ewidentnie chodziło o nieskazitelną czystość rasową inkwizytorów.

Żołędź zakonu jezuitów był co prawda niechętny przyjmowaniu „potomków Żydów”, ale dwa razy stwierdził, że uważa pochodzenie od Żydów za wielką łaskę Pana, bo „czyż spokrewnienie z naszym Panem i Najświętszą Marią Panną nie miałoby być wielką łaską?”.

Niebawem jednak, już w roku 1592, przełożeni jezuitów na Półwyspie Pirenejskim zaczęli odtrącać ludzi „których ród nie jest rasowo czysty [...]”; musimy bowiem oczyścić z nich społeczeństwo, bo są tylko ciężarem, przynoszą szkody i wielu poważnym kręgom, zwłaszcza Świętemu Oficjum, sprawiają kłopoty”. W rok później, w 1593 roku, zwołana do Rzymu piąta kongregacja generalna rozciągnęła ów zakaz niemalże jed-nogłównie na całe Towarzystwo Jezusowe, przy czym nawet generał zakonu nie mógł w żadnym przypadku udzielić dyspensy. Bo przecież generałowie jezuitów niejednokrotnie postanawiali, że kandydaci, których żydowskie pochodzenie było znane, nie mogą zostać przyjęci, „choćby ich antenaci byli dobrymi chrześcijanami do szesnastego pokolenia i jeszcze dawniej” i „choćby ród wydał dwóch kardynałów”.

Jezuita Browe kończy w roku 1941 swoją rozprawę jak następuje: „Według prawa powszechnego, jakie dzisiaj obowiązuje, ta przeszkoda wynikająca z krwi już nie istnieje; jedynie dla neofitów pozostaje aktualny, zgodnie z §6. artykułu 987., okres próby, żądany przez sobór nicejski. Mimo to zapewne i dziś ludzie pochodzący od Żydów, których rodowód jest znany, nie zostaliby w wielu krajach tak łatwo wyświęceni na księży ani nie doczekaliby się wyższych dostojeństw, jak inni kandydaci, których rodzice i wcześniejsi przodkowie byli bez wyjątku chrześcijanami”.

Kościół ewangelicki Niemiec, który już w roku 1933 stworzył antysemitowski paragraf dotyczący pochodzenia aryjskiego, ogłosił 17 grudnia 1941 roku następujący komunikat na temat stanowiska Kościoła wobec ewangelickich Żydów (podpisany przez biskupów bądź prezesów Kościołów krajowych Saksonii, Hesji, Meklemburgii, Szlezwika-Holsztynu, Anhaltu, Turyngii oraz przez prezesa ewangelicko-luterańskiego Kościoła Lubeki): „Narodowosocjalistyczne kierownictwo państwa dowiodło niezbicie za pomocą licznych dokumentów, że ta wojna o zasięgu światowym została wywołana przez Żydów. Dlatego też podjęło ono skierowane przeciw Żydom decyzje wewnętrzne- i ze-wnętrznopolityczne, niezbędne dla zapewnienia bezpieczeństwa Niemcom.

Jako elementy niemieckiej wspólnoty narodowej, niżej podpisane niemieckie ewangelickie Kościoły krajowe oraz ich przywódcy znajdują się na froncie tej historycznej walki obronnej, która m.in. uczyniła niezbędnym zarządzenie policji Rzeszy dotyczące znaków rozpoznawczych dla Żydów jako naturalnych wrogów całego świata i Rzeszy, podobnie jak już doktor Marcin Luter [!] wysunął, nauczony doświadczeniem, żądanie, by podjęto jak najsurowsze kroki przeciw Żydom i skazano ich na banicję z krajów niemieckich.

Od dnia ukrzyżowania Chrystusa aż po dzień dzisiejszy Żydzi zwalczali chrześcijaństwo bądź też wykorzystywali je lub wypaczali dla osiągnięcia swoich egoistycznych celów. Chrzest nie zmienia niczego w rasowej odrębności Żydów, ich przynależności narodowej i egzystencji biologicznej. Niemiecki Kościół ewangelicki musi dbać o życie religijne niemieckich współobywateli i sprzyjać mu. Chrześcijanie rasy żydowskiej nie znajdą dla siebie miejsca w tym Kościele ani żadnych praw.

Niżej podpisane niemieckie Kościoły ewangelickie oraz ich kierownictwa zniosły dlatego wszelką wspólnotę z Żydochrześcijanami. Kościoły te nie będą tolerować żadnego wpływu ducha żydowskiego na niemieckie życie religijne i kościelne”.

I stąd wiedzie prosta droga do komór gazowych Auschwitz, uformowana tysiącami traktatów, kazań, listów papieskich, postanowień soborowych. Biskupi i święci chrześcijańscy już w czasach antycznych masowo konfiskowali lub palili synagogi, już wówczas pisali, że ojcem Żyda jest diabeł, co powraca u Streichera, już w IX wieku antycypowali dosłownie

nazistowski slogan: „Nie kupujcie u Żydów!”, w wiekach średnich stworzyli precedens hitlerowskiej gwiazdy dla Żydów i uznali odpowiednie zarządzenie soborowe za część prawa kanonicznego. Już oni wyjmowali Żydów spod prawa, ograbiali ich, umieszczali w gettach, przepędzali z niezliczonych społeczności i krajów i setki tysięcy tych ludzi zmasakrowali.

Kościół zwalczał i eksploatował wszystkich, w niemałym stopniu również własne owieczki, co niech zostanie w proponowanych teraz rozważaniach o dziejach społeczeństw przedstawione nieco szczegółowiej choćby dlatego, że wielka chęć wzbogacania się, widoczna u wyższego duchowieństwa, czyni nieuchronnym jego sprzymierzenie się z państwami oraz obligatoryjne sankcjonowanie masowej zagłady – od Konstantyna po Wietnam. Gdy Kościół stanął po stronie bogatych, to chwycił także za ich miecz – po czym szybko obrastał w dostatek...

Biblijny Jezus pojawił się co prawda jako przyjaciel paria-sów i ludzi wyzuty z praw, poborców ceł i grzeszników, kalek, ludzi napiętnowanych. Chwalił biednych i groził bogatym. Żądał rezygnacji z wszelkiego majątku. Potępiał „niesprawiedliwą mamonę”, „ułudę bogactwa”, a jego „dobra nowina” dla ujarzmionych zapewne przyspieszyła działania misji chrześcijańskich, zapewne przyciągała niewolników, wyzwolenców, robotników, drobnych rzemieślników, wygnanych chłopów, z których w większości składała się najdawniejsza wspólnota chrześcijańska. Zniewoleni przez rzymski kapitalizm agrarny i dyktatury cesarów, ci ludzie tęsknili od pokoleń do wybawienia z nędzy i dostrzegali w chrześcijaństwie nie tylko idealną religię, ale i spełnienie proletariackich nadziei, wyzwolenie z niedostatku.

Ale później kler nie zamierzał bynajmniej zmieniać struktur społecznych. Podczas gdy nauka Chrystusa była wręcz ekstremalnie rewolucyjna, Kościół stawał się potęgą na wskroś konserwatywną, tłumił kompromisami i relatywizacją ewangeliczny radykalizm, całkowicie odzegał się od tradycji pierwotnego chrześcijaństwa, natomiast przejął antyczny ustrój gospodarczy ze wszystkimi jego elementami.

Najjaskrawiej wykazuje to utrzymywanie przez Kościół niewolnictwa, a na odpowiednią do tej sytuacji dewizę natrafiamy u Pawła: tak jak każdy powinien pozostać w tym stanie, w którym się znajduje, tak i niewolnik powinien pozostać w niewolnictwie. Co więcej, jak tego żąda w II wieku biskup Ignacy, niewolnicy powinni „na chwałę Boga jeszcze gorliwiej wykonywać pracę niewolniczą”! Doktor Kościoła Ambroży nazywa niewolnictwo „darem Boga”. A inny doktor Kościoła Augustyn już bez zastrzeżeń stoi po stronie bogatych i propaguje ideał „pracowitości w biedzie” – pozostać biednym i dużo pracować to jedna z najistotniejszych rad, jakich udziela biednym – otóż Augustyn z jednej strony pociesza (jak *mutatis mutandis* wszystkie encykliki społeczne ostatnich stu lat) niewolników stwierdzeniem, że ich los to przejaw woli Boga, a z drugiej strony uświadamia właścicielom niewolników korzyści płynące dla nich z takiego uzależnienia.

Równouprawnienie religijne niewolników, przyznane im już wcześniej w kulcie Dionizosa, ustaje jednak niebawem, w roku 257, w chrześcijaństwie, z chwilą gdy papież Stefan I zabrania im ubiegania się o godność kapłańską. „Podły niewolnik nie jest przecież godzien takiego zaszczytu” – pisze w 443 roku doktor Kościoła, papież Leon I „Wielki”. Otóż to – w czasach pogańskich, przede wszystkim dzięki stoickiej doktrynie równości ludzi, nastąpiła wreszcie pewna poprawa losu niewolników, ale w IV wieku Kościół znowu pogorszył ich status prawny. I nie tylko przodował w liczebności posiadanych niewolników, lecz również – co nie istniało nigdzie indziej – uniemożliwiał ich wyzwolenie. Jako „dobro kościelne” byli oni niezbywalni. Mało tego. W każdym kolejnym stuleciu zwiększało się zniewolenie i

niewolnictwo utrzymało się za sprawą Kościoła przez całe średniowiecze. Tomasz z Akwinu jednoznacznie je usprawiedliwiał, Egidiusz Rzymianin zaś wystawiał je wręcz jako „instytucję chrześcijańską”.

U schyłku średniowiecza ta chrześcijańska instytucja nawet rozwinęła się w Europie Południowej. Spośród wielkich miast zachodnioeuropejskich najdłużej zachował ją – konsekwentnie – papieski Rzym. Niestuszone to, ale zrozumiałe, jeśli się pomyśli o ogromnym majątku Kościoła, choć przecież groteskowe, gdy wspomnimy Jezusa i „komunizm miłości” głoszony przez apostołów, do którego nawiązują nie tylko liczne sekty chrześcijańskie, lecz również wielu Ojców i doktorów Kościoła, jak Jan Chryzostom, żądający niejednokrotnie wspólnoty dóbr zamiast własności prywatnej i nakazujący, by wszystko „posiadano na sposób komunistyczny”. Albo doctor Eccksiæ Bazyli, jeden z najlepszych chrześcijan wszechczasów, który cały swój majątek oddaje biednym, a potem dołącza do tego ogromne dziedzictwo i wreszcie przekazuje ludziom będącym w potrzebie większość dochodu z bardzo bogatej diecezji, chrześcijanin, który innych chrześcijan posiadających cokolwiek stawia na równi ze zbójcami. Ale gdy ci doktorzy Kościoła jeszcze radykalnie krytykowali kapitalistyczny ustrój gospodarczy, domagali się jego likwidacji od podstaw i głosili jako główną naukę chrześcijańską „komunizm miłości” pierwotnej gminy, zdążyła się już ukształtować sytuacja naj-bezwzględniejszej eksploatacji w całych dziejach ludzkości. I była to też eksploatacja najbardziej bezwstydną.

Już za czasów pierwszych cesarzy chrześcijańskich majątek Kościoła znacznie się powiększył. W VI wieku pobiera się kościelną dziesięcinę, zawarowaną prawnie za Karola „Wielkiego” i ściaganą aż do XIX wieku. W VIII wieku oszustwem i wojnami zostaje uzyskane Państwo Kościelne. I w średniowieczu co najmniej jedna trzecia całej ziemi uprawnej w Europie znajduje się w rękach duchowieństwa, a pracują na niej niewolni chłopcy.

Kuria przechodzi wcześniej niż większość dworów monarszych od gospodarki naturalnej do pieniężnej i rychło, dzięki nawiązaniu ścisłych kontaktów z nowo powstającymi bankami, staje się jedną z największych potęg finansowych świata. Inkasuje, co jej się należy, uciekając się do ekskomuniki albo interdymtu, czasem też egzekwuje należności od opornych dłużników przy pomocy władców, z którymi proporcjonalnie dzieli się przychodem. W podziemiach zamku papieskiego w Awinionie, „najohydniejszym i najbrudniejszym mieście, jakie zdarzyło mi się poznać” – jak pisze Petrarca, gromadzone są skarby ze wszystkich stron świata. Alvarez Pelajo, szczerze dochowujący papieżom wierności dostojnik Kurii, opowiada, że ilekroć przybywał na pokoje papieskie, zawsze zastawał duchownych przy liczeniu pieniędzy.

Już około roku 1000 wypomina biskup Orleanu tę „hańbę”, że w Kurii prawie wszystko jest do kupienia i wyroki wymierza się według wagi złota. W wieku XIII skarży się biskup Jakub z Vitry: „Wszystko dotyczy tylko spraw przyziemnych i doczesnych, królów i królestw, procesów i sporów. Rzadko kiedy pozwalano na rozmowę o sprawach duchowych”. Pod koniec XV wieku wykrzykuje we Florencji Savonarola: „Oni handlują beneficjami i nawet sprzedają krew Chrystusa”. A w połowie XX wieku francuski ksiądz-robotnik Henn Perrin dziwi się, „jak niewielką wagę przywiązywały w przeszłości środowiska chrześcijańskie do problemu losu robotników. Z roku na rok nic prócz nabożnych słów” – co potwierdzają dobitnie papieskie „encykliki społeczne”: Rerum novarum (1891), Quadragesimo anno (1931) oraz łagodniejsza tylko w tonie, ale merytorycznie prezentująca to samo, Mater et magistra (1961).

Ale równocześnie papież Pius XII (który pisze ponadto o robotniku i przedsiębiorcy co następuje: „Tworzą oni coś wspólną pracę. Chciałoby się wręcz powiedzieć, że jedzą przy tym samym stole. Bo przecież żyją z ogólnego dochodu gospodarki swego kraju”.) stwierdza: „Kościół Chrystusowy idzie drogą wyznaczoną mu przez boskiego Zbawiciela [...]. Nie wtrąca się do spraw czysto politycznych i gospodarczych”. Mniejsza o to, że należące do Kościoła ziemie, w sumie kilka milionów hektarów, w niektórych krajach stanowią prawie dwadzieścia procent wszystkich pól i jeszcze dziś jest to największa posiadłość w świecie chrześcijańskim; że Kościół posiada kilka najbardziej wpływowych rzymskich banków oraz udziały w przerażająco wielu spośród najpotężniejszych zakładów przemysłowych w Ameryce Pomocnej i Południowej; że niektóre z nich są nawet prawie wyłączną własnością Kościoła, jak czołowe włoskie towarzystwo lotnicze Alitalia, jak zakłady samochodowe Fiat (gdy tymczasem rokrocznie umierają z głodu miliony ludzi i tylko w Ameryce Południowej, gdzie żyje trzydzieści trzy procent wszystkich katolików, trzydzieści procent ludzi to bezdomni) – również trzej bratankowie Piusa XII są wysokimi dostojnikami watykańskimi, prezesują liczącym się bankom, firmom monopolistycznym, i gromadzą, w mało którym wielkim skandalu finansowym we Włoszech nie umoczywszy palców, majątek rządu stu dwudziestu milionów marek. A sam papież, którego beatyfikacja jest już bliska, pozostawia w spadku mienie osobiste wartości osiemdziesięciu milionów marek, w złocie i walucie.

Zaiste: wśród wszystkich dziwnych świętych Kościoła katolickiego – a są w tym gronie znani fałszerze dokumentów, jak doktor Kościoła Atanazy („doktor Kościoła” to największe wyróżnienie dla katolika; spośród dwustu sześćdziesięciu papieży tylko dwóch otrzymało ten tytuł); znani specjaliści od przekupywania, jak doktor Kościoła Cyryl Aleksandryjski, znani złodzieje i podpalacze, jak Marcin z Tours, patron Francuzów – wśród wszystkich dziwnych świętych Ecclesiae Catholicae Eugenio Pacelli byłby jednym z najdziwniejszych, gdyby został kanonizowany. I nie tylko ze względu na słowa Łukasza (12,33 albo 14,33) bądź Jana Chryzostoma, doktora Kościoła: „Bez niesprawiedliwości nie sposób się wzbogacić” oraz „Człowiek godny czci nie może, nie może być bogaty”.

Papieże przemieniali w pieniądze prawie wszystko, dając w każdym stuleciu przykład wielkiej korupcji i demoralizacji. Mimo zakazu sprzedawali każdą nominację na biskupa, każdą godność opata, każde probostwo katedralne. Co więcej, sprzedawali już samą możliwość ubiegania się o to, czasem nawet kilku chętnym jednocześnie, przy czym opłata rosła proporcjonalnie do prawdopodobieństwa uzyskania tego, o co chodziło. Sprzedawali każdą bullę, każdą łaskę, wszelkie dokumenty, wszelkie decyzje. Sprzedawali najświętsze relikwie i jeszcze w czasach antycznych zaczęli rozprowadzać je masowo, na przykład już w IV wieku produkowano w Rzymie relikwie będące replikami całunu. Kościół zamkowy w Wittenberdze posiadał około roku 1510 aż pięć tysięcy pięćset relikwii. A po dziewiętnastu sprawdzonych świętych pozostaje po dziś dzień w kościołach i klasztorach sto dwadzieścia jeden głów, sto trzydzieści sześć torsów oraz zadziwiająca obfitość innych części ciała. „Napletek Chrystusa – pisze Alfonso de Val-des – widziałem osobiście w Rzymie, Burgos i Antwerpii” – ponoć występuje on jeszcze w czternastu innych miejscowościach – „w samej tylko Francji znajduje się pięćset zębów Dzieciątka Jezus. Mleko Matki Boskiej, pióra Ducha Świętego przechowuje się w wielu miejscach”.

Tak oto z górą tysiąc lat ogłupiali oni ludzi. Nic dziwnego, że i w XX wieku ludzie są podatni na wszelkie ideologiczne szalbierstwo! Nic też dziwnego, że hierarchia kościelna, już od czasów apostołów i zacieklej niż hitlerowcy, zakazywała wszelkich pism krytycznych,

palila taką literaturę, przez pół tysiąclecia zabraniała nawet ludziom świeckim lektury księgi nad księgami, zwłaszcza poszczególnych Ewangelii, i to „z całą mocą”, jak pisano jeszcze w XVI wieku, gdy za pontyfikatu Juliusza III w mieście biskupim Wiirzburgu skracano o głowę chłopów, którzy czytali Biblię; hitlerowcy nie musieli tego stosować w wypadku Mein Kampf, bo i ta książka zawierała tylko opis czynów faktycznie przez nich popełnianych.

Papieże inkasowali czynsz dzierżawny i świętopietrze z ziem im podległych, z podporządkowanych im bezpośrednio kościołów, klasztorów, miast, ze wszystkich krajów objętych obowiązkiem daniny. Inkasowali cały majątek wszystkich „kacerzy” skazanych w Państwie Kościelnym i od każdego kościoła na świecie dziesiątą część jego dochodów, a od niejednego nawet znacznie więcej. Inkasowali dochody biskupów zawieszonych w czynnościach oraz mienie duchownych zmarłych bez sporządzenia testamentu.

Inkasowali pieniądze za przyznanie i potwierdzenie prawowitości władzy królewskiej, za obowiązkowe wizyty książąt Kościoła ad limina apostolorum, za uchylenie niepożądanych wizytacji. Inkasowali ogromne łapówki, na wielką skalę handlowali odpustami, coraz częściej ogłaszali lukratywne lata jubileuszowe, kiedy to zdarzało się, że pieniądze zgrabiano z ołtarzy. Stale zwiększali podatki i wymyślali coraz to inne, jeden tylko papież Urban VIII aż dziesięć. Wymyślali dziesięciny od wypraw krzyżowych, które nigdy się nie odbyły, i tymi pieniędzmi finansowali, cokolwiek zechcieli – Jan XXII, jeden z największych w dziejach świata geniuszów w obracaniu pieniędzmi, swoją wojnę z Ludwikiem Bawarskim; Grzegorz IX długoletnią wojnę z Fryderykiem II, na którego państwo ten papież dokonał wręcz inwazji, gdy cesarz odbywał krucjatę. Bonifacy IX anulował w 1402 roku wszystkie wnioski o beneficja, by móc każdego, kto już coś zapłacił, zaszantażować po raz drugi. Papież Sabinian gromadził zboże, i w 605 roku, gdy panował głód, sprzedawał je po lichwiarskiej cenie. Papież Sykstus IV, niegdyś franciszkanin, który współżył fizycznie ze swoją siostrą i z własnymi dziećmi, zakładał w Rzymie domy publiczne, wydzierżawiał je kardynałom i, co więcej, obłożył specjalnym podatkiem ladacznice. A Benedykt IX sprzedał – kiedy już wyzbył się wszystkiego – Grzegorzowi VI godność papieską w zamian za dożywotnią rentę.

Skoro wielu papieży, tak jak większość potentatów, wydawało duże sumy na reprezentację, luksus, metresy, bratanków, synów, córki, skoro dzięki łupieżczym wyprawom wojennym, lichwiarskim zyskom, kłamstwom handlarzy odpustami, wznosili kościoły, które świat podziwia jeszcze dzisiaj; skoro Eugeniusz IV nabył koronę wartości dwóch milionów franków; skoro Leon X („Niechaj nasz pontyfikat będzie radosny!”) trwoniał miesięcznie od dziesięciu do dwunastu tysięcy dukatów na jadło; skoro Mikołaj III rozdawał swym krewnym jedno księstwo po drugim i skoro jeszcze w ciągu siedemdziesięciu pięciu lat XVII wieku „namiestnicy” przeszastali ogromną sumę bez mała siedemnastu milionów złotych skudów – oznacza to, że pieniądze stawały się w ich rozumieniu coraz ważniejszym środkiem sprawowania władzy, najważniejszym instrumentem rządzenia aż po dzień dzisiejszy, kiedy wygląda na to, że nie chcą oni już ewangelizować, lecz kupić cały świat, co miałyby zresztą większe szansę powodzenia (jeśli zważymy, że nawet w Rzymie aż siedemdziesiąt procent ludności umiera bez ostatniego sakramentu).

Grzegorz IX polecił – już w XIV wieku – by Kościoły poszczególnych krajów zasilają bezpośrednio papieską kasę wojenną, a jego następcy zbroili się na coraz większą skalę. Bo nawet gdy utrzymywali trójkę nieślubnych dzieci oraz dwudziestu nepotów, jak Pius IV, to nie zapominali o subwencjonowaniu wojen religijnych przeciw hugenotom i Turkom. I jeśli nawet, mimo olbrzymich dochodów, zastawiali swoje korony, tapety Rafaela, serwisy i

zostawiali po sobie milionowe długi, jak w wypadku Leona X, to już kolejni papieże gromadzili nowe skarby, na przykład – znowu mimo wielkiego marnotrawstwa osobistego – Paweł III z górą siedemset tysięcy dukatów, która to suma zniknęła po jego śmierci tak szybko, że to, co zostało, starczyło tylko na żołąd dla gwardii potrzebnej na następne konklawe.

Dość. Ta gospodarka pieniężna, trwająca sporo ponad tysiąc lat i naśladowana przez biskupów, opatów, świeckich możnowładców, była i jest oczywiście prowadzona kosztem ludu, najwcześniej włoskiego, który przez całe średniowiecze był wyzyskiwany najbardziej i ze wszystkich stron, ale szczególnie przez kler. „Śmierć klechom i mnichom! – krzyczano w Perugii. „Śmierć Kościołowi!” – to w Bolonii. „Precz z papieżem!” – a to w Neapolu. Florentyńczycy szturmowali siedzibę inkwizycji i karmili psy księżym mięsem. Rzym stał się najbardziej buntowniczym i najbardziej eksploatowanym miastem w świecie zachodnim. Głód, despotyczne rządy, rewolty powtarzają się bez końca. W roku 1585, gdy rozpoczął się pontyfikat Sykstusa V, toczyło się ponoć po ulicach Rzymu więcej głów niż trafiło melonów na targ. Rygorystyczne ustawy wyjątkowe i akcje polityczne to odpowiedź papieża na re-wolucję francuską, którą Kant powitał łzami radości. „[...] wolne Włochy!” – woła jeszcze lord Byron. „Czegoś takiego nie było od czasów Augusta”. W 1849 roku stu trzydziestu sześciu spośród stu czterdziestu jeden włoskich delegatów głosuje za pozbawieniem papieża suwerennej władzy nad Państwem Kościelnym.

Nie mogą go już uratować zmobilizowane przeciw rodakom, sprowadzone z połowy Europy wojska. W roku 1870 papieństwo popada w „niewolę watykańską”, z której wyzwala je dopiero faszyści.

Główny ciężar ery arystokratyczno-hierarchicznej spoczywał jednak, również przez dłuższy okres epoki nowożytnej, nie na mieszczanach, lecz na chłopach czy raczej niewolnikach rolnych.

Nieliczne wolne chłopstwo zniknęło bowiem wkrótce całkowicie na skutek rozpowszechnienia się prawa rzymskiego w Europie – zostało wchłonięte przez latyfundia świeckie bądź kościelne. Postęp cywilizacji chrześcijańskiej pociągał za sobą coraz większy ucisk chłopów, najpierw przemienionych w ludzi przypisanych do ziemi, a później w odrabiających pańszczyznę. Mogli być razem z ziemią dziedziczeni, sprzedawani, wymieniani, darowani i dla swoich panów znaczyli często mniej niż bydło. Wielki mistrz zakonu krzyżackiego Siegfried von Feuchtwangen zwykł, około roku 1300, mawiać, że nie smakuje mu ani jeden kęs, jeśli przedtem nie każe powiesić kilku chłopów.

W świecie zachodnim powstania chłopskie rozpleniły się tak, że historycy wolą ich nie dostrzegać aż do wieku XX.

W roku 997 burzą się chłopci Normandii, w 1008 roku – chłopci bretońscy. We Fryzji, Holandii, Francji bunty chłopskie powtarzają się w ciągu całego XI wieku. Jeden niewolnik rolny kosztował wówczas we Francji trzydzieści osiem, a koń – sto sous. Francuska wojna chłopska rozpoczyna się w roku 1358, szlachta doprowadza do egzekucji dwudziestu tysięcy osób, ale zamieszki nie ustają przez następnych pięćset lat. W Anglii król Ryszard II tłumi krwawo wielkie powstanie chłopów, które wybuchło w 1381 roku. W roku 1437 buntują się chłopci siedmiogrodzcy. W 1514 roku szczególnie liczne i okrutne egzekucje kładą kres groźnemu powstaniu chłopów węgierskich. A w Rumunii bunty uciśnionych zdarzają się jeszcze w XIX i XX wieku.

W Niemczech niepokoje zaczynają się na długo przed wojną chłopską i prowodyrzy są

wszędzie paleni, wieszani, ścinani, ćwiartowani. W roku 1460 przeciwstawiają się opatowi chłopci z Kemp-ten. W 1476 roku szesnaście tysięcy chłopów manifestuje nocą przy blasku pochodni pod zamkiem biskupa Wiirzburga, który każe do nich strzelać z ustawionych na wałach dział. W 1490 roku chłopci augsburscy zwracają się przeciw biskupowi Fryderykowi z rodu Hohenzollernów. W roku 1493 zostaje zawiązany alzacki Bundschuh; hasło: „Ruszajcie, cóż to za żywot? Przez klechów i szlachtę nie ma dla nas życia”.

Duchowni i szlachta, tron i ołtarz – za ich sprawą całe narody były przez tysiąc lat otaczane pogardą, uciskane, wyzyskiwane. Każdy mógł budować na tyranii tamtego drugiego. I chociaż często występowali przeciw sobie nawzajem, z socjologicznego punktu widzenia stanowili jedność, w układzie społecznym trzymali się razem, byli klasą zorientowaną na władzę i zysk, żyjącą z potu i krwi innych ludzi, zdemoralizowaną mniejszością, jak pisze ze Strasburga o władcach swoich czasów Biichner, mniejszością, która „przemienia masy obywateli w harujące bydło”.

Niemiecka wojna chłopska wybuchła nieprzypadkowo na południowym zachodzie kraju, gdzie austriacki arcyksiążę Ferdynand i biskup Konstancji wspólnie prześladowali „kacerzy” w sposób szczególnie barbarzyński. I tak jak wielu innym mającym podłoże socjalne powstaniom chrześcijan przyświecały rewolucyjne idee wczesnego chrześcijaństwa – na przykład powstaniu chłopów angielskich, którym przewodzili księża pozostający pod wpływem nauk Wiklefa; niektórym rewoltom proletariatu włoskiego albo husyckiej infiltracji na Węgrzech, w Polsce, Niemczech, Belgii oraz Francji – tak przyświecały one też niemieckiej wojnie chłopskiej, we Frankonii i w Tyrolu skierowanej przede wszystkim przeciw wyższemu duchowieństwu. Chłopi walczyli jako „bractwo ewangeliczne”, jako „wojsko chrześcijańskie i ewangeliczne”, na ich sztandarach były wizerunki Ukrzyżowanego i imię Jezusa. Ich manifest, napisany przez spalonego w 1528 roku w Wiedniu byłego kaznodzieję katedralnego z Ratzbony Balthasara Hub-maiera, profesora i prorektora jednego z uniwersytetów, uzasadniał wszystkie skargi natury ekonomicznej powołując się na Biblię i w artykule dwunastym deklarował niewysuwanie żądań niezgodnych ze słowem bożym.

Zdarzali się władcy, którzy byli nastawieni pokojowo, skłonni do rokowań, którzy długo się wzdragali naruszyć to, co uzgodnili z chłopami, jak na przykład władca Palatynatu, książę-elektor Ludwik, którzy nawet uważali bunt za sprawiedliwą karę bożą i chcieli go „uśmierzyć po dobroci”, tak jak książę-elektor Fryderyk Mądry i jego brat, książę Jan. Ale biskupi oraz znów Marcin Luter – bo, jak mówi Paracelsus, „czyż jest ktoś mniej miłosierny dla biednych niż duchowieństwo?” – nie ustawiali w perswadowaniu, zachęcali, powtórzmy za reformatorem, „do rychłego chwycenia za miecz”, do atakowania z „czystym sumieniem” (które kler pozostawia mordercom zabijającym podczas wszelkich wojen), do zasłużenia sobie „na niebo przelaną krwią” (to też jeden z ulubionych chrześcijańskich wątków), zachęcali, żeby „dławić, dźgać, po kryjomu i otwarcie, co komu będzie zręczniejsze, tak jak trzeba zabić wściekłego psa”. „Dźgaj, bij, duś, kto może” – szczuje Luter kiedy indziej, prawie że bardziej papieski w tym niż papież – „a jeśli wówczas zginiesz, to dobrze; lepszej śmierci nie dostąpiłbyś nigdy, bo tak umarłbyś posłuszny słowu bożemu”.

Tak oto chrześcijańska szlachta rozprawiała się z chłopami, tysiące ich zabijając ciosami skierowanymi w dół z wysokości końskiego grzbietu, wciąż oszukiwała ich, pozwalała, by się dobrowolnie rozbierali, po czym dokonywała na nich rzezi, tylko pod Zabern zginęło osiemnaście tysięcy chłopów. Chłopi byli oślepiani, wieszano ich, ścinano, wbijano na pal, byli ćwiartowani, rozrywani przez konie, paleni żywcem. Gdy się zdarzyło, że mogli sobie

posmarować buty hrabiowskim tłuszczem, gdy masowo grabili, przetrzebiali zamki i klasztory – „Dość długo wnosiliśmy, teraz możemy chociaż raz wynieść”. – to jednak łała się prawie wyłącznie ich krew. Nawet Luter uznał w końcu uciskanie chłopów za „okropne” i „godne pożałowania”. „Ale co robić? Tak trzeba i Bóg też tego pragnie”.

„Bóg tego chce!” – tak krzyczeli już papieże przy okazji krukat. I nadal się tak krzyczy. Jeszcze nawet hitlerowski atak na Rosję był przedstawiany przez cały episkopat niemiecki jako „święta wola Boga”. A protestancki biskup Lilje wołał jednocześnie: „Z Bogiem! Tę ofiarę można ponieść tylko w imię boże”. Im więcej mordują, tym głośniej powołują się na Boga.

„Niechaj was to tak nie smuci”, pociesza reformator szlachtę i zachęca: „Osioł chce być bity, a gmin rządzony przemocą” – chrześcijańska recepta na rządzenie, stosowana od dwóch tysięcy lat.

I wojna jest Lutrowi tak samo potrzebna, jak Tomaszowi czy Augustynowi, który szydzi z cyniczną bez troską człowieka raczej nie zagrożonego: „Cóż powiedzieć przeciw wojnie? Chyba tylko to, że giną na niej ludzie, którzy przecież muszą kiedyś umrzeć”. Od tych diabłów przejmuje Luter teorię „wojny sprawiedliwej”, dziś możliwą już tylko jako numer kabaretowy (albo teologia moralna) i poucza: „Na takiej wojnie chrześcijańską jest rzeczą i dziełem miłości, jeśli się wrogów bez skrupułów dusi, ograbia, podpala, i jeśli czyni się wszelkie szkody służące pokonaniu ich. A gdyby się miało wydawać, że duszenie i grabież to nie dzieło miłości, i gdyby jakiś prostak [!] pomyślał, że to nie po chrześcijańsku i chrześcijaninowi tak czynić się nie godzi: zapewniam, że to też jest dziełem miłości”. Dlatego właśnie Luter zaleca i nakazuje chrześcijanom wyruszającym do boju, by nie zwlekali długo, by odmówili Wierzę w Boga i Ojczyznę i „tego niech wystarczy [...], a potem dobądź broni i bij w imię boże”.

Podobnie jak Kościół papieski, Luter pozostawił biednych samym sobie, zdradził sprawę chłopów pańszczyźnianych, uczynił z reformacji ruch znowu korzystny tylko dla władców, nowe narzędzie despotyzmu, stąd też już Thomas Miinzer protestuje gorąco przeciw tej „cichej wodzie”, temu „żyjącemu w dostatku cielsku”, tej wittenberskiej „tucznej świni”, i ma całkowitą rację, kiedy pisze: „Prawdziwe złodziejstwo uprawiają nasi książęta i magnaci, którzy przywłaszczają sobie wszelkie stworzenie, ryby w wodzie, ptaki w powietrzu, rośliny na ziemi, wszystko to musi należeć do nich. A biednym mówią: «Bóg przykazał, żebyś nie kradł». Oni sami pastwią się nad wszelkimi istotami żyjącymi i zabierają je dla siebie; ale jeśli biedak ukradnie byle rzecz, to zostaje skazany. Temu fałszywy doktor przyklaskuje i mówi «amen»”.

Po stronie papieskiej nie dopatrywał się Luter tak naprawdę „niczego, co by służyło chrześcijaństwu”, widział „tylko sprawy pieniężne i spory”. „Na to byłoby stać byle rozbójnika”. A potem zaczęła się reformacja z grabieniem na wielką skalę dóbr Kościoła katolickiego przez luteranckich książąt, „niemieckie królewiatka”, jak drwiąco nazywa ich Theodor Lessing, przez książąt, którzy byli gotowi „przyłączyć się do tego nowego ruchu aż do granic własnej korzyści”. I przytoczmy jeszcze wyznania zawarte w broszurze zapowiadającej zjazd ewangelików niemieckich w Stuttgarcie w roku 1952: „Nie jest zadaniem ewangelii w jakikolwiek sposób zmieniać istniejącą sytuację”.

Kłęska wojny chłopskiej, nad którą potem wciąż ubolewano – a czynił to jeszcze Alexander von Humboldt na zamku poczdamskim, tuż obok apartamentów króla, z którym codziennie rozmawiał – należy do tych przekleństw niemieckiej historii, które okazały się szczególnie brzemienne w skutki. Południowo-niemieccy chłopci pozostali w pańszczyźnie, a

północnoniemieccy, według prawa uznani za wolnych, na powrót popadli w nią i odtąd wszyscy są nękami jeszcze brutalniej – aż do początku XIX wieku.

Wojewoda sandomierski chce w 1586 roku, by terroryzowani przez szlachtę chłopci inflanccy zostali zrównani „przynajmniej z polskimi chłopami pańszczyźnianymi”. A zgromadzenie stanów frankowskich zastanawia się w roku 1583, gdy znowu trzeba zapłacić „podatek turecki”, czy „nie byłoby łatwiej żyć pod rządami Turków”. I faktycznie Turcy zaoferowali węgierskim chłopom wolność, w zamian za co ci ostatni chętnie wyrzekli się chrześcijaństwa.

Na Śląsku, w Saksonii, w Prusach dochodzi około roku 1790 do rozruchów chłopskich. Hrabia Mirabeau opowiada o niewolnej egzystencji północnoniemieckich robotników rolnych: dziewięć-nastogodzinny dzień pracy w lecie i w zimie. Baron vom Stein, który dobrze zna „tych łajdaków, niemieckich władców”, obserwuje w 1802 roku w Meklemburgu pewnego szlachcica, który traktuje swoich chłopów jak bydło. W roku 1812 Friedrich List patrzy nad Renem, Neckarem i Menem na chłopów pracujących zamiast koni i wołów, „ale bez pożywej strawy tych zwierząt pociągowych”. Najbiedniejsi mieszkańcy Holsztynu koczują razem z chorymi i niemowlętami pod gołym niebem albo żyją w oborach. Gdyby jednak nie opłacili podatków, to groziła im licytacja i pozbawienie dobytku. Jeszcze w Zgromadzeniu Narodowym 1848 roku wśród sześciuset deputowanych znalazł się tylko jeden chłop.

W Anglii, gdzie aż do XVIII wieku miewa się niewolników, gdzie aż po XI wiek rządzi kilkaset rodów feudalnych, gdzie do 1832 roku spośród piętnastu milionów mieszkańców prawo wyborcze posiada czterysta tysięcy i gdzie jeszcze za czasów Scho-penhauera „dwie trzecie narodu nie umieją czytać”, kler i wielcy posiadacze ziemscy odnoszą się do chłopów gorzej niż do wszelkiej trzody. Jeszcze w końcu XIX wieku chłop jada o połowę mniej, a pracuje dwa razy więcej niż więźniowie w angielskich zakładach karnych. „W rachunkach arendarza równa się on zeru” – odnotowuje w roku 1865 pewien oficjalny raport. „Nie obawia się o przyszłość, bo niczym nie dysponuje prócz tego, co jest bezwzględnie konieczne do życia. Cokolwiek by się działo, dla niego nie ma ani szczęścia, ani nieszczęścia”. Prasa liberalna szydzi bezlitośnie ze szlachty i państwowego Kościoła anglikańskiego (High Church) w związku z wysyłaniem do dalekich krajów „misji dla poprawy obyczajności dzikich ludzi znad Południowego Pacyfiku”. „Odważę się teraz zapewnić – kończy swój artykuł pewien korespondent «Morning Chronicle» – że położenie tych ludzi, ich bieda, ich nienawiść do Kościoła, ich zewnętrzna uległość i wewnętrzne rozżalenie na dostojników kościelnych, stanowią regułę we wszystkich wiejskich gminach w Anglii, a odmienne okoliczności są wyjątkowe”. Pomagały tylko niektóre sekty chrześcijańskie. Ale Kościół oficjalny – jak pisał Marks – wybaczyłby „raczej podważenie trzydziestu ośmiu spośród trzydziestu dziewięciu artykułów wiary niż zamach na jedną trzydziestą dziewiątą jego dochodów”.

Europa obchodziła się nie lepiej z robotnikami przemysłowymi, o czym świadczy przede wszystkim sytuacja w kraju pochodzenia wielkiego przemysłu.

Jeszcze w połowie XIX wieku niejedyn „wolny Anglik” stanowi tańsze zwierzę robocze niż starożytny niewolnik. Ci ludzie, półnaczy, mieszkają w nieprawdopodobnych wręcz norach na zgniłej słomie i żywią się zepsutym jedzeniem. Wszędzie brud, nieczystości, wilgoć, umierające dzieci, chorzy i kalecy, suchoty, tyfus, ślepoty. Podczas gdy zyski fabrykantów urastają do gigantycznych sum, nędza robotników jest coraz straszliwsza, a w 1834 roku ustawa o biedocie z roku 1601 zostaje zastąpiona inną, w której nie przewiduje się już pomocy społecznej.

Już William Blake, który uznaje za winnych Kościół i państwo, słyszy dobiegający od kominów i z ulic krzyk nękanych istot. W 1866 roku mieszka tam dwieście tysięcy ludzi, „których nędzne położenie – jak czytamy w obszernym raporcie Juliana Huntera o zdrowotności – przekracza wszystko co kiedykolwiek widziano w Anglii”. Torysowska gazeta „Standard” upomina w 1867 roku: „Przypomnijmy sobie, jak cierpi ta ludność. Umiera ona z głodu. I to jest fakt: oczywisty, straszny. Tych ludzi jest czterdzieści tysięcy [...]. Na naszych oczach w jednej dzielnicy tej cudownej metropolii tuż obok miejsc największej w dziejach świata akumulacji bogactwa, tuż obok umiera bezradnie czterdzieści tysięcy ludzi”. Na nic zdaje się poszukiwanie pracy i żebrania, bo „miejscowe ośrodki zobowiązane do wspierania biednych same się spaupery-zowały na skutek żądań parafii”.

W 1840 roku średni czas życia robotnika w Liverpoolu wynosi piętnaście lat. W Manchesterze pięćdziesiąt siedem procent dzieci robotniczych umiera przed piątym rokiem życia. Dziewięcio-, dziesięcioletki nierzadko harują bez przerwy po dwadzieścia cztery, po trzydzieści sześć godzin. Pędzi się ich nocą do fabryk i pejcami zmusza się ich do zachowania przytomności umysłu. Jeszcze w 1860 roku zdarzają się listy otwarte domagające się ograniczenia czasu pracy do osiemnastu godzin. Dzieci w wieku trzech, czterech lat, zatrudnione przy wyrobie koronek, stoją na krzesłach. W zakładach wikliniarskich miewają często mniej miejsca niż pies w swojej budzie. Marks nazywa to „przemianą dziecięcej krwi w kapitał”. W kopalniach cztero- i pięcioletnie dzieci razem z mężczyznami i kobietami, półnagie albo całkiem nagie, na łańcuchach, czołgają się przez o wiele za wąskie chodniki. Kto się skarży, ten zostaje zwolniony i jako „napiętnowany” nie dostaje pracy nigdzie indziej. Zmarłych wyrzuca się do rowów przydrożnych i grzebie w jamach, w bagnie. „Wykształcenie” tych ludzi jest prawie żadne; dostępują jedynie nauki religii. W Irlandii umiera w 1848 roku z głodu ponad milion ludzi. Dwa miliony emigrują. Na Śląsku, gdzie katolicy i protestanci są podjudzani przeciw sobie nawzajem, tkacze popadają w coraz gorszą nędzę, mimo bardzo ciężkiej pracy. Byliby szczęśliwi – zapewnia w 1844 roku Wilhelm Wolff – gdyby mogli uszczknąć coś dla siebie z obfitej porcji ziemniaków, którą dostają tuczniaki ich chlebobawców. I mieszkają w lokalach, w porównaniu z którymi „obora w majątku ordynata musi uchodzić za wytworny apartament”. Chrześcijański rząd nakazuje stłumienie buntu.

W Kolonii jedna trzecia ludności trudni się około roku 1800 żebraniem. W Bawarii doliczono się pod koniec lat trzydziestych stu czterdziestu pięciu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu trzech żebraków, między innymi dwudziestu czterech tysięcy dziewięciuset sześćdziesięciorga dzieci. Prusy zakazują wszystkim wykładowcom uniwersyteckim (zresztą tradycyjnie prawomyślnym) prowadzenia dyskusji politycznych.

W latach czterdziestych emigruje z Niemiec rocznie sto tysięcy, a po roku 1849 dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

We Francji w roku 1801 Napoleon I zawiera konkordat. Bo przecież nie zna nikogo, kto by rozumiał innych „tak dobrze, jak rozumieją się księża i żołnierze”. Jest też świadomy tego, że kiedy ma się dobre stosunki z papieżem, to „jeszcze dziś posiada się władzę nad sumieniami stu milionów ludzi”; zacytował to potem Mussolini, gdy zawierał układy laterańskie. W roku 1808 Napoleon czyni podstawą całego kształcenia, po pierwsze, nakazy religii katolickiej, po drugie zaś, wiernopoddańczy stosunek do cesarza – to zawsze były główne przyczyny nieszczęść narodów europejskich. Około roku 1830 dwie trzecie Francuzów nie jadają mięsa. W fabrykach marnieją mężczyźni, kobiety, dzieci, harując za psie pieniądze od piątej rano do ósmej, dziewiątej wieczór. Średni wiek robotników francuskich wynosi dwadzieścia jeden lat.

W roku 1848 tysiące z nich giną w Paryżu. W Berlinie dochodzi do zamieszek na ulicach. W Badenii, w Poznańskim i w Pradze zostają stłumione powstania. W Rzymie panuje sytuacja zmuszająca papieża do ucieczki, a jego minister hrabia Rossi pada ofiarą morderstwa. Po zażartych walkach reakcyjniści odzyskują dla siebie Wiedeń. Giną mężczyźni, kobiety, dzieci. Friedrich Hebbel, świadek naoczny, nie omieszkał opowiedzieć swoich wrażeń księciu Schwarzenbergowi: „[...] w ustach zwłok mężczyzn tkwiły niczym cygara członki tych ludzi; to już jest coś, nie wątpię, że ten fakt zachowa się w historii”.

Uciśnieni wszędzie się buntują i wszędzie strzela się do nich, są wtrącam do więzień, zmuszani do emigracji. W całej Europie oparcie dla religii stanowi policja i aż po XX wiek pozostaje ograniczona do możliwego minimum liczba uprawnionych do udziału w wyborach.

Wiktor Hugo, niegdyś ultraroyalista i chrześcijanin, woła 8 kwietnia 1850 roku w Zgromadzeniu Narodowym, gdzie przewagę mają katolicy: „Powstańcie wreszcie, katolicy, księża, biskupi, duchowni, wy, którzy siedzicie w tym Zgromadzeniu Narodowym i których widzę wśród nas! Powstańcie! Taka jest wasza rola! Cóż robicie na tych ławach?” Jedyna reakcja: śmiech. W 1851 roku zostają na rozkaz Napoleona III krwawo stłumione kolejne próby powstańcze. „Ma się za sobą Kościół, armię i banki!” – oto komentarz Wiktora Hugo, wymieniający wszystko, co i dziś jeszcze rządzi światem. W 1871 roku zostaje krwawo zlikwidowane następne powstanie – Komuny Paryskiej. W odwecie za rozstrzelanie sześćdziesięciu czterech zakładników rząd morduje sześć tysięcy komunardów.

Już w połowie XIX wieku reakcyjniści wszystkich zainteresowanych państw pragną likwidacji europejskiego proletariatu w wielkiej wojnie. Zabiegają o to gorączkowo na początku XX wieku. Niebawem pojawia się Chrystus niemiecki, rosyjski, francuski – jeszcze przed 1914 rokiem niemiecki nieprzyjaciel ma po swojej stronie dwadzieścia siedem tysięcy dział Kruppa, natomiast wszystkie patenty I. G. Farben na gazy trujące zostają sprzedane francuskiemu koncernowi chemicznemu. Co więcej, gdy niemieccy żołnierze umierają z hymnem na ustach, firma Thyssena, który później finansował Hitlera, dostarcza tarcze ochronne dla piechoty prawie o połowę taniej do Francji niż na potrzeby armii niemieckiej. W ciągu jednego tylko półrocza 1916 roku niemiecki trust stalowy przekazuje trzydzieści siedem milionów cetnarów stali i żelaza do Francji. A Krupp otrzymuje zaraz po zakończeniu wojny sto dwadzieścia trzy miliony marek w złocie za sprzedany przed wojną do Anglii – za wiedzą niemieckiego Ministerstwa Wojny i z udziałami w zysku od każdego granatu! – patent KPz 96/04 na zapalniki do granatów, dzięki czemu firma kwitnie po dziś dzień.

A kler spieszy z miejsca na miejsce na tyłach wszystkich frontów, po tysiackroć pochwała masowe wybijanie się jako „przejaw religijnego uduchowienia”, „odrodzenie religijne, moralne i społeczne”, „krucjatę”, „świętą wojnę”, „służbę Bogu”, „nakaz naszego Boga”, „wolę bożą” itd. Od „Tego chce Bóg!” z czasów wojen krzyżowych oraz „Tego pragnie też Bóg!” z okresu wojny chłopskiej, poprzez „wolę bożą” podczas pierwszej wojny światowej aż do „świętej woli Boga” w czasie drugiej wojny światowej. Kto nie brzydzi się tym chrześcijaństwem, ten sam jest takim chrześcijaninem. I podczas gdy nad ogłupionymi, sprzedanymi głowami wiernych zderzają się ze sobą bezwstydnymi frazesy biskupie, jezuickie i protestanckie, zawarte w mnóstwie kazań i obficie przenoszone na papier, za zabicie jednego tylko żołnierza inkasuje się ogromną sumę stu tysięcy marek, z czego przemysł zbrojeniowy dostaje każdorazowo sześćdziesiąt tysięcy – czysty zysk. Dwanaście milionów poległych.

A więc wybuchła ta wojna. Wreszcie. „Wojnę przygotowywano solidnie i poważnie od lat. Przez całe lata armia pozostawała w nieustającej gotowości do walki. Ale jednym z

najważniejszych kroków przygotowawczych był Kongres Eucharystyczny w Wiedniu". To stwierdza w 1916 roku ktoś na pewno dobrze poinformowany, austriacki biskup sufragan Waitz, który później, w 1938 roku, już jako książe arcybiskup, razem z kardynałem Innitzerem z Wiednia chwali wkroczenie Wehrmachtu do Austrii, widząc w tym spełnienie „tysiącletniej tęsknoty naszego narodu”. W tym samym roku odbywa się Kongres Eucharystyczny w Budapeszcie, podobnie jak tamten w 1912 roku w Wiedniu, zapowiadający coś. Adherent faszystów Eugenio Pa-celli wskazuje przy tej okazji jak legat papieski na „niebezpieczeństwo bolszewizmu”. W rok później wybucha druga wojna światowa, dwadzieścia pięć tysięcy poległych każdego dnia, dzienne obroty: dwa miliardy marek. W 1960 roku, w jednym z okresów nasilenia zimnej wojny, obraduje Kongres Eucharystyczny w Monachium. Cieszący się zaufaniem Pacellego kardynał Spell-man, jeden z najaktywniejszych reakcjonistów świata, prorokuje nadejście czasów, w których obecni władcy komunistyczni zostaną zmieceni, leci helikopterem nad żelazną kurtyną i odprawia dla wojska mszę pontyfikalną „wśród huków dział”, nie zapominając o nazwaniu żołnierzy swoimi „drogimi przyjaciółmi”. (Księża i żołnierze... – wiedział to Napoleon, wiedział to już nawet Kon-stantyn). A katolicki federalny minister obrony Strauß, który pragnie, by „okólniki papieskie stały się podstawą niemieckiego ustawodawstwa”, wyznaje otwarcie: „Jesteśmy po to żołnierzami [...] by władza przeszła z rąk ateistów z powrotem w ręce chrześcijan”.

Już średniowieczni krzyżowcy śpiewali o chęci ruszenia na Wschód (Nach Ostland woll'n wir reiten...). I papieństwo miało w każdym kolejnym stuleciu nadzieję – powtórzmy to za katolikiem de Maistre'em – na przejęcie w spadku rozkładającego się trupa Kościoła wschodniego. Ten tak upragniony cel wydaje się znowu bliski podczas pierwszej wojny światowej, gdy państwa centralne, popierane przez Watykan, chcą zdobyć tereny dla osadnictwa na Wschodzie, na ziemiach polskich, na Ukrainie i nad Bałtykiem. W czasie drugiej wojny światowej wywołuje entuzjazm kampania rosyjska antyklerykalnych hitlerowców. I te miliony Niemców, którym się wydaje, że giną za ojczyznę, zdychają tylko za największych zbrodniarzy w dziejach ludzkości.

Krótko mówiąc: po tym systematycznym chrześcijańskim wychowaniu dla fizycznego i duchownego barbarzyństwa, kontynuowanym przez półtora tysiąclecia, nie mogło wcale nastąpić nic innego niż to, co nastąpiło. Papież Leon XIII nie zawahał się co prawda stwierdzić w swojej encyklice *Immortale Dei* z roku 1885: „Wszystko, co sprzyja osobistej godności człowieka, co podtrzymuje równouprawnienie obywateli, wszystko to powołał do życia, otaczał troską i zawsze chronił Kościół katolicki”.

Prawdziwe jest jednak twierdzenie przeciwne. Prawda jest taka, że wszystkie udogodnienia socjalne czasów nowożytnych zostały stworzone nie przez Kościół, lecz przeciw niemu. Że ludzkość zawdzięcza prawie wszystkie bardziej humanistyczne formy i reguły współżycia świadomym swojej odpowiedzialności czynnikom pozakościelnym. Że Kościół, jak pisze nie wróg chrześcijaństwa, lecz wybitny teolog protestancki Martin Dibelius, zawsze stanowił „straż przyboczną despotyzmu i kapitalizmu”. „Dlatego też wszyscy, którzy pragnęli poprawy warunków życia na tym świecie, musieli – jak wyznaje ten chrześcijański uczonek – walczyć przeciw chrześcijaństwu”. I tak dzieje się jeszcze dzisiaj. „Wypasaj moje owieczki!” Proszę mi natychmiast znaleźć w katolickich klasztorach w Halberstadt duchownego nadającego się na kapelana polowego pułków, które mają wyruszyć do walki. Ów księżulo nie musi być inteligentny, przeciwnie: im głupszy tym lepszy [...].

Zaświadczenie całym życiem dziedzicznych praw cesarza (potężnej postaci władcy obdarzonego najczystszy monarszym sumieniem, uosobienia niemieckiej siły, majestatycznego ucieleśnienia cnoty żołnierskiej) jest równoznaczne z naśladowaniem Jezusa. **MICHAEL FAULHABER**, biskup, kapelan połowy Armii Bawarskiej, o Wilhelmie II podczas pierwszej wojny światowej W nocy, o godzinie jedenastej, śmiertelnie ranieni granatem ekrazytowym, objęli się, mówiąc: „Umieramy razem, czyż nie tak, umieramy razem. Za naszego ojca, cesarza w Wiedniu, umieramy chętnie”. **MICHAEL FAULHABER** o dwóch żołnierzach pierwszej wojny światowej Coś podobnego już przeżywaliśmy w czasie tamtej wojny światowej i dlatego wiemy z przykrego, gorzkiego doświadczenia, jak bardzo to potrzebne i ważne, by w takiej sytuacji każdy z całym oddaniem, chętnie i wiernie spełniał swój obowiązek. Kardynał **MICHAEL FAULHABER** podczas drugiej wojny światowej [...] bo Chrystus wymaga od nas więcej, niż wymagał Hitler. Współczesny katolicki duszpasterz wojskowy

Ciągnąca się aż po wiek XX kronika potworności Kościoła katolickiego jest tym ohydniejsza, że działały się one – co niech zabrzmii jak krwawe szyderstwo! – w imię pokoju, miłości, dobrej nowiny. Żadna religia nie zrewolucjonizowała dziejów świata tak jak ta i żadna nie stała się tak reakcyjna, żadna nie odbiegała w swej praktyce tak daleko od głoszonych nakazów i żadna nie wypierała się tak bardzo, bądź też nie bagatelizowała tak bardzo, przepaści między praktyką a doktryną. Czy był jakikolwiek inny Kościół, który musiał przez całe stulecia zakazywać lektury świętej księgi, bo rzeczywistość przeczyła jej w tak przerażającym stopniu?! Czytać ją pozwalano tylko „ludziom pobożnym i uczonym”, a po lekturze in vulgarn translatos, in vulgari lingua spodziewano się „większej szkody” niż pożytku.

Nie znane nam jest właściwie credo Jezusa historycznego, co więcej, nie mamy nawet pewności, czy istniał. Ale wiemy, że ten synoptyczny nauczyciel jest wolny od instynktów i namiętności nacjonalistycznych, od patriotyzmu i żądzy władzy, że nie chce być Mesjaszem politycznym, wojującym apokaliptykiem, lecz an-tybojownikiem, władcą pokojowym, pacyfistą. Wiemy, że odrzuca prawo pięści, terror, despotyzm, że żąda, by nie tylko bezwarunkowo przyjmowano zło, ale i odpłacano za nie dobrem, że jego przykazanie miłości wroga jest nieograniczone – choćby się te jednoznaczne słowa przeinaczało, zawężało, przemieniało w ich przeciwieństwo. Wiemy, iż całe wczesne chrześcijaństwo bezkompromisowo sprzeciwiało się wojnie – być może tylko dlatego, że propagowanie pacyfistycznych postulatów biblijnych odpowiadało jego politycznej nicości. Mając wokół siebie innowierców, można było łatwo głosić idee pojednania i miłości wroga.

Czyniono to z zapalem jeszcze w IV wieku. Od Justyna poprzez Iacjana, Atenagorasa, Tertuliana, Orygenes, Cypriana, po Arnobiusza i Laktancjusza teologowie chrześcijańscy nie ustają w sławieniu pokoju, tolerancji religijnej, rezygnacji z przemocy, przebaczenia, życia bez wrogości i wojny. Z pompatyczną monotonią zapewniają o swej łagodności, dobroci, niewinności i tolerancji, twierdzą, że co prawda jeszcze są na ziemi, ale już też wędrują po niebie, deklarują, że kochają wszystkich, do nikogo nie żywią nienawiści, uczą, iż nie należy nikogo krzywdzić, odpłacać złem za zło, iż trzeba raczej ścierpieć niesprawiedliwość, niż ją wyrzucić, raczej przelać własną krew, niż skalać ręce i sumienie cudzą krwią. Zapewniają, że nie odpowiedzieliby ciosem na cios, gdyby ich bito, nie procesowaliby się,

gdyby ich okradzione, przeciwnie, nastawiliby drugi policzek i do tego, co zdarto by im z ciała, dorzuciliby jeszcze płaszcz, pobłogosławiliby swych wrogów i modliliby się za chcących ich zabić. Chwalą się tym, że zastąpili miecze pługami, a lance – innym sprzętem do uprawy ziemi. Przyrzekają, że już nie będą się zbroić, walczyć, bronić się, bo są dziećmi pokoju, bo Jezus odebrał broń wszystkim uczniom, gdy rozbierał Piotra. Krótko mówiąc, nie akceptują nie tylko służby wojskowej i obrony koniecznej, ale i żadnego zabijania ludzi, bez względu na motywy i prawo, by tak postępować.

Ale że kler wciąż oszukuje, że nawet patron kaznodziejów święty Jan Chryzostom afirmuje potrzebę kłamstwa dla zbawienia duszy, powołując się na przykłady ze Starego i Nowego Testamentu (!), to i dziś katolicy z lekkim sercem kłamią, jakoby Kościół „zawsze i wszędzie” głosił doktrynę wojny sprawiedliwej (Ermecke), jakoby „zawsze odrzucał bezwzględny pacyfizm i prócz osobistej obrony koniecznej oraz państwowej obrony koniecznej – kary śmierci – uznawał też ponadpaństwową, tj. wojnę sprawiedliwą” (Fleischmann). Przedkonstantyński pacyfizm chrześcijaństwa był jednak tak absolutny, że jeszcze na początku IV wieku synod w Elwirze pozbawił dożywotnio (nie wyłączając chwili śmierci) komunii każdego wiernego, który by tylko przez donos przyczynił się do egzekucji albo banicji innego człowieka. (Ten hiszpański synod nie rozróżnia zresztą denuncjacji zgodnej z prawdą i oszczerczej. Chrześcijanin, który – słusznie czy niesłusznie – powoduje śmierć człowieka, zostaje wykluczony ze wspólnoty).

Zgodnie z tym, Ojciec Kościoła Laktancjusz nie dopuszcza też do ujawnienia cudzej zbrodni, za którą grozi kara śmierci. Bo „skoro Bóg nie każe zabijać, to zakazane jest nie tylko zbrojne mordowanie innych ludzi; tego ostatniego zabrania już prawo państwowe; zabronione jest także wszelkie inne zabójstwo, nawet takie, które byłoby dozwolone według prawa świeckiego”.

Owa zasada wyklucza oczywiście wszelką wojnę, nawet tę „sprawiedliwą”. Konsekwentnie zwalcza Laktancjusz coś, co zawsze prowadziło i prowadzi do rzezi, a co Kościół od tamtych czasów zawsze popierał – patriotyzm i nacjonalizm. Bo „cóż innego oznaczają korzyści ojczyzny, jeśli nie szkodę innego państwa czy narodu? – czyż nie poszerza się własnego terytorium, przemocą zabierając tę ziemię innym, czyż nie zwiększa się własnego dostatku, swoich dochodów, kosztem innych? Nie są to bynajmniej cnoty, lecz unicestwienie cnót. Ustaje bowiem więź społeczna, zanika uczciwość, szacunek dla cudzego majątku, wreszcie sama sprawiedliwość [...]. Jakże miałby być sprawiedliwy ktoś, kto szkodzi, nienawidzi, grabi, zabija? A to właśnie czynią ci, którzy chcą przysporzyć korzyści swojej ojczyźnie”.

Wyczytujemy to z jego głównego dzieła *Divinae Institutiones*, powstałego tuż przed rokiem 313. Ale, o dziwo, skrócone wznowienie tego traktatu, wydane nieco później, nie zawiera już fragmentów antimilitarystycznych i gloryfikuje śmierć za ojczyznę! W roku 313 chrześcijanie zostali bowiem uznani przez Konstantyna i natychmiast się odmienili. Laktancjusz, wychowawca cesarskiego syna, a być może i samego cesarza, błyskawicznie wyparł się nie tylko własnych przekonań, ale ponadto całej trzechsetletniej tradycji. Ze wszystkimi biskupami i świętymi przeszedł najkrótszą drogę do obozu oprawców ludzkości. Bo teraz poczuli oni sprzyjającą atmosferę, dostrzegli szansę na zdobycie władzy, i dlatego zaczęli krakać jak wszystkie wrony. I tak jak przedtem po anielsku sławili tolerancję i miłość, niestosowanie przemocy, pokój, tak teraz nagle poczęli głosić i jedno, i drugie: pokój oraz przemoc, miłość wroga oraz nienawiść do wroga, dobrą nowinę i tę najgorszą: o wojnie, o

wojnie! Pierwszym hasłem fascynowali ogłupionych ludzi, drugim zalecali się do rządzących, po czym i to pierwsze, i to drugie sprawiły razem, że oni sami stali się tymi najpotężniejszymi, tymi, co przetrwali wszystko, katami niejednej generacji.

Ludzie znajdują chyba szczególną przyjemność w tym, że pozwalają się wciąż ogłupiać, sprzedawać, unicestwiać: za ojczyznę, przestrzeń życiową, wolność, za Wschód i Zachód, za tego czy innego pana, ale najczęściej za tych, którzy ciągle i z taką pewnością siebie myślą Boga z własną korzyścią, a własną korzyść z Bogiem, którzy z taką świadomością celu służą danej chwili, choć nigdy nie tracą z oczu wieczności, którzy w czasie pokoju propagują pokój, a w czasie wojny – wojnę, w obu wypadkach z równym przekonaniem i równą perfekcją: tu Dzieciątko Jezus, tam armaty; tu Biblia, tam proch; tu „Kochajcie się”, tam „Zabijajcie ich, tego chce Bóg”. „Oni przysięgli, oni muszą być posłuszni!” Muszą ginąć marnie, skoro tylko rozkaże to jakiś arcyzbrodniarz obdarzony władzą, muszą ginąć tysiące, setki tysięcy, miliony. Tak, to chyba szczególna przyjemność przez tyle stuleci nurzać się w ludzkiej krwi i wołać „Alleluja”! To chyba szczególna przyjemność od bez mała dwóch tysiącleci kłamać, fałszować, oszukiwać. To chyba szczególna przyjemność, gdy przeżywając czasem upadki, ale i wodząc za nos i rujnując narody, czyni się z hipokryzji sztukę nad sztuki i sankcjonuje się ją wciąż na nowo – by wiodło się nam dobrze i byśmy długo żyli na tej ziemi.

Czy znajdziemy gdzie indziej takie zdumiewające przemieszanie wilczego wycia i pokojowej nuty, nowiny o narodzinach bożych i stosu, legend o świętych i historii katów?! Gdzie znajdziemy tyle frazesów o wszechogarniającej miłości i taką, pochłaniającą właściwie wszystko, nienawiść? Gdzie znajdziemy religię, która z miłości zabija, torturuje, kradnie, szantażuje, pozbawia czci, oczernia, wyklina? Tak wspaniale uszczęśliwiała chrześcijaństwo świat, taka była jego praktyka – zaraza, która szalała przez dwa tysiąclecia. Ujmijmy to krótko: chrześcijaństwo stało się antychrystem. Ono samo stało się owym ukazującym przez siebie diabłem! Ono samo było tym złem, które rzekomo zwalczało! Tym piekłem, którym straszyło, było właśnie ono! Wśród wszystkich złych rzeczy stało się ono tą najgorszą: nie dlatego, że inne były lepsze, ale dlatego, że wszystkie inne nie potrafiły być złe tak długo i tak intensywnie, dlatego, że nic innego nie zdobyło takiej władzy nad ludźmi podatnymi na oszalamiającą ułudę, na którą składały się łacina, kłamstwa, duszpasterski patos, świątobliwe gesty, opowieści o koszmarach i urokach zaświatów; podatnymi na podjudzanie do zbrodni, byleby dochodziło do nich w imieniu Boga (i kapłanów), które to imię pozwalało na wszystko, wszystko czyniło możliwym i wszystko ułatwiało, a tymczasem sami kapłani umywali ręce, dbali o własną skórę, napełniali kiesy i pouczali: „Nie zbierajcie skarbów na tej ziemi”, „Nie sądźcie innych”, „Kochajcie się nawzajem”, „Czyńcie dobro tym, którzy was nienawidzą”. Oni czynili zło tym, którzy kochali Jezusa, którzy chcieli przestrzegać jego przykazań, takim ludziom wyrywali języki, wykrawali oczy, miażdżyli kończyny, takich ludzi grzebali żywcem, rozpinali na krzyżach, palili, zamuroywali na resztę życia, nie oszczędzali im niczego, żadnej hańby, żadnego bólu, mścili się na ich dzieciach i wnukach, czując się dobrymi i uprawnionymi do owych czynów – i nadal tak się czują. A przecież ukrzyżowali ludzkość! Wszyscy za jednego? Wszyscy za nich! Od czasów Konstantyna cechami, po których rozpoznaje się ten Kościół, są obłuda i przemoc; codzienną praktyką tej religii stała się masowa zagłada. Surowo zakazywano zabijania pojedynczych osób, ale uśmiercanie tysięcy ludzi było dziełem miłym Bogu. To nie obłęd, to jest chrześcijaństwo.

Pytanie o to, czy chrześcijanin może być żołnierzem, pojawiło się dopiero pod koniec II wieku, a w IV wieku już o to nie pytano.

Jeśli w III wieku służba wojskowa chrześcijanina była czymś wyjątkowym, to w następnym stuleciu stanowiła regułę. Jeśli przed rokiem 313 biskupi wykluczali z Kościoła tych, którzy nie dezerterowali, to po roku 313 ekskomunika dotykała właśnie dezerterów. Pospiesznie też usunięto z kalendarzy imiona tych, którzy stali się wcześniej męczennikami, bo nie chcieli służyć w wojsku. Minął czas żołnierzy-męczenników, zaczął się czas biskupów polowych. Towarzyszyli oni już chętnie Konstantynowi, oczywiście nie po to, żeby walczyć, lecz by czerpać korzyści; iniały Chrystusa (co za przewrotność!) widniały na sztandarach wojsk tego pierwszego władcy chrześcijańskiego, który – co z entuzjazmem podkreślał historyk Kościoła biskup Euzebiusz – toczył wojny z większą liczbą narodów i więcej ich ujarzmił niż wszyscy cesarze pogańscy.

Niektórzy dobrzy chrześcijanie wysuwali jeszcze co prawda zastrzeżenia. W drugiej połowie IV wieku Ojciec Kościoła Bazyli nakazuje, by nie dopuszczano do komunii ludzi świeckich wyruszających przeciw zbójcom i by w wypadku naruszenia zakazu pozbawiano księży ich godności duchownej. A samym wojownikom jeszcze przykazuje Bazyli, żeby „przynajmniej przez trzy lata nie przystępowali do komunii, bo mają nieczyste ręce”. Ale wkrótce wzajemne ataki z hostią w brzuchu weszły w zwyczaj, pobożny chrześcijański żołnierz nie mógł się wręcz obejść bez komunii przed walką, najpierw się modlił, a potem mordował, najpierw wznosił serce ku Bogu, a później rozłupywał czaszki istot stworzonych na podobieństwo Boga. Już szesnaście i pół wieku zabijania z Chrystusem stanowi conditio sine qua non zbawienia duszy walczącego chrześcijanina. Już szesnaście i pół wieku ogromnie korzysta na tym kler – i zamierza dalej korzystać, jest zdecydowany dalej dostarczać owieczki rzeźnikom – obojętnie, czy czarnym, czy brunatnym, czy czerwonym albo jeszcze innym, obojętnie, czy uśmiercają tradycyjnie, czy z użyciem atomu. Bo gdyby nie dostarczał ich dłużej, sam straciłby wpływy; bo przecież tylko owo posyłanie bydła na rzeź, czemu towarzyszy błogosławieństwo, oraz uciszanie ludzi wyzyskiwanych w czasie pokoju czynią z kleru pożądanego sojusznika państwa, każdego państwa, nawet antykle-rykalnego.

Właśnie: pasterze, arcypasterze. „Wypasaj moje owieczki!” Piękne słowa. Ale „zadajcie sobie pytanie – pisze rozstrzelany przez hitlerowców przy własnym biurku Theodor Lessing – po co i z jakich pobudek dobry pasterz myśli za swoje stado. Po pierwsze dlatego, że chce te owieczki wystrzyc. Po drugie dlatego, że je chce pożyć”.

Synody odbywane w pierwszych stuleciach nie wyznaczyły żadnej pokuty za mord, bo sądzono, że u chrześcijan nic takiego się nie zdarza. I w tym czasie, gdy Ojciec Bazyli, który już sam miał dobre kontakty z najwyższymi dowódcami wojsk, nakazywał przynajmniej kilkuletnie niedopuszczanie żołnierzy do komunii, inny książę Kościoła, który miał liczniejszy zwolenników, pochwałał już zabijanie na wojnie.

Atanazy, słynny „ojciec prawowierności”, tyleż doświadczony w walkach ulicznych, ile wprawiony w intrygach, pasterz wybrany na biskupa głosami tylko siedmiu krzywoprzysięzców i grona pięćdziesięciu czterech purpuratów, który podszywał się pod cesarza Konstantyna i jego syna Konstancjusza II i ogłaszał ohydne fałszywe paszkwile przeciwko arianom, opowiadające się za natychmiastową likwidacją (bez apelacji i bez ułaskawień!) każdego, kto miałby u siebie bodaj jedno z pism Ariusza; który zresztą jest podejrzewany o przyczynienie się do śmierci tego ostatniego – otóż ten osobliwy święty oświadczał teraz, że co prawda mordowanie jest zabronione, ale na wojnie „jest to i zgodne z prawem, i chwalebne, jeśli się zabija nieprzyjaciół”. To upowszechniło się jako doktryna Kościoła.

Ale że całe to wojownicze pokrzykiwanie katolickich zbawców zbyt jaskrawo kłóciło się z ewangelią i wczesnochrześcijańską tradycją, inny krzewiciel dobrej nowiny, tego samego pokroju, wykreował rozróżnienie wojny „sprawiedliwej” i „niesprawiedliwej”.

Augustyn, który usprawiedliwił nawet najgorsze sprzeczności społeczne, którego najistotniejsza rada dla biednych wyrażała się w słowach zalecenia, by wytrwali „w zawsze takiej samej i niezmiennie ciężkiej kondycji stanu niższego” (w czym jest zgodny i z Pawłem, i z Tomaszem z Akwinu); Augustyn, który stał się ponadto pierwowzorem średniowiecznego łowcy kacerzy, bo nawracał przemocą innowierców, żądał dla nich kar pieniężnych, konfiskaty ich kościołów, banicji, a posługiwał się przy tym swoim przekonującym *cogite intrare* i takimi oto pięknymi sentencjami godnymi duszpasterza: „Rany przyjaciela są lepsze niż pocałunki wroga”, „Lepiej odebrać głodnemu chleb, jeśli ma on w pogardzie sprawiedliwość”, „Kto surowiej karze, ten okazuje większą miłość” i innymi podobnymi skarbami myśli katolickiej; który dopuszczał już też tortury, określał je jako „lekkie” w porównaniu z piekłem, jako „kurację” (*emendatio*) dla człowieka, a prócz tego przynajmniej akceptował milcząco karę śmierci, tak jak bronił wojny, uznając ją z charakterystycznym cynizmem za drogę do pokoju i twierdząc, że sukces w niej usprawiedliwia pewne straty – ach, ci pasterze, arcypasterze, „Wypasaj moje owieczki!”, ten osobliwy święty bronił teraz jako „wojen sprawiedliwych” wszystkich tych, które „mszczą niesprawiedliwość” – czego Jezus przecież zabraniał!

Początkowo za sprawiedliwe uchodziło oczywiście masakrowanie pogan przez chrześcijan. A poza tym owe rzezie, w czasie których okazywano niewiernym miłość wroga za pomocą miecza, w czasie których dobra nowina wyrażała się słowami „Chrystus albo śmierć”, o ile nie nakazano z góry misji aż do wyplenienia, zawsze najskuteczniejszego sposobu nawracania, otóż owe rzezie bywały często nie tylko „sprawiedliwymi”, ale i „świętymi” wojnami, podczas których każdy, nawet największy rębajło, miał – gdyby poległ – kościelną gwarancję zbawienia!

Zdarzało się jednak coraz częściej, niebawem stało się regułą, atakowanie jednych chrześcijan przez innych – do czego po obu stronach przygotowywały posty, msze polowe, kazania polowe (w których to „wojenne armaty” stawały się „wyrazicielkami łaski apelującej”, jak określił je podczas pierwszej wojny światowej arcypasterz Michael Faulhaber) oraz oczywiście umacniająca komunie święta. Bywało i tak, że kler walczył z klerem, jeden klasztor z innym, biskup z biskupem, papież z papieżem (i to przez sto siedemdziesiąt jeden lat), przy czym nie zapomniano doprawdy o żadnych środkach prowadzących do celu.

W rażącej sprzeczności z nauką Jezusa i z wszystkimi teologami przedkonstantyńskimi Kościół katolicki zezwala już na „wojnę sprawiedliwą”, ale na przekór własnej (późniejszej) doktrynie pozwala praktycznie obu stronom zabijać, chociaż tylko jedna może walczyć w poczuciu sprawiedliwości, o ile w ogóle może. Ale że Kościołowi – co potwierdzają właśnie dzieje wojen – nie chodzi wcale o sprawiedliwość czy niesprawiedliwość, lecz o to, by krakać jak wszystkie wrony i by razem z nimi ocaleć, dlatego też zmusza wiernych – powtarzam: po obu stronach – poprzez przysięgę do wzajemnego masakrowania się na wojnie, a tymczasem w toku frenetycznie popieranego przez papieży powszechnego wymordowywania się, ci ostatni urządzają *urbi et orbi* budujące widowisko, podczas którego rozbrzmiewają wzruszające apele o pokój – jest to najbardziej mordercza hipokryzja w dziejach świata!

Jak wyjaśniają to pasterze? Jak wymykają się spod stryczka, który wciąż zarzucają swoim owieczkom – bo czyż tych ostatnich nie wypasa się po to, by je wystrzyc, zarznąć i pożreć?

Arcybiskup Fryburga Conrad Gröber, członek sympatyk SS i jeden z najgorliwszych adherentów nazizmu wśród kleru, pokazał to w roku 1935 w książce Kirche, Vaterland und Vaterlandsliebe (Kościół, ojczyzna i patriotyzm), wychwalającej wobec brunatnych potworów właściwą katolicyzmowi moc utrwalania państwowości: „Katolicy teologowie zawsze odróżniali wojnę sprawiedliwą od niesprawiedliwej i nigdy nie pozostawiali pojedynczemu człowiekowi, z jego krótkowzrocznością i zmiennymi nastrojami, swobody osądu dopuszczalności bądź niedopuszczalności ewentualnej wojny, natomiast prawo do ostatecznego rozstrzygnięcia przyznawali legalnym władzom”.

„To oznacza – komentuje katolik Johannes Fleischer (i nie sędzę, by ktoś sformułował lepszą głosę) – że teologowie katolicy zabijają nudę okresów dzielących jedną zorganizowaną przez państwo rzeź od drugiej rozważaniem ciekawej kwestii: kiedy wojna jest «sprawiedliwa», a kiedy «niesprawiedliwa»? Zapełniają tymi rozważaniami grube tomiska, bo przecież rozstrzygnięcie owej kwestii jest «nadzwyczaj trudne pod względem moralnym, politycznym i technicznym» (to słowa jezuita Hirschmanna), ale zapobiegliwie, mniej lub bardziej wyraźnie, daje do zrozumienia: dzieci, jakież wy jesteście grupie, skoro tak poważnie traktujecie naszą zabawę w teologię moralną! Bo w wypadku wybuchu wojny, kiedy to nasze «rozstrzygnięcia» powinny właściwie znaleźć zastosowanie praktyczne, w milczeniu, potajemnie, abdykujemy i pozostawiamy każdemu zbrodniarzowi z osobna swobodę osądu, co jest sprawiedliwe, a co nie jest, o ile został on – a tak dzieje się przecież zawsze – zarekomendowany przez nas jako «legalna władza, służąca Bogu dla twego dobra» (tak Hirschmann komentuje List do Rzymian 13, 4). My, wy, papież i biskupi, wszyscy jesteśmy przecież tymi «pojedynczymi ludźmi», którzy osądzają krótkowzrocznie i ulegając zmiennym nastrojom. W wypadku wybuchu wojny jesteśmy więc – od papieża po ostatniego wśród katolików świeckich – tak naprawdę owymi «ludźmi reagującymi bardzo emocjonalnie» (Hirschmann)”.

Wszystkie owe teologiczne czytadła, pełne zawiłych roztrząsań tego, co „sprawiedliwe” i „niesprawiedliwe”, in casu belli znikają natychmiast z oczu i podczas gdy kilka milionów owieczek żegna się z tym światem – „Cóż komu szkodzi wojna?”, jak nie mógł się nadziwić Augustyn – duchowni dostarczają broni, co prawda tylko broni słownej, „broni oświecenia”: zbiór kazań wojennych Michaela Faulhabera stanowi „duchowy chleb kamienny”, jak informuje, powtarzając swoje określenie kazań frontowych, wydawnictwo Herdera. I widzimy, że dopiero teraz są oni w swoim żywiole. Dopiero teraz stają się prawdziwymi robotnikami w Winnicy Pańskiej. Bo chociaż rozstrzygnięcie, czy chodzi o wojnę „sprawiedliwą”, czy nie, jest – powtórzmy za jezuitą Hirschmannem – „nadzwyczaj trudne”, to w chwili wybuchu wojny staje się dla teologów bardzo łatwe.

Teraz bowiem, bardziej niż w czasie pokoju, obowiązuje „wytyczna” zawarta w liście pasterskim biskupów niemieckich napisanym podczas pierwszej wojny światowej: „Oddajcie cesarzowi, co cesarskie...”, teraz obowiązuje zwłaszcza wskazówka z Listu do Rzymian, 13: „Każdy niech będzie poddany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga”; przy czym wystarczy pomyśleć o Hitlerze, by uzyskać właściwe wyobrażenie o Bogu – albo o Pawle, którego zwierzchność kazała nie tylko mocno wychłostać, ale i skrócić o głowę, straconą zresztą w sposób bezkrwawy już w Liście do Rzymian, 13, jeśli nie wcześniej, w pobliżu Damaszku... Podobnie Jezus stał się ofiarą zwierzchności pochodzącej od Boga (od niego samego!), ale on wiedział, że ci, co panują nad ludźmi, ujarzmiają ich, a wielcy tego świata stosują wobec nich przemoc (jako że ewangelie, co

ujawnia „duchowy chleb komiśny” Herdera, odznaczają się „niezrównaną zdolnością adaptacji i wieloma zastosowaniami”, to jest w nich „pokarm duchowy i komentarze na wszelkie (!) okoliczności i sytuacje”). O tym jednak, czy zwierzchność reprezentuje „ład boży”, jak utrzymuje Paweł, czy stosuje przemoc wobec narodów, jak mówi Jezus, kler, doświadczony w rozstrzyganiu dylematów, jak nikt prócz niego, myśli w czasie wojny mniej niż kiedykolwiek indziej. W ogóle nie myśli. Modli się. Wygłasza kazania. Co w nich wysławia? Oczywiście „sprawiedliwą” wojnę. I tu, i tam!

Straszliwymi dowodami na to są dwie, jak dotąd, rzezie narodów. Po strome francuskiej pierwsza wojna światowa, na którą spędzono w ciągu czterech lat ponad sześćdziesiąt milionów ludzi, stała się dla katolików, od kardynała po wikariusza, czynnikiem wzmacniającym Francję, oczyszczającym i jednoczącym, „bożym posłańcem, którego zadaniem jest wywołanie odrodzenia religijnego, moralnego i społecznego”; okop stał się „grota w Getsemane”, pole bitwy – „Golgotą”, moment rzezi – „boską chwilą”, krótko mówiąc, cały kler francuski, między innymi rektor uniwersytetu katolickiego i późniejszy arcybiskup Paryża Baudril-lart, był „bardzo szczęśliwy z powodu tych wydarzeń” – i to mimo że wydana w 1915 roku przez jedenastu francuskich kardynałów i biskupów broszura *La guerre allemande et le catholicisme* (Wojna z Niemcami a katolicyzm) oskarżała Niemcy o prowadzenie „wyniszczającej walki” z katolicyzmem i chrześcijaństwem.

I bardzo szczęśliwy był też, po przeciwnej stronie, niemiecki kler katolicki – z powodu rzezi, w której dziennie ginęło do siedmiu tysięcy ludzi („Co komu szkodzi wojna?”), w sumie dwanaście milionów, do czego trzeba dodać dwadzieścia milionów rannych i kalekich oraz siedem milionów zmarłych z głodu podczas tej wojny, którą pasterze i arcypasterze sławili potem jako „wiosnę ludów”, „święty czas”, „czas łaski”, „największą epokę w dziejach Niemiec”, jako „dzień uczyniony przez Pana”, „wojnę miłą naszemu Panu”, „dzieło Ducha Świętego”, „przywrócenie Królestwa Bożego”, „zaślubiny zwycięskiego narodu z Bogiem”; moglibyśmy przytoczyć więcej podobnych bezwstydných popisów *eloquentiae sacrae*, z których rozpowszechnienia w milionach egzemplarzy trzeba sobie zdawać sprawę tak samo, jak z tego, co wyznaje katolicki teolog Heinrich Misalla: iż badając niemieckie kazania duchownych katolickich z lat wojny 1914-1918 nie natrafił „w żadnym ze zbiorów kazań, jakie są dostępne” na wypowiedzi o innej wymowie. To samo oczywiście po stronie protestanckiej.

A w czasie drugiej wojny światowej? Jak wtedy wypasali pasterze swoje stada? Otóż zgodnie ze starym obyczajem pasterzy; tym razem zresztą dla największego zbrodniarza w dziejach świata, któremu już w 1933 roku przypisali gremialnie „padający nań blask panowania Boga i udział w Jego wiecznej władzy”, któremu wspólnie obiecali w 1936 roku poparcie „na wszelkie sposoby” i „wierność aż do śmierci”. A gdy biskup hrabia von Galen, znany „bojownik ruchu oporu”, w roku 1938, akurat w okresie wielkiego pogromu Żydów, „nocy kryształowej”, autoryzował rotę przysięgi na wierność Hitlerowi, kończącej się słowami: Co tam ból i zima zła! Mnie przysięga gna. Ona jak pożar wybuchła, Ogarnia miecz, serce, rąk moich ruchy. Cokolwiek czeka mnie potem – Rzeszo, ja jestem gotów! biskupi przykazali katolickim żołnierzom uczestniczącym w wojnie, która po stronie niemieckiej była najzupełniej niesprawiedliwa, by „przez posłuszeństwo wobec Fihrera wykonywali swoje obowiązki i byli gotowi poświęcić się całkowicie”. Jego atak na Rosję odnotowali, znowu in corpore, „z satysfakcją”, utożsamili go ze „świętą wolą Boga” i „triumfem nauk Jezusa nad naukami niewiernych”, a także nie omieszkali wspólnie zaświadczyć dla potomności, że „zawsze i usilnie wzywali” do popierania tej rzezi. I podczas gdy niestrudzenie zachęcali do

modlitw za owego super-gangstera i kazali bić w dzwony po jego zwycięstwach, nawet przez siedem dni z rzędu, podczas gdy odprawiali nabożeństwa dziękczynne, intonowali Te Deum, gratulowali, fundowali nowe dzwony do kościołów, żądali równocześnie – zauważmy: w interesie bandyty, który zdążył tysiące ich własnych duchownych (ale oczywiście nie było wśród nich żadnego arcybiskupa) zamknąć w swoich obozach koncentracyjnych i rozkazał setki ich wymordować! – żądali od każdego, „by w pełni, chętnie i wiernie wykonywał swój obowiązek”, dołożył „wszelkich starań”, poniósł „wszelką ofiarę”; chwalili Hitlera jako „świetlany wzór”, jego koszarne państwo jako „zbawcze przedmurze Europy”, zaatakowanie całego świata jako „wyprawę krzyżową” i „świętą wojnę” i wyjaśniali swoim owieczkom – gdy miliony ich zaczęły się wykrwawiać i zamarzać, gdy niemieckie miasta zamieniały się w zgłiszczyska – „jakie to niewypowiedziane wielkie szczęście, że możemy być Niemcami”.

Ach, bieg wydarzeń był znowu bardzo szczęśliwy! Zwłaszcza że i papież Pacelli, Pius XII, bez wątplenia najwyższy z arcybiskupów! – który jeszcze jako kardynał i sekretarz stanu popierał Hitlera w roku 1933, przy okazji zaanektowania Austrii oraz wkroczenia do Czechosłowacji, teraz popierał go tym bardziej, podobnie jak wszystkich faszystów. Bo chociaż, jak sam mówi, bezustannie apelował o pokój, o pokój, to jednak przestrzegał „miliony katolików” w „niemieckich wojskach”: „Oni przysięgali. Oni muszą być posłuszni”, a prócz tego, jak znowu sam wyznał, podczas tej największej krwawej łaźni w dziejach świata nie zabrakło mu „świetlnych momentów”, jego „serce przepęłniała nadzieja na coś wielkiego, świętego”, był pełen „podziwu dla wspaniałych cech Fuhrera” i niczego nie pragnął bardziej niż jego zwycięstwa, o czym poinformował go za pośrednictwem aż dwóch nuncjuszów.

Miliony, wiele milionów poległych, rannych, kalekich, zagazowanych, wdów, sierot, bezdomnych, wygnańców, nieszczęśników wszelkich odmian – „Wypasaj moje owieczki!” Czyżby pasterze zawiedli? Czyżby wzięli w tym udział? Czy unurzali się po szyje we krwi? O nie! Przecież zawsze walczyli przeciw Hitlerowi. Już przed 1933 rokiem. A w 1945 roku znowu zaczęli z nim walczyć. A pokonane stada, które tymczasem posłali za pomocą kazań na jego pola bitewne, ściągali z powrotem do zagrody. Otwierali szeroko wrota: „Przychodźcie wszystkie do mnie, wy, które się utrudziłyście i jesteście objuczone [...]”.

I co czynili później? Po doświadczeniach dwóch wojen światowych? Byli pierwszymi, którzy – ustami kardynała Fringsa (na zjeździe katolików w roku 1950) – zażądali publicznie ponownego uzbrojenia Niemców i uznali odmowę służenia w wojsku za „niegodny sentymentalizm”. W roku 1956 wikariusz generalny i pomocniczy biskup połowy armii Hitlera Werthmann, który – przyozdobiony swastyką – postulował swego czasu, by „rozprawiono się” z katolikami nie chcącymi iść na wojnę, by „skracano ich o głowę”, został wikariuszem generalnym Bundeswehry. W 1957 roku arcybiskup Jager, który służył już nazistowskim bandytom jako kapelan dywizji i oczywiście nie w nich, ale w ich rosyjskich przeciwnikach dopatrywał się „nienawiści do Chrystusa, czyniącej z nich prawie że zwierzęta”, zażądał realizacji „ideałów krucjat [...] w formie odpowiadającej nowym czasom”. W 1958 roku – zapewne gwoli uzmysłowienia owej formy – Jager i inni czołowi przedstawiciele duchowieństwa propagowali wyposażenie Bundeswehry w broń jądrową. W 1959 roku jezuita Gundlach oznajmił, opierając się na doktrynie najwyższego z pasterzy: „Wywołanie wojny jądrowej nie jest całkowicie niemoralne”. A dzisiaj katolickie duszpasterstwo wojskowe przygotowuje już żołnierzy na to, że Chrystus [!] wymaga od nas więcej niż wymagał Hitler [...]”. Czyżby jeszcze nie było wiadomo, z kim ma się tutaj do

czynienia? Seksualizm a chrześcijaństwo Dopóki chrześcijańska moralność nie jest odbierana jako największa zbrodnia wobec życia, dopóty obrońcy chrześcijaństwa są w korzystnej sytuacji. **NIETZSCHE**

Najistotniejszym osiągnięciem chrześcijaństwa była „problematyzacja” seksualizmu [...]. Potrzeba nam takiej postawy duchowej, która widziałaby w seksualizmie nie „problem”, lecz „przyjemność”. Większości ludzi brak na to pewności siebie – i często także miłości. **ALEX COMFORT**

Fundamentalne znaczenie seksu znajduje wyraz we wierzeniach każdego narodu i pierwotnie był to zawsze wyraz pozytywny. Vulwa i phallus, srom i prącie, są dla tamtych wczesnych ludzi święte jako nosiciele zdolności do rodzenia i poczynania, akty płciowe zaś często są najważniejsze w dawnej religii. Hołdowano seksualizmowi poprzez hierogamię, sakralne parzenie dwojga ludzi, największy ze starożytnych kultów religijnych, przy czym – przynajmniej w najwcześniejszym okresie – zgromadzeni ludzie często łączyli się przypadkowo w wyuzdanych masowych orgiach. Czczono seks przez powszechną deflorację przedmażeńską w świątyni; żadna dziewczyna nie mogła wyjść za mąż, póki nie została tam pozbawiona dziewictwa przez dowolnego mężczyznę – ten obrzęd był niegdyś równie dobrze znany w Indiach, jak na Bliskim Wschodzie oraz wśród niektórych plemion afrykańskich. Jako trzecią z głównych form kopulacji religijnej uprawiano stale, zwłaszcza w miastach semickich i w Azji Mniejszej, spółkowanie w świątyni, ale hierodule nie były początkowo bynajmniej otoczone pogardą, przeciwnie: często przedkładano je nad inne kobiety.

Po tysiącletniej gloryfikacji seksualizm miał jednak coraz potężniejszych wrogów i z coraz większą wrogością odnoszono się do kobiety, tak wysoko stawianej w dawnych cywilizacjach matriarchalnych. Pojawiły się, pod auspicjami religii, siły, które zwalczały albo seksualizm, albo kobietę, a czasem i seksualizm, i kobietę. Rozpoczęła się wojna płci i w ogóle przeciwko płci – dosyć wcześnie w monoteistycznym judaizmie i w hellenistycznej obrzędowości misterii, które to kultury miały później największy wpływ na chrześcijaństwo.

Sam Jezus nie żył bynajmniej jak asceta – nie mieszkał jak Jan Chrzciciel – na pustyni, przeciwnie: rozstał się z nim, co więcej, przez swych wrogów był lżony jako „żarłok i pijak”. Ponadto bez skrupowania obcował z kobietami, nie uważał ich za niższe istoty, nie poniżał ich, stykał się też z grzesznikami, z prostytutkami i nawet nie potępił cudzołożnicy.

Natomiast u Pawła, właściwego twórcy chrześcijaństwa, pobrzmiwa już mocno pochwała wstrzemięźliwości, poskramiania żądz, nienawiści do ciała. Ciało jawi się wręcz jako siedlisko grzechu. Nie ma w nim „niczego dobrego”, to „śmiertelna powłoka”, chrześcijanin musi ciało „tłamsić”, „kietznać”, „zabijać” itd. Równocześnie deprecjonuje Paweł kobietę, przedstawia ją jako istotę zależną od mężczyzny, całkowicie mu podporządkowaną – wszelkie apologetyczne wybiegi okazują się daremne w obliczu tekstów Pawła. I wreszcie deprecjonuje ten apostoł także małżeństwo, pozwala na nie bowiem tylko „gwoli zapobieżenia nierządowi” i wyraźnie pochwała stronienie od kobiet.

Najsławniejsi Ojcowie Kościoła zaczynają się prześcigać w propagowaniu ascezy; zachęcają z kuszącym cmokaniem – zwłaszcza dzieci, i to już pięcio-, czteroletnie, do zachowania dziewictwa. Wymuszają na nie pojmujących niczego głowach i ciałach dożywotnie śluby. Ale gdy bardziej świadomi dorośli protestują, to stają się ofiarami szczucia. „Rodzice się sprzeciwiają, ale chcą, by ich opór został pokonany” – naucza święty Ambroży.

Niejeden zakonnik chcący zachować czystość żyje dziwacznie. Niektórzy, tak jak Makary, tarzają się nago w mrowiskach albo, tak jak Benedykt, w cierniach, ciągle płaczą, tak jak Sze-

nuta, lub są strasznie brudni, jak Antoni. (Zakon antonitów otrzymuje przywilej hodowania świń i świnie jako atrybut, Antoni zaś awansuje do roli patrona zwierząt domowych). Przez całe życie, tak jak Szymon Słupnik, nie patrzą na rodzoną matkę i rzucają kamieniami w kobiety. Wiążą dokoła penisów kawałki ciężkiego żelaza, przez co upodabiają się do eunuchów. Całe lata spędzają zamurowani, całe dziesięciolecia na słupach, przez całe życie jedzą tylko trawę, którą pasą się jak bydło. Udują wciąż obłąkanych – i niejedni z nich jest obłąkany. Ale teologowie jeszcze w XX wieku pochwalają to wszystko jako „heroizm” i „świętość”, „pogłębione formy świadomości religijnej”, wytwór „wspaniałego wpływu Ducha Świętego” itd.

Wrogość wobec ciała i pożądania, objawiana przez historycznych ascetów, pozostaje też najwyższym ideałem przez całe średniowiecze. Wszystko nieomal, co wiąże się z seksem, jest nader grzeszne, patologiczna cnota jest święta, żądza uchodzi za podszept szatana, a wstrzemięźliwość jest wychwalana pod niebiosa. Teologowie lżą ciało jako „kopalnię nawozu”, „siedlisko zgnilizny”, jako „pełne brudu i ohydy”. Nie byle kto, bo Jan z Avila, wyniesiony do godności nauczyciela Kościoła dopiero w 1926 roku, poucza: „Gardź ciałem, uważaj je za pokryty śniegiem śmietnik, za coś, co budzi w tobie obrzydzenie, ilekroć o tym pomyślisz”. Nie byle kto, bo święty Franciszek każe ciało „nienawidzić, gdyż chce ono żyć w cielesności”; nakazuje traktować „chuć jako coś niegodnego, poskramiać ją i pogardzać nią”. (Średniowiecznych mnichów nazywa się czasem „siusiąjącymi w habity” -pissentunicis).

Gdy mieli polucję albo jej się tylko obawiali, gdy nie bez lu-bieżności spojrzeli na kobietę, to rzucali się natychmiast, nawet w środku nocy i zimą, do wody, do najzimniejszych rzek, lodowatych jezior, tam klękali i śpiewali psalmy. Dla poskromienia swych członków męskich zakładali przez okrągły rok niewygodną odzież i nawet w niej sypiali, jak przewrażliwiony Heinrich Seuse, albo często biczowali się do utraty przytomności, jak założyciel zakonu dominikanów. I jeszcze w XX wieku jezuita karzą siebie pejcami, stalowymi ostrzami – bo przecież, jak mówi święty Franciszek Salezy, zewnętrzne poskramianie to owies dla osła, żeby szybciej biegł.

Wysławiany wciąż przez Kościół asceta, uznawany za człowieka silnego, pogromcę „zwierzęcia w nas”, „niskiego popędu”, nie ma bowiem bynajmniej silnej woli, raczej przeciwnie: jest to tylko pokorny, pełen bigoterii wykonawca rozkazów, który chce być cnotliwy nie z własnego wyboru, ale jedynie dlatego, że od najmłodszych lat mu to wmawiano; nie jest niezłomny w swym wnętrzu, nie odznacza się duchową autarkią, lecz jest wielce niesamodzielny, słaby, tak słaby, że musi się doprowadzić do szaleństwa, by jakoś wytrwać. Słusznie nazywa Nietzsche fanatyzm jedyną odmianą silnej woli, którą można zaszcześcić także człowiekowi słabemu.

Jako że jest tu tłumione całe życie seksualne, przeto dochodzi do tego, iż zakonnicy miewają rozpustne wizje kobiet w najróżniejszych pozach, a siostry zakonne widują bardzo lubieżne diabły, dochodzi do nader wyuzdanego obcowania ze służebnicą Pańską, czasem z samym Panem, do psychicznych tańców świętego Wita i groteskowych ekscesów duchowych tych chrześcijan, którzy – co ich wystarczająco demaskuje – potrafią wyobrazić sobie swoje kontakty metafizyczne jedynie pod symbolicznymi postaciami miłości i małżeństwa. „Adi, Afrodyta wyciska swoje piętno na miłości do Boga aż nazbyt często” (Schiller).

Duchowni chętnie hołdują nienaturalnej miłości do Madonny, bywają zaręczeni z Maryją, związani z nią ślubem, uwikłani w tajemne stosunki z nią, wysysają jej mleko, zagłębiają się – w duchu – w jej macicę; dlatego właśnie nowoczesna teologia moralna rozważa kwestię

onanizmu przed figurą Świętej Dziewicy.

Mistycznym substytutem płciowym dla zakonnicy jest Jezus. Kościół czyni je „oblubienicami”, „świątyniami Pana”, nazywa je tabernacula Christi, obdarza welonem, wiankiem, pierścieniem, a benedyktynki otrzymują nawet ukwiecone łóżko małżeńskie z Ukrzyżowanym jako panem młodym na poduszce. Te zakonnice przyciskają namiętnie figurę Jezusa do swych nagich piersi, czują się brzemienne. Odbywa się całowanie, tulenie, odbywają się medytacje o świętym obrzezaniu Jezusa, o ciepłe w łonie Maryi w chwili zapłodnienia, i przy tym roznieca się taki cudowny, oszałamiający żar w sobie samej.

Wiele kobiet doświadcza słynnej głębokiej rany, która wywołuje w nich niesamowitą żądzę. Niejedna, na przykład święta Katarzyna z Geny czy Madame Guyon, doświadczyła tego podczas spotkania sam na sam ze spowiednikiem, w sposób magiczny przyciągającym ją ku sobie. Inne, przykładowo święta Katarzyna ze Sieny, całymi godzinami, dniami, trwają przez swą chęć w stanie pozornej śmierci. Jeszcze inne stają się tym żywsze. Święta Magdalena dei Pazzi biegnie w szale – sama lub z innymi siostrami – po klasztorze, woła: „Miłości, miłości, miłości... tego już za wiele”, zrywa z siebie odzienie i, według opowieści jej spowiednika, ojca Cepariego, skacze 3 maja 1592 roku na wysokość dziewięciu metrów w jednej z kaplic, żeby uchwycić krucyfiks i umieścić go między swoimi piersiami.

Święta Teresa z Avila, największa mistyczka katolicka, osoba czczona ponad wszelką miarę (nawiasem mówiąc, przesadnie pazerna), wciąż widzi w snach oszczepy, szable, długie ostre przedmioty, nie może się powstrzymać i pokazuje Panu „figę”, a tak często przeszywa ją, dźga, unosi w powietrze boską miłość, że utrzymuje uporczywie, iż nieraz przez pół godziny poruszała się w przestrzeni.

Mniej wybitne chrześcijanki noszą przynajmniej jako pierścionek zaręczynowy boski napletek, przechowywany i czczony w wielu miejscach, ma się rozumieć, w oryginale, między innymi przez „bractwo świętego napletka”, specjalnych księży i rzesze pielgrzymów. Co więcej, wiedeńska zakonnica Agnes Blannbekin delectuje się w XVIII wieku całym posiłkiem z napletków. Prawie że od dziecka zafascynowana niepewnym losem najświętszego napletka – podobnie jak wielu poważnych Ojców Kościoła – czuje, właśnie w święto obrzezania, tuż po komunii, ten cudowny napletek na języku, okazuje się on bardzo słodki, zakonnica rozkoszuje się nim, połyka, czuje nowy napletek, znowu połyka. „I tak zrobiła – co dokumentuje uczony benedyktyn austriacki Pez – chyba sto razy”.

Czyż potrzeba dalszych dowodów na to, że podstawą tego kultu miłosnego jest libido? Pomijając aspekt czysto literacki, nie ma też znaczącej różnicy między mistyką „autentyczną” a „nieautentyczną”, „wyższą” i „niższą”, między mistyką a mistycyzmem. Wszędzie w tym, co „ponad naturą”, kryje się natura, w spiryту-alizmie – seksualizm, w agape – erotyzm; wprawdzie różnią się one pod względem ekspresji, ale nie tym, co istotne. Jeśli jest tak, że ktoś tarza się po podłodze, wzywając Jezusa albo masturbując się krucyfiksem, to zawsze chodzi tylko o surogaty tłumionego popędu cielesnego.

Ani łono Maryi, ani kult najświętszego napletka nie zadowalają jednak większości pobożnych chrześcijan. I dlatego sam Kościół narzeka coraz bardziej – od starożytności i mimo wszystkich średniowiecznych reform – że zakonnicy „dają ludziom najgorszy przykład”, że „w całej prawie Europie nie pozostało z mnicha nic prócz tonsury i habitu”, że wielu tylko po to poszło do klasztoru, żeby możliwie swobodnie uprawiać rozpustę. Libertynizm duchownych stał się faktycznie przysłowiowy. Jeszcze pod koniec XVI wieku roi się w klasztorach męskich od kobiet i dzieci.

Jezuici, według statutu zobowiązani do „anielskiej czystości”, ćwiczyli (przy tak zwanej dyscyplinie secundum sub) najchętniej nagie pośladki dam, nawet tych najlepiej urodzonych – od Niderlandów po Hiszpanię. A na Wschodzie, wymordowujący wszystkich, rycerze zakonu niemieckiego nie przejmowali się ślubami czystości i „służbą niebiańskiej Pani, Maryi”, nie omijając żadnej pochwy; zadawali się z kobietami zamężnymi, dziewczycami, małymi dziewczynkami, a ponadto, jak mamy podstawy przypuszczać, interesowały ich samice zwierząt. Homoseksualizm kwitł w klasztorach od początków ich istnienia.

Natomiast zakonnice inicjują w świecie zachodnim prostytucję u siebie. Rozprzestrzenianie Królestwa Bożego na tej ziemi wiąże się coraz częściej z sytuacją, w której siostry zakonne stanowią konkurencję dla ladacznic. Już w IX wieku pojawia się, powtarzane później, porównanie klasztorów żeńskich z lupanarami. Potem wiele klasztorów przemienia się w jawne burdele, tak jest na Pomocy, gdzie święta patronka Szwedów wyrzeka, iż furty klasztorów żeńskich w dzień i w nocy są otwarte dla ludzi świeckich i dla duchownych, tak jest we Francji i we Włoszech, gdzie teolog Mikołaj z Clemages wyznaje: „Założenie pannie kornetu oznacza dziś skazanie jej na prostytucję”. Owe miejsca medytacji Izy się jako „domy rozpusty” albo „domy otwarte” dla szlachty. Rada miejska Lozanny zaleca zakonnicom, by nie czyniły zbyt częstymi burdeli, rada miejska Zurychu wydaje w 1493 roku utrzymane w ostrym tonie rozporządzenie skierowane przeciw „nieobyčajnemu odwiedzaniu klasztorów żeńskich”.

Tam gdzie brakowało mężczyzn, gdzie zakonnicom nie pozwalano nawet mieć spowiedników, musiały one często zadowalać się dziećmi, czworonogami albo całkiem bezdusznymi przyrządami do dawania rozkoszy, prymitywnymi rurkami, ale i sztucznymi fallusami z moszną pełną mleka, które – zimne lub ciepłe – siostry wtryskiwały sobie w najciekawszym momencie do mniej czy bardziej dziewiczych pochew, tworząc złudzenie ejakulacji; były to namiastki, które we Francji nie bez kozery nazywano klejnotami zakonnicek, bijoiuc de religieuse. Gdy w 1783 roku zmarła Marguerite Gourdan, najsłynniejsza bajzelmama w tym stuleciu, znana też z produkowania owych wymyślnych przedmiotów pocieszających, znaleziono u niej setki zamówień na takie bijowce z francuskich klasztorów.

Kiedy Kościół kładł nacisk na „obyčajność”, wymierzał nieludzkie kary. Osoby, które sprzeniewierzyły się ślubom zakonnym – nawet te zmuszone do wstąpienia do klasztoru! – we-getowały latami o chlebie i wodzie, były dożywotnio więzione, wciąż dodatkowo maltretowane, biczowane, przy czym liczbę uderzeń – jak to gdzieś zapisano – pozostawiano „uznaniu” opata, któremu tylko w wyjątkowych wypadkach wolno było wysmagać śmiertelnie.

Klerowi świeckiemu narzucono celibat, który jeszcze prymas Republiki Federalnej Niemiec kardynał Döpfner propagował jako „formę życia wynikającą z Biblii i zalecaną przez nią”, mimo że Stary Testament zaleca nawet arcykapłanowi, by pojął „dziewicę za żonę”, a według Nowego Testamentu nawet biskup musi być „mężem niewiasty”. Ponadto apostołowie zabierali swoje żony ze sobą w podróże misyjne i w całym dawnym Kościele księża i biskupi byli w większości żonaci.

Kościół katolicki wymusił celibat z trzech powodów. Po pierwsze, rezygnacja ze stosunków płciowych miała uczynić duchownych bardziej wiarygodnymi i bardziej godnymi szacunku. Po drugie, kler bezżenny był dla Kościoła tańszy niż obciążony żonami i dziećmi. Po trzecie, potrzebowano zawsze dyspozycyjnych, bezwolnych narzędzi, nie związanych z rodziną, społeczeństwem, państwem, narzędzi, za których pośrednictwem chciano panować –

i o to tylko chodzi.

Rozpoczęło się ohydne szpiegowanie, z góry ustalone we wszystkich swych szczegółach. Żonatych duchownych usuwano, więziono ich przez pewien czas lub dożywotnio, torturowano, kaleczono, zabijano – po tym, jak papieże i nauczyciele Kościoła, tacy jak Aleksander II czy Damiani, nakłonili wiernych do prześladowania duchownych „aż do rozlewu krwi”, „aż do całkowitego unicestwienia”.

A żony księży, choć poślubione całkiem legalnie, często nawet z zachowaniem ceremoniału kościelnego, tracą ze stulecia na stulecie swoją prawowitość, bywają biczowane, sprzedaje się je i przemienia w niewolnice; to samo spotyka dzieci kapłanów.

Tymczasem księża zachowujący celibat miewają zamiast zabronionej jednej kobiety niejednokrotnie mnóstwo kochanek, księża małżeństwo zostaje zastąpione przez swoisty księży harem. W VIII wieku święty Bonifacy wspomina o duchownych, którzy „mają nocą w łożu cztery, pięć albo i więcej konkubin”, później zdarzają się – w Bazylei, w Liege – biskupi będący ojcami dwa-dzieściorga dzieci, w jednym wypadku liczba dzieci wynosi nawet sześćdziesiąt jeden.

W XIII wieku, gdy chrześcijaństwo przeżywa czas rozkwitu, papież Innocenty III nazywa kapłanów „mniej obyczajnymi niż ludzie świeccy”, a papież Honoriusz III zapewnia: „[...] oni sięją zgorszenie i stanowią pułapkę dla ludzi”, papież Aleksander IV stwierdza zaś, „że lud, zamiast stawać się lepszym, jest całkiem demoralizowany przez duchownych”. Confessio propria est omnium optima probatio (własne wyznanie jest najlepszym dowodem). „Oni gniją jak bydło na kupie gnoju” – to jeszcze jedna złota myśl papieża z XIII wieku. A w wieku XIV, kiedy to austriacki au-gustianin Waldhausen grzmi o „stajni Augiasza, zwącej się Kościołem Chrystusa, lecz będącej tylko burdelem antychrysta”, sprawy przedstawiają się jeszcze gorzej. W XV wieku zaś, gdy znani teologowie zaświadczają, że stan duchowny jest „od góry do dołu zepsuty”, że „ludzie obyczajni i uczeni nie uzyskują wysokich godności”, że tylko „cuchnące trupy” ubiegają się o biskupstwa, w tym wieku XV na soborze w Konstancji, który spalił Husa, było obecnych – jak opowiada kronikarz miejski Ulrich von Richenthal – oprócz papieża, ponad trzystu biskupów i Ducha Świętego, także siedemset ładacznic, nie licząc tych, które uczestnicy soboru przywieźli ze sobą.

W Watykanie postępowano in puncto puncti tak, jak pięćset lat wcześniej. Przykładowo, papież Sykstus IV wystawił nie tylko (nazwaną jego imieniem) Kaplicę Sykstyńską, ale i burdel. Sam, będąc jednym z najlubieżniejszych ludzi, obcował cielesnie z rodzoną siostrą i ze swymi dziećmi, nie tylko wprowadził w roku 1476 święto Niepokalanego Poczęcia, ale również inkasował od swych ładacznic rocznie dwadzieścia tysięcy dukatów podatku – a ponadto mianował krwawego zbira Torquemadę inkwizytorem! Jego siostrzeniec kardynał Piętro Riario, obdarzony czterema biskupstwami i patriarchatem, dosłownie zakopulował się na śmierć i otrzymał za to jeden z najpiękniejszych grobowców na świecie.

W roku 1490 było w Rzymie – według dość wiarygodnej statystyki – niespełna sto tysięcy mieszkańców i w tej liczbie sześć tysięcy osiemset kobiet lekkich obyczajów; co siódma rzymianka była prostytutką! Ale nie tylko papieże budowali czy kupowali domy publiczne; pozwalali sobie na to także kardynałowie i biskupi, opaci i przeorysze. Wciąż potwierdzała się słuszność Piusa II, który powołując się na Augustyna, zapewniał króla Czech, że Kościół nie może istnieć bez będących pod kontrolą burdeli.

I widocznie także kler nie mógł żyć bez kobiet, czy były to żony, konkubiny, czy kucharki. Mimo surowego zakazu biskupi zezwalali wielu księżom na kochanki, byleby płacili „czynsz

od prostytucji", żądany nawet (w Norwegii oraz Islandii w podwójnej wysokości) od kapłanów bez kobiet.

Duszpasterze kontynuowali życie seksualne oczywiście także po trydenckich reformach. Jeszcze w XVII wieku nawet purpu-raci miewali konkubiny i dzieci, na przykład arcybiskup Salzburga von Raitenau (z piękną Salome Alt) aż piętnaścioro. I jeszcze w roku 1970 nie wrogie Kościołowi, lecz katolickie stowarzyszenie „Aktionskreis Miinchen” wypowiedziało się w memorandum przesłanym do wszystkich duchownych diecezji monachijskiej o „ukrywanych związkach podobnych do małżeńskich” i o wymuszonym „falszu” księdza katolickiego. Gdy jednak w roku 1973 Hubertus Mynarek, były dziekan wydziału teologicznego uniwersytetu w Wiedniu, opisał ten fałsz po swoim wystąpieniu z Kościoła, to tuż przed wydaniem jego książki *Herren und Knechte der Kirche* (Panowie i słudzy Kościoła) rozpoczęło się takie intrygowanie, że wydawca zerwał umowę i wycofał z handlu już wydrukowany i częściowo sprzedany nakład.

Obłuda należy po dziś dzień do najohydniejszych, ale i najistotniejszych cech charakterystycznych chrześcijaństwa. Zgodnie ze starą katolicką dewizą *si non caste caute*, jeśli nie cnotliwie, to przynajmniej ostrożnie, papieże Aleksander II, Lucjusz III i wielu innych ściśle rozróżniali grzech tajny i taki, o którym się dowiedziano, i w tym drugim wypadku wymierzali karę podwójną albo i potrójną. Nauczyciel Kościoła kardynał Damiani uznał *expressis verbis* za znośną ukrytą rozpustę duchownych, ale za nieznośne – świadczące o ciąży brzuchy oraz rozkrzyczane dzieci ich konkubin – sprowokował tym błyskotliwe szyderstwo Panizy: „Ten Damiani miał już iście katolicki sposób myślenia: co stało się w ukryciu, to nie zdarzyło się w ogóle; grzechem jest tylko to, co krzyczy”. A Jean de Gerson, kanclerz Sorbony, *doctor christianis-simus*, pouczał kler wprost: „Trzeba jednak dbać o to, by wszystko działo się potajemnie”. I taka właśnie jest utajona maksyma moralna również naszych czasów, bo i teraz karze się za czyn rozpustny wobec osoby spowiadanej wieczną pokutą i odsunięciem od kapłaństwa tylko wtedy, „gdy jest on znany powszechnie”.

Ogólnie biorąc, nigdy nie przedstawiano czarno mężczyzn, lecz kobietę, którą sam Jezus traktował przecież życzliwie, wzorowo i której najdawniejsze chrześcijaństwo zawdzięcza sporą część swoich sukcesów misyjnych.

Ale najwięksi Ojcowie Kościoła: Ambroży, Augustyn, Jan Chryzostom rozpowszechniają później twierdzenia, iż kobieta nie została stworzona na podobieństwo Boga, że jest istotą niższą, przeznaczoną do służenia mężczyźnie, co więcej, używa się nierzadko zwrotów sugerujących zależność podobną do niewolniczej. W szczytowym okresie średniowiecza Tomasz z Akwinu, pod koniec XIX wieku uznany za pierwszego nauczyciela Kościoła katolickiego, określa kobietę jako niepełnowartościową pod względem fizycznym i duchowym. Stanowi ona jakby „okaleczonego”, „nieudanego mężczyznę”. To, że w ogóle, poza się Boże, przychodzą na świat dziewczynki, wynika, według tego oficjalnego filozofa Kościoła, patrona wszystkich szkół i uczelni katolickich, z niedobrego nasienia, z niewłaściwej krwi macicznej albo też z tego, że wieją „wilgotne wiatry południowe” (*yenti australes*) i wywołują nie tylko deszcz, ale i rodzenie się dzieci z większą zawartością wody, mianowicie dziewczynek.

Podobnie Luter, który co prawda zniósł celibat i wyprowadził zakonnice z klasztorów, nazywał jednak mężczyznę „wyżej stojącym i lepszym”, a kobietę „półdzieckim” i „dzikim zwierzęciem”; „największą ich zasługą jest to, że nas rodzą” – takich pochlebstw znajdujemy u niego więcej.

Ta trwająca prawie że po dziś dzień kampania oszczerstw, wśród których wypowiedzi pozytywne całkiem się zagubiły, nie tylko doprowadziła w Kościele do wielu kompromitujących przejawów dyskryminacji, ale również – wobec ogromnego wpływu kleru – odbiła się bardzo negatywnie na niemalże wszystkich dziedzinach życia. Kobiety dyskryminowano prawnie, ekonomicznie, społecznie pod względem możliwości kształcenia; była to stała i bardzo dla niej dotkliwa postawa. Przez całe wieki nie mogła występować jako osoba prawna, nie miała prawa do dziedziczenia ani do znacniejszego majątku, jako żona musiała żyć zgodnie z wolą męża, któremu Corpus Iuris Canonici, obowiązujący do 1918 roku (!) kodeks Kościoła katolickiego, pozwalała na zmuszanie żony do postów, bicia, wiązanie i więzienie jej.

Dlaczego właściwie teraz głównie kobiety głoszą na CDU? Oczywiście ze względu na Kościół! Ze względu na Kościół, który niegdyś – to najokropniejsze następstwo nienawiści do kobiet – posłał miliony „czarownic” do izb tortur i na stosy i który zezwalał na to, by kobiety z najniższych warstw, a więc ich większość, jeszcze w połowie XIX wieku traktowano znacznie gorzej niż starożytnych niewolników.

Kościół deprecjonował przez dwa tysiące lat nie tylko kobietę, ale i małżeństwo – choć się tego wypiera. Od świętego Justyna poprzez Tertuliana do Orygenesusa bardziej chwali się eunucha niż mężczyznę żonatego. Według Ojca Kościoła Hieronima, małżonkowie żyją „na sposób bydłocy”, kopulując nie różnią się „w niczym od świń i innych nierozumnych zwierząt”. Według Ojca Kościoła Augustyna, żonaci otrzymują gorsze miejsca w niebie, „prawdziwym małżeństwem” jest tylko „małżeństwo Józefa”, z całkowitą wstrzeźliwością, i byłoby najlepiej, gdyby dzieci były „rozsiewane ręką, tak jak ziarno”.

Odpowiednio do tej sytuacji idea małżeństwa jako sakramentu pojawiła się dopiero po ponad tysiącletnim istnieniu chrześcijaństwa, dopiero w XI i XII wieku rozpowszechnił się zwyczaj wypowiedzienia „tak” wobec kapłana, ale aż do XVI wieku uznawano ważność małżeństwa zawartego bez jego udziału. Odpowiednio do tej sytuacji często uniemożliwiano zawarcie związku małżeńskiego, także drugiego (w wypadku osób owdowiałych), choć takie małżeństwa nie były zabronione; kiedy indziej zwalczano je zaciekle, chętnie przytaczając powiedzenie: „Maciora znowu się tarza”.

Ścisłe ograniczono też stosunki płciowe w małżeństwie. We wczesnym średniowieczu były one zakazane w niedziele i w święta, w dni pokuty i modlitw błagalnych, we wszystkie środy i piątki albo w piątki i soboty, w oktawie wielkanocnej i zielonoświątkowej, w okresie czterdziestodniowego postu, w adwencie, przed komunią, czasem i po niej, podczas ciąży i po niej, summa summa-rum: przez osiem miesięcy w roku. A w szczytowym okresie średniowiecza i jeszcze później – prawie przez pół roku. Wykroczenia w tej mierze były karane przez Kościół, a nadużycia narażały, aż po wiek XX, na straszliwą zemstę Boga: na dzieci pryszczate, chore na padaczkę, kalekie, opętane przez diabła. Jako wzór obyczajowy zalecano wielbłąda spółkującego raz w roku, a zwłaszcza słońcę – robiącą to tylko raz na trzy lata.

Kościół zezwalał tylko na stosunki małżeńskie: po pierwsze, by uniemożliwić, czasem przyjemniejsze, stosunki pozamałżeńskie. „Dziewczę ma po to swą pochewkę – mówi Luter, obrazowo wyrażając zarazem stanowisko Kościoła katolickiego – by on [małżonek] czerpał z niej zdrowie, by nie dochodziło do polu-cji i zdrad”. Po drugie, potrzebowano małżeństwa ze względu na potomstwo. „Jeśli one nawet męczą się brzemiennością i w końcu umrą z tego – pisze, jakże szczerze, Luter – nie zaszkodzi to, niech donoszą do śmierci, po to są”.

A skoro już – co wołało o pomstę do nieba – trzeba było się kochać, to niechby robiono to rzadko i bez pożądania! Przez całe stulecia określano prawie wszystkie stosunki małżeńskie jako grzeszne, a później za bezgrzeszne uchodziły tylko te, przy których odżegnywano się od rozkoszy; ta zawsze stanowiła w chrześcijaństwie *cimen capitale*. Gdy wybierano inną pozycję niż ta ponoć naturalna, chciana przez Boga – kobieta na wznak, mężczyzna nad *mafacies ad faciem*; według pewnych ekspertów jest to pozycja dająca najmniej rozkoszy, w świecie niechrześcijańskim często wyśmiewana, zwana jako pozycja misjonarska – otóż jeśli uprawiano, gwoźli większej przyjemności, *situs ultra modum* (nieraz rozważany fachowo, w różnych wariantach, przez moralistów), uchodziło to za zbrodnię gorszą niż morderstwo. Teologowie byliby najbardziej zadowoleni, gdyby małżonkowie spółkowali z odrazą do własnego popędu, w mroku nocy, i oboje obleczeni w specjalną mnisią koszulę, która zakrywała wszystko aż po duży palec u nogi i miała tylko małeńki otwór w okolicy genitaliów, służący wyłącznie do płodzenia nowych chrześcijan i praktyków celibatu.

O środkach antykoncepcyjnych – w starożytności używano ich często, i mechanicznych, i farmakologicznych, znano też metodę Knausa-Ogino – świat chrześcijański nie wiedział, jak się zdaje, nic aż do wieku XVIII. I odtąd były one na wszelkie sposoby przedstawiane jako zło.

Wierni powinni raczej cierpieć niedostatek, zrezygnować z wszelkich dobrodziejstw dla siebie – nauczali w 1913 roku niemieccy biskupi *in corpore*. Potępiali nawet odpowiedni przemysł za „zbrodniczą pomoc”, określali go jako „zasługujący na wyklęcie”, bo „nasz biedny naród niemiecki płaci za jego ohydne wyroby nie tylko pieniędzmi, ale i krwią, zdrowiem ciała i duszy, szczęściem rodziny” – a przecież pieniędzmi, zdrowiem, szczęściem, płaci ten, kto gardzi środkami antykoncepcyjnymi!

A nawiasem mówiąc, kiedyż to Kościół zwalczał z równym zapałem przemysł zbrojeniowy? Kiedyż to określił go jako „zasługujący na wyklęcie”, „zbrodniczy”? A właśnie jego „wyrobów” mogłyby z powodzeniem dotyczyć owe słowa z listu pasterskiego, wypowiedziane w 1913 roku: „Za nie nasz biedny naród niemiecki musi płacić nie tylko pieniędzmi, ale i swoją krwią”. Biskupi nie mieli jednak na myśli granatów, armat, gazów trujących. Granaty, działa i gazy, i całą wojnę wychwalali niezadługo jak opętani, uznawali tę wojnę za świętą! A prezerwatywy były w ich oczach diabelskim wymysłem i takim pozostają. Bo dziesiątkują eksploatujących i eksploatowanych, dziesiątkują konsumentów, ujmują mięsa armatniego, władzy, prestiżu. Dlatego trzeba było wypowiedzieć prezerwatywom wojnę. Ale nigdy nie wypowiedziano wojny wojnie! Taka jest moralność Kościoła, który chwali i ludobójstwo jako służbę Bogu – ale nadal zakazuje sanitariuszom wydawania środków antykoncepcyjnych: niech już raczej żołnierze zapadają na kiłę i rzeżączkę. I na AIDS.

Sama sprzedaż środków antykoncepcyjnych jest i dziś uznawana za „formalny współudział w grzechu kupującego”. A sprzedaż granatów? Ależ nie! Taka jest moralność Kościoła, któremu to zawdzięczamy fakt, iż jeszcze teraz za reklamę środków antykoncepcyjnych grozi więzienie, że jeszcze w drugiej połowie XX wieku (w Niemczech, we Włoszech) stawiano przed sądem lekarzy, którzy sterylizowali kobiety, a nawet takich, którzy tylko polecali środki zapobiegawcze – podczas gdy w niechrześcijańskich Indiach wypłaca się dorosłym premie za dobrowolne poddanie się sterylizacji.

„Ojcowie” nawiązali oczywiście do starej antyhumanistycznej postawy wrogości wobec rozkoszy podczas *Vańcanum Secundum* i znalazła ona też swój wyraz w nieludzkiej encyklice *Humanae vitae* autorstwa Pawła VI, która nadal zabrania wszelkiej regulacji urodzeń z wyjątkiem zaakceptowanego przez Piusa XII – zresztą wbrew całej katolickiej tradycji –

wykorzystywania dni niepłodnych u kobiety, na co oburzali się nawet znani teologowie, a krytyczni katolicy szydzili z tego: „Kanonizacja Knausa i Ogino, odegrana przez trupę z domu starców pod wezwaniem świętego Piotra w Rzymie, w reżyserii papieża Pawła VI”.

Ale po cóż mielibyśmy atakować właśnie jego osobiście? To nie tyle jego wina, ile wina systemu. Nie tylko encyklika zajmuje „stanowisko całkiem przestarzałe”, jak uważa przewodniczący katolickiego stowarzyszenia lekarzy (Saes), nie tylko jest, według tego medyka, „katastrofalna”, lecz katastrofalny jest Kościół – i w ogóle chrześcijaństwo. I to już od czasów Pawła, a nie dopiero od czasów Pawła! Kto tego dziś nie widzi, jest ślepy albo ślepego udaje. Tertium non datur.

Właśnie ludziom biednym przemienia kler jedyną bodaj radość, jaką miewają, w czynność pokutną wykonywaną pod krzyżem, mało przyjemną, w ramach obowiązkowej bezustannej produkcji katolików. Albo też żąda się – o ile ktoś nie kocha się „zgodnie z prawami natury” (uprawiając w bardzo ograniczonym czasie miłość według Knausa i Ogino) – ścisłej ascezy, wybrania „całkowitej wstrzemięźliwości”, życia takiego, jakie wiodą „brat i siostra podług szlachetnego wzoru Matki Boskiej i świętego Józefa”.

A tymczasem już w ubiegłym stuleciu świat miał tyle ludności, ile przez poprzednich sześćset tysięcy lat razem wziętych. I za niecałych dwieście lat żyłoby na świecie sto miliardów ludzi – jeśliby nie było planowania rodziny i przy obecnym tempie przyrostu – przez co cały glob, jeśli wyłączyć morza, wysokie góry i obszary polarne, stałby się jednym gigantycznym miastem.

I oto podczas gdy wszyscy demografowie apelują do ludzi, alarmują świat, katolicyzm podtrzymuje zakaz wszelkich środków antykoncepcyjnych. Rzym przeprowadził tajną ofensywę dyplomatyczną, domagając się od rządów, organizacji międzynarodowych, zwłaszcza od Stanów Zjednoczonych i ONZ, by zaprzestano finansowania i popierania kontroli urodzeń. Ostatnie, najtragiczniejsze następstwo takiej polityki zasygnalizował działający w Rzymie teolog Jan Yisser, który na zadane mu w telewizji niemieckiej pytanie, czy Kościół godzi się, w związku ze swym tradycyjnym nauczaniem, na beznadziejne przeludnienie, odpowiedział: „Tak. Jeśli będzie przekonany, że taki jest nakaz Boga, to sądzę, że pogodzi się z tym. Choćby świat miał zginąć, sprawiedliwości musi stać się zadość”.

Fiat iustitia et pereat mundus (niech się dzieje sprawiedliwie, choćby świat miał szczeznąć). Zgoła podobnie jezuita Gundlach uznał w swej interpretacji doktryny Piusa XII o wojnie jądrowej zagładę atomową świata za „dowód wierności” ładowi bożemu i dlatego za w pełni usprawiedliwioną.

Ale zanim świat zginie, trzeba jak najwięcej płodzić i w żadnym wypadku nie należy usuwać płodów. Stąd też wzięły się lamenty Kościołów z powodu §218; zdarzyły się już występy wstrząsające, na przykład sui generis majstersztyk – popis uroczej małej Ewy, której los jest co prawda niepewny, ale której dziennik został przez federalny kler obu wyznań przeniesiony prosto z macicy na słupy ogłoszeniowe i wrota kościołów.

„W akcie miłości – mówi ten klerykalny zarodek – zostałam dziś przez rodziców powołana do życia”. I już to pierwsze doniesienie – jak przystało na reklamę robioną przez klechów – jest fałszywe. Bo przecież ci rodzice nie powoływali do życia. Gdyby tak było, nie chcieliby – co zaraz się okaże – usunąć płodu! Ale nasze maleństwo tego jeszcze się nie domyśla. Przeciwnie. Po czternastu dniach, 15 lipca, chwali się ono, jak na swój wiek nieco zbyt kokieteryjnie (i nie po chrześcijańsku) swoimi wdziękami. Mając dwa milimetry wzrostu, stwierdza: „Moja główka jest coraz ładniejsza [...]”. A 2 sierpnia to maleństwo, które ma już

ręce o połowę krótsze niż drukowany wykrzyknik, szczebiocze (z równym talentem, jak pani Hedwig Courths-Mah-ler): „Wyrosły mi te moje kochane paluszki. Będę się nimi ciebie mocno trzymać, kochana mamó”. W cztery dni później maleństwo – ważące dopiero jeden gram – wzrusza do łez nawet tego, który je spłodził: „Teraz mam śliczny nosek. Moje uszy też są już gotowe i są całkiem podobne do uszu tatusia”. Ale w połowie sierpnia ten propagandowy, klerykalny embrion zaczyna się dziwić: „Dzisiaj mama dowiedziała się, że jestem z nimi. Dlaczego ona się martwi? Przecież obie jesteśmy zdrowe i jest nam dobrze”. O tak. Zwłaszcza mamie będzie dobrze. Tym lepiej, że 19 września dowiadujemy się, iż dziś „mama chce pod presją tatusia [albo przekonanego o słuszności swoich poczynań społeczeństwa...] pozwolić, żeby mnie zabito. Proszę cię, proszę cię, kochana mamó, nie rób tego, jest tyle ludzi, którzy pomogą ci w potrzebie! [!]” Kłamie się i w pierwszym zdaniu, i w ostatnim. Bo któż pomoże? Czyżby Kościół?

Nie pomagał już przy porodzie. Aż do drugiej połowy XX wieku pozwalał, by zginęła raczej matka niż embrion. „Bezpośrednie zabicie płodu jest zabronione i wtedy, gdy lekarz uważa za konieczną aborcję terapeutyczną dla ocalenia matki i gdy bez takiego zabiegu miałyby umrzeć i matka, i dziecko”. A jak pomagał i pomaga narodziłym?

W średniowieczu, by tylko wtrącić mimochodem, tolerowano dzieci w przytułkach i sierocińcach jedynie dopóty, dopóki nie mogły same żebrać, bo prócz religii nie uczyły się na ogół niczego. Ale gdy w późnym średniowieczu, u progu czasów nowożytnych, wystąpił nadmiar żebraków, zaczęto na nich dosłownie polować, bito ich publicznie, wypalano im piętna na piersiach, plecach, ramionach, ucinano im pół ucha albo i całe, okaleczano ich na inne sposoby, a po kilkakrotnym schwytaniu jako bezrobotnych – bez względu na to, czy była jakakolwiek praca – po prostu uśmiercano.

Spośród siedmiuset czterdzieścioro dzieci, które w latach 1763-1781 trafiły do przytułku dla podrzutków w Kassel, pod koniec 1781 roku żyło już tylko osiemdziesięcioro ósmioro, a zaledwie dziesięcioro osiągnęło czternasty rok życia. „Proszę cię, proszę cię, kochana mamó, nie rób tego, jest tyle ludzi, którzy pomogą ci w potrzebie!”

Jeszcze w 1927 roku w katolickim Wiedniu osiemdziesiąt procent ludności żyło co najmniej po cztery osoby w jednym pokoju. Kilkadziesiąt lat później w katolickich Włoszech ponad milion ludzi żyje z bardzo niskich dochodów z pracy chałupniczej, bez ubezpieczenia, a pięćdziesiąt procent młodych, wykwalifikowanych (!) robotników przemysłowych zarabia tygodniowo pięć tysięcy lirów (trzydzieści marek); milion trzysta tysięcy Włochów pozostaje bez pracy, w południowych Włoszech – aż ponad czterdzieści osiem procent absolwentów szkół. A jaka nędza panuje w Ameryce Łacińskiej! Ale dzieci muszą się rodzić...

Lament Kościoła z powodu nie narodzonych wywoływałby pewno mniej szyderstw, gdyby Kościół bardziej się troszczył o dzieci narodzone! Czyni natomiast co innego, sięgając zaiste do korzeni bytu: przy okazji każdej większej krwawej łaźni – dwie wojny światowe i długa rzeź w Wietnamie (w tych wojnach zginęło więcej ludzi niż Republika Federalna ma mieszkańców) dowodzą tego w sposób dostatecznie przerażający – Kościół nie spoczywa, póki święte życie, tak przezeń hołubione w zarodku, póki życie człowieka ukształtowanego nie przemieni się w miazgę i brud – taki stan również określa się jako święty.

Od czasów Konstantyna Kościół błogosławił masowej zagładzie, ale stosunki płciowe poza małżeństwem (i często także w małżeństwie) zawsze traktował jak zbrodnię.

Sami katolicy pisują o tym, że istnieje w tej religii „długa tradycja” uważania wszelkich aktów płciowych za grzechy albo przynajmniej za dokonywane w grzesznych

okolicznościach, uważania, iż „wszelka konkretna aktywność seksualna okazuje się zła, bo nieodłącznie towarzyszy jej pożądanie”. I właśnie „wykroczenia” seksualne uchodziły zawsze za szczególnie ciężkie.

Już sobór apostolski prezentuje w swoim dekrecie znaną triadę „bałwochwalstwo, mord, porubstwo” jako grzechy główne albo śmiertelne. Wszystko zostaje tu zrównane: religia, zabijanie, miłość.

Augustyn, który nie radził sobie z własnymi problemami seksualnymi, który miotał się wciąż między lubieżnością a frustracją, który potrafił na serio modlić się jak następuje: „Daj mi czystość... ale nie od razu”, który spobożniał dopiero, gdy się nasycił rozpustą, gdy jego słabość do kobiet, jak u niejednego starzejącego się mężczyzny, przerodziła się w swoje przeciwieństwo, gdy zaczęły go nękać niedomagania zdrowotne, kłopotliwe dla retora schorzenia pnąc i piersi, otóż ten Augustyn stworzył klasyczną patrystyczną naukę o grzechu, potępiającą zwłaszcza pożądanie płciowe, i w ten sposób zdeterminował chrześcijańską moralność, przesądzając los wielu milionów ludzi Zachodu z mniejszymi czy większymi zahamowaniami seksualnymi, także w naszych czasach, i zresztą nie tylko ich los.

Miłość to u Augustyna zawsze tylko miłość do Boga, a ta seksualna stanowi w gruncie rzeczy coś szatańskiego, jest „ohydna”, „piekielna”, „jak dokuczliwy wrzód”, „jak przerażający żar”, jest porównywana do „zgnilizny”, „obrzydliwego bagna”, „obrzydliwej ropy”. Wydobywa się to z niego niczym z wrzodów towarzyszących zakaźnej chorobie i przechodzi do scholastyki – tej naj-wcześniejszej i tej doskonalszej – w której Wilhelm z Owernii określa rozkosz płciową jako „zwierzęcą”, Ojciec Kościoła Bona-wentura nazywa akt miłosny „cuchnącym”, Ojciec Kościoła Tomasz z Akwinu porównuje pożądanie z „brudem”, kopulację zaś zalicza do „tego, co najniższe”, a Ojciec Kościoła Bernard z Clair-vaux stwierdza, że człowiek przez swą chuć stawia siebie poniżej poziomu życia świa.

Szczegółami zajęto się w sposób odpowiadający temu, co przedstawiliśmy – interesowano się stosunkiem ze zmarłą, ze statua, z przedziurawioną drewnianą lalką, z dziurawą gałęzią. Rozważano przypadek, w którym „do pochwy zostaje wprowadzony dziób kury”, w którym „do pochwy wprowadza się plwocinę albo chleb, żeby skłonić psa do lizania sromu”, w którym „onanizuje się psa, by doprowadzić jego członek do erekcji, a potem wprowadzić go do pochwy”.

Te i liczne inne podobne do nich sytuacje doczekały się dokładnego oszacowania przez ekspertów, a groziły za nie przerażająco wysokie kary.

W szczytowym okresie średniowiecza teologowie zastanawiają się nad ludźmi, którzy przez swą tuszę mogą spółkować tylko „na sposób zwierzęcy”, albo rozważa się grzeszność sytuacji, kiedy to „mężczyzna jest podniecony jak koń albo muł”. Sumiennie zajęto się zdolnością eunuchów do życia małżeńskiego (czy jedno jądro albo brak jąder pozostawia taką zdolność, czy wystarczy virga erecta bez wytrysku itd.), ale także „kobietą zwężoną”, co stanowiło przeszkodę uniemożliwiającą zawarcie związku małżeńskiego.

Właściwy złoty wiek katolickiej teologii moralnej zaczął się w XVIII stuleciu. Jeden z jej klasyków, uhonorowany najwyższym tytułem kościelnym, święty Alfons de Liguori, bada w swej *Theologia Moralis*, wydanej ponad siedemdziesiąt razy, grzeszność i karalność kontaktów małżeńskich i pozamałżeńskich, z wytryskiem nasienia i bez niego; rozważa oglądanie „niepoczciwych części ciała” (*partium inhonestarum*) – do których zaliczono genitalia oraz to, co w ich bezpośrednim otoczeniu, przy czym wyróżniano „części mniej pocziwe” (*partes minus honestae*), piersi, ramiona, uda; tak jeszcze w XX wieku! – innego

człowieka z bliska i z bardzo odległego miejsca; rozważa też mimowolne polu-cje lekarzy, którzy muszą dotykać narządów płciowych. Wyznacza „najstosowniejszą pozycję do wytrysku męskiego nasienia i przyjęcia go przez narządy rodne kobiety”. Zastanawia się nad kopulacją na siedząco, na stojąco, z boku i od tyłu na sposób zwierzęcy; nad taką, przy której mężczyzna jest pod kobietą albo pozbywa się spermy „poza naturalnym naczyniem kobiety” (extra vas natu-rale). Rozważa spółkowanie z trupem kobiety (coire cum femina mortua), sprawdza, czy to grzech śmiertelny, jeśli po trzecim akcie jednej nocy odmówi się czwartego albo jeśli odmówi się komuś, kto chciałby to robić pięć razy w miesiącu. I z tym wszystkim teologia moralna nazywa się po dziś dzień „nauką o naśladowaniu Chrystusa”.

Liguori, zżerany przez skrupuły, lęki, wątpliwości, popadł w obłąd, a później, w osiemdziesiąt ósmym roku życia, cierpiąc przez własną chuć, wołał z płaczem: „Och, mam już osiemdziesiąt osiem lat, a ogień mej młodości jeszcze nie wygasł!”

Zdarzali się moralisci, którzy przebadali dwadzieścia tysięcy „wypadków obciążających sumienie”, którzy dręczyli swe ciało aż do krwi, którzy – jak Liguori – oszaleli. A nakładane przez nich pokuty zrujnowały niejednego człowieka spowiadanego.

Wymowne jest porównanie kar za grzechy związane z seksem i tych za morderstwa. We wczesnym średniowieczu kobieta pokutowała już za jednorazowy onanizm (który przecież nikomu nie szkodził, lecz tylko sprawiał przyjemność) nawet przez trzy lata, co mogłoby oznaczać zróżnicowanie kary zależnie od czasu i miejsca: trzy lata bez stosunków płciowych, z zakazem podróży i jazdy konnej, jedynie o chlebie i wodzie. Natomiast ten, kto zabił na wojnie lub na rozkaz swego pana zamordował kogoś w czasie pokoju, pokutował tylko czterdzieści dni!

Dziś co prawda onanizująca się katoliczka pokutuje niedługo, a'żomierz-katolik, który zabija na wojnie, od dawna jest zwolniony z pokuty, jeśli pokutuje, to wtedy, gdy nie zabija, gdy sprzeniewierzy się przysiędze. Iak się zmienia – ale czy na lepsze?

Ależ tak – wołają teologowie. W Kościele myśli się teraz liberalniej, z większą otwartością na świat. Wiele z tego, czego broniono jeszcze niedawno (!), czego konserwatyści bronią nadal, straciło aktualność i zostało już potępione przez samych moralistów, krótko mówiąc, znamienna przemiana (i pod tym względem), nowe perspektywy, przesunięcie akcentów, postępowość, większa dynamika, myślenie ewolucyjne itd.

Ale czy to prawda? Czy teologia moralna naprawdę się radykalnie zmienia? Czy raczej mamy tu do czynienia z paroma nowymi czczymi zapewnieniami i starą hipokryzją? Owszem, dziś, gdy cnota nie jest w cenie (choć w kraju papieży istnieją jeszcze polisy ubezpieczeniowe na dziewictwo córki), obserwuje się usilne próby pokazania innego oblicza; dziś głosi się mniej prawd wiecznych niż dawniej, raczej chce się uprawiać „teologię dostosowaną do obecnej sytuacji”, mniejsza jest skłonność do trzymania się „dawniejszej otoczki” słowa bożego, raczej chce się „przekazywać je według dzisiejszego widzenia człowieka i świata” (Schoonen-berg). Kompleksom seksualnym Pawła byli winni Żydzi i poganie, poglądom Orygenesusa – Platon i stoicy, poglądom Augustyna – manicheiści, deprecjonowaniu seksu w średniowieczu – „kace-rze”. I jeśli w „ostatniej epoce dziejów Kościoła” katolicka wrogość wobec seksu znalazła swój „niezrównany wyraz”, to mamy tu tylko do czynienia z „odzwierciedleniem społeczeństwa mieszczańskiego proveniencji wiktoriańsko-purytańskiej” (Pfurtner).

Ale niektórzy nie wahają się nawet oskarżać samych siebie, „najbardziej postępowi” apologeti celebryści powszechnie Pater, peccavi – chętnie mówi się o grzechu pierworodnym i

chętnie kapituluje się honorowo, pochwalając van de Yeldego. Ci ludzie przyznają, że „we wszystkim [!] dopatrywali się tylko zła, że często „niewłaściwie” oceniali seksualizm, że wyolbrzymiali „wartość dziewictwa dla ogółu”, że wyolbrzymiali też „grzeszność” (Schrótelier). „Spokojnie” wyznaje inny katolik, że „mamy tu ogromnie wiele [!] do nadrobienia i naprawienia. Nieodległe są czasy, w których nasze rozumienie obyczajności było bardzo zdeterminowane przez pruderię i nienaturalność” (Roetheli).

Zdarza się, że takie wyznania są krótkie, czasem dotyczą przynajmniej niektórych spraw, ale kiedy indziej są rozproszone w całym dziele, przez co czytelnik nieuważny, a obdarzony wyobraźnią, mógłby i po dwustu stronach kuszących moralnoteologicznych snów o miłości (z zaleceniem stosunków przedmażeńskich, przynajmniej w paru wypadkach, ale „nie jest to wcale przyzwolenie dotyczące wszelkich sytuacji”) dopatrzeć się w katolicyzmie całych bachanali zmysłów i dionizyjskiego ubóstwienia seksu.

W którymś jednak momencie, raczej wcześniej niż późno, nawet najbardziej ambitnych apostołów postępu ogarnia przerażenie własną odwagą i wtedy coraz wyraźniej dają do zrozumienia, że właściwie pojmowane *aggiornamento* moralności kościelnej nie oznacza bynajmniej „ograniczenia czy rezygnacji z przesłania ewangelicznego poprzez oportunistyczne dostosowanie się do aktualnych gustów”, o nie, „chodzi tu o coś przeciwnego, o wydobycie tego, co dla nas dziś stanowi właściwą treść chrześcijańskiego przesłania [...]” itd. (Pfurtner).

„Rzecznicy postępu” prawie zawsze posługują się tą samą toporną metodą. Najpierw rozbrzmiewa przyznanie się do ewidentnych błędów z blisko dwóch tysięcy lat, zwięzłe, dobitne, czasem wręcz tak radykalne, że świadczące o chęci zmieniania świata, że można by sądzić, iż czeka nas rewolucja, gdyby się od dawna nie wiedziało, że nie pojawi się nic prócz starych wad.

Pewien współczesny teolog moralista (to smutne, że ktoś taki żyje w naszych czasach) pisze bez żadnego wstydu: „Kościół zawsze opowiadał się przeciw podejrzliwości wobec prokreacyjnych kontaktów płciowych”, a na tej samej stronie przedstawia następującą hierarchię: seks; nad nim, „znacznie wyżej”, miłość fizyczna; i wreszcie o wiele ważniejsza niż to pierwsze i to drugie – *agape* (Haring). Ale nie oznacza to dyskredytowania seksu, nie, nie! Sprzeciw dotyczy tylko rozsmakowania się w nim, lu-bieżności, żądzy, intensywnej rozkoszy. Sprzeciw dotyczy „przeżywania”, a chodzi tu przecież o „zabicie”! Bo „popęd płciowy jest oczywiście chciany przez Boga i dlatego dobry. Ale biada temu, kto nie potrafi już nad nim zapanować! Temu, kto bez umiaru i bez zahamowań folguje popędowi, staje się on bowiem zwierzęciem!” (Leppich). Tak, jeśli nawet popęd jest dobry, to „pożądanie musi się skończyć tam, gdzie zaczyna się grzech [...]. nieśmiertelne dusze nie mogą być poświęcane zaspokajaniu popędu” (Berghoff).

Wszystko już jakby znane. Według powszechnego stanowiska teologii moralnej, za ciężki, śmiertelny grzech uchodzi nadal nie tylko pełne zaspokojenie seksualne („nie brzmi to pięknie” – narzeka prymas Hóffner) poza małżeństwem, lecz i „każde chciane bezpośrednie podniecenie się”. Rozkosz nadal jest obrzydzana, choćby była „niewolna i krótkotrwała”! Teologowie podkreślają, że nie chodzi tu o „sprawę błahą” (Jone).

Kilka milionów ofiar wojny im nie przeszkadza; to wręcz budujący, uszlachetniający fakt. Ale kopulacja – ileż ona niszczy! Grzech seksualny jest tak szatański, że według nauki katolickiej wolno „bliźniemu życzyć czegoś złego, nawet śmierci (!)”, „na przykład po to, żeby lekkomyślny młody mężczyzna nie zszedł na manowce” (Jone).

Tak ci ludzie pojmują moralność i jeszcze dziś – od profesora po kardynała z Kurii – mimo przemian w teologii, przesunięcia akcentów, nowych perspektyw, pustych słów, frazesów, wyrzekają na „ewangelię cielesności i zdziczenia seksualnego”, „dyktaturę seksualną”, „otępiający odór seksu”, „przeklęty seksualizm naszych czasów”, „niegodny człowieka seks”, „tę zarazą” itd. Odstępowanie od seksu wciąż jest powiązane z groźbą popadnięcia w „chaos”; człowiek afirmujący rozkosz dla samej rozkoszy, „zniża się do poziomu życia zwierzęcia”, staje się ofiarą „bezlitosnego zniewolenia”, które prowadzi do perwersji i sadyzmu, a kończy się to „zbrodnią na tle seksualnym” i „degradacją narodu” – brzmi to wszystko tak samo, jak tysiąc czy pięćset lat temu.

I nie może być inaczej, bo przecież moralisci są całkowicie zależni od papieżstwa, które i w XX wieku jest arcyreakcyjne, jest najbardziej wpływowym reprezentantem moralności seksualnej, nadal w swej istocie średniowiecznej.

W encyklice Costi connubii z 1930 roku ważny sojusznik Mus-soliniego, Hitlera i generała Franco Pius XI wyznaje co prawda, że jest „do głębi poruszony skargami małżonków, którzy przez nękającą ich biedę nie wiedzą, jak zdołają wychować dzieci”. Ale – mimo poruszenia – „fatalna sytuacja majątkowa” nie może się stać „przyczyną jeszcze bardziej fatalnego błędu”. Skoro bowiem akt płciowy w małżeństwie „powinien ze swej natury budzić nowe życie, to ci, którzy swoim działaniem świadomie pozbawiają go jego naturalnej mocy, postępują wbrew naturze”. Encyklika Piusa XI o małżeństwie uznaje wszystko, co przeszkadza realizacji kurialnej żądzy władzy – wciąż propagowanej jako władza „boska” – za „grzeszne”, „nagane”, „nieobyčajne”, za „wielką winę”. Wszyscy, którzy „przez niechęć do błogosławieństwa, jakim są dzieci, unikają ciężaru, ale chcą zażywać rozkoszy”, postępują wręcz w sposób „zbrodniczy”.

Taką samą moralność rozpowszechniał następca Piusa XI – Pius XII. „Wszelki zamach małżonków – pouczał w roku 1951 włoskie akuszerki – na spełnienie aktu małżeńskiego albo na jego naturalne następstwa, z zamiarem pozbawienia tego aktu właściwej mu mocy i zapobieżenia powstaniu nowego życia, jest nie-obyčajny”. Ów papież twierdził nawet, że ta norma „będzie obowiązywać i jutro, i zawsze”. A w odpowiedzi na pismo Światowej Federacji Młodych Katoliczek, domagające się większego liberalizmu, Pius XII jeszcze raz podkreślił „konieczne obowiązywanie prawa moralnego” (a więc oczywiście rzymskiego katolicyzmu) i wyjaśnił, że „zdrada małżeńska, stosunki płciowe osób nieżonatych i niezamężnych, nadużywanie małżeństwa, samozaspokajanie” są „surowo zakazane” przez boskiego prawodawcę. Zakończył ostrym tonem: „Nie ma czego badać. Jakakolwiek jest sytuacja osobista, nie ma innego wyjścia: trzeba się podporządkować”.

W roku 1968 nawiązał do starej tradycji zwalczania rozkoszy Paweł VI swą encykliką *Humanae vitae*, zwaną „encykliką o pigułce” (choć nie wspomina ona o pigułce, ale jednak również jej dotyczy) i przyjętą na całym świecie niechętnie, także przez katolików. Nadal dopuszczała ona tylko uwzględnianie dni niepłodnych, o czym już była mowa, natomiast zabraniała wszystkiego, co zapobiega zapłodnieniu, „już to przed aktem płciowym małżonków, już to w jego trakcie albo po nim”, i dekretowała, że „każdy akt płciowy w małżeństwie musi jako taki (per se) być zorientowany na tworzenie życia ludzkiego”, i to nawet wtedy, „gdy istnieją zasługujące na rozpatrzenie, ważne argumenty na rzecz innej praktyki”.

Drugi sobór watykański też nie pozwalał „dzieciom Kościoła wkraczać w regulacji urodzeń na drogi zakazane przez doktrynę w związku z interpretacją prawa bożego”.

Yaticanwn Secun-dum nazywa aborcję „ohydną zbrodnią” (konstytucja pastoralna nr 51). Zasadniczo przeciwny przerywaniu ciąży jest również protestantyzm, ale po stronie ewangelików obserwuje się ostatnio przejawy tendencji bardziej humanistycznej; poza tym protestantyzm dopuszcza wszelkie formy kontroli urodzeń, o ile nie powodują szkodliwych dla zdrowia skutków ubocznych.

Jednakże wszystkie Kościoły chrześcijańskie w mniejszym czy większym stopniu podtrzymują tradycyjny pesymizm seksualny, zwłaszcza Kościół rzymskokatolicki. Tak więc byłoby błędne, wręcz absurdalne, mniemanie, iż moralność kleru pod tym względem zmieniła się ostatnio. Po pierwsze dlatego, że niewiele albo i nic nie znaczy kilka lat pozornego przystosowywania się, skoro poprzedziły je prawie dwa tysiąclecia chybionego wychowania ze wszystkimi jego straszliwymi następstwami. Po drugie dlatego, że – mimo istnienia postępowej mniejszości wśród moralistów – kościelna „literatura uświadamiająca” w swej masie trzyma się starego podziału na popęd cielesny i przeżycia duchowe, na ciało i duszę, nic więc się nie zmienia. Po trzecie dlatego, że ogół katolików (i nie tylko katolików) ma niewielki pożytek z małych koncesji teologów „bardziej postępowych”, a intelektualistów karmi się pozorami odmiany na lepsze. Po czwarte dlatego, że i „poważna” teologia moralna stoi wciąż w tym samym miejscu, w którym stała zawsze. I po piąte dlatego, że Kościół może w każdej chwili wycofać się ze wszystkich ustępstw, jeśli będą po temu sprzyjające okoliczności.

Rekapitulacja dziejów prowadzi do niepodważalnego – w każdym razie nie do podważenia przez teologa moralistę – wniosku, że wierni zawsze byli jednakowo uwikłani w grzeszność seksualną. Paweł grzmi przeciw temu bardzo podobnie, jak czyni to wczesny czy późniejszy scholastyk albo dwudziestowieczny moralista. Czyżby przez dwa tysiące lat wychowywano daremnie?

Pewne jest przynajmniej to, że katolicka instytucja pokuty nie może się obejść bez grzesznika. Pewne jest i to, że nikt nie zdawał sobie z tego lepiej sprawy, niż sam kler. Tak, był tego świadomy, ale też nie chciał, by ludzie byli inni, chciał, żeby owieczki pozostały nie zmienione – i to jest najważniejsza konkluzja tej naszej rekapitulacji.

Początkowo, w pierwotnym chrześcijaństwie, działało się tak być może bez ukrytych intencji, bez ewidentnych hipokryzji. Ten domysł wynika z surowości pierwszych kar. Ale gdy jednorazową pokutę zastąpiono dwu- i wielokrotną (jak mówi Nietzsche: „Ktoś porusza usteczkami, / Ktoś dyga i się oddala, / I nowymi grzeszkami / Sprawia, że starych nie ma wcale”), to zaczęło być coraz bardziej oczywiste, że nie chodzi o obyczajność, etykę, „poprawę” grzesznika, lecz o stworzenie zależności. Kler potrzebuje grzechu, z niego żyje. A najlepiej żyje z tego grzechu, który zdarza się najczęściej i dlatego jest jego ukochanym dzieckiem: z grzechu seksualnego. Przez niego właśnie wierny staje się – aż po najgłębsze włókno mózgu i ostatni skrawek łóżka – niewolnikiem Kościoła, od najmłodszych lat jest wychowywany w nienawiści do popędu, zaszczepia się mu świadomość grzechu, nie po to, żeby był wolny od grzechu, lecz po to, żeby wciąż popadał w konflikty, by ciągle grzeszył, ciągle ulegał pokusie, bo tylko jako winny, jako ten, który nie zapanował nad sobą, otrzymuje pomoc od Kościoła, absoluqę i nadzieję na upragnione wieczne zbawienie, inaczej mówiąc, przez to właśnie staje się człowiekiem manipulowanym, rządzone, uciskanym.

Kler propaguje ofiarę, rezygnację, i pragnie ich. Ale liczy się „ze słabością” ludzkiej natury, nad która obłudnie ubolewa, gdy tymczasem stanowi ona źródło największego szczęścia, podstawę egzystencji kleru. Luter, często okazujący się najbardziej szczerym z tego bractwa,

sformułował to bez ogródek: „Bądź grzesznikiem i grzesz do woli, ale pokładaj ufność w Chrystusie i raduj się z nim”. I chyba jeszcze dobitniej: „Prawdziwi chrystusowi święci muszą być dobrymi, wielkimi grzesznikami i muszą pozostać świętymi”.

Ten czy ów obojętny katolik, protestant, bezwyznaniowiec mógłby powiedzieć: co mnie obchodzi ta cała przeszłość chrześcijaństwa i dzisiejszy Kościół?! Ale trudno o pogląd bardziej fałszywy i bardziej niebezpieczny. Bo chociaż znaczenie duchowe chrześcijaństwa jest teraz niewielkie, mniejsze niż kiedykolwiek przedtem, równe zeru, to jednak wpływa ono nie tylko na politykę i gospodarkę, ale również, i to w sposób decydujący, na naszą moralność w sprawach seksu, a tym samym na każdego człowieka w świecie zachodnim, nawet na niechrześcijan i wrogów chrześcijaństwa. To, co sobie myśleli jacyś tam wędrowni pasterze kóz sprzed dwóch i pół tysiąca lat, wciąż ma wpływ na oficjalne kodeksy Europy i Ameryki. I dziś jeszcze istnieje ewidentny związek między perwersyjnymi poglądami na seks proroków Starego Testamentu czy Pawła a odpowiedzialnością karną za nierząd – w Rzymie, Paryżu, Nowym Jorku.

W Republice Federalnej Niemiec również występuje nadal tendencja do utożsamiania prawa z moralnością, zwłaszcza co się tyczy obyczajności i moralnej oceny seksu, i jest to niewątpliwie spuścizna po tłumieniu popędu w chrześcijaństwie. Ustawodawca powołuje się monotennie, nużąc, na „pojmowanie obyczajności”, „dotychczasową obyczajowość”, „zasady moralne narodu” – za tymi formułkami kryje się tylko stara wrogość chrześcijaństwa wobec seksu. A Federalny Trybunał Konstytucyjny powołuje się *ipsisssimis verbis* na „publiczne związki wyznaniowe, zwłaszcza oba wielkie Kościoły chrześcijańskie, z których nauk znaczna część narodu czerpie mierniki dla swej postawy moralnej”.

Analogiczna sytuacja panuje w wielu innych krajach europejskich. Kościelny zakaz kazirodztwa znajduje swój wyraz w praktyce sądowniczej, pojęcie nierządu rozciąga się nawet na małżonków i grożą za to bardzo surowe kary, dzieci urodzone na skutek zdrady małżeńskiej nie mogą zostać zalegalizowane nawet przez późniejszy związek małżeński z ich matką, karze się za aborcję, za stosunki z nieletnimi, za reklamę antykoncepcji – wszystko to i wiele więcej przy zasadniczej zgodności z moralnością Kościoła.

Nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie religia i prawo są przecież w teorii rozdzielone, ta pierwsza ma wielki wpływ na legislację. Werdykty sądów amerykańskich w sprawach karnych opierają się po dziś dzień na jurysdykcji seksualnej angielskich sądów cywilnych z okresu późnego średniowiecza, dla których wzorem są z kolei kościelne dekrety w kwestiach dotyczących seksu.

Ale, niezależnie od obowiązującego prawa czy raczej bezprawia, również obyczajowość powszechna – zresztą nie tylko na Zachodzie – jest nader represyjna. Bo mimo wszelkich naruszeń tabu obowiązuje ono nadal. Zbyt głęboko utkwіło w świadomości *mas* i nie tylko *mas*. Potworności staro- i nowotestamentowego zabobonu wciąż oddziałują poprzez teologię, prawo, a nawet pewne obszary medycyny i psychologii, i w znacznym stopniu szkodzą naszemu życiu płciowemu – i w ogóle naszemu życiu.

Rekapitułując, byłoby naiwnością sądzić, że klerykalne tabu już nie istnieje, że wrogość wobec rozkoszy została przezwyciężona, że kobieta się wyemancypowała. Tak jak nas bawi dziś średniowieczna *mnisia* koszula, tak przyszłe pokolenia będą się śmiały z tego, co my pojmujemy jako „wolną miłość”: życie płciowe, które nie śmie pokazywać się publicznie, ukryte w czterech ścianach, przepędzone do – ach, jakże wolnej! – „sfery intymności”, najczęściej skazane na nocną ciemność, jak wszelkie inne ciemne sprawy, a jednak kulminacja

radości, rozkoszy, miłości – ograniczane przez cenzurę, regulowane prawnie, obwarowane karami, ciągłe, dożywotnie ukrywanie się, źródło już to depresji, już to niebezpiecznych aktów agresji, jedna z głównych przyczyn hysterii, oziębłości, strachu, melancholii, obłudy.

Chrześcijaństwu można i trzeba zarzucić wiele, i to rzeczy potwornych, dla których nie ma usprawiedliwienia. Najpoważniejszy zarzut brzmi tak oto: chrześcijaństwo nie uczyniło ludzi szczęśliwymi, wpędziło ich w jeszcze większe nieszczęście.

Ale niech tę zwięzłą rekapitulację zakończą słowa nie przeciwnika chrześcijaństwa, lecz teologa, Demosthenesa Sawamisa: „Zazdrość, mordy, samobójstwa, najróżniejsze przejawy obłudy, częsta frustracja i agresja, totalne uprzedmiotowienie kobiety [...], zdegradowanie wspólnoty dwojga ludzi przez zamianę jej na dożywotnie więzienie, ponadto zaniedbywanie głównych zadań małżeństwa i rodziny oraz odpowiedzialnej troski o dzieci – oto niektóre z licznych skutków wrogiej seksualizmowi moralności Kościołów, które jeszcze dziś, powołując się na Chrystusa, bronią na wszelkie sposoby swego destrukcyjnego oddziaływania na życie seksualne ludzi [...]”. Ecrasez L'infame albo O potrzebie wystąpienia z Kościoła [...] nazywają siebie chrześcijanami, a są to wilki w owczej skórze.

Dlaczego zwracamy jeszcze uwagę na tego trupa? Na ogromne zwłoki dziejowego potwora? Na resztki po monstrum, które dopadło, rozszarpało i pożarło wiele istot ludzkich (braci, bliźnich, istot stworzonych na podobieństwo Boga!), a czyniło to ze spokojnym sumieniem i świetnym apetytem przez półtora tysiąclecia – tak jak się trafiały ofiary, tak jak zdawało się pożytecznie, wszystko to na większą chwałę molocha i gwoli lepszemu utuczenia siebie: monstrum pożerało ojców i matki, dzieci i starców, chorych i kalekich, ubogich duchem i talentami, miliony pogan, miliony Żydów, miliony czarownic, miliony Indian (co najmniej piętnaście milionów z jednego pokolenia!), miliony Afrykańczyków, miliony chrześcijan, wszystkich tych ludzi oczerniono, a potem zostali zabici i strawieni przez owo monstrum; było wśród nich również siedemset tysięcy prawosławnych, których – jeszcze w naszych czasach – żywcem grzebano, żywcem rozpinano na krzyżach, bito aż do ostatniego tchnienia, topiono, rozstrzeliwano, uśmiercano sztyletami, duszono, wieszano, ścinano, którym przeryzano gardła, wykluwano oczy, ucinano uszy i nosy. Wszystko to zaś działo się zgodnie z dawnym obyczajem, z pomocą bardzo aktywnego duchowieństwa, zwłaszcza franciszkanów! – które samo strzelało, dźgało, skracało o głowę, i to z błogosławieństwem i aprobatą Eugenio Pacellego, papieża Piusa XII, tego zawsze tak seraficznego na pozór ascety, szanowanego i niemalże ubóstwianego na całym świecie, a poza tym tak skromnego, z takim samozaparciem, tak przez całe życie przywiązanego do ewangelicznego ideału ubóstwa, że (tak, nie mogę się powstrzymać, żeby tego nie powtarzać bezustannie) pozostawił po sobie tylko symboliczny grosik, grosik świętego Piotra albo, by tak rzec, grosik Eugeniusza, grosik Pacellego w wysokości osiemdziesięciu milionów marek w złocie i walucie – wszystkie te pieniądze zarobione całkiem prywatnie, dzięki pracowitości oraz oszczędnemu życiu, ciężkim własnym trudem (bo przecież potrzeba tylko jednego, nieprawdaż?), i dlatego właśnie za tak apostolską metamorfozę, za tak piękne naśladowanie Chrystusa czeka go niebawem kanonizacja. Ach, jakaż satyra w światowej literaturze jest lepsza, równie dobra czy choćby w połowie tak dobra, jak żywot tego najślawniejszego papieża naszych czasów!? I podczas gdy stryj Eugenio, święty aż po końce delikatnych, wąskich i długich palców (ach, niezapomniane są udzielane nimi błogosławieństwa!), zainkasował osiemdziesiąt milionów, jego trzech bratankowie, wszyscy doskonale ustawieni i w stolicy apostolskiej, i w wielkim biznesie, dorobili się stu dwudziestu milionów marek – a ile milionów katolików zmarniało tymczasem w nędzy, umarło z głodu?

Czy zatem nasze pytanie początkowe i nasza na pozór tak anachroniczna autopsja nie są już bardziej zrozumiałe: dlaczego nadal przypatrujemy się temu potworowi przemawiającemu jak anioł, który przecież od dwustu lat jest martwy, bo w doskonałym stylu pokonany przez kilka najtęższych umysłów świata, ale w gruncie rzeczy martwy z własnej winy, przez straszliwą żądzę krwi (występującą równocześnie z głoszeniem dobrej nowiny oraz miłości bliźniego i wroga) i przez niezrównany fałsz (gdy tymczasem ten potwór podawał się za źródło jedynie zbawiennej prawdy)? Przypatrujemy mu się wciąż, bo z tym swoim cudownym żołądkiem – tylko on jest u niego cudowny! – nadal leży to tu, to tam i na ludzkich oczach marnieje, choć jest rozpieszczany i odkarmiany bardziej niż święte krowy w Indiach (które przynajmniej są żywe i nie szkodzą nikomu); bo jego woń ciągle jeszcze unosi

się dokoła w powietrzu; bo nadal atakuje nas w habitach i sutannach, w katedrach i koszarach, za pośrednictwem parlamentów, paragrafów, podręczników, kiczowatych piśmideł, rozgłośni radiowych; wszędzie jeszcze średniowiecze, wszędzie nabożne zawołanie, radosne „Alleluja!” i głośny zachwyt z powodu zmartwychwstania, a potem: zdjąć hełmy do modlitwy i rzucić się do masowego grobu ofiar atomu – bo ci uprawiający wolną amerykanke chrześcijanie dopuszczają nawet wojnę jądrową, nawet bomby atomowe – tak pouczają oni – mogą przysłużyć się miłości bliźniego, mogą rozpropagować naukę świętego Franciszka i teologu krzyża, choćby miało dojść do powszechnej zagłady. „Mamy bowiem – to słowa ojca Gundlacha S. J., profesora i rektora Uniwersytetu Papieskiego za pontyfikatu Piusa XII, którego wizje atomistyczne propagował on z wielką elokwencją – niezachwianą pewnością, że świat nie trwa wiecznie, a po drugie nie ponosilibyśmy odpowiedzialności za koniec świata. Moglibyśmy wtedy powiedzieć, że Pan Bóg [...]”.

Czyżby, jeszcze po zagładzie świata? Ale nic to, dla nich nie ma nonsensu, który nie byłby możliwy i który uchodziłby za przestępstwo. Najważniejsze to stać przy Panu Bogu. Z pokolenia na pokolenie w jego imieniu wypowiadano kłamstwa, torturowano, dokonywano rzezi, z jego pomocą strumyki i rzeki zabarwiały się na czerwono od krwi i w ciągu dziejów nagromadziły się całe góry trupów, z Bogiem przeciw Żydom, z Bogiem przeciw Longobardom, Sasom, Saracenom, Węgrom, Brytyjczykom, Polakom; z Bogiem przeciw albigensom, z Bogiem przeciw waldensom, z Bogiem przeciw mieszkańcom Steding, husytom, gezom, hugenotom, chłopom; z Bogiem przeciw protestantom, z Bogiem przeciw katolikom, a przede wszystkim z Bogiem przeciw sobie nawzajem, z Bogiem na pierwszą, na drugą wojnę światową, z Bogiem wyruszy się pewno i na trzecią; nie mające sobie równych ekumeniczne święte zabijanie: bo w tym kończącym się wieku dwudziestym wszędzie jeszcze występuje maksimum środków zagłady oraz minimum człowieczeństwa, jeszcze u progu ery atomowej najczystszej wody etos ludożerczy, wszędzie jeszcze – gdy tymczasem stąpa się po Księżycu (co prawda tylko po to, by kiedyś kontynuować mordowanie; tam właśnie albo stamtąd) – średniowieczna mentalność rodem ze składowiska trupów, wszędzie jeszcze trupi zapach chrześcijaństwa, w którym przemieszały się kadzidło, muzyka Palestriny oraz głosy takich ludzi, jak o. Lep-pich; jeszcze w czterysta lat po śmierci Giordana Bruna, trzysta lat po śmierci Pierre'a Bayle'a, dwieście lat po Wolterze, sto – po Nietzschem, pięćdziesiąt – po Freudzie, tak zawstydzająco, tak fatalnie mało osób opuszcza ten Kościół, który całe generacje przodków nie tylko podkładał pod nóż państwa albo i sam uśmiercał, lecz ponadto przez półtora tysiąclecia zubożał ich w sposób zgoła straszliwy, ten Kościół, który już przez Karla Kautskiego został nazwany „największą machiną wyzysku, jaką świat kiedykolwiek oglądał”.

Nie bez kozery właśnie papieże, namiestnicy Chrystusa, surowo zabraniali przez całe stulecia czytania Biblii w języku narodowym, co więcej, do roku 1897 uzależniali to od zgody rzymskiej inkwizycji – wystawiając sobie w ten sposób najbardziej kompromitujące świadectwo niczemności! Bo tak jak wszystkie owe masakry, ludobójcze kampanie, rzezie pogan, pogromy Żydów, polowania na kacerzy, stosy, pale oraz izby tortur, wieże dla czarownic, wyprawy krzyżowe, wszystkie owe rzekomo miłe Bogu jatki, owe niezliczone wojny i wojenki, w które Kościół był zaangażowany bezpośrednio lub pośrednio (a w ile wojen w Europie nie był zaangażowany?), tak jak całe to mordowanie wcale nie było zgodne z intencjami tego, który przecież chciał pokoju i miłości wroga, tak też uprawiana przez kler od czasów antycznych polityka eksploatacji, przyczyna niewyobrażalnych nieszczęść, pozostaje w jaskrawej sprzeczności z postawą owego Jezusa, który według Biblii żyje w całkowitej

biedzie, w ostrych słowach potępia „niesprawiedliwą mamonę” i „fałsz bogactwa”, żąda od swoich uczniów, by sprzedali wszystko, co posiadają, i by głosili ewangelię bez trzosa za pasem.

Ale już w III wieku biskupi przyznają sobie prawo do zaspokajania wszystkich swoich potrzeb z dochodów Kościoła. W IV wieku stają się sojusznikami państwa, które wręcz wysysa krew ze swych poddanych. A już w V wieku biskup Rzymu jest największym posiadaczem ziemi w cesarstwie rzymskim. Od dawna tłumi się wszędzie protesty polityczne, likwiduje się zamieszki chrześcijan na tle socjalnym w Afryce, Hiszpanii i Galii, a zarazem elokwentnie obiecuje się biedakom szczęście w zaświatach, między innymi po to, by tym łatwiej było ich wyzyskiwać na tym świecie.

Już w VI wieku pobiera się kościelną dziesięcinę, zalegalizowaną później przez Karola Wielkiego, pogromcę Sasów, i Kościół otrzymuje ją aż do XIX wieku. W ósmym stuleciu zostaje na skutek oszustwa uzyskane Państwo Kościelne, którego istnienie jest potem wciąż na nowo potwierdzane prawnie przez władców frankijskich i tych z dynastii saskiej, a terytorium powiększane, i wreszcie własne wojska lądowe i marynarka wojenna – uzbrojone po zęby – toczą wojny. Grabi się wszystko, co jest do zagrabienia, twierdze i zamki, całe hrabstwa i księstwa. Kradnie się wszystko, co jest do ukradzenia: już w IV wieku mienie świątyń pogańskich, w VI wieku mienie wszystkich pogan, potem majątek milionów wygnanych albo zabitych Żydów, dobytek spalonych kacerzy i często również dobytek spalonych osób płci obojga, które oskarżono o czary. Okradani są nie tylko ludzie inaczej myślący, ale i wierni tego Kościoła, poprzez coraz to inne i coraz wyższe podatki, poprzez czynsz dzierżawny, świętopietrze, szantaże, sprzedaż odpustów, rzekome cuda, fałszywe relikwie, przy czym często inkasuje się pieniądze dzięki ekskomunikom, interdiktom oraz za pomocą miecza; ze zrozumiałych względów najbardziej wyzyskiwany jest naród włoski, a sam Rzym staje się najbardziej buntowniczym i najuboższym miastem Europy Zachodniej: liczba jego mieszkańców spada z dwóch milionów w czasach pogańskich do niecałych dwustu tysięcy w XIV wieku.

W średniowieczu Kościół posiada – oczywiście nie tylko w następstwie grabieży i wojen, ale i dzięki dotacjom ze strony tych, z którymi był podczas owych rabunków i walk w sojuszu – jedną trzecią całego europejskiego arealu i ziemia ta jest obrabiana przez pańszczyźnianych chłopów, często przez swoich właścicieli traktowanych gorzej niż bydło. Nie jest przypadkiem, że w czasach rozkwitu chrześcijaństwa za takiego chłopca nie płaci się nawet połowy tego, co za konia! Nieprzypadkowo posiada Kościół, który już w IV wieku – w związku z potrzebą taniej siły roboczej dla coraz większych majątków ziemskich – zaostrza i umacnia niewolnictwo, prawdopodobnie największą liczbę niewolników. Nieprzypadkowo uniemożliwia ich wyzwalenie jako „dobra kościelnego”, co nigdzie indziej nie występuje; mało tego, w kolejnych stuleciach zwiększa zniewolenie tych ludzi. Nieprzypadkowo ów „dar boży”, jak nazywa to Ojciec Kościoła Ambroży, owa „instytucja chrześcijańska”, jak określa to za Tomaszem z Akwinu Egidiusz Rzymianin, uzyskuje nawet jeszcze większe znaczenie w Europie Południowej u schyłku średniowiecza. Nieprzypadkowo papieski Rzym jest spośród wielkich miast europejskich tym, które najdłużej utrzymuje niewolnictwo. I nieprzypadkowo nowożytnie niewolnictwo Murzynów amerykańskich, stanowiące bezpośrednią kontynuację niewolnictwa średniowiecznego, jest usprawiedliwiane tymi samymi argumentami teologicznymi: powoływaniem się na zrównanie religijne i na wolę bożą. Inaczej mówiąc: jeśli przedtem niewolnik był posłuszny przez bezradność i ze strachu, to potem Kościół

chrześcijański narzucił mu ślepe posłuszeństwo jako obowiązek etyczny! (I tak jak jemu, tak w gruncie rzeczy wszystkim – wszystkim żołnierzom i osobom cywilnym, w ogóle wszystkim chrześcijanom).

Albowiem Kościół, w ogóle Kościoły chrześcijańskie wszelkich wyznań stały zawsze po stronie właścicieli niewolników, wyzyskiwaczy: katolicki, który już w starożytności (co widzimy w pismach Augustyna) wysławiał ideał „pracowitej biedy”, pocieszał niewolników tym, że ich los jest zgodny z wolą Boga, natomiast ich panom wyjaśniał korzyść wynikającą dla nich z takiego wpływu na niewolników; Kościół Lutera, który sam w sposób iście kleszy zaprzedał straszliwie eksploatowanych chłopów władcom, umacniając tak i zapewniając kontynuację panowania tych ostatnich aż do XX wieku; angielski Kościół oficjalny, który jeszcze przez cały wiek XIX nie reagował w ogóle na przerażającą nędzę angielskich robotników rolnych i przemysłowych – pod wieloma względami gorszą niż antyczne niewolnictwo – i raczej wybaczyłby, jak pisał Marks, zamach na trzydzieści osiem spośród trzydziestu dziewięciu artykułów swojej wiary niż na jedną trzydziestą dziewiątą własnych dochodów; oraz Kościół prawosławny Rosji, który aż do 1917 roku posiadał tam trzecią część ziemi i eksploatował naród nie mniej niż car, którego najwyższej władzy trzeba było się podporządkować – według pierwszego artykułu kodeksu imperium – „bo to nakazuje sam Bóg”. Zawsze, jak już powiedzieliśmy, w imię boże. I bieda też w imię boże. Tak samo wczoraj, jak dzisiaj, kiedy to zmieniły się co prawda – zauważmy, że z konieczności – metody, ale wyzysk pozostał.

Bo skąd wziął się ogromny kapitał będący dziś w posiadaniu Kościołów? Przewyższa je wszystkie bogactwem Kościół katolicki, który nadal dysponuje największym areałem ziemi w świecie chrześcijańskim, którego akcje i inwestycje kapitałowe szacowano już dziesięć lat temu na blisko pięćdziesiąt miliardów marek; któremu podlega kilkanaście banków w samym Rzymie; do którego należy de facto również największy prywatny bank świata, Bank of America, bo Kościół ma w nim pięćdziesiąt jeden procent udziałów, który posiada niemałe zapasy złota w Fort Knox oraz kapitał zainwestowany w najróżniejsze przedsiębiorstwa, między innymi w liczące się firmy hiszpańskie, francuskie towarzystwa naftowe, gazownie oraz elektrownie w Argentynie, boliwijskie kopalnie cyny, brazylijskie fabryki kauczuku, przemysł hutniczy w Stanach Zjednoczonych, General Motors Corporation, największe włoskie towarzystwo lotnicze „Alitalia” oraz zakłady samochodowe Fiat, ponadto w cały szereg przodujących włoskich firm ubezpieczeniowych i budowlanych, w ubezpieczenia na życie i ubezpieczenia materialne w Niemczech, w badeńskie fabryki aniliny i sody, w fabryki farb w Leverkusen, w towarzystwo naftowe Deutsche Erdöl Aktiengesellschaft, w hamburskie elektrownie, w esseńskie kopalnie węgla kamiennego, w nadreńskie huty stali, w koncern Yereinigte Deutsche Metall-werke, w Siiddeutsche Zuckeraktiengesellschaft, w Gesellschaft fiir Lindes Eismaschinen (maszyny do produkcji lodów), w firmę Siemens & Halske AG, w firmę Mannesmann AG, w BMW itd., itd., nie mówiąc już o bankach stanowiących własność Kościoła...

Kościół, kampanie wojenne, kapitał są od czasów Konstantyna po dziś dzień tak nierozdzielnie związane ze sobą, tak ewidentnie złożyły się na ciąg bezustannych potworności, że nawet obrońcy Kościoła przyznają teraz, iż nie wszystko jest zgodne z ideałem i boskie, iż ziemskie dzieje Kościoła mają bardzo ludzki, być może aż nazbyt ludzki bieg. Pojęcia człowieczeństwa i nadmiernego człowieczeństwa nie są tu najstosowniejsze, skoro Kościół, reprezentujący religię zdecydowanie nakazującą miłość bliźniego i wroga,

masakruje i pozwala masakrować swoich bliźnich i wrogów gorzej niż było i czyni to nie jeden raz, nie dziesięć razy, nie sto razy, ale przez półtora tysiąclecia; skoro przezeń, bezpośrednio i pośrednio, zginęło więcej ludzi niż za sprawą jakiegokolwiek innej religii na świecie i przypuszczalnie nawet za sprawą wszystkich innych razem wziętych! I chyba jednak mamy do czynienia z pewnym nadużyciem pojęć człowieczeństwa i nadmiernego człowieczeństwa, skoro „naśladując” tego, który z całą surowością kontynuował bezwzględnie antykapitalistyczne nastawienie żydowskich proroków oraz żyjących we wspólnocie majątkowej esseńczyków, który nauczał: „Nie zbierajcie skarbów na tej ziemi [...]”, „sprzedajcie to, co posiadacie, albo oddajcie to biednym”, „nie będzie moim uczniem żaden z was, który nie pozbedzie się wszystkiego, co posiada” i podobnie; skoro „naśladując” właśnie jego, powtórzmy jeszcze raz za Kautskim, Kościół stał się najbardziej gigantyczną machiną wyzysku na świecie; skoro, po wielu stratach w wieku oświeconym, w tym stuleciu w sojuszu z Bogiem i wszystkimi supergangsterami faszyzmu – od Mus-soliniego poprzez Hitlera i generała Franco aż po Pavelicia – znowu uzyskuje kolosalne bogactwo i dzięki żebraniu, datkom, podatkom i ogromnym udziałom w wielkim przemyśle Europy i Ameryki bezustannie je powiększa, jak chętnie wyznaje, musi powiększać, bo – oprócz duszpasterstwa wojskowego i głupoty ludzkiej – już tylko pieniądź jest ową opoką, fundamentem, na którym spoczywa dzisiaj chrześcijaństwo (nie tylko) rzymskie i na którym marnieje, ważne jedynie dla umysłów prymitywnych i dla tych, co czerpią z niego korzyści.

Gwoli usprawiedliwienia się wypowiedane są twierdzenia, iż ideały ewangeliczne stawiają bardzo wysokie wymagania, iż nie powinno się potępiać chrześcijaństwa i Kościołów za to tylko, że nie realizują owych ideałów w całej pełni, że realizują je połowicznie albo w jeszcze mniejszym stopniu. Ale, powtórzmy, pojęcia człowieczeństwa i nadmiernego człowieczeństwa zostają jednak cokolwiek nadużyte, skoro w każdym kolejnym stuleciu i tysiącleciu realizuje się coś wręcz przeciwnego, krótko mówiąc, skoro Kościół dowiódł całą swoją historią, że jest symbolem, ucieleśnieniem i absolutnym mistrzem zbrodni dziejowej! Zbrodniczych poczynań, w obliczu których nawet ktoś tak zdegenerowany jak Hitler wydaje się niemalże człowiekiem honoru, bo przecież od początku występował na rzecz przemocy, a nie – tak jak Kościół – na rzecz pokoju!

Jaskrawy kontrast między ideałem a rzeczywistością ujawnił zresztą niebawem to, co było i jest łatwo rozpoznawalne, główną cechą charakterystyczną wszelkiego chrześcijaństwa kościelnego: występujący w nim od starożytności czynnik niezmiennej obłudy, który odbił się negatywnie na egzystencji sześćdziesięciu pokoleń chrześcijan; ponadto ów kontrast sprzyjał rozwojowi dosłownie niewiarygodnej sztuki egzegezy, polegającej na przeinaczaniu sensu wszelkich słów Jezusa istotnych z etycznego punktu widzenia; kłamano interpretując, wypaczając, znajdując co innego, niż Jezus chciał powiedzieć, a zamiast tego wszystko, co trzeba było znaleźć, i wykazywano przy tym o wiele więcej cynizmu i hipokryzji niż uczciwości i człowieczeństwa.

Kościół chrześcijański całkowicie się zdyskredytował nie tylko z pacyfistycznego i socjalnego punktu widzenia, ale i pod trzecim względem, który jeszcze musimy omówić: co się tyczy prawdy. Bo przecież nieprawdziwe są już nawet podstawy wiary! Jeśli zatem przyjąć, że te Kościoły mogłyby nagle, po tylu wiekach grabieży i mordów, przemienić się we wspólnoty pod względem etycznym nieskazitelne, nawet w symbole człowieczeństwa (co de facto jest niemożliwe, bo żyją one z krwi dostarczanej różnym państwom), to przecież nadal byłyby nieprzekonujące co do dogmatów, jako że właściwie nic nie łączy tych Kościołów z

Jezusem, lecz przeciwnie: prawie wszystko oddala od niego – szczęśliwie wiadomo to nie tyle o zajadłych libertynach, ile o całych generacjach chrześcijańskich teologów, których żmudna praca, akrybia przy krytycznym badaniu Biblii jest wprost niewyobrażalna dla laika.

Nie wiemy z całą pewnością, czy postać Jezusa z Nazaretu – o której milczą wszystkie pozachrześcijańskie źródła historyczne jego stulecia (prócz ślepych, którzy przejrżeli, kalekich, którzy odzyskali władzę w nogach, zmarłych, którzy zostali wskrzeszeni) – czy ta postać jest historyczna. Ale wiemy z całą pewnością, że Jezus biblijny – którego radykalny etos, chociaż nie do zrealizowania przez masy, zasługuje na największy szacunek – pomylił się w swym niezachwianym przekonaniu o bliskim końcu świata i nastaniu sądu ostatecznego, pomylił się tak samo, jak wszyscy inni apokaliptyczni heroldowie, jak wcześniejsi prorocy żydowski i perscy, którzy zapowiadali koniec świata, i jak całe późniejsze pierwotne chrześcijaństwo.

Wiemy i jesteśmy pewni tego, że ewangelie – przez czołowych teologów naszego stulecia scharakteryzowane jako ahistoryczne zbiory anegdot, które należy wykorzystywać z największą ostrożnością – nie są dziełami pierwszych apostołów ani żadnych świadków naocznych; że zostały skompilowane dopiero w kilkadziesiąt lat po domniemanej śmierci Jezusa z obiegowych opowieści i zmyśleń ewangelistów, i że jeszcze w II wieku nie uważano ich w chrześcijaństwie za święte i wynikłe z boskiej inspiracji; że żadna ewangelia, i w ogóle żadne pismo biblijne, nie istnieje w oryginale, w pierwotnym brzmieniu, lecz jedynie w odpisach dokonywanych z kopii innych odpisów; że kopiści przez ponad dwa wieki wprowadzali zmiany, zamierzone i nie zamierzone, robili zabiegi harmonizujące, uzupełniali, poprawiali, przez co oryginalny tekst Biblii jest często nie do ustalenia z jakąkolwiek dozą prawdopodobieństwa, a co dopiero z całkowitą pewnością, natomiast liczba różnych lekcji zbliżyła się do pięćdziesięciu tysięcy.

Wiemy z całą pewnością, że tak w chrześcijaństwie, jak i w ogóle w antyku, od początku przyzwalano na pobożne oszustwo, że należało ono niejako do literackich obyczajów tamtej epoki; dlatego nie tylko Paweł, któremu też przypisano pewne listy biblijne, sfałszowane bądź w całości, bądź częściowo, wyznaje, że chodzi jedynie o to, by głosić chwałę Chrystusa, „z ukrytymi intencjami albo bez nich”, a oprócz niego Ojciec Kościoła Jan Chryzostom, patron kaznodziejów, całkiem otwarcie opowiada się za potrzebą kłamstwa dla zbawienia duszy, i to powołując się nawet na przykłady ze Starego i Nowego Testamentu; również Orygenes, jeden z największych i najszlachetniejszych chrześcijan, z całą stanowczością dopuszcza oszustwo i kłamstwo jako „zbawienne”. Podana przez Nietzschego definicja chrześcijaństwa jako sztuki świętego kłamstwa znajduje swoje potwierdzenie w całej protestanckiej krytyce Biblii. „Fałszerstwa – pisze dziś teolog Carl Schneider w swej monumentalnej pracy *Geistesgeschichte des antiken Christentums* (Duchowa historia starożytnego chrześcijaństwa) – rozpoczynają się w epoce nowotestamentowej i nigdy nie ustają”.

Wiemy i jesteśmy pewni tego, że Jezus jest coraz bardziej ubóstwiany w kolejnych ewangeljach – od najstarszego tekstu Marka poprzez późniejsze ewangelie Mateusza i Łukasza aż po najmłodszy tekst Jana – ale jeszcze w III wieku nie jest na ogół utożsamiany z Bogiem, lecz wyraźnie temu ostatniemu podporządkowany, i taka była powszechna doktryna Kościoła! Wiemy z całą pewnością, że młodsze ewangelie systematycznie poprawiały starsze, że nie tylko postać Jezusa, ale także postacie jego uczniów są coraz bardziej idealizowane i wciąż przybywa coraz wspanialszych cudów.

Wiemy i jesteśmy pewni tego, że Paweł, właściwy twórca chrześcijaństwa, raczej

ignorował osobę Jezusa i fundamentalnie zmienił jego naukę, że nie tylko wprowadził ascezę, brzemienne w skutki pogardę dla kobiety i deprecjację małżeństwa, ale i sformułował szereg zupełnie nowych dogmatów, całkowicie sprzecznych z nauką Jezusa, jak na przykład doktrynę predestynacji, doktrynę odkupienia, całą chrystologię; że między nim a jerozolimskimi apostołami toczyły się długie spory teologiczne, bo w chrześcijaństwie w ogóle, nawet w pierwotnej gminie, nie było nigdy jednolitości prawd wiary, a zamiast tego już w III wieku istniały dziesiątki, w IV wieku zaś już setki rywalizujących ze sobą „wyznań”, spośród których zwyciężył w końcu katolicyzm, bo przejmował wszystko, co przydatne, z innych wielkich „herezji”, zrećnie unikając przy tym popadnięcia w skrajności, był bowiem najlepiej zorganizowany i najbrutalniejszy w owej walce konkurencyjnej. Cała historia dogmatów to przecież jeden łańcuch intryg, przemocy, denuncjacji, przekupstwa, fałszowania dokumentów, ekskomunik, banicji oraz mordów. A przy tym wszystkim – to też wiemy z całą pewnością i jest to wystarczająco tragikomiczne – nie ma w chrześcijaństwie w ogóle niczego, co mogłoby pretendować do oryginalności z punktu widzenia dziejów ideologii i religii. Wszystko bowiem – od centralnych idei po marginalne obyczaje – zostało przejęte od „pogan” albo od Żydów: zapowiedź Królestwa Bożego, status dzieci bożych, miłość bliźniego i wroga, idea Mesjasza-Zbawiciela, prorocтва Odkupiciela, jego pochodzenie, cudowne narodziny z łona dziewicy, hołd pasterzy, prześladowanie go już w kołysce, kuszenie przez szatana, nauczanie, cierpienie, śmierć (również na krzyżu), zmartwychwstanie (również w trzecim dniu albo po trzech dniach, a więc w dniu czwartym, bo i ta chwiejność w ewangeliach bierze się ewidentnie stąd, że zmartwychwstanie boga Ozyrysa świętowano w trzecim, a boga Attysa – w czwartym dniu od jego śmierci), jego objawienie się w postaci cielesnej, jego zstąpienie do piekła i wniebowstąpienie, nauka o grzechu pierwotnym, doktryna predestynacji, trójca, chrzest, spowiedź, komunie, liczba siedem dla sakramentów, liczba dwanaście dla apostołów, samo apostołstwo, urząd biskupa, kapłaństwo, diakonat, sukcesje, łańcuchy tradycji, Matka Boska, kult Madonny, miejsca pielgrzymek, tablice wotywnie, czczenie relikwii, jasnowidztwo, cuda, takie jak chodzenie po wodzie, uciszanie burzy, pomnażanie jądła, wskrzeszanie – po cóż wyliczać: nic nowego! I wszystko to powtarza się w chrześcijaństwie bynajmniej nie tylko w swej zewnętrznej postaci, jako analogia formalna, jako wyłącznie pa-ralelność obrzędów, ale również z takim samym znaczeniem, tyle że pod innymi nazwami, a często nawet bez zmiany nazwy.

Wobec zafałszowanych podstaw wiary traci właściwie sens, tak częste obecnie, rozważanie ewentualnej reformy Kościoła. Bo gdyby naprawdę chciano nawiązać do Jezusa, a dziś oznacza to oczywiście nawiązanie do owego Jezusa, którego bez mała dwieście lat badania ewangelii przez krytycznych teologów uwolniło od wizerunku legendarnego, nawiązanie stanowiące warunek konieczny wszelkiej reformy! – to musiałby Kościół zrezygnować ze wszystkiego, czym jest, z czego się składa, z sakramentów, dogmatów, biskupów i papieża! Żadna reforma chrześcijaństwa nie ograniczyłaby się do reform, lecz stałaby się rewolucją, przewrotem w stosunkach międzyludzkich. To wynikałoby – niezależnie od rezultatów badań krytycznej teologii – z samego nakazu miłości wroga! Co więcej, wynikałoby to już z przykazania miłości bliźniego, przez jednego z najprzystojniejszych antycznych chrześcijan, Ojca Kościoła Bazylego (który cały swój ogromny majątek, podlegający opodatkowaniu przez trzech władców, niezwłocznie i całkowicie podarował biednym) skomentowanego takim oto zdaniem: „Kto kocha bliźniego swego jak siebie samego, ten nie posiada więcej niż bliźni”. (Niestety, byłoby to śmieszne, gdybyśmy choćby przez chwilę jeszcze kontynuowali tę myśl –

śmieszne, trzeba to przyznać, w obliczu praktyki chrześcijańskiej, ale i komunistycznej).

Zajmijmy się jednak, na zakończenie, nieco mniej utopijnymi pomysłami reformy, bo czyż nie reformowano od niepamiętnych czasów? Czyż już drugie pokolenie chrześcijan nie reformowało tego, co pozostało po pierwszym, czy Kościół pokonstantyński nie reformował przedkonstantyńskiego: reformowali Bonifacy i Hugo z Cluny; reformowano w Górze, Brogne, Hiersau, Siegburgu, Ein-siedeln; reformowano w Konstancji, Bazylei, Trydencie. Reformowano – i to niemało – w Rzymie.

Innocenty III, który nie tylko antycypował hitlerowską gwiazdę dla Żydów, nie tylko wprowadził do prawa kanonicznego mnóstwo surowych sankcji antysemitycznych oraz podjudził chrześcijan przeciw albigensom i waldensom – „powstań i przepasz sobie miecz”, dobrze znany chrześcijański język, na który zareagowano tak wymordowaniem dwudziestu tysięcy mieszkańców Beziers, jak również rozpoczęciem dwudziestoletniej (oczywiście „świętej”) wojny domowej – ale który ponadto tak był uwikłany w konszachty wojenne i finansowe, że biskup Jakub z Vitry wyrzekł, iż nie pozwalano już na mówienie o sprawach duchowych, jest uważany za jednego z największych reformatorów wśród papieży. A Luter okazywał się, gdy reformował to, co naprawdę istotne, jak wiadomo, bardziej papieski niż papież i chyba posłał na stos więcej czarownic, stał się o wiele zjadlejszym antysemitą (na którego słusznie powoływał się w Norymberdze Streicher), żądał, by wszystkie synagogi i szkoły żydowskie podpalono, „by zburzono ich domy”, „by odebrano im modlitewniki i pisma talmudyczne”, „by zabroniono im u nas publicznego chwaleń Boga, dziękowania mu, modlitw, nauczania, i to pod karą śmierci”, i wzywał też szlachtę do „duszenia, dźgania, zabijania po kryjomu i otwarcie, jak komu wypadnie” wyzyskiwanych przez nią chłopów, „tak jak trzeba zabić wściekłego psa”; był to reformator tak wybitny, że sam przyznał: „Największymi mordercami są kaznodzieje [...]. Ja, M. Luter, pokonałem wszystkich zbuntowanych chłopów, bo ka-załem ich zabić; cała ich krew spada na mnie. Ale przypisuję to naszemu Panu i Bogu, on przykazał mi tak mówić”.

Oczywiście jak zawsze: w imieniu Boga! Najgorsze gangster-stwo w dziejach świata zawsze w jego imieniu. I tak to, z Bogiem, dalej odnawiali oni i doskonalili, po dziś dzień trwa bezustanna re-formatio in capite et membris: z etycznego punktu widzenia ciągle wielkie masakry – aż po dwie wojny światowe, czczone jako „kru-q'aty” i prowadzone przy znaczącym poparciu Kościoła (czemu towarzyszyły papieskie apele o pokój!). A w dogmatach coraz dziwniejsze zmyślenia – aż po dogmatyzację (przez wiele stuleci podawanego w wątpliwość również w Rzymie) cielesnego wniebowzięcia Maryi, za sprawą niesławnej pamięci Pacellego, który – choć bardzo niechętny proletariatu – był w tak cudownych stosunkach z ową żoną galilejskiego cieśli (podobnie też z czołowymi faszystowskimi inicjatorami wojen i z wielkim kapitałem), iż ukazała mu się na niebie w trzy kolejne dni (o godzinie szesnastej) w roku 1950, w którym to został zdefiniowany ów dogmat.

O Boże – naprawdę nie mogę się powstrzymać, muszę go wezwać – a więc pojawiają się nowi reformatorzy? Inspiratorzy ekumenizmu i tacy, co go realizują? Rzecznicy unae sanctael Inicjatorzy dialogu ze światem? Ewangelizatorzy ateistów? Ci, którzy otwierają się na lewo i na prawo? W jakim charakterze się pojawiają, jaka jest ich funkcja? Chyba jednak pojawiają się jako ci, co przedłużają owo nieszczęście, wykonawcy zaleceń hierarchii, która właśnie dzięki nim – jak po każdej reformie – będzie nadal egzystować, ciesząc się jedynie uszczęśliwiającymi beneficjami i jedynie uszczęśliwiającą władzą, mając do dyspozycji biskupów i kapelanów polowych, całą armię asystujących teologów „moralistów”, i mając

papieża, który gdy giną ludzie, wzrusza apelami o pokój i przypomina o przysiędze wojskowej! Reformatorzy? Zaledwie kosmetycy trupa. Mianowani konserwatorzy zwłok, co już cuchną i nie potrzebują reformy, lecz raka, który by je uprzętał. „Dar Konstantyna”

Czyżby świat chciał być oszukiwany? Zwłaszcza w tym, z czym wiąże największe nadzieje – w religii. I najbardziej przez tych, co wymyślili „zbożne oszustwo”? Jak pisze jeden z naszych klasyków teolog Herder, nie było ono „już wkrótce grzechem, lecz zasługą na chwałę bożą i ku zbawieniu dusz”.

Fałszerstwa zaczynają się w Nowym Testamencie i niebawem przeważają nad prawdą, a twierdzenie, iż w średniowieczu istniało niemalże tyleż sfałszowanych dokumentów, annałów, kronik, ile prawdziwych, nie jest chyba przesadzone; trzeba dodać, że aż po właściwe średniowiecze oszustami byli prawie wyłącznie duchowni. (Albo, jak to eufemistycznie wyraża historyk Bosi: „Prawdą jest, że fałszerze prawie nigdy nie byli ludźmi świeckimi”). Niezliczeni przedstawiciele kleru, zakonnicy, przysparzali w owych czasach swojemu Kościołowi, poprzez fabrykowanie fałszywych dyplomów lub interpolację dyplomów oryginalnych, korzyści politycznych, ekonomicznych, prawnych, krótko mówiąc: pieniędzy, władzy, prestiżu.

Ale fałszerstwo, o którym teolog Kantzenbach mówi, że „nie miało właściwie znamion przestępstwa”, zapewne dlatego, iż jest największym i najskuteczniejszym – tak zwany „dar Konstantyna” – zostało dokonane w połowie VIII wieku. Jakie było jego tło historyczne, jakie motywy i jaki cel?

Wcześniej papieże, coraz potężniejsi dzięki tym, co stali nad nimi, dzięki wschodniorzymskim cesarzom, doprowadzali stopniowo do skutku separację od wschodniego imperium – z pomocą Longobardów. Gdy jednak ci ostatni zapragnęli dla siebie całej Italii, stali się zbyt niebezpieczni dla papieży. I jeśli przedtem Rzym zwracał się razem z imperium wschodnim przeciw jego wrogom, potem zaś razem z Longobardami przeciw imperium wschodniemu, to teraz uciekł się do pomocy Franków dla pokonania Longobardów. Papież Grzegorz III usiłował niejednokrotnie podjudzić Karola Młota przeciwko królowi Longobardów Liutprandowi, chociaż byli oni zaprzyjaźnieni.

Podżeganie do wojny odbywało się przy pomocy świętego Piotra i stało się już bardzo modne w polityce kościelnej. Nawet w pierwszych listach do Karola Młota czytamy: „Budujemy na tym, iż darzysz świętego księcia apostołów Piotra i nas samych synowską miłością i że przez wzgląd na cześć, jaką żywisz dla niego, zastosujesz się do naszych zaleceń”. „Wysłuchaj życzliwie mojego żądania, bo wówczas książę apostołów wpuści cię do Królestwa Niebieskiego”. „Zaklinam cię na żywego, prawdziwego Boga i na najświętsze klucze grobowca świętego Piotra, które przesyłamy ci w darze, byś nie przedłożył przyjaźni dla królów longobardzkich nad miłość do księcia apostołów”. „Upominamy cię w obliczu Boga i jego strasznego sądu”. „Obawiamy się, iż zostanie ci to poczytane za grzech” – długo kontynuowana taktyka kija i marchewki.

Na nic nie zdały się jednak pochlebstwa i groźby, dary w postaci wielce wątpliwych relikwii, ogniwa łańcuchów, które krępowały niegdyś księcia apostołów.

Późną jesienią 741 roku zmarli obaj: Karol Młot i Grzegorz III, ten, który jako ostatni z biskupów Rzymu poprosił rezydującego w Konstantynopolu cesarza o potwierdzenie swojej godności. I gdy następca Grzegorza papież Zachariasz (741-752) przechytrył Longobardów w ten sposób, że na pozór całkiem legalnie pozbawił ich starego króla niejednego kasztelu i rozległego lenna, a nowy król z żoną i córką trafili za sprawą papieża – już to nakłonieni

perswazją, już to zmuszeni – do klasztoru, i gdy brat Ratchisa longobardzki król Aistulf zaczął brać odwet, wówczas nowy papież Stefan II pospieszył do Franków.

W środku zimy w żałobnym stroju przekroczył Alpy. Na początku stycznia 754 roku padł razem ze swą świtą na podłogę zamku Pepina w Ponthion, koło Chalons nad Marną, ubrany w worek, z głową posypaną popiołem, i przez łązy, powołując się na zasługi świętych apostołów Piotra i Pawła, błagał Pepina, by ten wyrwał i jego, i wszystkich Rzymian z rąk Longobardów. „Nie chciał wstać – opowiada frankijski kronikarz – dopóki król, jego synowie oraz dostojnicy spośród Franków nie podali mu rąk i nie podnieśli go z podłogi na znak przyszłej pomocy i wyzwolenia”.

Pepin został osadzony na tronie przy aprobachie papieża Zachariasza w roku 751, kiedy to prawowitego króla Childeryka III, ostatniego Merowinga, postrzyżono i umieszczono w klasztorze. Teraz oto ów uzurpator i krzywoprzysięzca, który jako pierwszy nazwał siebie trafnie władcą „z bożej łaski”, przysiągł, iż docenia „pożyteczną rolę świętego Piotra w cesarstwie rzymskim”; wkrótce po tym papież przywłaszczył sobie prerogatywy cesarza i mianował Pepina oraz jego synów patrycjuszami Rzymian. Tytuł patricius Romanorum, do 751 roku noszony przez cesarskiego namiestnika, egzarchę Rawenny, oznaczał wszelako jaskrawe pogwałcenie prawa i faktyczne oderwanie się od Bizancjum.

Papież wciąż wspominał podówczas o „państwie błogosławionego Piotra i świętym Kościele bożym”. W kwietniu 754 roku, podczas zgromadzenia rady państwa Franków w Ougierzy (Carisiacum), zostaje postanowiony „dar Pepina”, równoznaczny z utworzeniem Państwa Kościelnego. Pepin obiecuje Stefanowi II ogromne terytoria, przyrzeka świętemu Piotrowi coś, co wcale nie jest jego, Pepina, własnością, lecz należy do cesarza: większość ziem włoskich, zwłaszcza że cesarz Konstantyn jakoby już wcześniej obiecał o wiele więcej.

Jeśli wszystkie wskazówki nie są mylące, to tak zwany dar Konstantyna – najbardziej spektakularna kulminacja niezliczonych szalbierstw duchowieństwa w średniowieczu – zrodził się na początku lat pięćdziesiątych VIII wieku w otoczeniu Stefana II, prawdopodobnie jeszcze przed jego podróżą do państwa Franków. Według Waltera Ullmanna i innych badaczy, wszystko wskazuje na to, że „miejszem narodzin tego falsyfikatu była kancelaria papieska”. Nawet katoliccy historycy papieżstwa Seppelt i Schwaiger piszą przecież: „Ów dokument został zapewne sporządzony w kręgach rzymskich, być może z okazji podróży Stefana II do państwa Franków, żeby nakłonić króla Pepina do spodziewanych donacji terytorialnych we Włoszech”.

Potrzebny był tytuł prawny do owych nader finezyjnie uzyskiwanych ziem. Prawdopodobnie właśnie podczas sesji rady państwa w Ougierzy przełamał Stefan opór Pepina za pomocą dokumentu, który ogłaszał świętego Piotra prawowitym suwerenem i właścicielem ziem włoskich, papieża zaś osobą obdarzoną godnością cesarską, wręcz cesarzem Zachodu.

Wzorem dla sławetnego Constitutum Constantini była, powstała chyba w Rzymie pod koniec V wieku, Legenda sancti Siłve-stń, jedna z najpoczytniejszych opowieści hagiograficznych chrześcijaństwa, znana we Włoszech, w Anglii, w państwie Franków. Posługując się tym gatunkiem literackim, kler często dokonywał aktów o znaczeniu historycznym. Już na początku VI wieku, kiedy toczyli ze sobą wojnę papież Symmachus i antypapież Wawrzyniec, owa legenda znalazła zastosowanie przy okazji fałszerstw Symmachiańskich, którymi chciano na wszelkie możliwe sposoby dowieść, że nikt nie może sądzić papieża.

Jak czytamy w tej obiegującej świat w rozmaitych wersjach, przekazanej w setkach odpisów postylli, cesarz Konstantyn był prześladowcą chrześcijan, za co został ukarany wysypką na ciele, z której go jednak papież Sylwester wyleczył, a potem ochrzcił. Ale faktycznie Konstantyn nigdy nie prześladował chrześcijan, lecz uprzywilejowywał ich niebywale, nigdy nie dręczyła go wysypka i nigdy nie został też ochrzczony przez Sylwestra; tym, który go ochrzcił, był przecież biskup Euzebiusz z Nikomedii, „kacierz” ariański, a stało się to dopiero w roku 337, gdy cesarz był na łożu śmierci, papież Sylwester zaś nie żył już od dwóch lat. (Kościół czci Sylwestra 31 grudnia – tak jakby w każdy ostatni dzień roku chciał sobie przypomnieć, co mu zawdzięcza).

Przyjmując za podstawę bajkę, sfabrykowano dokument, którym papieństwo w oszukańczy sposób uzyskało dla siebie Państwo Kościelne, zalegalizowało swą władzę świecką i wręcz odwróciło sytuację, jaka panowała do tego czasu. Zgodnie z owym prawem konstytucyjnym cesarz rzymski, któremu papieństwo dotąd podlegało, został oto podporządkowany papieństwu!

Dokument ten jest sformułowany jako edykt cesarza Konstantyna I (306-337) wydany dla papieża Sylwestra I (314-335), z datą i własnoręcznym podpisem Konstantyna oraz tegoż adnotacją, iż on sam spisał go u grobu świętego Piotra. Z wdzięczności za cudowne wyleczenie się z wysypki cesarz darowuje Rzym oraz cały Zachód Sylwestrowi i jego następcom. Konstantyn potwierdza uroczyście prymat papieża nad patriarchatami Antiochii, Aleksandrii, Jerozolimy, Konstantynopola i prymat na całym globie. Zezwala biskupowi Rzymu na używanie wszelkich oznak godności cesarskiej, przyznaje mu cesarski majestat. Papież ma być głową wszystkich Kościołów, arcykapłanem świata. Monarcha przekazuje w darze jemu i jego następcom pałac cesarski na Lateranie, miasto Rzym, miasta i prowincje Italii oraz cały Zachód. Sam władca – tak kończy się ten falsyfikat – zamierza przenieść swoje imperium na „obszary wschodnie”. Albowiem „nie godzi się, by cesarz ziemski sprawował władzę tam, gdzie powstało wspaniałe państwo i założona została stolica chrześcijaństwa”. Każdy, kto okaże się na tyle zarozumiały, by chcieć sprzeniewierzyć się temu edyktowi, zostanie – jak czytamy – skazany przez cesarza na banicję.

Co skłoniło Pepina do pogodzenia się z tą „donacją” – wyrazem skrajnej megalomanii i niepospolitej żądzy władzy?

Ani jedno słowo w aż pięćdziesięciu listach papieży do Karolingów, od Karola Młota po Karola nazywanego Wielkim, nie wskazuje na jakąkolwiek realną korzyść polityczną, na prawdziwy pożytek dla Franków – bo też żadnych korzyści nie było! Zamiast tego chytrze i nieodmiennie kuszą papieża przychylnością strażnika bramy niebios, świętego Piotra, nagrodą na tamtym bądź już na tym świecie, ale oczywiście straszą też wiecznymi karami; za papieżem stał zawsze właściwy partner kontraktu, święty Piotr we własnej osobie, którego kult owi „namiestnicy” rozwijali systematycznie, zwłaszcza wśród Anglosasów i Franków; na przełomie VII i VIII stulecia był to już ich najważniejszy święty. Adresatami dziesiątków zachowanych z epoki Merowingów dokumentów były klasztory pod wezwaniem świętego Piotra, których od czasów Dagoberta I powstało około trzydziestu. Germanowie zaczęli niebawem czcić Piotra jako gwaranta chwały doczesnej i niebiańskiej, jako wielkiego protektora i wojownika, jako strażnika bramy niebios. Do jego rzekomej krypty grobowej pielgrzymowali z najdalszych krajów nawet ich królowie, a niektórzy wyzbywali się tam koron i bogactwa i przywdziewali habity. Wybieg z wykorzystaniem postaci świętego Piotra – o którym nie wiadomo, ani gdzie, ani kiedy umarł, bo wszelkie relacje na ten temat to „sagi i

bajki" (Kalwerau) – umocnił wczesnośredniowieczną Kurie jak mało które z innych jej poczynąń i, powtórzmy za Gregoroviusem, „ugruntował w istocie... świecką władzę papieża”.

Krótko mówiąc, do posłuszeństwa zmusiły Pepina względy nie polityczne, ale czysto religijne. Przy swym wielkim doświadczeniu wojennym był on bowiem w kwestiach „metafizyki” dosłownie krwawym laikiem, który po prostu okazywał posłuszeństwo „rzymskiej wyroczni” (Zwólfer), dla którego „miłość do świętego Piotra” stanowiła wytyczną postępowania – jak mówi Heller, był to człowiek naiwny, myślący podług swoich zmysłów, któremu Stefan II, znając go na co dzień, mógł obiecywać i grozić: „Nie spraw mi zawodu, a nie zostaniesz odtrącony u bramy do Królestwa Niebieskiego i odłączony nagle od swojej najmilszej małżonki!”

W dniu 28 lipca 754 roku w kościele w Saint-Denis papież jeszcze raz godnie namaścił w imieniu Trójcy Świętej majordoma Pepina, którego odtąd zawsze nazywał „kumem”. Namaścił również jego synów, Karola i Karlomana, czyniąc ich królami „z bożej łaski” (Dei gratia), by tym sposobem umocnić prawowitość władzy uzurpatora. Grożąc karami kościelnymi, Stefan zabronił Frankom wszelkich elekcji królów innego pochodzenia. Pepin ze swej strony przysiągł po tym „boskim potwierdzeniu” jego panowania, iż będzie szanował prawo, zapobiegał grabieżom i niesprawiedliwości, chronił i powiększał mienie Kościoła, co w istocie oznaczało właśnie, grabieże i bezprawie, tym bardziej że Pepin narzucił płacenie klerowi dziesięciny poprzez ustawę państwową, a z ziem dzierżawionych od Kościoła zażądał nawet podwójnej dziesięciny (nona et decima).

Wszystkie te negocjacje, przysięgi, obietnice, w otocze kurialnej „metafizyki”, oznaczały oczywiście po prostu wojnę, który to cel papież osiągnął chyba przede wszystkim dzięki „darowi Konstantyna”.

Żaden król frankijski nie wojował co prawda z Longobardami od ponad stu lat, od czasów Merowinga Childeberta II Longobardowie nie czynili niczego, co mogłoby zostać poczytane za akcję nieprzyjazną. Frankowie widzieli w nich spokrewnione plemię, byli ich przyjaciółmi i towarzyszami broni już od czasu walk z Arabami. Dlatego też frankijscy wielmoże stawiali rzymskim żądaniom opór mający niemalże znamiona buntu. Część wielkich panów groziła porzuceniem króla. Jego rodzony brat, były majordom Karloman pospieszył z Monte Cassino, by zapobiec wojnie albo, powtórzmy za biografem papieża, by „udaremnić dzieło świętego Kościoła”. Karloman wywarł głębokie wrażenie na Frankach, został jednak przez Stefana dyscyplinarnie zamknięty w jednym z klasztorów Vienne, gdzie wkrótce zmarł. W areszcie klasztornym znaleźli się też jego postrzyżeni i przemocą ubrani w habity synowie. Tak jak przed trzema laty papież Zachariasz dopomógł Pepinowi w usunięciu prawowitych władców, Merowingów, tak teraz Stefan udzielił mu wsparcia w pozbyciu się jego własnych krewnych. A jednak Pepin, niegdyś na dworze w Pawii adoptowany przez Longobarda Luitpranda, co zobowiązywało Germanina do bezwzględnej wierności przez całe życie, latem 754 roku przebył ze swoimi wojskami i razem z papieżem Mont Cenis. Stało się to, jak usilnie zapewniał, tylko z miłości do świętego Piotra, w nadziei na nagrodę od Boga. Armia longobardzka została wzięta w kleszcze – od przodu i od tyłu – i poniosła klęskę. Król Aistulf, który ledwo uszedł z życiem, zawarł bardzo niekorzystny dla siebie pokój. Papież jednak, uzyskawszy to, do czego Pepin zobowiązał się w Ponthion, ale nie to, co mu obiecał w Quierzy, nadal podzegał do wojny, której Frankowie mieli już serdecznie dość. Ledwo wrócili do domów, Aistulf złamał narzucony rozejm. I gdy spustoszył kraj, okradł go z relikwii,

otoczył ze wszystkich stron Rzym, przez trzy miesiące oblegając bronione przez frankijskiego opata Warnehara miasto, pontifac majdmus nawoływał do błagalnych procesji i w jednej z nich sam niósł krzyż z bazyliki na Lateranie z przypiętym doń traktatem – zerwanym przez króla Longobardów.

Nieustannie docierały odtąd do uszu Pepina papieskie wołania o pomoc, ów Rzymianin błagał, zaklinał, używał wszelkich rejestrów swojej kaznodziejskiej i retorycznej sztuki perswazji. Na wypadek nieposłuszeństwa zagroził bowiem Pepinowi i jego synom ekskomuniką, a nawet swoistym przyspieszonym sądem ostatecznym.

W wielu listach tak do niego, jak i do świeckich oraz duchownych dostojników państwa Franków, do wojska i całego narodu – swoich „przybranych synów” – odmalowywał papież wymownie nieszczęścia świętego Piotra: zniszczone winnice, pomordowane dzieci, zhańbione siostry zakonne. Twierdził, iż nikt nie potrafiłby opowiedzieć o tym, co uczyniono Kościołowi, tylko kamienie mogłyby to opłakać. Okropną łaciną, naszpikowaną frazesami biblijnymi i słownictwem rodem z najohydniejszego żargonu bizantyńskich kancelarii (od „słodkiego jak miód spojrzenia i oblicza” po „Waszą miodopłynną Wysokość” i ludzi „kapanych w boskości”, deifluo), wyrzekał, kusił, ostrzegał, powołując się na Pana Naszego, na Najświętszą Marię Pannę, na świętego Piotra, na wszystkie niebiańskie zastępy, męczenników i głosicieli wiary, nakłaniał / jednej strony do dokończenia zbożnego dzieła i oddania świętemu Piotrowi tego, do czego ma on „prawo”, z drugiej zaś strony zachęcał, by pomyśleć o „zbawieniu duszy”. „I ty, i twoi urzędnicy będziecie musieli ze wszystkiego zdać sprawę przed sądem bożym”. „W dniu strasznego sądu odpowiecie przed Bogiem i świętym Piotrem. Wiedźcie, że książe apostołów [...]” itd., itd.

Skoro sam (!) książe Piotr napisał w końcu do Franków, i oczywiście w równie złym stylu, strasząc „groźnym Stwórcą wszechrzeczy” i znowu kusząc „wieczną nagrodą i nie kończącymi się nigdy rajskimi rozkoszami” – byleby się pospieszono, byleby się pospieszono! – Frankowie rozpoczęli w 756 roku drugą wojnę. Pepin przekroczył jeszcze raz Alpy i znów tylko gwoli odkupienia grzechów, z miłości do świętego Piotra, którego frankijscy wojownicy wzywali już teraz przed swoimi bitwami. Powtórnie pokonali Longobardów i znowu podyktowali zwyciężonemu twarde warunki pokoju. I już w następnym roku doniósł Stefan królowi Franków o śmierci „tyrana”, tego, który „poszedł za szatanem, upijał się krwią chrześcijan, burzył kościoły”; o tym, że „przebity bożym sztyletem, spadł on w piekielną czelusć”.

Papież miał się z czego cieszyć. Uzyskał władzę nad Rzymem, nad egzarchatem, nad Pentapolis. Zagarnął dwadzieścia dwa grody na pomoc i na wschód od Apeninów, które stanowiły odtąd razem z księstwem rzymskim „dziedzictwo świętego Piotra”, średniowieczne Państwo Kościelne. Bizancjum mogło się spodziewać i spodziewało się, że Pepin jemu przekaże to terytorium. Ale pełnomocnik Pepina opat Fulrad z Saint-Denis ruszył od grodu do grodu, niewołąc najznakomitszych mieszczan jako zakładników i składając klucze od miejskich bram u stóp świętego Piotra. Pepin przekazał bowiem owe ziemie odpowiednim dokumentem jemu i jego namiestnikowi we wieczne władanie, a sprzeczne z tym legatem roszczenia greckiego cesarza odrzucił, oświadczając, że stało się to nie dla dobra jednego człowieka, ale przez miłość do świętego Piotra i gwoli zbawienia duszy.

Wdzięczny kler już w VIII wieku nazywa Pepina „Dawidem”, „Salomonem”, „nowym Mojżeszem”. A Franków wychwala papież Paweł I (757-767) jako „święty naród”. Kuria miała przecież teraz swoje państwo, Państwo Kościelne. Ale z czasem i każdy inny biskup, każdy

opat zapragnął tego, co posiadał biskup Rzymu – własnego „państwa kapłańskiego”. I tak jak papieże uzyskali to swoje w następstwie wojen i oszustw, a potem przez całe tysiąclecie starali się je dalszymi wojnami i szalbierstwami zachować i powiększyć, tak też pozostali książęta Kościoła toczyli niezliczone boje i – biorąc przykład z Rzymu – fabrykowali niezliczone dowody darowizn, nie mniej kłamliwe niż akt „darowizny Konstantyna”.

Co prawda początkowo wykorzystywano ów akt bardzo wstrzemięźliwie, kultywowano tylko pamięć o pierwszym chrześcijańskim cesarzu i jego wzorowym zachowaniu, ale nigdy nie czyniono użytku z samego dokumentu, nigdy Constitutum Constantini nie służyło do legitymizacji uroszczeń. Prawdopodobnie również papieże uznawali ów dokument za fałszywy. Pierwszy powołuje się nań Hadrian I – w swojej korespondencji z Karolem „Wielkim”. Dopiero jednak w połowie IX wieku, gdy ten fałszyfikat uzyskał już pewien prestiż, stał się dokumentem prawnie wiążącym i został zarówno włączony w inne wielkie fałszerstwo Kościoła. Dekret pseudo-Izydora, jak też w końcu uwzględniony w licznych innych kodeksach kanonicznych. Ekspansywna polityka terytorialna papieża, które podporządkowywało sobie stopniowo różne księstwa i całe królestwa, miała swoją podstawę prawną w owej rzekomej darowiznie; powołuje się na nią nadal to „Państwo Kościelne”, które istnieje obecnie.

Nie licząc pewnych wyjątkowych sytuacji, ów dokument spoczywał, właściwie nie wykorzystywany, przez trzysta lat w kościelnych archiwach. Kiedy jednak przyzwyczajono się do tego ogromnego „daru”, a fałszyfikat stał się dokumentem nadzwyczaj autorytatywnym, zaczął odgrywać wielką rolę. Ze względu nań Kościół wyklinał każdego, kto przywłaszczał sobie majątek Kurii albo w jakikolwiek sposób sprzyjał takiemu przywłaszczeniu.

Szczególnie często powołuje się na ten dokument tak zwane papieżstwo czasu reformy. W ówczesnej korespondencji papieskiej są przytaczane jego dłuższe fragmenty. Leon IX (1049-1054) motywuje nim – i to z naciskiem – prymat papieski; papież interpretuje przy tej okazji ów dar jako zwrot, z donere czyni reddere: cesarz zwrócił zatem poniekąd Bogu to, co od Niego otrzymał. W ten sposób uniknął Leon wywołania wrażenia, że Kościół był niegdyś zdany na cesarską łaskę.

Pełną autorytatywność osiągnęło Constitutum Constantini dzięki Grzegorzowi VII. Stało się ono wówczas uznanym elementem prawa kanonicznego. I w czasie wojny przeciw Henrykowi IV, który nigdy nie akceptował papieskich ambicji opartych na zwykłym oszustwie, Grzegorz zażądał, zarówno przy wyborze pierwszego antykróla Rudolfa Szwabskiego w roku 1077 jak i przy elekcji drugiego antykróla Hermana von Salm w 1081 roku, przysięgi zawierającej uznanie owego klerykalnego szalbierstwa.

Powołując się na nie, Grzegorz IX podkreślał wręcz – w XIII wieku – że według Konstantyna papież sprawuje nie tylko rząd dusz na całym globie, lecz także rządy nad wszystkimi ludźmi i rzeczami; nie mogło zatem istnieć niezawisłe cesarstwo, prawdziwym cesarzem był przecież papież. Podobnie podczas ostatniej wielkiej kampanii średniowiecznego Rzymu przeciw cesarstwu, przeciwko Ludwikowi Bawarskiemu w XIV wieku, w wielu kręgach za właściwą podstawę prawną akcji Kościoła uchodził „dar Konstantyna”. Jeszcze w roku 1433 musiał zobowiązać się do honorowania go przyszły cesarz Zygmunt. Tak długo bowiem uważano owo gigantyczne fałszerstwo, którego skutki trudno przecenić i bez którego papieżstwo nie osiągnęłoby pewno swej przyszłej potęgi i późniejszego autorytetu, za autentyczny dokument. Zdarzyli się jednak tacy mądrzy ludzie, którzy nie dali się zwieść.

Po raz pierwszy określił cesarz Otto III (983-1002) w niezwykle zgoła dokumencie skierowanym przeciw Sylwestrowi II (999-1003) ów „dar”, później uznawany nawet przez Dantego za prawdziwy – jako nieważny pod względem prawnym. W wieku XII tanto oszustwo zostało zdemaskowane przez zwolenników Arnolda z Brescii. Jeden z jego uczniów Rzymianin imieniem Węzeł pisał w liście do Fryderyka Barbarossy – wkrótce po wyborze tego ostatniego na króla Niemiec, a więc po roku 1152 – że cały ten „dar Konstantyna” to bajka i kłamstwo, o czym w Rzymie wie się powszechnie i nawet kobiety i robotnicy najemni potrafiliby tego dowieść najuczestszym mężom. W XIII wieku wątpił w autentyczność dokumentu również monarcha tak niepospolity, jak Fryderyk II. W 1440 roku humanista Laurentius Valla, sekretarz papieski i proboszcz bazyliki laterańskiej, definitywnie zdemaskował fałszerstwo. Gdy zaś u zarania nowożytności papież Aleksander VI (1492-1503) zażądał, opierając się na „darze Konstantyna”, od Wenecji, by ta przekazała stolicy apostolskiej swoje wyspy na Adriatyku, poseł Wenecji zaproponował szyderczo Jego Świątobliwości odnalezienie dokumentu i zapewnił, że na odwrocie zobaczy papież uwagę, iż Adriatyk należy do Wenecji.

Historiografia rzymskokatolicka przyznała jednak dopiero w XIX wieku, że było to fałszerstwo. A sama Kuria niejednokrotnie rościła sobie energicznie prawo do uzyskanych w ów podstępny sposób przywilejów, a nawet dzisiaj opiera się na nich. Goethe, który „całą historię Kościoła określa jako pomieszanie omyłek i przemocy”, mówi więc za mało. Nie jest ona bowiem nagromadzeniem omyłek, lecz oszustw – zapewne nie w tym jednym, ale w tysiącach wypadków. Polityka papieży w XX wieku

Syn Człowieczy nie miał na czym złożyć głowy. W Biblii jawi się jako żyjący całkiem biednie. Domaga się rezygnacji z wszelkiego majątku. Żąda pracy misyjnej bez trzosa za pasem. I w pierwotnej gminie istotnie panuje swoisty komunizm. Wywodzący się z niej ebionici również obstają przy wspólnocie dóbr, czynią ubóstwo nieuchronnym obowiązkiem. Zostają co prawda uznani za kacerzy. Jeszcze jednak w IV wieku zdarzają się tacy Ojcowie Kościoła, co głoszą: „Naśladujmy pierwsze zgromadzenie chrześcijan, u których wszystko było wspólne” (Bazyli), „Wspólnota dóbr jest odpowiedniejszą formą życia niż posiadanie prywatnej własności i jest ona naturalna” (Jan Chryzostom).

Ale już w piątym stuleciu biskup Rzymu przewyższa bogactwem każdego innego mieszkańca imperium. W VIII wieku uzyskuje Państwo Kościelne, dopuszczając się oszustw i wywołując wojny. A niebawem i sami papieże będą przywłaszczając sobie zamki, grody i całe księstwa. Inicjują pracę misyjną za pomocą miecza. Prowadzą wojny obronne i zaczepne, wojny domowe, „święte wojny”. Rozpoczynają „zbrojne pielgrzymki”, krucjaty. Jeszcze w XIX wieku posyła Grzegorz XVI w chwili wybuchu rewolucji swoją soldateskę przeciwko Włochom, sprowadza też na pomoc wojska austriackie. I nawet podczas pierwszej i drugiej wojny światowej kapelani polowi na wszystkich frontach, reprezentujący wszystkie strony walczące, popychają wiele milionów ludzi ku śmierci – papieże tymczasem wołają: „Zawrzyjcie pokój! Pokój!”

A równocześnie dochodzi w dziejach papiestwa i do innych oszustw: za pomocą świętych pieluszek i spódniczek, niezliczonych zębów i napletków Pana, mleka Matki Boskiej, piór, jaj Ducha Świętego. Zostaje sfabrykowana Donatio Constantini, największe fałszerstwo w historii. Zostaje sporządzony Dekre-tał pseudo-Izydora, przez wiele wieków sporządza się nieomal tyleż fałszywych dyplomów, annałów, kronik, ile prawdziwych. I podczas gdy samemu sobie przyznaje się wszelkie możliwe przywileje, immunitety, prawo nadawania

tytułów hrabiowskich, prawa handlowe, celne, ulgi podatkowe, wszelkie możliwe statusy wyjątkowe, podczas gdy papieże, biskupi, opaci żyją często w niebywałym przepychu, miewają metresy, burdele, banki, podczas gdy przekupują, szantażują, dopuszczają się szachrajstw, kiedy w grę wchodzi godności, synekury, relikwie, bulle, podczas gdy roztrwaniają dobra kościelne obdarzając nimi krewnych, faworytów, podczas gdy domagają się świętopietrza, procentów, płacenia za odpusty, podatków, dziesięcin i dziewięcin, nie tylko wyzyskują, posuwają się do oszustw, intryg, ale i zadają śmierć, walczą przeciw sobie nawzajem, sztyletem, trucizną; wdając się wciąż w spory prawne, kampanie wojenne, masakrują – tych, co są po ich stronie, i tamtych, pogan, Żydów, „kacerzy”, czarownice, Indian, Murzynów – to nie walka, to rzeź! Krótko mówiąc: Wypełniają posłannictwo. Ewangelizują.

Często stwierdzano – najpierw Goethe, potem Dostojewski, Nietzsche, i wreszcie Henry Miller, który napisał to w liście do mnie – że gdyby Jezus pojawił się znowu, to ukrzyżowano by go jeszcze raz. Ale tylko jeden z kardynałów Kurii był na tyle kompetentny, żeby dodać: „tym razem jednak nie w Jerozolimie, lecz w Rzymie”. Tak, bo przecież w Jeruzalem jeden poświęcił się dla innych, a w Rzymie poświęca się innych dla siebie.

Tymczasem jednak wszystko znacznie się poprawiło, czyż nie tak? Przyjrzyjmy się więc temu – na tym świecie ma się bowiem nie tylko do wyboru wycie w stadzie wilków albo beczenie wśród owiec. Leon XIII (1878-1903)

Polityka Kurii na przełomie stuleci – za czasów Leona XIII i jego sekretarza stanu Rampolli – była zorientowana szczególnie na Francję i carską Rosję. Sądono, że przyszłość należy do ludów słowiańskich, i dlatego wspierano je, a w nagrodę spodziewano się rosyjskiego Kościoła prawosławnego.

Leon XIII, żądny papieskiej suwerenności i duchowej władzy nad całym światem, był właśnie tym papieżem, który miał siebie za bliskiego osiągnięcia owego celu. Chociaż publicznie, podobnie jak wszyscy papieże od czasu utraty Państwa Kościelnego, potępiał wyścig zbrojeń, prywatnie oczekiwał jednak rychłej wojny światowej i tak oto przedstawił jej „niechybne następstwa” w rozmowie z austriackim historykiem Theodorem von Sickelem: „Kwestia wschodnia zostanie natychmiast rozwiązana i zarazem wyeliminuje się islam; Rosja, która będzie korzystać ze wsparcia i rad Kościoła, podyktuje Europie pokój...” Mówiąc te słowa, Leon XIII wstał i przepowiedział klęczącemu przed nim protestantowi Sichelowi: „A gdy to się stanie, wy, protestanci, pójdziecie po prostu za przykładem Rosjan”.

W 1903 roku, gdy sędziwy papież zgasł, obie wielkie koalicje – Francja-Rosja oraz Niemcy-Austro-Węgry – wszelkimi sposobami dyplomatycznymi popierały każda swojego zwolennika. Ale, jak tyle razy przedtem, zwyciężył, w siódmej turze wyborów, ktoś neutralny, patriarcha Wenecji Giuseppe Sarto, odtąd Pius X – zmiana imion charakteryzuje papieży i hochsztaplerów. Pius X (1903-1914)

Wybór Sarta – pozorny kompromis – okazał się wkrótce sukcesem państw centralnych. Wychowany w austriackim regionie weneckim, we wrogości do żyjących po sąsiedzku Słowian południowych, Pius X pozostał przez całe swe życie wierny orientacji antysłowiańskiej. Dlatego też cenił starego, oddanego Kurii cesarza Franciszka Józefa i – jak sam twierdził – „przywiązywał zawsze największą wagę do utrzymania bardzo dobrych stosunków z Austrią”. Przy pomocy bowiem Austrii, której zależało na Ukrainie, chciano podbić Wschód, skatolicyzować Bałkany i ujarzmić rosyjski Kościół prawosławny – było to odwieczne marzenie Rzymu, które w różnych epokach usiłowano urzeczywistnić ekspansją

wojenną i dyplomatyczną, krucjatami, z pomocą niemieckich rycerzy w habitach i szwedzkich wojsk, groźbami, mamieniem, niebywałymi oszustwami: tak oto, około 1605 roku, inscenizując nie mającą sobie równej farsę, osadzono na tronie moskiewskim fałszywego cara, prawdopodobnie zbiegłego mnicha, Dymitra Samozwańca, któremu papież Paweł V zalecił w brewe z 10 kwietnia 1606 roku: „[...] jako że możesz swojemu narodowi nakazać wszystko, co zechcesz, przykaż mu przeto, by uznał namiestnika Chrystusa!”

Przed pierwszą wojną światową nastąpiło także zbliżenie Kurii do cesarskich Niemiec, również skorych do ekspansji na Wschód. A po aneksji tureckich prowincji Bośni i Hercegowiny przez Austrię zażądano, żeby zajęła ona ponadto Albanie – a stało się to na wiedeńskim Kongresie Eucharystycznym w roku 1912. (Kongresy eucharystyczne odbyte zarówno tuż przed drugą wojną światową, jak i w okresach nasilenia zimnej wojny, także służyły zażartej kampanii skierowanej przeciw Kościołowi wschodniemu). W lipcu 1914 roku zaś, po zamordowaniu następcy tronu, minister spraw zagranicznych Austrii hrabia Berchtold oświadczył ambasadorowi Niemiec, iż uważa za wykluczone, by nawet taki rząd, jak serbski, przelknął austriackie żądania. Gdyby jednak tak się stało, to Austrii nie pozostawałoby nic innego prócz prowokowania Serbii dopóty, dopóki nie zaistniałaby możliwość wkroczenia armii austriackiej do Serbii.

Tego właśnie pragnął Pius X, papież „na wskroś religijny”, „czysty niczym Parsifal”! Wszakże nie tylko niejednokrotnie i z dokładnością niemalże co do roku zapowiedział (pierwszą) wojnę światową, globalny kataklizm, guerrone – la guerra che viene, w jego ustach prawie już stereotyp – ale chciał też doczekać się ukarania Słowian „za wszystkie winy”, bo obawiał się, że w przeciwnym razie oddadzą się oni gremialnie pod opiekę Rosji, „największego wroga Kościoła”. Sono tutti quanti barbari – wołał w 1913 roku. I Austro-Węgry powinny były ich pokonać – to nie ulegało wątpliwości. Nie kto inny jak biskup pomocniczy Salzburga, późniejszy książę-arcybiskup Waitz, przyznał w środку wojny, iż „jednym z najważniejszych kroków przygotowujących” do niej był „Kongres Eucharystyczny w Wiedniu”. A wiedeński metropolita kardynał Nagel, szczególnie ceniony przez Watykan, chciał swego czasu „wśród Słowian, rasy bezspornie zyskującej na znaczeniu” znaleźć „oparcie i szerokie zaplecze” dla Kościoła, a nawet mówił o utworzeniu „katolickiego państwa słowiańskiego”.

Tuż przed wybuchem tamtej katastrofalnej wojny za prowadzeniem walki opowiedział się też na łamach katolickiego tygodnika „Großösterreich” późniejszy wiceburmistrz Wiednia E. K. Winter: „Już sześć lat czekamy na ostateczne rozładowanie wszystkich dręczących napięć, które odczuwamy tak dotkliwie w całej naszej polityce. Wiemy, że tylko z wojny może zrodzić się nowa i wielka Austria, szczęśliwe, zapewniające swym ludom spokojną egzystencję państwo wielkoaustriackie, i dlatego chcemy wojny. Chcemy wojny, bo żywimy głębokie przeświadczenie, że tylko poprzez nią, w sposób radykalny, raptowny, osiągniemy nasz ideał: potężną, wielką Austrię, w której austriacka państwowość, austriackie posłannictwo, polegające na obdarzeniu ludów bałkańskich wolnością i kulturą, rozkwitną w słonecznym blasku wielkiej, pomyślnej przyszłości. Już dwakroć kazał nam los chwycić za broń i dwakroć włożyliśmy ją z powrotem do pochw. Za trzecim i ostatnim razem czeka nas zbawienie. Znowu nadarza się nam okazja do przypomnienia sobie o naszym historycznym zadaniu, byśmy stali się hegemonem Bałkanów, znowu wskazuje nam palec boży drogę, którą musimy pójść, żeby nawałnica niedalekich już wydarzeń nie zmyła nas z areny życia – tak jakby Austria nigdy nie istniała. Stawką jest tu: być albo nie być! Jeśli chcemy egzystować nadal jako

wielkie, kulturotwórcze, mocarne państwo i jeśli chcemy sprostać naszemu historycznemu posłannictwu na Bałkanach i na Ukrainie w imię katolicyzmu i europejskiej kultury, to musimy chwycić za miecze... Módlmy się do Boga, by tamtym, to znaczy: kręgom nastawionym pojednawczo, niechętnym wojnie, nie udało się tym razem postawić na swoim, i Bóg, którego jesteśmy narzędziami na tym świecie, wysłucha nas."

Tak pisano w owym katolickim tygodniku, popieranym przez arystokrację i biskupów. I w cesarstwie niemieckim „najgłośniejsze fanfary” słychać było z „szeregów kleru”; i tutaj właśnie prasa ultramontańska domagała się, by jako ultima ratio przemówiły armaty (Jórg).

Nie dziwi więc, że 26 lipca 1914 roku baron Ritter, bawarski charge d'affaires w stolicy apostolskiej, telegrafuje do swego rządu: „Papież aprobeuje stanowczość Austrii wobec Serbii. Kardynał-sekretarz stanu ufa, iż Austria tym razem nie ustąpi. Stawia sobie pytanie, kiedyż Austria mogłaby prowadzić wojnę, jeśli by nie miała nawet tyle determinacji, by zbrojnie dać nauczkę obcemu rządowi odpowiedzialnemu za zamordowanie arcyksięcia”. Również poseł austriacki hrabia Moritz Palffy potwierdza w korespondencji z ministrem spraw zagranicznych, że „Jego Świątobliwość kilkakrotnie wyraził żal, iż Austro-Węgry poniechały ukarania swojego niebezpiecznego naddunajskiego sąsiada” i że kardynał Merry del Val, sekretarz stanu, wyraził 27 lipca 1914 roku nadzieję, iż „monarchia zastosuje środki ostateczne”.

Nazajutrz Austria, początkowo bynajmniej niezdecydowana na to, wypowiedziała Serbii wojnę, ulegając także – i przede wszystkim – presji Berlina. Później Merry del Val i przedstawiciele innych kręgów zbliżonych do Kurii rozgłaszali wiadomość, iż wybuch wojny złamał serce, zmarłemu 20 sierpnia 1914 roku, Piusowi X -r kto wie, czy raczej nie radość z tego powodu. A w roku 1954 został on kanonizowany przez Piusa XII, wielkiego sprzymierzeńca faszystów. Ale, jak pisze Helvetius, gdy się czyta legendy o świętych, znajduje się wśród nich tysiące kanonizowanych zbrodniarzy.

Nawet długo działający w Rzymie katolicki biskup Alois Hudal – uhonorowany Złotą Odznaką Partyjną NSDAP – stwierdza po zapoznaniu się z aktami austriackiej misji dyplomatycznej w Watykanie: „Jak wykazują relacje tego przedstawicielstwa, w kołach watykańskich uważano wojnę z Serbią z religijnego punktu widzenia za obrachunek ze schizmą, która umocniła się wśród wszystkich ludów bałkańskich dzięki kulturalnej i ekonomicznej pomocy Kościoła rosyjskiego i której katolicyzm nie zdołał się już przeciwstawić mimo znacznego nakładu sił i środków. Powrót prawosławnych pochodzenia słowiańskiego i narodowości rumuńskiej na łono rzymskiego Kościoła wyrażał się we wszystkich krajach bałkańskich znikomymi liczbami, niewartymi tego, by je wymieniać.” Benedykt XV (1914-1922)

Następcę świętego Piusa, Giacomo della Chiesa, Benedykta XV, człowieka rażąco niskiego wzrostu, nie całkiem proporcjonalnego, pochodzącego ze starej szlachty genueńskiej, poprzedzała nie najprzychylniejsza fama. Przyczynił się do niej pewien epizod jeszcze z czasów pontyfikatu Leona XIII. Ów papież upatrzył sobie na przełomie stuleci na podsekretarza stanu niejakiego Tarnassiego, zwolennika państw centralnych. Zachowanie pozorów neutralności wymagało przeciwwagi dla całkowicie zorientowanego na Rosję i Francję, potężnego sekretarza stanu Rampolli. Ale Tarnassi zmarł nagle w sposób zagadkowy w 1901 roku, kiedy to – jako w istocie jeden z najniebezpieczniejszych adwersarzy Rampolli – mianowany kardynałem, miał się przenieść do Rzymu. „W Watykanie chodziły słuchy o otruciu, bo śmierć Tarnassiego była nazbyt pożądana, by – w mniemaniu Kurii – mogła

nastąpić z przyczyn naturalnych. Za mordercę uchodził Monsignore delia Chiesa" (Eduard Winter).

Tak czy inaczej, ów markiz i najbardziej zaufany uczeń Rampolli awansował zamiast zmarłego tak nagle Tarnassiego na stanowisko podsekretarza stanu, a po śmierci Piusa X, co prawda dopiero w szesnastej turze wyborów, został jego następcą.

Mimo że Benedykt XV był przeciwnikiem polityki Leona i zwolennikiem Francji, początkowo działał na rzecz państw centralnych, zgodnie z prądową strategią Watykanu: jeśli to możliwe, stać po stronie najsilniejszego, przypuszczalnego zwycięzcy.

Niemcy zdążyły przeciw zająć całą Belgię, Królestwo Polskie i Litwę, zdobyły część Francji, nadbałtyckich ziem imperium rosyjskiego, Białorusi; Serbia i Rumunia również zostały podbite. To zrozumiałe samo przez się, że Kurii leżał na sercu los Austro-Węgier. Nawet katolicki historyk papieżstwa Schmidlin przyznaje: „Naturalną koleją rzeczy już w czasie wojny światowej – przy całej neutralności – w zasadzie zarówno osobista, jak i oficjalna sympatia papieża była po stronie habsburskiej monarchii podwójnej, ze względu na jej katolicki charakter przeciwstawianej schi-zmatyckiej Rosji, protestanckiej Anglii oraz niewierzącej Francji.” Monarchia habsburska stanowiła przeciw jedyne wielkie mocarstwo pozostające w ścisłych związkach z Watykanem, i to takie, które rokowało skuteczną obronę przed Słowiańszczyzną i prawosławiem. Stolica apostolska uwikłała też w wojnę po stronie państw centralnych Bułgarię, realizując w ten sposób jeden z celów swej polityki wschodniej. I mając właśnie na myśli katolickie Austro-Węgry, Benedykt jeszcze wiosną 1915 roku potwierdzał „całkowitą zbieżność naszych interesów”.

I wówczas, gdy Włochy przystąpiły do wojny zwanej *guer-rone* albo *nostra guerra*, wojny propagowanej z zapałem przez włoski kler oraz prasę i organizacje katolickie; wojny prowadzonej jako dalszy ciąg walk przeciw Austrii, jako „czwarta wojna o niepodległość”, za „ujarzmionych braci” w Trydencie i Trieście; wojny, w której błogosławiono wyruszające na front wojska, poświęcano sztandary, w której walczyło z bronią w ręku ponad dwadzieścia tysięcy włoskich duchownych – papież nadal stał po stronie państw centralnych. Jemu i Kurii chodziło przy tym zarówno o przetrwanie katolickiej monarchii nad Dunajem, jak i o własną egzystencję. Od roku 1870 bowiem, kiedy to doszło do konfiskaty Państwa Kościelnego, stosunki stolicy apostolskiej z Włochami były bardzo napięte. Dostojnicy Kurii liczyli się też nadal ze zwycięstwem państw centralnych. Dlatego właśnie Benedykt XV ujawnił ich sztabowi generalnemu w dniu 6 maja 1915 roku planowane przystąpienie Włoch do wojny. Tym samym papież potwierdził inne meldunki na ten temat, Austria zaś mogła przygotować się do odparcia włoskiego ataku, który został natychmiast powstrzymany.

Dopiero gdy „szczęście wojenne” się odmieniło, również Watykan przeszedł do obozu ententy. Ale „*Osservatore Romano*” pisał 24 maja 1919 roku: „Stolica apostolska w czasie wojny nieustannie (*costantemente*) działała na rzecz państw ententy (a favore delie potenze d'eli Intesa), zwłaszcza na rzecz Belgii, Włoch i Francji”. Benedykt zaś oświadczył teraz: „Tę wojnę przegrał Luter”.

Póki jednak trwało owo dantejskie piekło, grał rolę całkowicie bezstronnego „papieża pokoju”. Ale w jednym czasie wykrzykiwał pod adresem wyrzynających się chrześcijańskich narodów swoje piękne biblijne nakazy, głosił pokój, pojednanie, miłość, i – przyjął na siebie odpowiedzialność za duszpasterstwo wojskowe, które narzucało katolickim żołnierzom wzajemne uśmiercanie jako najwyższy nakaz moralny, co było najbardziej zbrodniczą hipokryzją w dziejach świata.

Nie potrafimy pojąć ani tego, ani jego chwiejnej polityki. W państwach centralnych określano go przez pewien czas jako „francuskiego papieża”, w rozumieniu ententy był to „le papę bo-che”, on sam zaś odnosił do siebie słowa Benedykta XIV o „męczeństwie neutralności”. W 1917 roku co prawda jeszcze raz interweniował na rzecz państw centralnych, ale tylko ze strachu przed rosyjską rewolucją. Ta ostatnia musiała wszystkich dostojników Kościoła przyprawić o lęk, zwłaszcza tak beznadziejnie konserwatywnego papieża, wywodzącego się z włoskiej arystokracji papieża, który w swym orędziu urbi et orbi, wygłoszonym w pierwszym dniu roku 1917, nie zawahał się powiedzieć: „Wobec Boga nie ma osób wyżej postawionych, ale – jak mówi święty Bernard – nie ulega wątpliwości, iż Bogu jest miłsza cnota wielkich panów, bo jaśniej świeci. Jezus Chrystus też był szlachcicem, do szlachty należeli i Maryja, i Józef”; mało tego: „namiestnik” stwierdził, że panuje „doskonałe zrozumienie między Chrystusem a szlachtą na tym świecie”.

Ta wojna, *guerrone*, przyniosła Kurii ogromne zyski. Kardynał Gasquet przyznał bez ogródek podczas zjazdu katolików w Liver-poolu: „Zapanowało przekonanie, iż tym, który najwięcej skorzystał na wojnie, był papież!” Teraz jednak nie bał się on niczego tak, jak przewrotu na Wschodzie, tym bardziej że zaczęto się liczyć z proliferacją rewolucji na Polskę i całą Europę. Dlatego też Benedykt uznał wspólnoty unickie za czatę rzymskiego Kościoła, której przypadło w udziale zadanie ruszenia z Białorusi i Ukrainy na Wschód i pozyskanie prawosławnej Słowiańszczyzny dla papieżstwa, co oznaczało inaugurację polityki antybolszewickiej, kontynuowanej o wiele energiczniej przez jego następców.

„Papież pokoju” Benedykt XV odszedł do wieczności w roku 1922; po nim przewodzili Kościołowi dwaj kolejni papieże pokoju. Pius XI(1922-1939)

Wpierw pojawił się w roli papieża jako Pius XI, Achille Ratti, wybrany w czternastej turze głosowania. I z jego pomocą – w ramach programu pontyfikatu: „Pokój Chrystusowy w Królestwie Chrystusa” (w Ewangelii brzmi to: „Pokój na Ziemi”) – pojawili się Mussolini, Franco, Hitler.

Mussolini, autor Nie ma Boga i Metresy kardynała, co prawda jeszcze w 1920 roku określał ludzi pobożnych jako chorych, drwił z dogmatów i stroił się w obelgi adresowane do klechów „niczym w wonny wianek”. Ale już w roku 1921 chwalił Watykan i katolicyzm tak żarliwie, iż kardynał Ratti, którego dzielił rok od wyboru na papieża, zawołał: „Mussolini robi szybkie postępy i żywiołowo zdławi wszystko, co mu stanie na drodze. Mussolini to wspaniały człowiek. Słyszycie? To wspaniały człowiek!”

I papież, i Duce pochodzili z Mediolanu. Obaj nienawidzili komunistów, socjalistów, liberałów. Pertraktowali ze sobą – co obaj potwierdzili – jeszcze przed farsą, jaką był „marsz na Rzym”, przez tego nowego Cezara wykonany w wagonie sypialnym pociągu Mediolan-Rzym. „Pięć minut strzelaniny – stwierdził wówczas szef sztabu generalnego, Piętro Badoglio – i nikt już nie usłyszy nic o faszyzmie”. Ale że Mussolini – w przeciwieństwie do poprzedniego reżimu liberalnego – zniósł wolność prasy i zgromadzeń, a ponadto polecił zawiesić krzyże w szkołach, wprowadzić naukę religii, ochraniać procesje, jak też zwrócić skonfiskowane kościoły i klasztory, to doszłoby do porozumienia, choćby ten ateista nie modlił się do Madonny na oczach zgromadzonych faszystów. Adoracja zawsze pociąga za sobą jakąś diabelską sprawkę.

Pierwszą przysługą tego byłego socjalisty stało się uratowanie od bankructwa Banco di Roma, któremu Kuria i niejednen z jej dostojników powierzyli wysokie sumy, a uczynił to, uszczuplając skarb państwa p półtora miliarda lirów, po czym kardynał Yannutelli, dziekan

„Świętego Kolegium” oświadczył, że Mussolini został „wybrany jako ten, który ocali naród i przywróci mu szczęśliwy byt”.

Następnie Pius XI zaczął z wdzięczności coraz bardziej ograniczać wph/wy antyfaszystowskiej katolickiej partii chłopskiej i nakazał jej przywódcy, sycylijskiemu księdzu Sturzo, rezygnację ze stanowiska w niej, później zaś zażądał wycofania się wszystkich duchownych z tej partii, co równało się jej rozwiązaniu. Papież nie protestował wcale, gdy wielu jej członków, między innymi księży, zginęło z rąk faszystów. I nie zamierzał bynajmniej protestować, gdy mordowano tysiące komunistów i socjalistów. I nawet kiedy najzagorzalszy przeciwnik Mussoliniego, młody wykładowca prawa karnego i zarazem przywódca socjalistów Giacomo Matteotti, który cały swój znaczny majątek rozdzielił między biednych chłopów, został wywieziony i w okrutny sposób zamordowany przez faszystów, na co zareagowano nadzwyczajnym oburzeniem i adresowanym do króla żądaniem odsunięcia Mussoliniego od władzy, nawet wtedy ojciec święty znowu stanął po stronie tego faszystowskiego zbrodniarza i ogłosił 20 grudnia 1926 roku: „Mussolini został nam zesłany przez Opatrzność”.

Trzy lata później doszło do zawarcia układów laterańskich, które przysporzyły faszystom prestiżu – tak jak niebawem konkordat z Niemcami hitlerowskimi przysporzył prestiżu nazistom – ale przede wszystkim przyniosły ogromne korzyści Kurii. Wprawdzie zrezygnowała ona definitywnie z Państwa Kościelnego (które powstało w VIII wieku w następstwie oszustw i wojen, po czym poprzez oszustwa i wojny z górą tysiąc lat było powiększane przez papieży, wielokrotnie je tracących i uzyskujących aż do ostatecznej likwidacji w 1870 roku), w zamian jednak papież uzyskał nieograniczoną suwerenność terytorialną i osobistą w obrębie Citta del Vaticano oraz, jako rekompensatę, „kapitał na miarę banku o zasięgu światowym” – według ówczesnej wartości pieniądza zawrotną sumę miliarda lirów w obligacjach i siedemset pięćdziesiąt milionów lirów gotówką; przy pięcioprocentowej kapitalizacji powstawała roczna renta w wysokości bez mała dziewięćdziesięciu milionów. Kościoły to spółki handlowe, dające wieczny zysk wiernym i doczesny kapłanom. Katolicyzm stał się religią państwową, jego krytyka podlegała karze, śluby kościelne zrównano z cywilnymi, uniemożliwiono rozwody, a naukę religii uczyniono obowiązkową. Wydano zakaz publikacji i filmów skierowanych przeciw Kościołowi. Państwo przyjęło wręcz na siebie obowiązek dostosowania całego swojego ustawodawstwa do prawa kanonicznego.

Oznaczało to koniec duchowej niezawisłości kraju. Pius XI wymógł na faszystach to, do czego nie zdołały doprowadzić protesty czterech papieży wobec liberalnych władz włoskich: kapi-tulację rządu. „Stało się coś, czego nie obserwowano w politycznych stosunkach Włoch z Kościołem od z górą stulecia”. To słowa adwokata Francesca Pacellego, który przez wiele lat, przeważnie potajemnie, osobiście pertraktował z Mussolinim w kwestiach objętych układami, po ich ratyfikacji otrzymał tytuł margrabiego, a gdy jego brata ukoronowano na papieża, został nagrodzony jako negocjator dziedzicznym tytułem książęcym.

Kuria triumfowała. Pius XI znowu dopatrzył się w Mussolinim człowieka „zesłanego nam przez Opatrzność” i nakazał księżom codzienną modlitwę za niego. Owe wydarzenia stały się okazją do uroczystości, w których brali udział dostojnicy kościelni, przywódcy partyjni i generalicja – pod sztandarami faszystowskimi i kościelnymi. Razem z Włochami cieszył się cały świat katolicki; swą radość – wcale gorliwie – okazywały też wierne Niemcy. W Monachium wyraził aprobatę dla owego klerykalno-faszystowskiego zbratania Hitler, i to zgola nie mniej żarliwie niż jego późniejszy entuzjastyczny zwolennik, kardynał Faulhaber. A

nadburmistrz Kolonii Konrad Adenauer, który zimą z 1932 na 1933 rok oświadczył, iż „tak wielka partia, jak NSDAP musi koniecznie stać się partią współrządzającą”, przepowiedział Musso-liniemu w wystosowanym do niego telegramie gratulacyjnym, że zapisze się on złotymi głoskami w dziejach Kościoła katolickiego. Natomiast Pius XI, który w ciągu kilku lat osiągnął tak sensacyjne wyniki dzięki ofiarowaniu partii katolickiej i wyniesieniu Mussoliniego, podjął oto próbę podobnego przewrotu w Niemczech poprzez ofiarowanie Centrum. W obu wypadkach papież zainicjował rozwiązanie partii katolickiej, by umożliwić dyktaturę – we Włoszech: Mussoliniego, w Niemczech: Hitlera.

Ów historyczny przewrót udał się za sprawą sekretarza stanu Eugenia Pacellego, późniejszego papieża. Będąc do 1929 roku nuncjuszem w Monachium i Berlinie, kierował on Partią Centrum (której ponadwyznaniową pochodną stanowi dziś CDU/CSU), to polityczne narzędzie Kurii w Niemczech, coraz dalej na prawo. Jeden z jego pomocników, później szambelan papieski i zastępca Hitlera, Franz von Papen usunął latem 1932 roku – jako kanclerz – socjaldemokratyczny rząd Brauna i Severinga, odwołał zakaz działalności SA i SS i zrobił wszystko, co mógł, żeby doprowadzić do przejęcia władzy przez Hitlera. Drugim człowiekiem w tym spisku był przyjaciel Pacellego, profesor prawa kanonicznego Kaas, który w swej roli przywódcy Centrum nie podejmował żadnej ważnej decyzji bez zgody Pacellego. Natychmiast po przekonaniu swojej frakcji do głosowania za przekazaniem władzy Hitlerowi pospieszył do Rzymu. Stamtąd przesłał Hitlerowi, z którym tuż przed wyjazdem konferował w cztery oczy, czego nie byli świadomi nawet jego najbliżsi partyjni przyjaciele, „szczerze życzenia pomyślności”, zażądał rozwiązania Centrum, co też zaraz nastąpiło, i – porozumiawszy się z papieżem i Pacellim – uspokoił licznie protestujących katolików: „Hitler potrafi poprowadzić nawę państwową. Jeszcze zanim został kanclerzem, spotykałem się z nim niejednokrotnie i wielkie wrażenie zrobiło na mnie jego liczenie się z faktami przy niezachwianej wierności szlachetnym ideałom [...]”.

Skoro Fuhrer otrzymał to, co Fuhrerowi się należało, musiał i papież swoje otrzymać. W dniu 10 kwietnia odwiedzili go Papen i Hermann Göring, który zdążył już zagrozić „nocą drugich noży” i oświadczył: „Moim zadaniem jest nie wymierzanie sprawiedliwości, lecz tylko unicestwienie, eksterminacja”. Pius XI przyjął obu z wielkimi honorami i – wcześniej już kilka razy pochwaliwszy Hitlera za wydanie zakazu działalności partii komunistycznej – ponownie wyraził radość z tego, że – jak stwierdził – na czele rządu niemieckiego stanął polityk bezwzględnie zwalczający komunizm. Niemieccy biskupi zaś, którzy dotąd jednogłośnie zakazywali wstępowania do partii hitlerowskiej pod groźbą kar kościelnych, zaczęli teraz popierać tę partię. Ale ten, kto się decyduje na zmianę punktu widzenia, nie musi zmieniać przekonań, jeśli zmiana przekonań w nich się mieści.

Tak więc już 20 lipca 1933 roku został zawarty konkordat, który Hitler określił jako „trudny do opisanego słowami sukces” i wyraz „całkowitego uznania” jego władzy, bo przecież ten traktat zalegalizował ją z dnia na dzień w oczach całego świata. „W istocie” bowiem – mówił w jednym z kazań w 1936 roku kardynał Faulhaber – „papież Pius XI był najlepszym, a początkowo wręcz jedynym przyjacielem nowej Rzeszy. Miliony ludzi za granicą odnosiły się z początku nieufnie do nowej Rzeszy i zajmowały postawę wyczekującą, a zaufania do nowego rządu Niemiec nabrały dopiero po zawarciu konkordatu [...]”. Skądinąd ojciec święty godził się też na ewentualne sprzeniewierzenie się układom międzynarodowym ze strony Hitlera, bo już wtedy – w tajnym protokole dodatkowym – zawarł z nim umowę na wypadek wprowadzenia powszechnego obowiązku służby wojskowej. Kuria pragnęła re-miilitaryzacji

Niemiec pod rządami Hitlera – tak jak pragnęła remilitaryzacji rządzonej przez Adenauera Republiki Federalnej!

We Włoszech, gdzie w 1931 roku Mussolini wyraził życzenie wszechobecności religii – „[...] trzeba dzieci uczyć katechizmu, i to od najmłodszych lat” – podręczniki dla szkół podstawowych składały się podówczas w jednej trzeciej z fragmentów katechizmu i modlitw, a w dwóch trzecich z apologii faszyzmu i wojny, która zresztą niebawem wybuchła – w Abisynii.

Mussolini przygotowywał tę inwazję potajemnie od 1933 roku, jakoby zmuszony do tego brakiem przestrzeni życiowej dla Włochów. Ale w Italii było jeszcze bardzo wiele nie uprawianej ziemi, która co prawda należała do właścicieli latyfundiów oraz do Kościoła, i dziś jeszcze najmajętniejszego posiadacza ziemi w świecie chrześcijańskim. Faszyści nie mogli sobie pozwolić na utratę sympatii tych pierwszych i tego ostatniego, dlatego też wdali się w wojnę. „Gwiżdżemy – krzyczał Mussolini 6 lipca 1935 roku w Eboli do swoich żołnierzy – tak na wszystkich Murzynów, terazniejszych, dawnych i przyszłych, jak też na ich ewentualnych obrońców”, po czym wszystkim zgromadzonym obiecał „ogień pełnych ołowiu pocisków”. Od dawna był zdecydowany na konflikt zbrojny, potrzebował go. „Nie -wrzasnął po raz drugi – choćby mi wręczano Abisynię na srebrnej tacy, ja chcę ją zdobyć dzięki wojnie”. Podczas gdy pięćdziesiąt dwa państwa członkowskie Ligi Narodów potępiły rozpoczętą 3 października 1935 roku agresję jako bezprawną wojnę zaczepną, włoscy purpuraci nie posiadali się z zachwytu. Ze swych ambon głosili to samo co mówcy partyjni, wzywali do datków na rzecz zwycięstwa, sami ofiarowywali swoje złote krzyże biskupie, łańcuchy, pierścienie, zegarki (w Abisynii zagrabiono złoto negusa, trony cesarskie, korony, powozy, szable, zastawę stołową, w wielu wypadkach rzeczy zawierające mnóstwo złota i usiane szlachetnymi kamieniami). Wyższy kler zażądał też darów wotywnych z klasztorów i sanktuariów będących celami pielgrzymek, a prócz tego zabronił dyskusowania o słuszności wojny, krótko mówiąc, i to słowami napisanymi przez katolika: „Cały świat potępił Mussoliniego – z wyjątkiem papieża”.

Katolicki teolog-moralista Johannes Ude, Austriak, oświadczył wówczas: „Ale chrześcijańskie Kościoły oraz różne państwa przyglądają się tej ohydnej rzezi i tej bezwstydney, otwarcie grabieżczej kampanii i milczą. Milczy także Rzym. Odpowiedzialne osobistości nie zdobywają się na odwagę wykrzyczenia w obliczu tych szatańskich niegodziwości w Abisynii – w imieniu Chrystusa non licet. Tak oto mści się postawa dwulicowa, niezgodność doktryny z praktyką. W ten sposób Kościół staje się jednak pośmiewiskiem i przedmiotem wielkiej irytacji niejednego czło-wieka”.

Ale Rzym nie milczał, Rzym koloryzował. Watykański organ „Osservatore Romano” określił w 1935 roku ową grabieżczą klerykalno-faszystowską agresję jako „akt wspaniałej ludzkiej solidarności”. A wydawane również w Watykanie jezuickie czasopismo „Civiltà Cattolica” pisało butnie w następnym roku: „Wszyscy (!) byli jednomyślni: sprawiedliwa jest ta wojna, a więc i dokonana przemocą aneksja [...]”. Dlatego też Mussolini „z najgłębszą wdzięcznością” mówił o „użytecznej współpracy kleru podczas wojny abisyńskiej” dodając: „[...] a mam na myśli przede wszystkim przykładowy patriotyzm wielu włoskich biskupów, którego dowiedli przekazując swoje złoto lokalnym placówkom partii faszystowskiej, oraz tych kapłanów, którzy umacniali w narodzie włoskim wolę oporu i gotowości do walki”.

Czy wszystko to jednak działo się wbrew woli ojca świętego? Wręcz przeciwnie. Wplatając świadczące o tym słowa w wiele wezwań do opamiętania, w apele o pokój – obowiązkowa

rzymska obłuda – stwierdzał Pius XI, iż wojna obronna [!] w celu ekspansji [!] coraz liczniejszej ludności może być sprawiedliwa i słuszna. Wiedeńskie pismo katolickie „Reichspost” określiło owe wypowiedzi kilkakrotnie – w komentarzu „z kompetentnych kręgów” – jako „jednoznaczne”: „Skoro papież Pius XI jednoznacznie [!] uznaje za sprawiedliwą tak wojnę obronną, jak również wojnę ko-lonialną, jeśli utrzymuje się ona w rozsądnych granicach i ma posłużyć coraz liczniejszej ludności, to chce on całkiem świadomie przyznać Italii w tak wyznaczonych granicach prawo naturalne – i w ramach owego niedoskonałego prawa ludzkiego ponadto uprawnienie do ekspansji w Abisynii”.

Włoskiej ekspansji! Dlatego też „namiestnik Chrystusa” zalecił swoim biskupom, by propagowali i chwalili faszystowskie okrucieństwa za morzem jako „akty słuszne i sprawiedliwe”, jako „świętą sprawę”, „świętą wojnę”, jako – powtórzmy to za szczególnie życzliwie nastawionym do faszystów kardynałem Schusterem, beatyfikowanym za pontyfikatu sojusznika faszystów Piusa XII – „kampanię ewangelizacyjną”, jako „dzieło cywilizacji chrześcijańskiej służące etiopskim barbarzyńcom”! I podczas gdy purpuraci błogosławili broń i bombowce, podczas gdy kazali się modlić za Abisyńczyków i głosili, że ci ludzie są obiektem wielkiej misji cywilizacyjnej – posyłano do Afryki wizerunki Madonny, armaty, gaz trujący, a tamci, półnaczy, padali jednak tam, gdzie dosięgał ich rozpylany z powietrza gaz, który wypalał skórę i rozrywał płuca, po czym wszyscy – martwi czy na wpół martwi – byli likwidowani w sposób najhigieniczny: miotaczami ognia. Wśród najważniejszych dostawców sprzętu wojskowego znalazła się watykańska fabryka amunicji!

Kiedy Abisynia została ujarzmiona i za katolickimi wojskami podążyły całe zastępy braci i siostr zakonnych, kardynałowie i biskupi wysławiali „nowe rzymskie imperium, które poniesie krzyż Chrystusowy po całym świecie – pod przewodem Duce, tego wspaniałego człowieka”. Sam Pius XI też podzielał „triumfalną radość całego tego wielkiego i dobrego narodu z pokoju, który – jak powiedział 12 maja 1936 roku – będzie przypuszczalnie, i na to liczymy, stanowić istotny wkład, preludium do zaprowadzenia prawdziwego pokoju w Europie i na całym świecie”.

Drugie preludium do zaprowadzenia prawdziwego pokoju nastąpiło tegoż lata, rozpoczęła się bowiem wojna domowa w Hiszpanii, kraju przez wiele stuleci aż do granic wytrzymałości eksploatowanym przez Kościół. Sami jezuici, by tylko o tym wspomnieć, kontrolowali w pierwszych dziesięcioleciach XX wieku jedną trzecią całego hiszpańskiego kapitału. (Pod koniec XX wieku posiadają oni największy prywatny bank na świecie, Bank of America, w którym mają pięćdziesiąt jeden procent udziałów). Natomiast Kościół hiszpański, ściśle związany ze szlachtą i wielkim przemysłem – el dinero es muy catolico, pieniądze są bardzo katolickie; tak brzmi tamtejsze porzekadło – kazał niegdyś średniowiecznymi metodami torturować tysiące więźniów i rozstrzeliwać setki ludzi. Już około roku 1910 Hiszpanie w ponad dwóch trzecich nie byli praktykującymi katolikami; około 1930 roku większość robotników pozostawała bez chrztu, choćby dlatego, że ich rodziców nigdy nie byłoby stać na opłacenie chrztu, a ponadto osiemdziesiąt procent chłopów stanowili analfabeci. Jak bowiem przyznał jeden z prawicowych ministrów oświaty, gdy miał wydać zgodę na otwarcie szkoły dla sześciuset dzieci robotniczych: „Nam nie potrzeba ludzi myślących, lecz wołów, co potrafią pracować”.

Niemalże bez kropli krwi zastąpiła Hiszpania w 1931 roku dotychczasowy ustrój republikańskim. Ale już w roku 1933 – ten rok został chyba wybrany nie bez kozery – tamtejsi biskupi w liście pasterskim, a papież w wydanej 3 czerwca encyklice, zażądali „świętej

krucjaty dla przywrócenia Kościołowi pełni praw". Pucz generała Franco przeciw legalnemu rządowi również rozpoczął się z błogosławieństwem purpuratów – „chciałbym kiedyś doczekać tego – pisze Tucholsky – że Kościół nie pobłogosławi czegoś, co mu się opłaci” – przy czym niejedna świątynia służyła jako baza operacyjna w walce z narodem, a ponad dwadzieścia tysięcy kościołów uległo w tej wojnie zniszczeniu.

Całemu światu przedstawiali jednak owi klerofaszyści swoje powstanie – hasło legionistów frankistowskich oraz wyznających islam Maurów brzmiało: „Niech żyje śmierć! Precz z inteligenta! – fałszywie jako wojnę religijną przeciw ateistycznemu komunizmowi, jako, by powtórzyć słowa zawarte w liście pasterskim hiszpańskiego episkopatu, krucjatę przeciw czerwonej rewolucji światowej”; to zafałszowanie historii było kolportowane zarówno przez Watykan, jak i przez hitlerowskiego ministra propagandy: wśród czterystu siedemdziesięciu trzech deputowanych do parlamentu znajdowało się piętnastu komunistów, a hiszpańska partia komunistyczna liczyła tylko dziesięć tysięcy członków!

Ale kłamliwe twierdzenie o wojnie religijnej oraz antykomunistycznej krucjacie wpłynęło na to, że prawie wszystkie państwa europejskie i Stany Zjednoczone postanowiły nie wspierać rządu Hiszpanii. Natomiast papiescy partnerzy, Hitler i Musso-lini, przysłali niezwłocznie samoloty myśliwskie, bojowe i zwiadowcze – patronką włoskiego lotnictwa wojskowego była „Najświętsza Bogurodzica z Loreto”, której święto faszyci czcili szczególnie uroczystymi nabożeństwami, po nich zaś defiladami – a ponadto przysyłali czołgi, działa przeciwlotnicze, granatniki oraz inny sprzęt wojskowy i były to ciągłe dostawy, które pozwoliły armii powstańczej na przykład na to, że podczas bitwy nad rzeką Ebro przez pięć tygodni zrzucono średnio dziesięć tysięcy bomb dziennie. W rewanżu Kuria zobowiązała się do „rozpoczęcia w całym świecie katolickim obliczonej na szeroki zasięg kampanii antybolszewickiej” (Avro Manhattan).

Nad główną kwaterą generała Franco jako pierwsza załopo-tała flaga papieska, a nad Watykanem zawisła niebawem flaga frankistowska. Oprócz tego Pius XI – w tym samym czasie co w Norymberdze Hitler – wezwał świat do walki z bolszewizmem, określił udzielone przez jego faszystowskich sojuszników wsparcie bombowe jako „środki prewencyjne i zaradcze” i latem 1938 roku bez wahania odrzucił prośbę rządów Francji i Anglii o przyłączenie się do protestu przeciw bombardowaniu republikańskiej ludności cywilnej. W szczytowym okresie wojny podziękował natomiast zbuntowanemu generałowi Franco za jego hołdowniczy telegram, wielce uradowany tym, że „w posłaniu Waszej Eksceleencji dostrzegamy przejaw odwiecznego ducha katolickiej Hiszpanii”.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej Niemcy zaanektowały Austrię i jej episkopat stanął po stronie Hitlera nawet szybciej niż w roku 1933 episkopat niemiecki: „My, biskupi Austrii, postanowiliśmy po sumiennych naradach, w obliczu wielkiej chwili dziejowej, jaką przeżywa naród austriacki, i w przeświadczeniu, iż w naszych czasach zostaje zaspokojona tysiącletnia tęsknota naszego narodu do zjednoczenia się z Niemcami w jednym wielkim państwie, skierować do wszystkich wiernych przedstawiony niżej apel. Możemy to uczynić z tym większą ufnością, że pełnomocnik Fuhrera odpowiedzialny za przeprowadzenie w Austrii plebiscytu Gauleiter Biirckel zaznajomił nas z uczciwymi intencjami polityki Fuhrera, której dewizą są słowa: «Oddajcie Bogu to, co boskie, a cesarzowi to, co cesarskie». Wiedeń 21 marca 1938 roku. Za wiedeńską prowincję kościelną: Th. kard. Innitzer, za salzburską prowincję kościelną: S. Waitz, książę-arcybiskup”. (Waitz był właśnie tym, który wcześniej określił Kongres Eucharystyczny w Wiedniu jako „jeden z najważniejszych kroków

przygotowawczych" do – „od lat pilnie i solidnie przygotowywanej” – pierwszej wojny światowej!)

Po „przedmowie” tych dwóch ksiąg Kościoła nastąpiło „uroczyste oświadczenie”: „Powodowani naszym najgłębszym przekonaniem, my, niżej podpisani biskupi austriackiej prowincji kościelnej oświadczamy dobrowolnie, w związku z mającymi wielkie historyczne znaczenie wydarzeniami w państwie niemiecko-austriackim, co następuje: Z radością konstatujemy, iż ruch na-rodowosocjalistyczny dokonał i dokonuje wiele tak dla podnoszenia jakości życia narodu i rozwoju gospodarki, jak również w polityce społecznej, co służy Rzeszy Niemieckiej i narodowi niemieckiemu, a szczególnie najuboższemu jego warstwowi. Ponadto żywymy przekonanie, że dzięki działaniom ruchu narodowosocjalistycznego zostało zażegnane niebezpieczeństwo rozprzestrzenienia się niszczącego wszystko ateistycznego bolszewizmu. Biskupi obserwują to działanie dla przyszłości, życząc mu pełnego powodzenia i błogosławieństwa bożego, i do takiej właśnie postawy wzywają wiernych. W dniu plebiscytu my, biskupi traktujemy to jako oczywisty patriotyczny obowiązek, byśmy poczuli się Niemcami i optowali za Rzeszą Niemiecką i od wszystkich wierzących chrześcijan oczekujemy, że okażą się świadomymi tego, co są winni swojemu narodowi. Wiedeń, 18 marca 1938. Th. kard. Innitzer – Hefter, abp – S. Waitz, ks-abp – Pawlikowski, abp – Johannes Maria Gföllner – Michael Memelauer”.

Wiedeński kardynał przesłał ten hołdowniczy dokument 18 marca pełnomocnikowi Fuhrera odpowiedzialnemu za przeprowadzenie plebiscytu w Austrii, Gauleiterowi Buirckelowi, z następującą adnotacją: „Ten dokument przekona Pana, że my, biskupi spełniliśmy swój patriotyczny obowiązek dobrowolnie, bez żadnego przymusu. Wiem, że to oświadczenie zapewni naszą dobrą współpracę. Z wyrazami najwyższego szacunku i Heil Hitler, Th. kard. Innitzer, abp”.

W „starej Rzeszy” poparli przeprowadzany tu 10 kwietnia 1938 roku plebiscyt kardynałowie: Bertram z Wrocławia, Faulhaber z Monachium i Schulte z Kolonii. Podobnie jak inni niemieccy biskupi, również Faulhaber, który zdążył stać się „bojownikiem ruchu oporu”, zarządził z tej okazji bicie w dzwony i prócz tego nakazał całemu podległemu sobie klerowi udział w plebiscycie. Pełni zapału arcybiskupi sformułowali swoje zalecenia: „W przyszłą niedzielę, 10 kwietnia: Za zjednoczonymi, silnymi Niemcami (biskup Osnabriick); „W niedzielę jednogłośnie tak” (biskup Bambergu); „Niemiecki mężczyzno, niemiecka kobieto, spełnij swój obowiązek wdzięczności dla Fuhrera!” (biskup Miśni); „Każdy głos za wodzem wielkich Niemiec” (biskup Rotten-burga) itd., itd.

Nie wzruszeni walką z Kościołem, stali oni od 1933 roku jak jeden mąż po stronie Hitlera. Wszyscy chwalili go, podziwiali, gloryfikowali (niejeden zapewne tylko na pozór; ale przecież naród widział, słyszał i czytał jedynie takie jawne przejawy poparcia!) za kampanie, które – powtórzmy za wydaniem pisma „Regensburger Bistumsblatt” [organu ratyzbońskiej kurii biskupiej – przyp. tłum.] z 16 kwietnia 1939 roku – „na zawsze wprowadziły Niemcy na arenę dziejów świata. Jeśli rok 1935 był rokiem zapoczątkowującym remilitaryzację, a 1936 – rokiem, w którym zajęta została Nadrenia, to rok 1938 jawi się naszemu myśleniu politycznemu i niemieckiemu patriotyzmowi jako ten, w którym urzeczywistniono Wielkie Niemcy i dzięki historycznym dokonaniom Fuhrera spełniło się odwieczne marzenie [...]. Nie mniej imponujący jest rozwój wewnętrzny, jaki Niemcy od roku przeżywają: wojskowe wzmocnienie Wehrmachtu, zabezpieczenie granic Rzeszy, realizujący cele planu czteroletniego przyrostu gospodarczego, znaczny rozwój komunikacji, rozbudowa autostrad,

wzrost liczby samochodów, istotne zwiększenie tonażu statków i postęp w przemyśle lotniczym, a także wiele innych zjawisk – ileż w tym zawiera się pracy i sukcesów, które trzeba przypisać Adolfowi Hitlerowi!"

Jednym z sygnatariuszy pronazistowskich listów pasterskich był nawet „bojownik ruchu oporu” von Galen; podpisał on i ten list, w którym – jeszcze pod koniec 1941 roku – niemieccy biskupi zapewniali wspólnie, że „niejednokrotnie” i „zdecydowanie” poparli politykę Hitlera! Prowadzona przez niego straszliwa wojna, której wszyscy oni, bez wyjątku, sprzyjali i sprzyjać zalecali, była w ich mniemaniu – wyrażonym w tymże roku m corpore – zgodna ze „świętą wolą Boga”. A w sierpniu 1942 roku również katolicki biskup połowy Wehrmachtu Rarkowski, ogłosił, co następuje: „[...] za wszystkim, co wam, żołnierze, rozkazuje nasz wódz i naczelny dowódca sił zbrojnych, i za tym, czego od was oczekuje ojczyzna, kryje się wola i nakaz samego Boga!”

Bo i w ostatnich latach owego wojennego piekła stali oni po stronie Hitlera. Jeszcze w 1944 i 1945 roku arcybiskup Bambergu Kolb, którego nazwiskiem ochrzczono z wdzięczności jedną z ulic w tym mieście, mówił: „Jeśli armie złożone z żołnierzy walczą, to na zapleczu frontu musi znaleźć się armia ludzi rozmodlonych”. „Chrystus oczekuje, że tak jak On, posłusznie i chętnie przyjmiemy na siebie cierpienie i odważnie poniesiemy krzyż”. A biskup Würzburga nawoływał z zapałem jeszcze 22 stycznia 1945 roku: „Opowiedzcie się jednak za ładem państwowym! W duchu nauk świętego Brunona wolno mi wezwać was, byście właśnie w godzinie próby spełnili swoje obowiązki wobec ojczyzny! Przyjmijcie na siebie wszystkie klęski, by spodobać się Bogu! Te ofiary przemienia się w szczeble drabiny, która zawiedzie was do Królestwa Niebieskiego. Przez ofiarę zasłużycie na zbawienie”. Jeszcze w 1945 roku połowy biskup pomocniczy Werthmann zachęcał wojska Hitlera do walki: „Naprzód, chrześcijańscy żołnierze, ku zwycięstwu!”

Ale powróćmy do papieża, bez których placet owi biskupi na pewno nie popieraliby tak żarliwie Hitlera.

Po zdławieniu z pomocą Berlina i Rzymu republiki hiszpańskiej – pomoc Moskwy dla rządu Hiszpanii była o kilka miesięcy późniejsza – dopiero co ukoronowany jako papież Eugenio Pa-celli, Pius XII, pogratulował tego sukcesu 1 kwietnia 1939 roku generałowi Franco: „Wznosząc serce ku Bogu, cieszymy się razem z Waszą Ekszelencją z tego tak upragnionego przez Kościół katolicki zwycięstwa. Żywimy nadzieję, że odzyskawszy pokój Pański kraj z nowym przyływem energii przywróci dawne tradycje chrześcijańskie!”

I znowu największe wpływy w Hiszpanii uzyskał kler. Zniesiono wolność słowa, prasy, zgromadzeń; literaturę, filmy, audyq'e radiowe poddano surowej cenzurze; wszystkie partie z wyjątkiem faszystowskiej, a nie wyłączając katolickiej, bo Franco reprezentował teraz interesy Rzymu w sposób rokujący znacznie większą skuteczność, zostały objęte zakazem działalności. (Patronką kobiecej sekcji Falangi obrano świętą Teresę z Avila, największą mistyczkę katolicką!) Watykan doprowadził przedtem do rozwiązania partii katolickich w rządzonych przez Mussoliniego Włoszech i w hitlerowskich Niemczech. Tu, w Hiszpanii, rozegrał się taki sam krwawy dramat. Chociaż w wojnie domowej już straciło życie około sześciuset tysięcy Hiszpanów, po jej zakończeniu nie ustały morderstwa na rozkaz generała Franco, którego „nader szlachetne chrześcijańskie uczucia” sekretarz stanu kardynał Pacelli wychwalał już w czasie puczu. Włoski minister spraw zagranicznych hrabia Ciano szacował, że codziennie odbywało się podówczas w Sewilli osiemdziesiąt, w Barcelonie sto pięćdziesiąt, a w Madrycie od dwustu do dwustu pięćdziesięciu egzekucji. Według oficjalnych statystyk rządu

hiszpańskiego, od zakończenia wojny domowej w roku 1939 do wiosny roku 1942, a więc w Hiszpanii przeżywającej czas pokoju, w okresie, w którym na życzenie Piusa XII Franco zaczął przywracać „dawne tradycje chrześcijańskie”, rozkazał on rozstrzelać ponad dwieście tysięcy osób! Pius XII (1939-1958) Nowy papież spędził – w roli nuncjusza – trzynaście lat w Niemczech, podziwiał „wspaniałe cechy tego narodu” i otaczał się Niemcami. Jego doradcami byli: dawny przewodniczący Partii Centrum, Kaas, niemiecki jezuita Hentrich, niemiecki jezuita Gundlach, niemiecki jezuita Hiirth. Miał niemieckiego sekretarza osobistego, jezuitę Leibera, oraz niemieckiego spowiednika, którym był jezuita Bea. Ojciec Wiistenberg, Niemiec, piastował ważny urząd w Sekretariacie Stanu. I nawet szczególnie bliska ojcu świętemu zakonnica Pasqualina Lehnert, wzięta na frywolne języki jako la papessa, papieżyca, czasem też nazywana virgo po-tens, która służyła mu już w niekanonicznym wieku dwudziestu trzech lat – w nuncjaturach na ziemiach niemieckich dzięki dyspensie Benedykta XV, w pałacach Watykanu dzięki dyspensie Piusa XI, i wreszcie w jego własnym papieskim apartamencie, dokąd, dzięki dyspensie samego papieża Pacellego, sprowadzała inne siostry zakonne, „bo ten apartament był bardzo duży” – nawet ta najbliższa mu zakonnica pochodziła z Bawarii. Mało tego: nie tylko dwa wspaniałe koty perskie papieża nazywały się Peter i Mieze, nawet kanarki (między nimi całkiem biały ulubiony ptak Gretchen) oraz „inne ptaszki, których w papieskich pokojach było wiele”, nosiły na ogół niemieckie imiona. Ludzie odwiedzający Watykan dochodzili do wniosku, że pontifex mac-mus żyje „na niemieckiej wyspie”, mówili o „papieżu Niemców” i często nazywano go po prostu „niemieckim papieżem”.

W walce Kościoła z Hitlerem, którego dojściu do władzy, otwarcie pochwalonemu przez nuncjusza w Berlinie, sam Pacelli sprzyjał w decydującej mierze poprzez Papena i Kaasa, tak jak wywarł istotny wpływ na wyraźnie profaszystowską politykę swojego poprzednika, zwłaszcza przed wojnami w Abisynii i Hiszpanii i podczas nich – w owej walce Kościoła „niemiecki papież” był niezmiennie skłonny do mediacji. Jeśli bowiem Pius XII, z oczywistych względów, nie żywił sympatii dla antyklerykalizmu Hitlera, a wciąż to potępiał, cenił go jednak za rozprawienie się z liberałami, socjalistami i komunistami i spodziewał się po nim walnej rozprawy z bolszewizmem. Miał nadzieję, iż to, czego papieństwo nie osiągnęła w pierwszej wojnie światowej, postawiwszy na Habsburgów i cesarza niemieckiego, zostanie osiągnięte przy pomocy Hitlera w drugiej wojnie światowej, kiedy to codziennie ginęło dwadzieścia pięć tysięcy osób, a dzienne obroty pieniężne dochodziły do dwóch miliardów marek – mianowicie katolicyzacja Bał-kanów i podporządkowanie rosyjskiego Kościoła prawosławnego.

Dlatego właśnie Rzym, w swych rachubach myślący tradycyjnie o całych stuleciach, popierał, mimo prowadzonej walki z Kościołem, politykę wewnętrzną i, nawet bardziej, zagraniczną antyklerykalnych hitlerowców. Dlatego też wydawany przez Kurię dziennik otrzymał niebawem polecenie zaprzestania druku artykułów polemicznych, szczególnie o charakterze politycznym. Dlatego też pierwszą głową państwa, którą Pius XII poinformował o swojej elekcji był „Fihrer” – co sam papież podkreślał – i ten właśnie człowiek, jeden z największych zbrodniarzy wszechczasów, mający za sobą już siedem lat rządów znaczonego terrorem, został uhonorowany w pewnym liście od papieża najlepszymi życzeniami oraz nadzieją na opiekę nad nim i łaskę Boga wszechmogącego. Dlatego też po dokonanej jesienią 1939 roku zamachu na Hitlera Pius XII osobiście pogratulował mu, poprzez swego nuncjusza, uratowania się od tego wielkiego niebezpieczeństwa; w imieniu biskupów Bawarii

pogratulował też Hitlerowi kardynał Faulhaber. („My wszyscy dziękujemy Panu Bogu za Jego łaskawość” – pisał organ ratyżbońskiej kurii biskupiej po „zbrodniczym zamachu [...] na życie Fihrera i kanclerza Rzeszy”. „My wszyscy modlimy się z głębi naszych serc: Panie, miej zawsze pod Twoją cudowną opieką Fihrera i cały nasz naród niemiecki!”) Dlatego też Pius XII oświadczył tuż po niemieckiej inwazji na Czechosłowację, iż gotów jest „wiele uczynić dla Niemiec”. Dlatego też nie potępił ani jednym słowem hitlerowskiej agresji przeciw katolickiej Polsce, a tymczasem niemiecki biskup połowy Rar-kowski, jakby naśladując Goebbelsa, gorąco zalecił wszystkim katolickim żołnierzom, by „w tej kampanii wzorowali się na świetlanej postaci prawdziwego bojownika, naszego Wodza i naczelnego dowódcy”.

Dlatego też w tydzień po inwazji na Rosję nie zabrakło papieżowi „przebłysków światła”, o czym z radością mówił w swym radiowym orędziu, przebłysków „dających sercu nadzieję na rzeczy wielkie, święte”, i dostrzegał „wspaniałą ofiarność walczących w obronie [!] zrębów chrześcijańskiej kultury”, wyrażając ufność w „ich triumf – wypowiadający te słowa „namiestnik Chrystusa” nie miał zapewne na myśli żołnierzy Armii Czerwonej; tym bardziej trzeba w to wątpić, iż już na rok przed hitlerowską inwazją na Rosję grupa jezuickich absolwentów rzymskiego Collegium Russicum przekroczyła radziecką granicę, w przebraniach i pod fałszywymi nazwiskami, by na zlecenie Watykanu prowadzić działalność szpiegowską. Dlatego też podsekretarz stanu w rządzie Rzeszy Luther doszedł w dłuższym memorandum do następującego wniosku: „Obecny papież już od chwili wybuchu wojny wiąże swe plany polityczne ze zwycięstwem państw osi”. Dlatego też szef wywiadu Schellenberg, Obergruppenfuhrer SS, podsumował swoją pięciostronicową relację z rozmowy z papieżem: „Papież uczyni wszystko, co w jego mocy, żeby zapewnić zwycięstwo Niemiec. Jego celem jest zniszczenie Rosji”.

Dlatego też Pius XII – niezmordowanie apelując o pokój – dał w kulminacyjnym okresie wojny wyraz „nie tylko najgorętszej sympatii dla Niemiec, ale i podziwowi dla wielkości Fuhrera” i polecił aż dwóm nuncjuszom, żeby mu przekazali, że papież nie pragnie „niczego bardziej niż zwycięstwa Fuhrera”! Przecież już w 1939 roku podkreślał, iż „Fihrer” jest prawowitym przywódcą Niemców, a kto odmówi mu posłuszeństwa, ten zgrzeszy. Dlatego też i po wojnie usiłował ów papież – stawiając w Europie nade wszystko na niemieckiego kanclerza Adenauera – uparcie i bez gotowości do kompromisów kontynuować swoją politykę kataklizmów, przy czym niejednokrotnie przyzwalał nawet na wojnę jądrową, ewidentnie bowiem zależało mu na tym, by zostały zlikwidowane następstwa tego, za co był współodpowiedzialny i co zakończyło się również jego klęską – choćby dziesięć razy więcej ludzi miało stracić życie. Jan XXIII (1958-1963)

Pius XII zmarł na początku października 1958 roku, pogrążywszy świat w głębokiej żałobie. Duch Święty sam był chyba przerażony „namiestnikami”, których przedtem wybierano, i dlatego przeznaczył tę godność ich zupełnemu przeciwieństwu, patriarsze Wenecji nazwiskiem Angelo Giuseppe Roncalli. Gdy po elekcji Jan XXIII stanął po raz pierwszy na loggii ponad placem Świętego Piotra, pewna dama krzyknęła un grasso! (grubas) i zemdląła. Nie brakowało nigdy i nadal nie brak przecież katolików oceniających papieży podług ich dobrej aparycji (ale nie według tego, jakimi siebie kreują). I choć Szekspirowski Juliusz Cezar woła: „Niech otaczają mnie grubasy!”, na ludziach z poczuciem estetyki Jan XXIII musiał wyrzucić druzgocące wrażenie, zwłaszcza w porównaniu z ascetycznym Pacellim, białym aniołem, angelo bianco, jak go nazywano w Rzymie, człowiekiem „jak promień światła”, by powtórzyć pełne zachwyty słowa Reinholda Schne-idera – mimo że

działalność Jana, w przeciwieństwie do działalności poprzednika, nie miała cech niszczyielskich.

Ten papież był bowiem, jako już z natury człowiek w najlepszym tego słowa znaczeniu ludzki, prawdziwie dobrotliwy, nie bez wdzięku, prosty, niekonwencjonalny. Wbrew obyczajom chętnie wyrывał się ze swej złotej klatki, wsiadał do pociągów i odbywał krótkie pielgrzymki – Amerykanie nazywali go: Johnny Walker, rzymianie zaś: Giovanni fuori le mura. Każda religia żyje i dzięki temu, że część jej sług jest więcej warta niż ona sama. I czasem, dosyć rzadko, nawet papież jest więcej wart niż papieństwo.

Jan był kochany przez swoje owieczki, nie dręczył ich utrudniającymi życie dekretami, zabiegał nawet o pojednanie z Żydami i w ogóle o przewycięzanie nienawiści rasowej. Zamiast polityki pozornej neutralności, uprawianej przez Pacellego, jego celem była chyba polityka prawdziwie neutralna, czego najbardziej znanym świadectwem jest encyklika *Pacem in tenis* (1963). I zamiast idącego po milionach trupów antykomunizmu poprzedników zainicjował ostrożne, często wspominate „otwarcie na lewo”, co stało zresztą w sprzeczności z jego postawą jako kardynała, przy czym ta nowa, elastyczniejsza tendencja wynikała z liczenia się z nowymi realiami polityki światowej.

O tym, iż Jan XXIII był jednocześnie wytworem swego ka-tolicko-teologicznego wychowania oraz więźniem kurialnego aparatu władzy, świadczy – wyraźnie i przerażająco – jego encyklika *Mater et magistra* (1961). Tkwi ona każdym swoim słowem w ślepym zaułku, gdzie znalazły się wszystkie wcześniejsze „encykliki społeczne”; widać w niej żalosny – i doprowadzający czytelników do żalosnego stanu – tok myślenia, którym to ojcowie święci zawsze, w niewiarygodny wręcz sposób, uchylają się za pomocą ogólników od poruszania istotnych problemów i, co zakrawa na przestępstwo, bagatelizują jaskrawą dysproporcję między poziomem życia ludzi zamożnych a biedaków.

Znamienne jest też to, że natychmiast po swej elekcji Roncalli położył kres eksperymentowi socjalnemu francuskich księży-robotników, który sam niegdyś, jako nuncjusz w Paryżu, popierał – bo obawiał się teraz, iż owi księża zarażą się wirusem marksizmu. Równie znamienne są fakty, że nie dopuścił do poruszenia na zwołanym przez siebie soborze tematu „Małżeństwo czy celibat dla kapłanów”, że sprzeciwiał się emancypacji kobiet i nie chciał słyszeć o dopuszczeniu ich do posługi kapłańskiej, że – mimo nader ekumenicznego, braterskiego obcowania z prawosławnymi i protestantami – nigdy nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do tego, że zjednoczenie byłoby możliwe tylko poprzez „powrót” wszystkich owieczek do rzymskiej owczarni.

Ale chociaż ten serdeczny i – abstrahując od urzędu, od czego jednak abstrahować nie możemy – sympatyczny człowiek nie był pod względem podejścia do dogmatów dysydem czy wręcz kryptokomunistą, lecz przeciwnie – papieżem wiernym obowiązującym interpretacjom, to przecieź w oczach wielu hierarchów tak dalece wypadał ze swojej papieskiej roli, że niebawem zaczęto dopatrywać się w nim – zwłaszcza w Rzymie – już tylko „niefortunnie wybranej osoby”, a działający w Kurii kardynał Ot-taviani stwierdził wręcz, gdy papież zmarł po długich cierpieniach, iż za życia popadł on w „święty obłęd”. Paweł VI (1963-1978)

Z tej właśnie przyczyny za pontyfikatu następcy Roncallego, Pawła VI, który przedtem jako kardynał Montini był arcybiskupem Mediolanu, powrócono pod każdym względem do tradycji, a stało się to jeszcze podczas soboru, przedmiotu tylu absurdalnych nadziei omamionego świata. Dyskusja na soborze została ograniczona jeszcze bardziej, wiele spraw

wyłączono z niej w ogóle – jako bezdyskusyjne – i Paweł VI nie spełnił też prośby o kanonizowanie Jana XXIII przez aklamację, lecz proces kanonizacyjny uzależnił, co jest wystarczająco wymowne, od równoczesnej kanonizacji Piusa XII, z którego szkoły on, Montini, sam wyszedł.

Już w pierwszej encyklice *Ecclesiam Suam* (1964) ten z jednej strony nieskory do decyzji, bojaźliwie nieufny, a z drugiej strony autorytarny i neoabsolutystyczny pontifex rozwiązał większość nadziei, jakie pół świata zdaje się żywić po każdym konklawe, co jest absurdalne, bo żaden papież, ktokolwiek nim będzie, nie uczynił z tej instytucji niczego lepszego. Jego pisma okólne na temat celibatu oraz encyklika *Humanae vitae* okazały się arcyre-akcyjne. Nadal narzucał średniowieczną moralność w podejściu do życia seksualnego i nadal zalecał wiarę w diabła. Stosujące tortury i dopuszczające się mordów rządy latynoskie pomijał ten papież zazwyczaj absolutnym milczeniem, chociaż nie przepuścił bodaj żadnej okazji do poskarżenia się z namaszczeniem na zło tego świata, a bywało i tak, że właśnie w krajach Ameryki Łacińskiej występował w kazaniach przeciw „niecierpliwości” uciskanych, żyjących w śmiertelnym niebezpieczeństwie, przeciw rewo-lucji, przeciw przemocy, bo przecież nie jest ona ewangeliczna ani też chrześcijańska, przewrót zaś okazuje się złudny. Ten papież udzielił nawet uroczystej audiencji postrachowi Afryki, krwawemu Aminowi. A bliski Pawłowi VI kardynał Spellman, który sprawdził się jako zaufany człowiek Pacellego już podczas drugiej wojny światowej, później zaś, w jednym ze szczytowych momentów zimnej wojny wystąpił razem z ministrem obrony Straussem na rzecz żelaznej kurtyny, krzyczał teraz, w roli amerykańskiego biskupa polowego w wojnie wietnamskiej, że Amerykanie bronią tam sprawy bożej, bronią sprawiedliwości i cywilizacji. Ale gdy ten kardynał, zadomowiony bardziej chyba na Wall Street niż w swoim Kościele, domagał się całkowitego zwycięstwa („Trudno wyobrazić sobie mniej niż zwycięstwo”), gdy wygłaszał podżegające mowy, którymi niejednokrotnie wprawiał w zażenowanie nawet Waszyngton, co jest wielce wymowne, gdy więc robił to samo, co robił kler w pierwszej i drugiej wojnie światowej, gdy bez skrępowań wzywał do rzezi, do zabijania, papież Paweł, tak jak Benedykt XV podczas pierwszej, a Pius XII podczas drugiej wojny światowej, apelował w czasie owej wojny wietnamskiej o pokój, pokój, pokój. Każdy papież papieżem pokoju!

I każdy jest również papieżem biednych. I sam biedny. Biedny jak mysz kościelna. Albo jak Pius XII. Jak jego następcą Paweł. Spośród aż pięciuset zarejestrowanych watykańskich samochodów – Jego Świątobliwości przysługiwały tylko trzy, między innymi skromny mercedes 600, specjalnie wykonany dla następcy biednego Syna Człowieczego, a podarowany mu dzięki pośrednictwu również biednego rycerza Grobu Świętego, bankiera Absa. Biedacy trzymają się razem, a jakże! W „świętym Rzymie”, w tej *città dei barracati* – mieście pełnym slumsów, dzielnic nędzy, miał Paweł Biedujący bardzo mizerne mieszkanie, tylko dla siebie trzynaście pokoi, a ponadto na zaspokojenie podstawowych potrzeb tylko pięcioosobową służbę płci obojga, nie mówiąc już o tysiącu innych niedogodności. Och, biedny był ten papież! Nietrudno zrozumieć, dlaczego od czasu do czasu przypominał ludzkości, zwłaszcza jej katolickiej części, „o Naszej świętej biedzie i braku dochodów”...

Aż tak zbiedniał! W dniach 25 i 26 kwietnia 1973 roku szef Departamentu Przystępności i Korupcji bynajmniej nie w Moskwie, ale w amerykańskim Ministerstwie Sprawiedliwości, Lynch, przybył w asyście funkcjonariuszy policji oraz FBI do papieskiego Sekretariatu Stanu i przedłożył „oryginał pisma, którym Watykan” zamówił u nowojorskich mafiosi „sfalszowane papiery wartościowe na fikcyjną sumę bez mała miliarda dolarów”, co

było „jednym z największych oszustw wszechczasów” (David A. Yallop). Tak czy inaczej, Paweł VI żył jeszcze pięć lat w tej biedzie, ciesząc się dobrym zdrowiem. Był zahartowany, bo przeżył wiele trudnych chwil, a oprócz tego był to kunktator oraz intelektualista (w tym stuleciu chyba jedyny na papieskim tronie), człowiek, którego wcale dowcipny kardynał Felice – zapytany przez jego następcę, Lucianiego, o stosunek Pawła do masonerii – scharakteryzował tym oto błyskotliwym zdaniem: „Ojciec święty wyrabiał sobie pogląd na to jeszcze wówczas, gdy zaskoczyła go śmierć”. Jan Paweł I (26 VIII-28 IX 1978)

Albino Luciani był człowiekiem, który często wyrabiał sobie pogląd od razu, i nierzadko nawet słuszny, po czym zaraz następowały czyny; to z kolei sprawiło, że jego pontyfikat trwał nie półtorej dekady, jak w wypadku jego poprzednika, lecz zaledwie miesiąc.

Ów dawny patriarcha Wenecji, syn robotnika, chrześcijańskiego socjalisty i wroga kleru, był kimś całkiem nietypowym, człowiekiem, który wcześniej wstawał, mało jadł, pił wodę mineralną, czasem cytował takich antychrystów, jak Mark Twain czy George Bernard Shaw, lubił prostolinijność, uczciwość, konsekwencję, krótko mówiąc, był księciem Kościoła mającym wiele danych po temu, żeby ubiec w popularności nawet papieża tak lubianego, jak Jan XXIII – jeśliby mu pozwolono biec.

Ale dla nazbyt wielu okazał się aż nazbyt niebezpieczny. Wizerunek papieża rozpowszechniony tuż po jego śmierci właśnie przez te środowiska w Kurii, które były najbardziej zainteresowane w jego zniknięciu, wizerunek wiecznie uśmiechniętego niedołęgi, niezdary, prowinq'onalnego apostoła, stanowił bowiem tylko obrzydliwą, potwarczą karykaturę.

To, że Luciani jest niebezpieczny, sygnalizowały już pozorne błahostki protokolarne, choćby fakt, iż zabronił gwardzistom klękania na jego widok („Kim jestem, żeby oni przede mną padali na kolana?”), natomiast przed Pawłem VI zakonnice i księża klękali, przynajmniej przez pewien czas, nawet rozmawiając z nim tylko przez telefon.

O wiele bardziej niepokojące były oczywiście groźne innowacje technologiczne; na przykład to, że papież chciał uwypuklać macierzyński charakter Boga; to, że okazał się rzecznikiem sztucznej regulacji urodzeń, co miało wielkie znaczenie polityczne. Po rozmowie na ten temat z sekretarzem stanu Włotem papież odprowadził tego ostatniego do drzwi i powiedział: „Eminencjo, przez trzy kwadransy dyskutowaliśmy o antykoncepcji. Jeśli prawdziwe są dane, jakie otrzymałem, te różne statystyki, to w czasie naszej rozmowy ponad tysiąc dzieci w wieku poniżej pięciu lat zmarło z niedożywienia. W ciągu następnych trzech kwadransów, kiedy to i Eminencja, i ja będziemy z przyjemnością oczekiwać następnego posiłku, umrze z niedożywienia dalszy tysiąc dzieci. Jutro o tej porze okaże się, że zmarło trzy tysiące dzieci, które teraz jeszcze żyją – że zmarło z niedożywienia. Nasz Pan nie zawsze troszczy się o to, żeby nam niczego nie brakowało.” Takie słowa mówią o Albinie Lucianim więcej niż długie rozprawy.

Ale najbardziej niebezpieczny stał się Jan Paweł I przez politykę kadrową, jaką zamierzał prowadzić – jest to zawsze naj-kłopotliwszy obszar polityki i zresztą najważniejszy, bo na nim zazwyczaj ponosi klęskę wszelka polityka, szczególnie ta najlepsza. Ten papież, który postrzegał Watykan jako „targowisko”, planował szybką, energiczną czystkę i tam, i gdzie indziej, przy czym na liście osób przewidzianych do odstrzału znalazły się czołowe osobistości, nawet sekretarz stanu kardynał Jean Yillot (6 sierpnia 1966 roku przyjęty do jednej z łóż masońskich w Zurychu); ponadto mający ścisłe powiązanie z najprawdopodobniej zamordowanymi mafiosi, bankierami Calvim i Sindoną, prezes Banku Watykańskiego biskup

Paul Marcinkus; ponadto przyjaciel tego ostatniego, arcybiskup Chicago Cody, ów najpewniej nie tylko dlatego, że roztrwonił ogromne sumy z funduszy Kościoła na zaspokojenie potrzeb swojej kochanki, którą przywiózł nawet do Rzymu, gdy miał otrzymać kapelusz kardynalski.

Wszystkich wymienionych tutaj, i niejedną inną osobistość, papież Jan Paweł I przyprawił o niepokój, czy uda się zachować władzę, stanowisko, prestiż (odejście Marcinkusa było przewidziane już na ten dzień, który przypadał po dniu śmierci Lucianiego), tak więc w obliczu tej sytuacji, jak i całego splotu dziwactw, sprostowań, sprzeczności, kłamstw, którymi Kuria otoczyła ten zgon, chciałoby się rzec, iż nic nie wydaje się bardziej naturalne niż nienaturalna śmierć Lucianiego. Jeśli nawet nie sposób udowodnić morderstwa, nie pozostawiając żadnej wątpliwości, to przecież dużo więcej przemawia za tym, że doszło do niego, niż przeciwko temu, a łańcuch poszlak przedstawiony przez Davida A. Yallopa ma zaskakująco wiele ogniw i aż nadto zrozumiała staje się wypowiedź opata Ducaud-Bourgeta, arcykonserwatyw-nego przedstawiciela Kościoła: „Zważywszy na wszystkie te wytwory diabła, które panoszą się w Watykanie, trudno uwierzyć, że ta śmierć była śmiercią naturalną”. (Żaden lekarz Kurii nie wziął jednak na siebie odpowiedzialności za uwiarygodnienie przyczyny śmierci wystawionym przez siebie aktem zgonu).

Chcąc przynajmniej na pewien czas uciszyć rozchodzącą się błyskawicznie po świecie pogłoskę o zamordowaniu papieża i odwrócić uwagę nowym widowiskiem, czym prędzej, już 16 października, wybrano jego następcę. Jan Paweł II (1978-)

Jak słyhać, arcybiskup Krakowa Karol Wojtyła znalazł się na tronie biskupów Rzymu w efekcie powstania sieci wzajemnych powiązań politycznych, sięgającej od kardynałów zachodnio-niemieckich i amerykańskich poprzez CIA – w analizie dokonanej przez tę agencję wypadł najlepiej – i poprzez osławione Opus Dei, którego przywódców przyjął już w kilka dni po elekcji, aż do Kurii. Będąc człowiekiem arcykonserwatywnym, propaguje, nie bez pewnej domieszki chłopskiej jakby przebiegłości oraz słowiańskiego wdzięku, wyraźnie ofensywnie – optymizm; jest to niewątpliwie postawa, którą przeciwstawia się świadomie raczej sceptycznemu i defensywnemu konserwatyzmowi poprzednika, Pawła VI. A jako „papież podróżujący” od kilkunastu lat trafia częściej na pierwsze strony gazet niż szef jakiegokolwiek innego rządu na świecie.

Ale poza tym wszystko pozostało po staremu: kardynał Cody nie opuścił Chicago, kardynał Włot utrzymał się na stanowisku sekretarza stanu, arcybiskup Marcinkus, mocno uwikłany w interesy mafii oraz inne ciemne sprawy, pozostał prezesem Banku Watykańskiego i Jan Paweł II awansował go nawet w 1981 roku na zastępcę przewodniczącego Komisji do Spraw Państwa Watykańskiego, którego to państwa nie mógł później przez dłuższy czas opuścić, bo czyhała na niego włoska policja!

I pod innymi względami nic się nie zmieniło. Przeciwnie: Karol Wojtyła okazał się kontynuatorem antykomunistycznej i antyradzieckiej polityki ostatnich Piusów, chociaż prowadził ją, dostosowując się do okoliczności, ostrożniej. Ale wybór na papieża zawdzięcza przecież między innymi – i nie jest to najmniej ważna przyczyna – swej zdecydowanej antymarksistowskiej postawie i wschodnim doświadczeniom, przy czym rezolutnie staje po stronie USA, skąd pochodzi większość dochodów Kurii.

Papieską strategię całkowicie jednoznacznej obłudy w słowach demaskują przede wszystkim dwa spośród jego teatrów: Ameryka Łacińska i Polska.

Zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej dokłada Jan Paweł II wszelkich starań, by z jednej strony zachować przychylność tych, co są u władzy, a z drugiej strony utrzymać wpływ na uciskane

katolickie masy, i z tym karkołomnym tańcem na Unie radzi sobie całkiem zręcznie, co prawda tylko dzięki łatwowierności znacznej części tamtych ludzi i za pomocą rażących kłamstw. Tak więc ten „namiestnik Chrystusa”, jak sam siebie nazywa, twierdzi, że cele jego podróży są „na wskroś duszpasterskie”, że zabiegi Kościoła jako „eksperta w kwestii człowieczeństwa” (Paweł VI), jako „obrońcy praw człowieka” mają „zawsze charakter religijny”, nie zaś „społeczny albo polityczny”, bo też Kościół bynajmniej „nie pragnie mieszać się do polityki”.

W istocie Kościół uprawia wyłącznie politykę, chociaż w religijnej otoczce, i wszystko, co się dzieje za sprawą Kościoła, ma następstwa polityczne; wówczas gdy podróżując po Ameryce Południowej, papież stara się za wszelką cenę rozładować napięcie sytuacji przedrewolucyjnej po to, żeby zapewnić rządzącym zachowanie władzy i pieniędzy; wówczas gdy tam, i wszędzie indziej, działa w pełnej zgodności z interesami USA, nie licząc się ze straszną nędzą i niezliczonymi trupami.

Wprawdzie sam dostrzega na „pewnych obszarach tego kontynentu nadziei” w „doprawdy przerażającej mierze niezdrowe warunki życia, biedę, wręcz nędzę, ciemnotę i analfabetyzm, nieludzkie warunki mieszkaniowe, chroniczne niedożywienie oraz wiele innych, równie smutnych przejawów zła”, ale zawsze tylko ogólnikowo, bez przekonania domaga się sprawiedliwości, sprawiedliwego podziału dóbr, przestrzegania praw człowieka. Jest zdecydowanie przeciwny „zmniejszaniu liczby urodzeń”, co stanowi nieodzowną przesłankę zmniejszenia masowego ubóstwa. Nie godzi się z tym, żeby „zmiany konieczne do osiągnięcia większej [!] sprawiedliwości następowały gwałtownie, w sposób rewolucyjny, krwawo” – gdy tymczasem papież nakazywali przecież, poprzez duszpasterstwo wojskowe, przelewanie krwi, wręcz je forsowali, i jakim tonem!

Ale papież zawsze stają po stronie tych, co mają władzę, i bogatych, do których sami się zaliczają. Gdy tamci chcą wojny, to chcą jej też papież. Gdy tamci nie pragną wojny, to często i papież jej nie pragną. „Nie pałajcie nienawiścią, nie myślcie o używaniu siły” – krzyczał Wojtyła szlachetnie, po chrześcijańsku do wyzyskiwanych Indios i campesinos. „Błogosławieni ci, co wobec Boga się biedni, bo do nich należy Królestwo Niebieskie” – pocieszał na stadionie Morumbi w Sao Paulo robotników. I nie wstydził się użyć tego biblijnego frazesu w dzielnicy nędzy Vidigal w Rio de Janeiro. Nic prócz pustych stów! „Niech rodziny, które cierpią biedę, nie upadają na duchu, niech nie uważają walki za swój ideał ani bogactwa za pełnię szczęścia; zamiast tego starajcie się, wspomagani przez wszystkich innych, pokonać trudny etap niedostatku, a doczekacie się lepszych czasów [...]” – na tamym świecie! – „starajcie się pokonać troskę nadzieją” – która spełni się na święty nigdy!

Głodującym ten papież mówi: „Biednymi wobec Boga są również tak zwani bogaci”. Papież naucza, iż Chrystus nie potępia człowieka bogatego, dlatego że jest bogaty, naucza, iż Chrystus nie godzi się tylko na egoistyczne korzystanie z dóbr materialnych, nie potępia natomiast posiadania ich! Ludzie „stanowią jedną rodzinę”. „Jesteśmy rodziną złożoną z dzieci Boga” – pouczył papież robotników rolnych w Racife i wezwał tych nieszczęśników, by zachowali wszystko, co „uprawnione we współżyciu obywateli”: umiłowanie harmonii, ufność wobec Boga i otwartość na sprawy nadprzyrodzone, cześć dla Najświętszej Marii Panny itd., itd.!

Ten papież odrzucił twierdzenie, jakoby „Jezus był zaangażowany politycznie”, „a nawet uwikłany w walkę klasową”, zanegował takie „rozumienie Chrystusa jako polityka, rewolucjonisty i wywrotowca” i zamiast tego mówił o „całkowitym zbawieniu przez miłość,

która odmienia, przynosi pokój, przebacza i jedna". I w duchu takiej przebaczącej, jednającej miłości Jan Paweł II nie uściśnął ręki nikaraguańskiemu księdzu i ministrowi Ernesto Cardenalowi, ale niebawem tym serdeczniej ścisnął dłonie dyktatorowi Riosowi Montowi w Gwatemali oraz mordercy arcybiskupa Romero, D'Abuissonowi, w Salwadorze!

„Waszego głodu absolutu – zwrócił się do młodzieży – nie zaspokoją surogaty ideologii, sprowadzające nienawiść, przemoc, rozpacz. Jedyne źródło radości stanowi Chrystus, o ile dąży się doń i kocha Go szczerze [...]”. Sam przecież „przebywał wśród ludzi jako potrzebujący pomocy biedak”, „urodził się w biedzie [...], by nas wzbogacić swoim ubóstwem”. I tak samo biedna była Jego matka. „Kiedy nękają was troski i jesteście u kresu wytrzymałości, myślcie o tym, że Bóg obrał sobie ubogą matkę [...]”. Radość pochodząca od Jezusa Chrystusa przewyższa „wszelkie cierpienie i wszelkie trudy życia”. „Oto na czym polega prawdziwe wyzwolenie: głosić chwałę Jezusa”. „Nie pozwólcie, żeby przemieniano was w narzędzia!” Tak – zwłaszcza żeby nie robił tego Watykan!

Ten papież przeciwstawia się zdecydowanie „humanizmowi ateistycznemu”. Ciągłe podkreśla, że Kościół nie musi „szukać azylu w obrębie jakichkolwiek ustrojów politycznych czy w jakiegokolwiek: ideologii”, że nie ucieka się „do żadnego rodzaju przemocy ani do dialektyki walki klasowej, ani też do praktyki bądź analizy marksistowskiej”. „Negacja walki klas jest równoznaczna ze zdecydowanym opowiedzeniem się za szlachetną walką o sprawiedliwość społeczną. Walka klas stworzyłaby jedynie sytuację niesprawiedliwą dla tych... którzy dotychczas mieli przywileje po swojej stronie”. I po ich stronie powinny one oczywiście pozostać. Szczególnie zaś po stronie wyższego kleru.

„Biskupi latynoscy mieszkają w pałacach, kontrolują gazety, popierają wyzyskujących lud polityków, a majątek osiągnęty z podległych im parafii wykorzystują do tego, żeby wyposażać faworyzowanych przez siebie «biedaków» lub dla innych, bardzo podejrzanych celów politycznych i kościelnych. W okresie mojego pobytu w Ameryce Łacińskiej duchowni ze wszystkich szczebli hierarchii wypełniali sobie czas organizowaniem zbiórek pieniędzy; z uzyskanej sumy, np. z dziesięciu tysięcy dolarów, zabierali cztery tysiące dla siebie, a na cel kwesty wydawano w końcu aż dwa tysiące dolarów”. „Wielkie sumy z tych środków pieniężnych, które płyną do latynoskich organizacji religijnych, są przekazywane na Półwysep Iberyjski oraz do Włoch i do Watykanu. Gdyby ludzie mieli choćby jakiegokolwiek pojęcie o bogactwie biskupów czy organizacji religijnych, to nikt rozsądny nie zasiliby ich już żadnym datkiem”.

Taką opinię sformułował katolicki duchowny Giuliano Ferrari, który w końcu nazwał Kościół rzymski „największym i naj-ohydniejszym biznesem na świecie”, który był zaprzyjaźniony z kardynałami Confalonierim, Tisserantem i Bea, znał bez mała pięćdziesięciu innych kardynałów, a w kardynale Samore miał serdecznego wroga i którego zwłoki po kilku „próbach morderstwa” (jak stwierdził sam Ferrari, zaliczywszy do „gangu” również paru wymienionych przezeń z nazwiska biskupów) znaleziono w jednym z pustych przedziałów w pociągu pospiesznym Genewa-Paryż. Czy padł ofiarą „watykanizmu”? Podobnie jak, według jego słów, inni latynoscy duchowni, Camilo Torres czy Oscar Romero, o którym Ferrari na krótko przed swoją śmiercią napisał: „Najnowsza zbrodnia Watykanu to zamordowanie w San Salvador mojego przyjaciela, arcybiskupa Oscara Romero”.

Determinacji Jana Pawła II, papieża z Polski, w kontynuowaniu antysowietyzmu Piusa XI i Piusa XII – chociaż w obliczu aktualnego wówczas układu sił musiał zachowywać się powściągliwie – dowiodła już jego pierwsza pielgrzymka do Polski. Mówiono już wtedy o

„wdarciu się do sowieckiego imperium”, a kardynał König, arcybiskup Wiednia, zdecydowanie przychylny Woj-tyle, przepowiadał „trzęsienie ziemi aż po Ural” i spodziewał się tego, na co papieżstwo liczy od tyłu stuleci, mianowicie wielkiego „napływu Słowian do Kościoła”.

Bez wojny nie jest to realne ani dzisiaj, ani jutro. A papież wyjaśnił na niezliczone sposoby, jak naprawdę pojmował swą rzekomo „duszpasterską” wizytę. Nie gdzie indziej, ale właśnie na placu Zwycięstwa w Warszawie, przed Grobem Nieznanego Żołnierza, wołał: „W iluż miejscach naszej ojczyzny tracił życie ten żołnierz! W iluż miejscach Europy i świata zaświadczył swą śmiercią, że bez niepodległej Polski na europejskiej mapie nie będzie Europy sprawiedliwej!” Wymownie też zakończył tę homilię: „I oto wołam, ja, syn polskiej ziemi, a zarazem papież Jan Paweł II, wołam z głębi tego stulecia, wołam w przededniu Zielonych Świątek: Ześlij swego ducha! Ześlij swego ducha! I odnow oblicze Ziemi! Tej Ziemi! Amen”. Wołał z głębi tego stulecia – wieku pierwszej i drugiej wojny światowej, faszyzmu i późniejszej walki ze Związkiem Radzieckim, bo pod względem politycznym takie właśnie było – i jest – to stulecie w Europie.

Następnego dnia wspominał o chrystianizacji Wschodu, nie tylko Polaków, ale i Chorwatów, Słoweńców, Bułgarów, Morawian, Słowaków, Obotrytów, Wioletów, Serbów łużyckich. „Czyż nie chce tego Chrystus, czyż nie dzieje się to za sprawą Ducha Świętego – zapytał – że ten polski, słowiański papież właśnie teraz uświadamia duchową jedność chrześcijańskiej Europy?” I od-powiedział okrzykiem zakrawającym na dewizę krzyżowców: „Tak, Chrystus chce tego”.

Ten ojciec święty, który nieprzypadkowo nakazał Radiu Watykańskiemu reorientację na Europę Wschodnią, zażądał „wolności Kościoła w Polsce i na całym dzisiejszym świecie”. Wspominał o najeździe Tatarów w roku 1241, któremu stawiał czoło Henryk II Pobożny. (W istocie poniósł on straszliwą klęskę i sam padł 9 kwietnia w bitwie pod Legnicą). Papież wysunął postulat: „Europa, którą tragicznie podzieliła [!] straszna wojna światowa stoczona pod koniec pierwszej połowy tego stulecia, ta Europa, która mimo że jest obecnie trwale rozdarta pod względem ideologicznym i polityczno-gospodarczym, co wynika z różnicy ustrojów, nie przestając dążyć do fundamentalnej dla niej jedności, musi zwrócić się ku chrześcijaństwu”. Albo: „Być chrześcijaninem to znaczy: czuwać. Jak żołnierz na posterunku [...]”.

Nie był to naturalnie przypadek, że Wojtyła jako papież właśnie w Polsce zaapelował o „ponowne zjednoczenie Europy w chrześcijaństwie”; że oświadczył: „My, Polacy, wybraliśmy drogę na Zachód tysiąc lat temu”! Pójście tą drogą oznacza jednak znowu – tak jak za Piusa XI i Piusa XII – przeciwstawienie się Wschodowi, prawdopodobnie coraz ostrzejsze. Następstwem orientacji zachodniej jest kroczenie u boku Ameryki – Stanów Zjednoczonych, dla których dwie światowe potęgi to stanowczo za dużo i którym chyba nie wystarcza dwóch wojen światowych. Michael Schmaus – jeden z wielu

„Rok 1933 a katolicyzm niemiecki! Znowu zbliża się wiertło dentysty – i znowu pacjent drgnie, strasznie krzycząc”. Tak, dosyć kiczowato, zaczyna się jeden z rozdziałów książki, w której „dentysta” Carl Amery wini za kapitulację Kościoła katolickiego w roku 1933 nie papieża i nie biskupów, lecz wiernych. Bo przecież, jak twierdzi, najpierw stanęła po stronie Hitlera większość wiernych, a dopiero potem episkopat i Watykan. W rzeczywistości jednak kolejność była odwrotna; zmianę postawy zainicjowała Kuria, za jej przykładem zaś poszli niemieccy biskupi i cała reszta. Jak bowiem pisała katolicka „Allgemeine Rundschau”,

„biskupi nie mogą walczyć, gdy Rzym opowiada się za pokojem”. A Karl Bachem, historiograf Partii Centrum, uważał opór po uznaniu rządu przez Kościół za wręcz niemożliwy do pogodzenia z moralnością. „Pozostaje tylko pójście za przykładem biskupów [...]”.

Roma locuta, causa finita – dla niemieckich purpuratów. Jeszcze w 1932 roku bez wyjątku wrogo nastawieni do nazizmu, teraz bez wyjątku przeszli na jego stronę. Biskupi bawarscy dopatrzyli się 6 maja 1933 roku w programie rządu Hitlera „odnowy duchowej, obyczajowej i gospodarczej” i przestrzegali: „Teraz nikt nie powinien przez zniechęcenie albo gorycz stać z boku i wyrzekać; nikt kto szczerze pragnie się włączyć, nie powinien przez jednostronność i brak wielkoduszności zostać odstawiony na boczny tor”. „Nikt nie może się uchylać od udziału w wielkim dziele budowania [...]”. Już w czerwcu cały niemiecki episkopat przypisał Hitlerowi i jego państwu „realizację władzy bożej i partycypowanie w wieczystym boskim autorytecie...”

W gruncie rzeczy nie zaskakuje to aż tak bardzo. Zwrócenie się Hitlera przeciwko Wschodowi było pożądane. Zniesienie przezeń wolności prasy, słowa i zgromadzeń stanowiło powtórzenie odwiecznego obyczaju papieży. Kościół nie zaprotestował też nigdy przeciw więzieniu i mordowaniu komunistów, socjalistów i liberalnych antagonistów Hitlera; późniejsze pretensje dotyczyły prawie wyłącznie naruszenia interesów czysto katolickich. A że nie przejmowano się zbyt losem Żydów, to jest zrozumiałe samo przez się, zważywszy na bez mała dwa tysiące lat chrześcijańskiego antysemityzmu.

Po pierwszych zapewnieniach biskupów o wierności i chęci kolaboracji, powtarzanych przez oba Kościoły jeszcze w późniejszym okresie drugiej wojny światowej, nastąpiły niebawem deklaracje tzw. teologii naukowej, dostosowywanie się do ducha epoki jest przecież od dawna jedną z jej wielkich namiętności.

Już w 1933 roku wydawnictwo Aschendorff w Munster zainicjowało serię książek o nazwie „Rzesza i Kościół”, po czym w każdej z tych broszur stwierdzało: „«Rzesza i Kościół» to seria publikacji mająca służyć budowaniu Trzeciej Rzeszy połączonym wysiłkiem państwa narodowosocjalistycznego oraz katolickiego chrześcijaństwa. Przyświeca jej przekonanie, iż nie ma zasadniczej sprzeczności między dokonującym się w naszych czasach naturalnym odrodzeniem narodu a nadprzyrodzonym życiem Kościoła. Dzieje się natomiast tak, że przywrócenie ładu politycznego zdaje się domagać dopełnienia, które miałoby swe źródło w religii. Uświadomienie tego i pogłębienie takiej świadomości to chyba najważniejsze obecnie zadanie duchowe niemieckiego katolicyzmu i jego najlepszy wkład do sukcesu wielkiego dzieła niemieckiej odnowy, do którego Fuhrer wezwał wszystkich Niemców. Owemu zadaniu powinna posłużyć ta seria, która będzie się ukazywać bez ścisłych ram czasowych. Seria na wskroś niemiecka i na wskroś katolicka”.

Niemalże z dnia na dzień usprawiedliwili tu najwybitniejsi teologowie kompromis między państwem a Kościołem.

Braniewski teolog Joseph Lortz, członek partii od 1 maja 1933 roku, autor wydanej po raz pierwszy w roku 1932 (a w roku 1965 opublikowanej po raz dwudziesty trzeci) książki *Geschichte der Kirche in ideengeschichtlicher Betrachtung* (Historia Kościoła w świetle dziejów ideologii), nie cofa się przed zadaną tyradą, która mogłaby usprawiedliwić katolicką woltę. Skarży się na to, że w Kościele panuje „wręcz tragiczna niewiedza o potężnych pozytywnych siłach, ideach, planach narodowego socjalizmu, które są powszechnie dostępne w swej autentycznej postaci już od roku 1925, dzięki książce Hitlera *Mein Kampf*”. Teolog Lortz przypisuje „katolikowi Adolfowi Hitlerowi” i jego książce zadziwiającą pewność

wykładu i przeważającą nad wszystkim innym logikę wewnętrzną, co więcej, określają jako „doprawdy wielką”. Ze wzruszeniem dziękuje „Wodzowi” za ocalenie Niemiec i Europy od „chaosu bolszewizmu”, obwieszcza, iż dopatrył się pokrewnych podstaw narodowego socjalizmu i katolicyzmu, i wyraża pogląd, że tylko katolicyzm może w wielu istotnych dziedzinach zrealizować założenia narodowego socjalizmu, oraz swoją całkowitą aprobatę tego kierunku, po czym kończy proroczo: „[...] albo ten ruch doprowadzi nas do ocalenia, albo znajdziemy się w chaosie”.

Cieszący się wówczas światową sławą teolog z Tybingi Karl Adam również nie omieszkiał przypodobać się nowej władzy. Na łaniach „Theologische Quartalsschrift” publikuje artykuł Deut-sches Volkstum und katholisches Christentum (Przynależność do narodu niemieckiego a wyznawanie katolickiego chrześcijaństwa) – przemilcza go bibliografia zamieszczona w wydanym w 1952 roku zbiorze prac dedykowanych autorowi! – artykuł, w którym nie dopatruje się sprzeczności między narodowym socjalizmem a Kościołem. Przeciwnie: są nierozłączne jak natura i łaska. Sam Hitler przybył, początkowo co prawda nie rozpoznany, „z Południa, z katolickiego Południa”. „Ale nadeszła chwila, w której go zobaczyliśmy i rozpoznaliśmy” – zapewnia Adam, wychwalając dalej tego historycznego superbandytę niemalże jak Mesjasza. „I oto stoi przed nami jako ten, którego wezwały głosy naszych poetów i mędrców, jako wyzwoliciel niemieckiego geniuszu, który zdjął nam przepaski z oczu i pozwolił za wszelkimi zasłonami politycznymi, gospodarczymi, społecznymi, wyznaniowymi zobaczyć znowu to, co istotne, i pokochać to: naszą wspólnotę krwi, naszą niemiecką tożsamość, człowieka, jakim jest homo Germanus”. I jeszcze podczas drugiej wojny światowej, u szczytu sławy Hitlera, wołał Adam: „Oto stoi przed nami ta nowa Rzesza, pełna żarliwej woli życia i pasji, obdarzona potężną siłą, twórcza, płodna. My, katolicy, widzimy siebie jako elementy tej Rzeszy i dopatrujemy się swojego najważniejszego zadania na tej ziemi w służbie tej Rzeszy [...]. Krew niemiecka jest i pozostanie w swej istocie podstawą również naszej chrześcijańskiej rzeczywistości [...]. Z nakazu sumienia służyćmy wszystkimi siłami tej nowej Rzeszy i będziemy służyli, cokolwiek się wydarzy [...]”.

I co się wydarzyło? Nadszedł rok 1951 i Karl Adam otrzymał Wielki Federalny Krzyż Zasługi, przyznany przez prezydenta Republiki Federalnej Niemiec Heussa, który ze swej strony już w 1932 roku w książce Hitlers Weg (Droga Hitlera), na przekór różnym głosom krytycznym, pochwalił „skuteczność”, „nieuleganie w obliczu przeciwności”, „szlachetność”, „zdumiewające osiągnięcia” Fiihrera, w sumie całą tę „wspaniałą przemianę”, i sam też rozpoznał „pokrewne elementy strukturalne” programu hitlerowców i katolickiej nauki społecznej, podobnie jak Lortz, Adam i wielu innych teologów; w tym gronie było również mnóstwo teologów protestanckich, którzy w swoim zachwycie przeprowadzali nawet paralele między gminami świętego Pawła z I wieku a „oddziałami brunatnej armii Hitlera” i z zapałem mówili o „SA Jezusa Chrystusa” (Th. Daechsler).

Wszyscy ci teologowie dostarczali, oczywiście postfactum, „naukowego” uzasadnienia wielce szokującego współudziału kleru w poczynaniach jego dotychczasowego przeciwnika. W takim ujęciu i człowiek mający stać się teraz jedyną postacią centralną eseju, okazuje się kimś do zastąpienia, tylko jednym z wielu tych, którzy nagle uznali siebie za powołanych do objawienia świata, iż cele Hitlera są w znacznej mierze i od dawna zbieżne z celami Kościołów chrześcijańskich.

Michael Schmaus, urodzony w 1897 roku w Górnej Bawarii, był profesorem dogmatyki w Pradze, Miinster, i – od zakończenia wojny – w Monachium; w Miinster i Monachium okazał

się poprzednikiem jezuickiego dogmatyka Karla Rahnera. Schmaus napisał, często wznawiane, czterotomowe dzieło Katholische Dogmatik (Dogmatyka katolicka), również często wznawiane dzieło Vom Wesen des Christentums (O istocie chrześcijaństwa), a ponadto Meditationen über Christus (Medytacje o Chrystusie), Von den letzten Dingen (O rzeczach ostatecznych) oraz szereg innych prac, między innymi wydaną w serii „Rzesza i Kościół” zaledwie pięćdziesięciostronicową rozprawę o konfrontacji katolicyzmu chrześcijańskiego ze światopoglądem narodowosocjalistycznym (Begegnungen zwischen katholischem Christentum und nationsozialistischer Weltanschauung), w której medytuje mniej o sprawach ostatecznych niż o sprawach podówczas pierwszych. Wznowiona już w listopadzie 1933 roku, książka ta miała trafić przede wszystkim do katolików rozumiejących epokę, zgodnie z dewizą: Vox temporis – vox Dei (Głos czasu to głos Boga).

Głos czasu był tym, co skłoniło samego autora do publikacji jego traktatu, nie miał bowiem wątpliwości, że powinien zarówno „bez zastrzeżeń podporządkować się nowemu państwu, jak i docenić podstawy duchowe światopoglądu narodowosocjalistycznego” oraz „przekazać istotne wskazania w chwili, w której są one niezbędne”.

Głos Boga rozbrzmiał natomiast u Schmausa z ust uczestników konferencji biskupów w Fuldzie 28 marca 1933 roku –

Schmaus przytoczył dosłownie treść zezwolenia biskupów na jego wstąpienie do partii hitlerowskiej. „Dla każdego katolika jest to z góry oczywiste, że episkopat nie cofnąłby wcześniejszego zakazu, gdyby żywił przekonanie, że myśl katolicka i narodowosocjalistyczna przeczą sobie”. Do głosu Boga i głosu czasu doszły „Głosy Czasu” – „Stimmen der Zeit”, jezuicki miesięcznik, który w tym samym roku, „roku jubileuszu naszego zbawienia” (to odnosiło się zresztą do Jezusa Chrystusa, a nie do Hitlera), uczcił „potęgę symboli” – „sama osoba Hitlera stała się symbolem wiary narodu niemieckiego w jego przyszłą egzystencję” – i nie wspominał o wrogości między swastyką a krzyżem chrześcijańskim. „Przeciwnie: znak natury znajduje dopiero spełnienie i doskonałość w znaku łaski”.

Schmaus nie ryzykował więc, kiedy śmiało zapuścił się w odległą historię. Kto bowiem „chce pojąć to, co się dokonuje u nas z żywiołową siłą gwałtownej burzy, ten musi poszukać źródeł, z których ona powstała”. Poza sferą rozważań pozostało oczywiście bogobojne średniowiecze, „kosmos uporządkowany”. Katastrofa zaczęła się dopiero w czasach nowożytnych z ich swobodą, autonomią, „duchem wolności”, właśnie teraz zaczynającym przesładować Europę. „Wolność była tą potęgą, która zdominowała okres od XVI do początku XX wieku”.

Zadziwiająca to wizja historii, jeśli zważymy, że prawie przez cały ten okres spora część chłopów w Europie podlegała pańszczyźnie! Że jeszcze w XVI wieku przedstawiciele szlachty niemieckiej grywali w karty o życie swoich parobków albo wymieniali ich na psy! Że jeszcze na początku XIX wieku biskupi sankcjonowali handel niewolnikami! Że niewolnictwo w krajach chrześcijańskich dotrwało aż do początków XX wieku: w prawosławnej Rosji do 1861 roku; w protestanckiej Ameryce Pomocnej do roku 1865; w katolickiej Brazylii – do 1888 roku.

Wolność nie była zresztą jedynym nieszczęściem, jakie nękało ludzi w czasach nowożytnych. Do tego doszła idea równości. Co gorsza, obie zaczęto w 1789 roku wcielać w życie. „Według praw człowieka proklamowanych przez rewolucję francuską wszyscy ludzie rodzą się wolni i równi i pozostają wolnymi i równymi”. W tym zdaniu Schmausa nie

rozpoznamy obrzydzenia, z jakim je sformułował. Jak pisze dalej: „Nic nie jest mniej katolickie niż skrajnie demokratyczne podejście do bytu”. Albo: „Odtąd nie było już załączonych przez wspólną egzystencję członków społeczności, lecz były tylko równe, równouprawnione, samodzielne jednostki, które na mocy swobodnie podjętej decyzji wiązały się, poprzez zawartą między sobą umowę, w jedność, które istniały podobnie jak pojedyncze kamienie w całym ich stosie, nie zaś jak części jednego organizmu [...]. Pozostaje wrażenie, iż ma się wciąż przed sobą masę kamieni”.

Owa zdobycz XIX wieku wydała mu się co prawda niebagatelną – wolność to doprawdy dobro wielkiej wagi. Ale, ma się rozumieć, tylko w „rzeczywistości boskiej”. I tak samo jest w wypadku innych przejawów postępu, na przykład swobody nauczania i myślenia, stanowiących zapewne „wielkie”, ale i „tragiczne osiągnięcia”. „Uwolnienie się od więzi religijnych” prowadzi bowiem do „całkowitego zaniku związku myślenia i woli z konkretnymi rzeczywistościami, ustrojami, wartościami”; owa tak niszcząca „epoka zapoczątkowana przez Kanta” wprowadziła przecież nie tylko „ideę wolności”, ale również „ideę równości, tego, co u każdego człowieka realizuje się jednakowo jako humanitas”. Co więcej, od rozumu oczekiwano wręcz, że „skieruje życie, nie regulowane już przez normy ponadludzkie, na tory egzystencji spokojnej, wolnej od przesadnych reakcji”. Ależ to straszne! A prócz „wolności” i „równości” były jeszcze nauka, „obfitość odkryć”, scjentyistyczne „różnice poglądów” itd. Wszystko to co prawda „zgodne z naturą”, ale „w XIX wieku spotkało ludzi zupełne rozdarcie duchowe”.

Coraz bliższa stawała się katastrofa, która przypadła na czas przed pierwszą wojną światową i po niej. „Ludzi XIX i początku XX wieku, którym się wydawało, że osiągnęli najwyższe szczyty, ogarnęła beznadziejna, śmiertelna samotność. Zostali wyrwani z sytuacji żywotnego powiązania z rzeczywistością boską, ze wspólnotą, wyrwani z gleby, na której trwali. Paralizująco [...]” – dziwaczna to wizja – „[...] podziało na przedwojenne pokolenie to, co określamy jako oderwanie od korzeni”.

Ten teolog gani bezlitośnie ową unicestwiającą „sytuację przedwojenną” oraz czas po rzezi, „duchowość, jaka panowała przed wojną i jaka po wojnie okazała się bezużyteczna i destrukcyjna”, duchowość, która zdobyła się na „wyrażanie istoty i wartości człowieka wzorem chemicznym. Czytaliśmy kiedyś w gazetach o tym, że rosyjscy (!) chemicy szacują wartość człowieka na kilka marek”. Ale w czasie wojny, kiedy to późniejszy zwolennik Hitlera, biskup połowy Faulhaber, nie tylko przyrównał poparcie dla cesarza Wilhelma II do „naśladowania Jezusa”, lecz również określił „wojenne armaty” jako „wyraz łaski apelującej do człowieka”, w czasie wojny ten człowiek, którego wartość – jak twierdzi Schmaus – rosyjscy chemicy oszacowali na zaledwie „kilka marek”, zaczął nagle być wart sto tysięcy marek, przy czym przemysł zbrojeniowy inkasował zysk dochodzący do sześćdziesięciu tysięcy marek – od jednej „bohaterskiej śmierci”... Jakież to wzrost wartości! Ale o tej wojnie, która pozbawiła życia dwanaście milionów żołnierzy, pozostawiła rany albo kalectwo dwudziestu milionom i spowodowała głodową śmierć siedmiu milionów ludzi, nie mówiąc o szkodach materialnych ocenianych na tysiąc sześćset osiemdziesiąt miliardów marek, nie wspomina Schmaus ani jednym słowem, i to w roku, w którym Watykan wyraził zgodę na ewentualne wprowadzenie powszechnego obowiązku służby wojskowej w Niemczech hitlerowskich, co zostało zapisane w wychwalanym przez szambelana papieskiego i zastępcę Fihrera von Papena protokole dodatkowym, dołączonym do konkordatu z Rzeszą Niemiecką.

Jako straszliwa jawi się tylko „sytuacja przedwojenna”, a potem czas po „dyktacie z okolic

Paryża". W tym właśnie okresie Schmaus dostrzega bowiem tak „tragiczne osiągnięcie”, jak „swoboda nauczania i uczenia się”, dopatruje się w rozumie – nie inaczej niż Karl Adam – „autokraty”. A przecież jedynowładztwo to przywilej chrześcijaństwa lub tak bardzo pokrewnej mu brunatnej zarazy – kombatantki w walce z racjonalizmem, liberalizmem, indywidualizmem. „Otóż dopatruje się w ruchu narodo-wosocjalistycznym najostrzejszego i najskuteczniejszego protestu przeciw duchowości XIX i XX wieku. Ruch ten zastępuje mechanistyczny obraz świata światopoglądem organicznym, postawę liberalną i indywidualistyczną – związkami z tym, co jest dane, z ziemią, ze wspólnotą. Pojęcia organizmu, ładu, wspólnoty to fundamenty światopoglądu narodowosocjalistycznego [...]. Prawdziwy narodowy socjalizm występuje jako radykalne przeciwieństwo liberalizmu oraz indywidualizmu. [...] Oba te światopoglądy są bowiem tak przeciwstawne, jak natura i nadnaturalność” – gdy tymczasem, według jezuickich „Stimmen der Zeit”, swastyka i krzyż uzupełniały się przecież jako „znak natury” i „znak łaski”!

A rangę prekursorów owej tak wielkiej „naturalności”, „rozmachu”, „tempa” tej „narodowej rewolucji” nadaje Schmaus nie tylko nijakiemu albo i niepojętemu katolickiemu felietoniście nazwiskiem Julius Langbehn, ale również największym antychrystem w dziejach ludzkości: Friedrichowi Hölderlinowi oraz Friedrichowi Nietzsche! I przy tym ów autor, który zdecydowanie odcina się od rzekomego liberalizmu czasów dawniejszych, grzęźnie coraz bardziej w takich pojęciach, jak natura, gleba, następstwo rodowe, wspólne pnie, rasa, krótko mówiąc, w całym hitlerowskim bełkocie o krwi i ziemi oraz o „wyższości” ducha niemieckiego. „Ludzie tego samego pochodzenia narodowego, którzy czują się związani ze sobą, nie ulegają bezpodstawnemu urojeniu. W naszej krwi krążą, jak to kiedyś wspaniale przedstawił Peter Lippert, w drobnych, a przecież niewymownie potężnych kroplach owi utajeni posłańcy, którzy aktywizują wszystkie nasze siły, elementy, narządy, a więc nadają też rozmach życiu duchowemu. Dlatego właśnie ludzie jednej krwi mają podobne reakcje umysłu i wrażliwości. Bo – jak wyraża to Lippert – na podłożu życia emocjonalnego wznoszony jest gmach życia duchowego i ono również zostało unurzane we krwi, podobnie jak religia [...]. Przedstawiciel któregośkolwiek z narodów romańskich inaczej wyobraża sobie Boga niż Germanin. W tym dopatruje się narodowy socjalizm swojego najważniejszego celu wychowawczego: w takim wychowaniu każdego Niemca, by był prawdziwym Niemcem”.

Po pouczeniu, że nie istnieje „człowiek sam przez się”, ale każdy jest „Francuzem, Japończykiem albo Niemcem”, albo jeszcze kimś; po wyjaśnieniu definicji „Niemiec jest w pełni człowiekiem, gdy jest w pełni Niemcem” następuje, jako niemalże nieuchronna konsekwencja, przedstawienie stanu, w którym „jest się częścią narodowej całości”, „wspólnoty narodowej”, wizja tego właśnie narodu i jego – a jakże! – szczególnej misji dziejowej. „Ponieważ za wszelką historią kryje się wola Boga, możemy z historii bez obawy o pomyłkę wyczytać, iż Bóg wyznaczył narodowi niemieckiemu jedno z największych zadań [...]. Jeśli historia świata nie miałaby stracić sensu, jeśliby nie miała się dokonywać bez udziału woli bożej, to narodowi niemieckiemu należałoby przyznać inną rangę niż murzyńskiej Republice Liberii”.

Ale że dogmatyk Schmaus znał nie tylko wolę bożą, lecz również wolę ziemskiego realizatora tamtej, którego Mein Kampf oczywiście przeczytał, to i nie omieszkał poprzeć „energicznego działania różnych kręgów na rzecz zainteresowania Niemców w Rzeszy ich rodakami za granicą”. Na sześć lat przed agresją Hitlera na Czechosłowację przypomniał, że „przez dyktat z okolic Paryża wielkie skupiska Niemców zostały odseparowane od Rzeszy”;

że „w Czechosłowacji żyje mniejszość niemiecka licząca ponad trzy miliony ludzi”; „że te trzy miliony to co prawda obywatele czechosłowaccy, ale jednak członkowie narodu niemieckiego, i to bardzo świadomi swojej niemieckości”; i wreszcie, że istotnym celem „ruchu narodowosocjalistycznego jest unarodowienie Niemców”.

Ten teolog zaserwował też kłamstwo o narodzie bez przestrzeni, podkreśliwszy, że ostatni cel założony przez narodowych socjalistów polega na tym, by „naród niemiecki uzyskał znowu swobodną przestrzeń życiową dla zwiększenia swojej liczebności i dla rozwoju i by wszyscy jego członkowie mogli otrzymać niezbędną im część przestrzeni, ziemi, i odpowiednio partycypować w szansach rozwoju. Tymczasem musimy, na ile to możliwe, urządzić się na przestrzeni, jaką dysponujemy [...]”.

Na Niemcy spadła nazistowska burza i w proteście przeciw duchowości XIX i XX wieku oraz w bagnie ideologii „krwi i ziemi” wyrosły jej najcenniejsze owoce, a Schmaus pyta teraz o stosunek katolicyzmu do tego wszystkiego. Odnajdujemy, zresztą już dużo wcześniej, wiele podobieństw. Bo przecież i biskup sufragan Burger wołał w 1933 roku: „Cele rządu Rzeszy są od dawna również celami naszego katolickiego Kościoła”.

Profesor Schmaus otwiera swój wykaz cech pokrewnych powołaniem się na Syllabus Piusa IX, tego ojca świętego, który w XIX wieku sformułował ponadto dogmat o nieomyślności papieża; którego wówczas jednak, co możemy przeczytać między innymi w nowej biografii Piusa napisanej przez katolickiego teologa Augusta B. Haslera, dyplomaci katolicki, historycy Kościoła oraz hierarchowie całkiem serio uznali za chorego umysłowo, a prócz tego za „nieuczzonego”, „głupca” (to stwierdził biskup Maret, podobnie wyraził się kardynał Lavignerie). A więc ten osławiony Syllabus, symbol religijnego barbarzyństwa – bo potępia on wszystko, co wtedy i dziś uchodziło i uchodzi za mniej lub bardziej oczywiste: panteizm, naturalizm, socjalizm, liberalizm, racjonalizm, indywidualizm, indyferentyzm, towarzystwa biblijne i tak dalej, i tak dalej – otóż ten Syllabus przedstawiał Schmaus w 1933 roku, będąc pewnym jego znacznej zbieżności z nazistowskim credo, jako tekst nadal autorytatywny dla katolików i z dumą tę jego miarodajność podkreślał. „Wówczas – stwierdza Schmaus, wspominając wiek XIX i chyba nie zdając sobie wcale sprawy z ironicznej wymowy swoich słów – dopatrywano się w tym dokumencie czarnej reakcji, wrogości wobec postępu i kultury. Ale dla postawy duchowej katolików pozostał on miarodajny. O tym każdy może się przekonać [...]”.

Tak, słusznie! Schmaus odrzuca konsekwentnie wszelką myśl liberalną. W epoce „liberalistycznej” panował co prawda „wielki respekt dla łączącej wszystkie jednostki humanitas”. Ale to jest tym mniej istotne, że owa humanitas „gwarantuje wszystkim ludziom równość”. A „wolność”! Otóż to, taki liberalizm, który „każdemu z osobna dawał prawo do życia według własnego uznania [!], nieuchronnie prowadził do socjalizmu głoszącego walkę klas bądź do marksizmu [...]. Stał się on walką wszystkich ze wszystkimi”. Fakt, że Schmaus potępia wszelki socjalizm (nie związany z tym, co wyznawali hitlerowcy) nie wymaga komentarza – było to kiedyś równie powszechne wśród teologów, jak dzisiaj, gdy „socjalizm” zatriumfował w wielu częściach świata, powszechne jest ich żeglowanie z socjalistycznym wiatrem.

Ale między rokiem 1933 a 1945 pływało się w brunatnym wirze. Schmaus cieszy się, że „prawdziwy narodowy socjalizm, będący skrajnym przeciwieństwem liberalizmu oraz indywidualizmu” nadał „ideom antyliberalnym głębię, której się nie domyślaliśmy, i rozpowszechnił je w całym narodzie”; tak, był to niewątpliwie jeden z celów papieskiego

paktu nie tylko z Hitlerem, ale i z pozostałymi faszystami: z Mussolinim, którego grabieżcza inwazja na Abisynię była z zachwytem chwalona przez kler; z generałem Franco, którego wojnę domową Kościół popierał w sposób fanatyczny; z Paveliciem, w którego „Niezależnej Chorwacji” – to wciąż fakt mało znany – tamtejsi katolicy, księża i zakonnicy wymordowali siedemset pięćdziesiąt tysięcy prawosławnych Serbów, topiąc, ścinając, krzyżując żywcem, grzebiąc żywcem, ćwiartując i paląc. Wszystko to jest ściśle powiązane. „Między wiarą katolicką a myśleniem liberalistycznym nie ma równowagi ideowej. Przystają one do siebie równie mało pod względem duchowym, jak mało przystają do siebie ogień i woda. Antagonizm między nimi jest nieuchronny i nieodwołalny”. Natomiast w pełni uprawnione było związanie się z hitlerowcami, ponieważ: „Zdecydowana negacja liberalizmu, który przypisywał ludziom moc twórczą przysługującą tylko prawdziwemu Stwórcy, świadczy o podobnym ukierunkowaniu katolicyzmu i narodowego socjalizmu”.

Jako pokrewne jawią się one również przez swój stosunek do racjonalizmu – są bowiem nade wszystko irracjonalne. Hitleryzm nie jest wykoncypowanym systemem, wymyślonym świa-topoglądem, lecz „ruchem wynikłym z podstaw bytu, z pierwotnych instynktów. Przeciwnostwo wobec racjonalizmu jest tu ewidentna”.

I podczas gdy katolik nie może się dopatrzeć związku między „duchowością narodowosocjalistyczną” a witalizmem Nietz-schego, Francuza Bergsona i Żyda Theodora Lessinga, to dopatry się bez trudu związku między katolicyzmem a „narodowosocjalistyczną witalnością”. „Widzi on bowiem, jak cały człowiek odzyskuje w tej witalności swoje prawa, a nie tylko jedna jego cecha – rozum. A poza tym sama wiara nie jest niczym innym jak życiem wynikającym z ukrytych źródeł i również jest daleka od zwyczajowego racjonalizmu”.

Schmaus odcina się też od indywidualistycznej interpretacji Kościoła. Powierzchną postawą jest traktowanie go jako „instytucji zbawczej”, w której każdy dla siebie miałby szukać zbawienia. Kościół nie jest niczyją prywatną domeną, lecz ciałem, w którym wszystkie części są ze sobą związane. Jawi się prawie że jako swoiste wcielenie w życie cytowanego tu chętnie hitlerowskiego hasła: „Pożytek ogółu jest ważniejszy niż pożytek jednostki”, to hasło zaś okazuje się z kolei przeformułowaniem nakazu miłości bliźniego, tej „najistotniejszej cnoty” chrześcijan. I tu, i tam centralne miejsce zajmuje wspólnota – istniejąca w sposób naturalny. „Narodowy socjalizm czyni ideę narodu wyrosłego z krwi i ziemi, z określonego losu i określonego zadania punktem ciężkości swojego światopoglądu”. „Katolickość oznacza związek z tym, co dane, co obiektywne, szacunek dla tego, co wynikło, co powstało”.

Katolik, od którego ten teolog wymaga umiejętności rozróżnienia „kwestii istotnych i nieistotnych, aktualnej formy i wiecznej treści”, powinien więc afirmować hitleryzm z podwójnego nakazu sumienia – jako katolik i jako Niemiec. „Ponieważ Kościół jest sam wspólnotą, to uznaje i afirmuje inne wspólnoty naturalne. We wszystkim, co naturalne, przejawia się bowiem to, co nadprzyrodzone. Katolik jest z góry zorientowany na afirmowanie wspólnoty. Dlatego też w jego akceptacji wspólnoty narodowej nie ma objawów sceptycyzmu czy zwlekania. Wypowiada on swoje «tak» nie tylko jako Niemiec, jako człowiek wyrosły z tej samej krwi i ziemi, doświadczający tego samego losu i wykonujący to samo zadanie co tysiące, miliony innych ludzi, ale również jako ktoś zobowiązany do tego przez swą wiarę. Widzi w całości narodu wyrosłej z krwi i ziemi, mającej wspólny los i jedno zadanie, dzieło bożej Opatrzności. Bóg uprządkł i powiązał nici w splot, który nazywamy narodem. Miłość człowieka wierzącego do własnego narodu zostaje przez to wyniesiona ponad wszelkie wahania osobistych skłonności i przekonań. Tkwi swymi korzeniami w

kipiącej krwi i urodzajnej ziemi, dwóch dziełach Boga, ma więc zakotwiczenie w nienaruszalnym pierwotnym boskim fundamencie. Jedną z konsekwencji miłości do własnego narodu jest słuszna troska o utrzymanie czystości krwi, tej podstawy struktury duchowej naszego narodu".

Faktem oczywistym jest to, że nie tylko Schmaus ugrzązł w bagnie krwi i ziemi. Owa tendencja rozpanoszyła się tak, iż w pewnym raporcie gestapo zostało zawarte szyderstwo, że w „systemowej epoce republiki weimarskiej Kościół uwypuklał takie wartości, jak: wolność, równość, braterstwo, a teraz mówi się o więzi narodowej, o potrzebie przywództwa, o krwi i ziemi".

Schmaus afirmuje z pasją, jak wszyscy jego koledzy, ale nie każdy w czasach najdawniejszych, państwo. Idąc śladami Tomasza z Akwinu, zwanego doctor Ecclesiae kat acochen, „w którego żyłach płynęła przecież także niemiecka krew", wychwala państwo – nazwane przez Nietzschego „najbezwzględniejszym z bezwzględnych potworów”:- jako „najdoskonalszą społeczność na tej ziemi". I nie chodzi tu oczywiście tylko o abstrakcyjne pojęcie. „Wolę państwa ucieleśnia jego wódz".

„Obowiązującej bezwzględnie zasadzie przywództwa w obrębie partii narodowosocjalistycznej" odpowiada jednak „ogromny autorytet papieża". Tak, akcentowanie przez hitlerowców autorytetu stanowi „na poziomie naturalnym odpowiednik sytuacji, w której Kościół jest obdarzony autorytetem w kwestiach świata nadprzyrodzonego". Co więcej, hitlerowskie pojęcie autorytetu prowadzi do „ponownego zrozumienia dla autorytetu Kościoła". Bo nie ma wątpliwości co do tego, że „papież jest wodzem niekwestionowanym". Tam, gdzie się tak zdecydowanie występuje na rzecz irracjonalizmu, kultu krwi i ziemi, autorytetu, totalizmu, tam też nie sposób nie pomyśleć o efekcie tego wszystkiego: o ofierze. „Ofiara jest bardzo istotnym elementem języka i zasobu pojęć narodowego socjalizmu". Jako „wspólną ofiarną w najgłębszym sensie" ma Schmaus jednak przede wszystkim okazję pochwalić Kościół, uznać „postawę heroiczną" za zgodną z „idea katolicką", a życie spokojnie i wygodne za „odejście od ducha Chrystusa", który w każdej chwili był gotów do „bezgranicznego poświęcenia", który „nie wahał się ani chwili przed wybraniem śmierci. Nikt nie przedstawił tej jego cechy bardziej przekonująco niż Karl Adam".

Kilkakrotnie zostaje też przypomniany Heliand, ów epos bohaterski z „wczesnych czasów powiązania chrześcijaństwa z ideologią germańską", w którym Chrystus okazuje się królem-wodzem i jego śladem idą „wierni wojownicy"; kilkakrotnie wspomina się o średniowiecznych klasztorach, gdzie „w podniosłym nastroju pisano pierwsze kroniki uwieczniające wielkie czyny narodu niemieckiego". Znajdujemy ponadto dalsze rozważania o świadomości narodowej i państwowej katolików, dowiedzionej później, w roku 1935, przez członka sympatyka SS, arcybiskupa Freiburga Gróbera w jego własnej książce Es lebe Christus, der die Franken liebt (Niech żyje Chrystus, który kocha Franków).

Wykazawszy w ten sposób, że Kościół (któż by w to wątpił?) „wydobywa" z narodu „to, co najwyższe", Schmaus chowa się – operując wciąż cytatami z Tomasza z Akwinu i z „najbardziej miarodajnego dzieła Hitlera Mein Kampf" – również pod koniec, tak jak robił na początku, za plecami biskupów, tym razem bawarskich, którzy w liście pasterskim z 5 maja wołali pod wodzą kardynała Faulhabera: „Teraz nikt nie powinien przez zniechęcenie i gorycz stać z boku i wyrzekać". A dalej cytuje Schmaus zapewnienia kardynała Bertrama, że biskupi „pokładają ufność w Bogu, iż nowy ład w życiu społecznym jest właściwy, żywią bowiem tę radosną świadomość, że wierna Kościołowi katolicka część narodu ma właśnie

teraz wielkie zadanie przed sobą". Schmaus stwierdził już zresztą ze swojej strony, co następuje: „Katolik wypowiada swoje tak głośno i stanowczo, nie tylko w taki sposób, jak gdyby był życzliwym obserwatorem dzieła unarodowienia, ale jako poważny, chętny i gotowy do poświęcenia uczestnik”.

Tak oto ów katolicki dogmatyk przedstawił „w dużym skrócie istotne zbieżności między katolickim chrześcijaństwem a światopoglądem narodowosocjalistycznym”. Należy mówić tylko o zbieżnościach, nie zaś o „pokrywaniu się w całej pełni”. Ale, jak pisze Schmaus: „Tablice narodowosocjalistycznych konieczności i tablice imperatywów katolickich znajdują się co prawda właściwie na różnych poziomach bytu: te pierwsze na poziomie naturalnym, te ostatnie zaś na poziomie rzeczy nadprzyrodzonych; te pierwsze dbają o naturalne zdrowie narodu, te ostatnie o nadprzyrodzone zabarwienie, zgodnie ze swoimi celami, ale wskazują one ten sam kierunek”.

Wskazywały... I Kościół poszedł tą samą drogą co brunatni zbrodniarze. Katolikowi nie przystawało bowiem – powtórzmy za teologiem Schmausem – „z rezygnacją spoglądać w przeszłość i żałować zmarłych, który trafiali do grobu, bo minął czas ich życia”.

Wśród owych zmarłych były jednak nie tylko katolickie partie i stowarzyszenia, które musiały się rozwiązać, ale i cały fałsz ideologiczny wieku XIX i początku wieku XX: naturalizm, racjonalizm, indywidualizm, krótko mówiąc, wszystko, co oto zdawała się zmiatać nie mająca sobie równej burza dziejowa. „Grzech śmiertelny liberalizmu i marksizmu polegał na tym, że zawiniły one bezlitosnym gwałtem zadany naturze, że uległy złudzeniu, iż człowiek jest źródłem i stwórcą wszystkiego, co istnieje, i wszystkich norm. Nie można arbitralnie tworzyć sztucznych ustrojów. Taka próba przynosi w efekcie sztuczne wytwory, które nie ostają się w obliczu wichrów i burz dziejowych”.

Ale ani liberalizm, ani marksizm nie zginęły, zginęło natomiast właśnie to, co wychwalał Michael Schmaus. W roku 1951 przyjęto go jednak do Bawarskiej Akademii Nauk i został rektorem uniwersytetu w Monachium. Szesnaście konwentów katolickich, których przywódcy również opowiadali się żarliwie za Hitlerem, mianowało Schmausa „honorowym filistrem”. Sojusznik Hitlera Franco udekorował Schmausa krzyżem komturskim hiszpańskiego orderu Al merita dvii. A kolaborujący z Hitlerem Pius XII wyniósł go w 1952 roku do godności prałata osobistego Jego Świątobliwości.

„Oby idee przedstawione w tej broszurze – zakończył Schmaus swój wywód z 1933 roku – z coraz większą dynamiką zstępowały z szarych wyżyn teorii na poziom rzeczywistości i objawiały się w konkretach życia codziennego. Im głębiej wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety w narodzie niemieckim przenikną do pokładów wiary narodowych i wiary, z tym większą ufnością będziemy mogli patrzeć w mrok przyszłości, z tym większą ufnością będziemy mogli zakładać, że uda się podjęta budowa Rzeszy – Rzeszy, która stanie się wspólnotą ofiarną członków narodu niemieckiego, niezłomnie trwających przy Bogu, znajdujących źródło życia w przynależności do tego narodu, pokornie pokładających nadzieje w Bogu, świadomych swojej odpowiedzialności, ukształtowanych przez Chrystusa”. Kto ma władzę, ten ma wszystko

Odpowiedź na ankietę katolickiego teologa Georga Denz-lera (1975): „1. Jak ocenia Pan(i) obecną pozycję papieżstwa w Kościele i społeczeństwie? 2. Jak papieżstwo powinno w najbliższej przyszłości prezentować siebie w Kościele i poza nim?”

Pytanie pierwsze: „Jak ocenia Pan(-i) obecną pozycję papieżstwa w Kościele i społeczeństwie?”

Dzisiejszy wpływ papieżstwa jest znikomy, jeśli porównamy go z pełnią władzy, jaką miało ono w średniowieczu. Ale gdy przyjmiemy za miernik jego porażkę sprzed stu lat, to okaże się, że nie ma się ono aż tak źle – albo też, wskutek faszyzmu, znowu niezbyt dobrze. Facta loguuntur.

Wprawdzie aneksja rosyjskiego Kościoła prawosławnego, którą podczas pierwszej wojny światowej chciano zrealizować przy pomocy Habsburga, a w drugiej wojnie z pomocą Hitlera, nie powiodła się – i jakże często działano na Wschodzie: od czasów Hadriana VI (1522-1523), Klemensa VII (1523-1534), Klemensa VIII (1592-1605), od czasów inwazji dokonanej przez katolicką Polskę jeszcze przed pojawieniem się Romanowów, ale Kuria wychodziła z każdej katastrofy obronną ręką – dzięki układom laterańskim, wojnie w Abisynii, wojnie domowej w Hiszpanii, drugiej wojnie światowej, od klęski do klęski potwierdzając słusność słów Ojca Kościoła i biskupa Kyros Teodoretę: „Fakty historyczne uczą, iż wojna przynosi nam większą korzyść niż pokój”.

Rósł kapitał, przybywało władzy, ale wiara kurczy się coraz bardziej, i wiadomo, komuto kurczenie się wychodzi na zdrowie, a kogo zabija. Ten bowiem, kto dawno przestał być obiektem zabiegów duchowych, kto się nie liczy dla nauki, raczej nie zachowa religijności. Jeśli przestaną wierzyć intelektualiści, to i lud prędzej czy później straci wiarę. Ona więc zadecyduje. Jedynie wiara umożliwiła zdobycie władzy i jedynie ona może zapewnić utrzymanie jej. A władza to wszystko, bez niej, jak dowodzi historia, nie ma niczego.

W czasach krucjat, masakrowania Żydów, wybijania Maurów na ziemiach hiszpańskich, rzezi pogan, Indian i Murzynów, i palenia czarownic, autodafe, niewolnictwa papieżstwo stało wysoko ponad globem – i właśnie dlatego było trwalsze niż dziś, kiedy to, ściągnięte na ziemię, straciło wiele z dawnego czaru. Bo tylko będąc opromienionym owym nieocenionym nimbem zaświatów, tylko tam, gdzie w kadzidlany dymie zawsze bez najmniejszego skrupowania popełniano crimen capitale, tylko tam można było i można dalej pozwalać sobie na wszystko, nawet na rolę diabła – jako „namiestnika” Pana.

Śmiertelne niebezpieczeństwo wiąże się z zanikiem wiary u ludzi świeckich, a ferment wśród kleru nie jest aż tak groźny. Czyż nie było już nieraz tak, że kler się burzył i wierzył coraz mniej? Ale mając (legalnie) kobiety przy sobie, a prócz tego intratne prebendy i wyższe godności w wypadku przywódców „buntowników” (honores mutant mores), duchowni będą nadal głosić tę jedyną prawdę, która uszczęśliwia ludzi.

Skądinąd jednak „rzecznicy postępu”, czasem nazbyt „dynamiczni”, „gięty”, irytują tych bardziej konserwatywnych w Kościele, zachwycając zarazem osły liberalne, pseudolewicowe, a Rzym ma z nich w gruncie rzeczy największy pożytek, mimo że chwilami wysuwają „poważne” zarzuty. Bo właśnie ich „nowe akcenty”, „perspektywy”, ich odnawiające zabiegi kosmetyczne, krótko mówiąc – cały ten nowomodny makijaż niegdysiejszej królowej nauk, sprawiają, że wiara zachowuje pozory żywotności – podobnie jak w znanych Drogach nieobecnych Eyelyna Waugha wielce uzdolnieni mumifikatorzy czynią to wobec „nieboszczyków”: „- O, pan Joyboy, jaki piękny! – Tkk, on naprawdę wygląda teraz bardzo ładnie. Mumifikator uszczypnął go lekko w udo, tak jak to robią handlarze drobiem: – Jeszcze miękki”. Owi rzecznicy postępu zapewniają to, że „mówi się” o religii, czynią ją w dość przyjemny sposób „aktualną”, sprawiają, że nadaje się do telewizji, jako akme tej epoki, jako język, na który „tłumaczą” Ewangelię, i poprzez takie „kuracje odmładzające”, poprzez konieczne dostosowanie do bieżących potrzeb, do tego, w czym upatrywany jest genius saeculi, stwarzają dopiero warunki do przetrwania religii. Za pomocą najróżniejszych

łamańców terminologicznych, dziwnego przeformułowywania, manewrów w duchu *aggiornamento*, wykonywanych raczej nieporadnie niż z polotem, a jednak jeszcze dla wielu nie do rozszyfrowania, ze śmiertelną powagą sugeruje się „postęp”, i to nawet z przyzwoleniem najwyższej instancji, postęp centymetr po centymetrze, i w ten sposób nie ujmuje się pewno brzemienia wiary nieco mniej ospale myślącym wiernym, ale i nie pozbawia się ich nadziei na ulgę.

W takim „postępowym” działaniu, owocnym już od czasów Pawła, równie starym i szacownym jak chrześcijaństwo, kryje się jednak straszne ryzyko. Ustępstwa na rzecz aktualnych potrzeb, ducha epoki, w imię postępu (w cudzysłowie i bez niego) oddalają bowiem coraz bardziej od źródła. Ten dystans, widoczny z czasem i dla najospalej myślącej owieczki, zwiększa się, a wiara staje się własną karykaturą, przeciwieństwem dawnej wiary, której przecież nie mogą całej diabli porwać, bo byłoby to fatalne. Jakkolwiek żwawo jednak nadaża się, postukując szpotawymi stopami, za biegiem dziejów świata, zawsze chce się zachować pozory trwania, pozory *semper idem* w ciągłej wyprzedzaży.

Skoro hierarchia kościelna właśnie tu zyskuje swą szansę stulecia, to może ona przecież być zarazem nowoczesna i tradycjonalistyczna, reformatorsko radykalna i wierna religii; jednocześnie posuwać się naprzód i cofać. Tam „towarzysz Jezus”, „komunizm miłości” w duchu apostołów, gdzie indziej lewicowy katolicyzm i socjalizm, „teologia rewolucji”. Cóż to za wspaniały bodziec! Cudowniejszy niż Lourdes i wszelkie łaski pochodzące od Boga!

W latach trzydziestych Rzym współdziałał wprawdzie ze skrajną prawicą i, jeszcze prawie że w połowie stulecia, przy ponad sześćdziesięciu milionach trupów z chłodem nawet w sercu, z Mussolinim, generałem Franco i Hitlerem; pastor bonus Pa-celli usankcjonował wprawdzie jeszcze później – w jednoznacznie wskazanym kierunku – wręcz wojnę atomową. Ale wszystko to nie przeszkodzi żadnemu papieżowi niezadługo po tym interpretować Ewangelię „po proletariacku”, poniekąd jako *social go-spel*, jako *God's political activity* – i razem z komunistami przeciwstawić się kapitalizmowi, gdyby ten miał ostatecznie zbankrutować. (Czyż kardynał hrabia Chiaramonti, bratanek Piusa VI, nie antycypował już w 1797 roku, w sposób przykładowy, „otwarcia na lewo”? Gdy do Imoli, w której od lat był biskupem, zbliżyły się silne oddziały rewolucyjne, zapewnił sobie wybór cywilny na biskupa, stał się z dnia na dzień demokratycznym apostołem równości, wygłosił podżegające, przełomowe kazanie, uczcił Chrystusa jako demokratycznego przyjaciela ludu, a chrześcijan określił jako najlepszych demokratów – i z wzajemnością zachwycił generała Bonapartego).

„Ten Kościół, Kościół katolicki, w każdym momencie dziejów brał na siebie wszystko” – mówi z pochwałą teolog Joseph Bernhart. Czasem przeciw cesarzowi, kiedy indziej przeciw księciu, innym razem przeciw miastom, kiedy indziej przeciwko mieszkańcom, czasem przeciw komunizmowi, innym razem przeciw faszyzmowi, ale zawsze przeciwko masom, z których się żyje. „Kto wyje tak jak wilki – głosi pewne mazurskie przysłowie – ten może długo wieść swój pieski żywot”.

Pytanie drugie: „Jak papieżstwo powinno w najbliższej przyszłości prezentować siebie w Kościele i poza nim?”

Postępowanie papieżstwa zależy od sytuacji na szczytach władzy i tylko od niej. Dlatego też pytanie o sposób jego własnej „prezentacji” jest pytaniem o utopię, bo zawsze przedstawiało siebie jako coś, czym nie było. *Fiat executio!* Ciężkie czasy dla papieży

Będąc już w V wieku w posiadaniu największych majątków ziemskich w cesarstwie rzymskim, jeszcze w wieku XX mieli oni z „pożytku ubóstwa”, który wychwalali, nade

wszystko pożytek. Nawet najjaśniej spośród nich świecąca gwiazda, angelo blanco, „promień światła”, w mniemaniu biskupa Gubera wręcz wytęskniony „papież anielski”, nawet Pius XII, nawet ten seraficzny Pius XII stał się multimilionerem – dzięki temu, że jego towarzyska życia i on ubiegali się nawzajem w wyłączaniu światła, że oszczędzał na ogrzewaniu (co prowadziło nawet do odmrożeń), w sposób „prawie że niewiarygodny”, jak opowiada ta towarzyska życia, tak nierozłączna, iż wolno jej było rano go budzić, a wieczorem odprowadzać do sypialni, iż jemu pozwolono ją – jako „pierwszą i jedyną w dziejach kobietę” (według Grigulevicia) – zabrać na konklawe.

A potem dobroduszny grubas Jan zapomniał o tym, że w życiu potrzeba tylko jednego! I już jego następca Paweł poczuł się zmuszony całkiem serio przypomnieć „o Naszym świętym ubóstwie i braku źródeł dochodów”, o tej „niepomyślnej okoliczności [...], iż Kościołowi braknie środków materialnych potrzebnych na wszechogarniające dzieło dobroczynności i miłosierdzia [...]”.

Ów brak był tym bardziej przykry, że wiernych przerażały takie tytuły z pierwszych stron gazet, jak ten oto: Arcybiskup zu-bożył papieża Pawła o 752 miliony. I jeśli nawet chodziło o kilka milionów mniej w wypadku sumy, którą przywłaszczyli sobie mafioso Sindona oraz sekretarz Instytutu Działalności Religijnej, szef Banku Watykańskiego, monsignore Marcinkus, (zwany „Świętym Gorylem”) – to jednak bolało. Purpuraci – do tamtych dwóch usposobieni zapewne niezyczyliwie – doliczyli się co prawda właśnie wówczas, w tym jednym „świętym roku” 1975, „interesu” na sumę dwunastu miliardów franków na korzyść Kościoła, to znaczy: mistycznego Ciała Chrystusa. I jeśli nawet było o kilka miliardów więcej – wiadomo przecież, jak szybko rozchodzą się pieniądze...

W końcu pozostały Pawłowi już tylko trzy trumny – jedna ze „zwyčajnego drewna cyprysowego”, jak dowiedziano się na całym świecie, druga – „prosta trumna dębowa”, a o trzeciej, ołowianej, nie powiemy nic. Nad ciałem biedaczyny paliła się też tylko „jedna gromnica”. I członkowie stu dziesięciu delegacji rządowych, siedem tysięcy policjantów oraz telewizjowicze w prawie pięćdziesięciu krajach patrzyli na tę nędzę wytrzeszczonymi ze zdziwienia oczami.

Co więc pozostało Janowi Pawłowi I? Pozostał mu tylko jego uśmiech! I urzekał nim prawie każdego, ale ten i ów przebiegły kardynał nie poddał się czarowi. Ten Luciani potrafił zrezygnować z tiary, tronu, lektyki, czasem potrafił mówić jak wiejski proboszcz, czasem wywoływać wybuchy śmiechu w wytwornej sali au-diencyjnej, używać nawet formy „ja” zamiast „My”, prezentować Boga Ojca raczej jako matkę. Nie został jednak jeszcze podpisany żaden oficjalny dokument. Jeszcze nie zdarzyło się nic, czego nie dałoby się cofnąć. I podczas gdy zaczęto – dokoła tego tronu nad trony – z troską patrzeć na owego człowieka, który na nim zasiadał, on sam był jeszcze bardziej zatroskany swoim losem: już przed wyborem dręczyła go myśl o „groźnym niebezpieczeństwie”; mimo wielu uśmiechów czuł się „przytłoczony” tym urzędem, który napawał go „lękiem”, wydawało mu się nawet, że, tak jak Piotr, postawił stopę na powierzchni wody i że „ze strachu przed szalejącą burzą” będzie musiał zaraz zawołać: „Ocal mnie, Panie!”

Za późno! Już dosięgła go jedna z owych nagłych śmierci, których nie brak w dziejach „ojców świętych”. Zwyczajny zawał, w naszych czasach przecież tak częsty! „Niemożliwe” – wykrzyczał co prawda od razu jego wenecki sekretarz, który znał swojego patriarchę – zbadanego tuż przed wyjazdem na konklawe, bez stwierdzenia jakiegokolwiek choroby serca – jako człowieka zaprawionego w wędrowaniu po Dolomitach. „Tacy ludzie nie umierają na

zawał". Inni krzykali: „Potrzeba sekcji zwłok! Ale Kuria powołała się czym prędzej – zbyt skwapliwie – na prawo kanoniczne.

Ale w owym czasie uśmiechał się już – patrzcie, patrzcie – Jan Paweł II. Czy na myśl o tamtych dziesięciu milionach, o których znów było głośno na świecie? Czy na myśl o niepewnych lotach Ducha Świętego, który najpierw szybował nad kardynałami Sirim i Benellim, potem zaś nad Colombem i Polettim, aż wreszcie zniżył się do niego, Wojtyły? Chyba że uśmiechał się po prostu dlatego, iż została dowiedziona możliwość uprawiania polityki globalnej również metodą ciągłego uśmiechania się (i zawsze z przyjemnością, jak w pewnej starej operetce)? Albo uśmiechał się wręcz dlatego, że jego, też „pełnego troski i obaw”, według wszelkiego prawdopodobieństwa – nie mogło spotkać rychłe zatrzymanie pracy serca? I być może nie tylko według wszelkiego prawdopodobieństwa?

Teraz uśmiechał się pewno niejeden człowiek Kurii. Zwłaszcza że wszystkich – kilka tysięcy pracowników – czekały dodatkowe pensje z okazji śmierci jednego papieża i wyboru nowego; w ciągu dwóch miesięcy – sześć, co musiało oczywiście powiększyć „świętą biedę”, pomimo znanej na całym świecie pracowitości. (Na pytanie o to, ile osób w Watykanie pracuje, Jan XXIII odpowiedział ponoć bez wahania: „Zapewne połowa”).

I zarówno dlatego, jak też z paru innych, nie wymienionych jeszcze, przyczyn. My też najchętniej uśmiechalibyśmy się wciąż, a gdyby nasze konto nie było chronicznie uszczuplane ponad jego stan, to doprawdy nawet my posłalibyśmy czek do Rzymu – do tej beczki bez dna, której nie zdołają nigdy zatkać ani bramy piekła, ani bramy nieba. Papież udaje się na miejsce zbrodni „Widzi pani, Mylady – powiedziałem – każdy ruch, jaki pani tu ogląda, sposób składania rąk i otwieranie ramion, to przyklęknięcie, mycie rąk, okadzanie, ten kielich, cały wręcz strój tego człowieka, od mitry po rąbek stuły, wszystko to jest staroegipskie i stanowi pozostałość po duchowieństwie, które zgłębiało pierwotną mądrość, wynajdowało pierwszych bogów, wyznaczało pierwsze symbole i młodą ludzkość...” „Jako pierwsze oszukiwało – dodała z goryczą Mylady – i sądzę, doktorze, że z najwcześniejszej historii świata nie zostało nam nic prócz paru żalonych, oszukańczych formułek. I są one wciąż skuteczne. Bo czy widzi pan tamte ponure twarze? Zwłaszcza tego mężczyznę, który padł na swoje głupie kolana i wygląda tak strasznie głupio ze swą rozdziawioną gębą?”

Ale gdy ten człowiek sprawia raczej wrażenie dobrego ojca, postaci czasem przyjaznej, osoby kiedy indziej niemalże przebiegłej? I jego wygląd nie nasuwa myśli o poprzednikach, którzy rozpinali na krzyżu całe narody i kontynenty? Tak jakby nie istniał Baronius, kardynał świętego Kościoła rzymskiego, który dopatrywał się „urzędowych obowiązków” głów tego Kościoła w „wypasaniu i zabijaniu”, zgodnie z nakazem: wypasaj moje owieczki, a potem: zabijaj i jedz! Bo gdy papież ma do czynienia z opornymi, to jest dla niego nakazem zabicie i zjedzenie ich. Tak jakby żołądki kilkuset papieży – ach, gdyby je tak wysondować! – nie przetrwały wielu milionów w złotych i akcjach, całych miast, księstw, wszelkich ilości ludzkiego mięsa, kruchych niemowląt i ugotowanych kości kaczerzy, smakowitych dziewic, śmiertelnie chorych, nawet ciężarnych („Ratujcie życie poczęte!”), istot stworzonych na podobieństwo Boga, w różnym wieku i różnych wyznań. Tak jakby ulubioną dewizą Grzegorza VII nie były słowa: „Niech będzie przeklęty ten, kto nie chce miecza unurzać we krwi”. I tak jakby dewiza Juliusza II nie brzmiała, jak następuje: „Skoro nie pomagają klucze Piotrowe, to niechaj pomoże mi miecz Piotrowy”. Tak jakby jego „niezapomniany poprzednik Pius XII” (to słowa Jana Pawła II) nie wołał, wspominając o wojownikach Hitlera: „Oni przysięgli. Oni muszą być posłuszni”. Tak jakby Madonna („zawsze będąca prawdziwą gwiazdą przyświecającą ewangelizacji”, według słów Jana Pawła II) nie przepowiedziała, że jeśli Rosja się nie nawróci, to „niejeden naród zginie [...]”.

Nie, on nie zbliża się z groźną miną i nie z mieczem; zbliża się po biblijnemu, z pokojowymi intencjami, z „dobrą nowiną”. „Bóg przychodzi do nas!” – woła. „Królestwo Boże jest wśród nas!” tak, otrzymujemy od niego królewski dar, co prawda tylko jeden – „bezgraniczną życzliwość”. To przyjaciel ludzi, który chciałby odwiedzić „każdy dom i każdą chatę”, chętnie spotkałby się ze wszystkimi, z każdym chciałby porozmawiać, ale najchętniej za-siadłby do stołu z rodzinami biedaków, „tych, którym brak chleba – żeby im pomóc”. Ale to jest niestety niemożliwe – wyjaśnił w Rio i zaproponował coś lepszego: „ciało Jezusa i jego bezcenną krew [...] w nie mającym końca kościele pod firmamentem rozpościerającym się nad Rio de Janeiro, o wiele większym i wspanialszym niż kopuła stworzona przez Michała Anioła”. Ach, czyż najuboższemu z biedaków nie żyje się tam lepiej niż papieżowi w Rzymie?

Ale chociaż chętnie i tam, i wszędzie dzieliłby szczęśliwy los biedaków, których bezustannie uznaje za „błogosławionych”, bo „do nich należy Królestwo Niebieskie”, jeszcze piękniejsze niż niebo nad Rio – on nie może głodować razem z nimi. Troska o całość gna go dalej, przez lądy i morza; nie, nie po to, żeby przynosić ze sobą powiew wielkiego świata, lecz po to, by pozwolić poznać Chrystusa. I nie występuje on, Mylady, na sposób „sta-roegipski”, ani też – powtórzmy szyderstwo Goethego – „jako najlepszy aktor Rzymu” czy wręcz najlepszy urbis et orbis. Jeszcze raz: nie. On zbliża się jak anioł Pański, dosłownie z wyżyn nieba, jak sam Duch Święty. Tyle że teraz już bez gołębih skrzydeł i bez piór – takich, jak te pokazywane jeszcze w 1542 roku przez biskupa Moguncji: dwa pióra trzeciej osoby Boga razem z jajem tejże osoby. I przychodzi „bez kostura wędrowca”, na sposób całkiem ewangeliczny, nawet „bez pieniędzy za pasem”. Te są ukryte w szwajcarskich bankach, w USA, w tysiącach firm; w piwie, ropie naftowej, likierach klasztornych, w hotelach i nieruchomościach, w małych miejscowościach wczasowych i gazetach, w elektrowniach, ubezpieczeniach, towarzystwach telefonii, kolejach („Otrzymaliście to za nic i za nic przekażcie dalej...”); są ukryte w argentyńskich gazowniach, boliwijskich kopalniach cyny,

brazylijskich fabrykach gumy („Opłaca się służyć sprawie Chrystusa” – mówi papież Jan Paweł II); są ukryte w Alitalii, koncernie Fiat, w BMW, w Bayer Leverkusen, w firmie Siemens und Halske, w General Motors Corporation, w U.S. Steel, Sharon Steel, Bethlehem Steel, a do tego dochodzą dywidendy z fabryk broni, kasyn gry, ach, mógłbym tak wyliczać całymi stronicami. Ale: „I tego wystarczy, by pojąć, jakie wspaniałe jest to powołanie” – mówi Karol Wojtyła.

Nadlatuje czterosilnikowym odrzutowcem papieskim z wbudowaną sypialnią („Moje królestwo nie jest z tego świata”), po czym zstępuje jako „gwiazda religijnego happeningu”, budząc zachwyt całego globu, jako „geniusz”, „bohater ludu”, the moral leader of the world, „John Travolta Ducha Świętego”, po prostu: John Paul Superstar. W gołębiej białej sutannie, oznace niewinności, całuje – wśród skierowanych na niego kamer, na bynajmniej nie głupich kolanach, przeciwnie, skutecznie działając na masy – kraj swego nawiedzenia, i to zawsze „ciepło i spontanicznie, jak ktoś, kto czyni to po raz pierwszy”, choć w Brazylii zrobił to już trzynastą raz. A potem naprzód, między salutujących oficjałów, ekszellenę i eminencje, ku mężom stanu i racjom stanu, nawet pomiędzy piłkarzy, między całe stada reporterów, z których wielu przywiózł ze sobą – propaganda fide! Salwy, honory wojskowe, orkiestry wojskowe, marsze wojskowe, prócz tego złote słowa, ale, Mylady, bez „żałosnych, oszukańczych formułek”, tylko słowa prawdy, słowa życiodajne, „dobra nowina” dla setek tysięcy, w błocie, w deszczu, w słonecznym skwarze – w czterysta lat po spaleniu Giordana Bruno, który jęczał już, gdy „w kurzu / klęczano / Przed tym potworem, Jego Świątobliwością /1 modlono się – modlono...”, który szczydził i wzdychał: O święta i ośła ciemnoto, o święta ignorancjo, O święta głupoto, o święta dewocjo!

Tak, klęczeć w błocie – „Święte osły tym się nie przejmują / Kolana zginają, ręce nabożnie składają / W nadziei, że je Pan błogosławić będzie...” – i w powietrzu nie ma już tak często występujących przy podobnych okazjach niebiańskich zastępów, lecz jest „latająca superbrygada antyterrorystyczna”; na dachach strzelcy wyborowi, a pod ziemią jednostki specjalne przeczesują dzień i noc systemy kanałów – mówiąc krótko: nikt nie pokłada ufności w Bogu!

Ale za to, wszystko jak w filmie kryminalnym. Każde miejsce akcji jest zarazem miejscem zbrodni. I to jakim! Jeden tylko przykład: pierwsza daleka podróż.

W dniu 25 stycznia 1979 roku Jan Paweł II dotknął ziemi w Republice Dominikańskiej na wyspie Haiti, potem wstał i powiedział: „Panie prezydencie, umiłowani bracia w biskupiej posłudze, bracia i siostry! Dziękuję Bogu, że pozwala mi wstąpić na ten skrawek ziemi amerykańskiej”; „przyjść tutaj drogą, którą obrali pierwsi krzewiciele wiary po odkryciu tego kontynentu [...]”. Słusznie. „Tutaj – stwierdza naoczny świadek, hiszpański dominikanin Bartolome de Las Casas, późniejszy biskup Chiapas – rozpoczęło się mordowanie, duszenie tych nieszczęśników [...]” – „[...] bo dziś możemy wyrażać tylko podziw i wdzięczność za to, czego oni dokonali” – powiedział papież.

„Chrześcijanie – pisze Las Casas – wdzierali się między ludzi, nie oszczędzali ani dzieci, ani starców, ani kobiet brzemiennych, ani tych w połogu, rozpruwali im ciała i rozrywali wszystkich na kawałki, nie inaczej, niż gdyby napadli na stado owiec [...]” – „[...] żeby głosić chwałę Chrystusa, Zbawiciela – mówił radośnie papież – żeby bronić godności tubylców, strzec ich nienaruszalnych praw”, „unaocznic waszym przodkom Królestwo Boże”.

„Oni szli w zawody, który potrafi rozplątać człowieka za pierwszym ciosem miecza, który zdoła rozerwać głowę piką albo wyrwać wnętrzności”. „Wówczas to – mówił triumfalnym

głosem papież – ten umiłowany lud stworzył się na wiarę w Jezusa Chrystusa". „Nowo narodzone istoty – opowiada Las Casas – odrywali, chwytając je za nogi, od piersi matek i rzucali je na skały, rozbijając im głowy". „Niech będzie pochwalony Pan, który mnie tu zaprowadził" – zawołał papież... „Inne dzieci włączyli ze sobą po ulicach, trzymając je za ramiona, śmiali się przy tym i żartowali, a w końcu wrzucali te dzieci do wody i mówili: «Teraz tam się miotaj, ty małe, nędzne ciało!»" – „[.] tu, gdzie na tym kontynencie rozpoczęło się dzieło boże, na chwałę i cześć Pana naszego [...]". „Inni zabijali i matkę, i dziecko [...]" – „[...] tu, gdzie zatknięto pierwszy krzyż, odprawiono pierwszą mszę i odmówiono po raz pierwszy Ave Maria".

„Robili oni też szerokie szubienice, takie że stopy prawie dotykały ziemi, na każdej z tych szubienic wieszali na cześć i chwałę

Zbawiciela i dwunastu apostołów po trzynastu Indian, potem podkładali drewno, rozniecali ogień i palili wszystkich żywcem" – „[...] w istocie łaska i właściwe powołanie Kościoła" – stwierdził papież. „Kościół istnieje po to, żeby ewangelizować".

„Kiedyś pojawił się gubernator wyspy [...] przywołał on do siebie trzystu najznakomitszych władców i obiecał im bezpieczeństwo. Większość z nich zwabił podstępnie do słomianej chaty [...] i kazał ich wszystkich spalić żywcem". Najznakomitsi władcy spaleni – nowi władcy zainstalowani.

„Stolica apostolska – powiedział papież – ustanowiła pierwsze biskupstwa Ameryki właśnie na tej wyspie".

„Wszystkich pozostałych, razem z ich świątą, chrześcijanie zabili lancami i szpadami; ale królową Anacoanę przez respekt powiesili". Bo przecież wyświadczyła ona chrześcijanom „największe przysługi", „wprost nadzwyczajne dobrodziejstwa". Dlatego też przez respekt dla niej: na szubienicę. Reguła była natomiast taka: „Możnych i szlachetnie urodzonych zabijali oni zazwyczaj jak następuje: robili stosy z bierwion kładzionych na widły, przywiązywali do nich nieszczęśników, a niżej rozniecali niewielki ogień, i ci ludzie z czasem krzyczeli żałośnie i w straszliwych cierpieniach oddawali ducha Bogu [...]. Wszystkie opisane tu okropności i jeszcze wiele innych widziałem na własne oczy".

„Krzewiciele wiary w stosunkowo krótkim czasie objęli swoją działalnością całe Santo Domingo" – mówił papież. „Byli to ludzie, którzy lgnęli zwłaszcza do biednych i bezradnych, do tubylców [...] Później, za czasów Francisca de Yitoria, ukształtowały się na tej podstawie początki prawa międzynarodowego".

Biskup Las Casas: „Jako że wszyscy, którzy mogli uciec, skryli się w górach i weszli na najbardziej strome szczyty, żeby uchronić się przed tymi okrutnymi, bezlitosnymi ludźmi, podobnymi do zwierząt drapieżnych, więc ci dusiciele, ci śmiertelni wrogowie rodu ludzkiego, tak wytresowali swoje psy myśliwskie, by szybciej, niż odmawia się Ojciec nasz, rozrywały one każdego napotkanego Indianina; potężniejsze psy łowiły Indian niczym dzikie świnie i pożerały ich".

Papież Jan Paweł II: „Jeśli mamy tu wyrazić zasłużoną wdzięczność tym, którzy jako pierwsi posiali ziarno wiary, to należy się ona przede wszystkim zakonem, które bez reszty poświęciły się dziełu ewangelizacji, chociaż ponosiły czasem ofiary, nawet spotykała je męczeńska śmierć [...]".

Biskup Las Casas: „Jako że Indianie, co zdarzyło się jednak tylko parę razy, w słusznym i świętym gniewie zabili kilku spośród chrześcijan, ci ostatni przyjęli za swą regułę, by w odwecie za zabicie jednego chrześcijanina ginęło z ich rąk stu Indian [...]".

Papież Jan Paweł II: „Kościół był więc na tej wyspie pierwszą instancją, która zatroszczyła się o sprawiedliwość i prawa człowieka [...]”. Czy Karol Wojtyła zna tylko katolicką wersję historii swego Kościoła? Z takiej wiedzy bierze się oczywiście ostrzejsze widzenie tego, co piękne, zwłaszcza tych paru własnych „męczenników”, którzy zawsze stanowią to najlepsze, co w dziejach danej religii może się wydarzyć; dlatego też papież przypomina o tym „ze wzruszeniem”. Ale, podobnie jak w wielu innych historiach Kościoła, nie wspomina się słowem o ofierze krwi milionów ludzi zaatakowanych, prawowitych właścicieli tej ziemi! W każdym razie teraz – nauczał papież – teraz nie należy próbować „gorzej sytuowanych obdarzać przywilejami”, bo przecież stworzyłoby to tylko „nowe sytuacje niesprawiedliwe – dla tych, którzy dotychczas korzystali z przywilejów” [!]. (Ach, przydałaby się już „encyklika społeczna” jego autorstwa! Świat łaknie jej! I na pewno jeszcze więcej ludzi umrze po niej z głodu!)

Ale własność Kościoła to oczywiście coś innego niż niegdysiejsza własność Indian. Nie powinniśmy, co historycy wciąż podkreślają, dostosowywać dzisiejszych wyobrażeń do czasów dawniejszych. Jednocześnie możliwe, że dawne wyobrażenia były całkiem fałszywe i że dopiero teraz dochodzimy do właściwego widzenia przeszłości.

Na przykład Las Casas. Ten człowiek był co prawda – do czego się zapewne nie nadawał – zakonnikiem i biskupem. Żył na Haiti i na Kubie, w Gwatemali, Peru, Meksyku, i to bez mała pół wieku. Ale właśnie ten długi okres, tropikalny klimat, a prócz tego wielkie tempo realizacji dzieła bożego, sprawiły, że ten człowiek widział wkrótce już tylko czerwień, krew, dotknęła go zawodowa ślepotą, nie dostrzegał bowiem owych – tak często przez papieża określanych jako „piękne” – owoców, „owoców ewangelizacji”, które tam właśnie dojrzewały, i – co gani pewien jezuita z naszych czasów – w końcu potrafił już tylko produkować „opowieści grozy”. Ale nie dlatego – powtórzmy za owym jezuitą – że – jak można by sądzić – naprawdę działały się tam straszne rzeczy, lecz po prostu dlatego, że będąc na miejscu, Las Casas „nie widział spraw w ich właściwym wymiarze”. Tak, Panie Boże, dziś widać, ma się rozumieć, że owych z górą pięćdziesiąt milionów czerwonoskórych i czarnych, którzy tracili życie w miarę postępów dzieła bożego, to nic, co ja mówię, to przecież w ogóle żadna tragedia. Przeciwnie: „W całych dziejach misjonarstwa nie ma niczego wspanialszego”. To jest nauka! Z kościelnym imprimatur.

A po przeciwnej stronie autor tego eseju. Jakby nie dość było tego, że bez skrupułów wrywa cytat za cytatem z kontekstu, to jeszcze brak mu owej subtelniejszej (czy wyższej) umiejętności odróżnienia tych, którzy torowali drogę, właściwych rębajłów, od tych, którzy szli za nimi z „dobrą nowiną”. „Jakież piękne są stopy tych, co głoszą słowo boże!” – to powiedzieli Paweł i Wojtyła. Jedni bowiem zabijali, a drudzy ewangelizowali; jedni orali, drudzy obsiewali: to dwa całkiem odmienne zadania, właściwie tak samo nie mające ze sobą związku, jak części ciała rozerwanego na strzępy i wypatroszonego Indianina. Staranne oddzielenie sprawia, że nie istnieje żadne powiązanie.

I chociaż późni scholastycy hiszpańscy, Soto, Bañez, Grzegorz z Walencji, pozwalali na wojnę kolonialną, wojnę przeciw „wrogom misjonarzy”, sama krwawa robota nie była oczywiście – przytoczmy słowa Francisca Suareza, czołowego wówczas hiszpańskiego teologa, jezuita – „sprawą kapłana i stanu duchownego”. Nie, ci ostatni mieli z tym równie mało do czynienia, jak z eksterminacją pogan, Żydów, „kacerzy”, „czarownic”. Zwłaszcza najwyżsi duchowni, papieże, nie zabijali żadnego Indianina – że papież zabił papieża, to się czasem zdarzało – ale przecież nie Indianina. Pod tym względem są oni całkiem niewinni; tak

niewinni, jak Hitler – który też nigdy nie zamordował żadnego Żyda – nie jest winien temu, że Żydzi ginęli w komorach gazowych.

Ale jeśli chodzi o „pierwszych krzewicieli wiary” (w węższym rozumieniu) na Haiti, owych dwunastu „synów św. Franciszka”, to Jan Paweł II mógłby doczytać się nawet u Josepha Höffnera, arcybiskupa Kolonii, że pochwalali oni metody „osadników”, które opisał Las Casas. A gdy nieco później do franciszkanów dołączyli dominikanie i Antonio de Montesino grzmiał w 1511 roku z ambony kościoła Świętego Dominika: „Czyż to nie ludzie?” (na chrześcijańskim Zachodzie spierano się o to jeszcze w XVIII wieku!), „Czyż nie mają pojętych dusz? Czyż nie jesteście zobowiązani kochać ich jak samych siebie?” – wtedy to prowincjał dominikanów, Alfonso de Loaysa, przypuszczalnie na polecenie biskupa Juana de Fonseca zakazał „z mocy Ducha Świętego” wszelkiej krytyki. Kto ma zbyt wrażliwe sumienie, ten niechaj wraca do Hiszpanii!

Kościół katolicki, którego ewangelizacja jako „jedyna” posiada moc „zbawiania ludzi, bo stanowi objawienie miłości”, Kościół katolicki, który tutaj – wołał papież Jan Paweł II – w tym właśnie mieście „rozpoczął tyle pięknych rzeczy”, gdzie – co więcej – sam Bóg „rozpoczął swoje dobroczynne dzieło”, w istocie pod względem teologicznym i praktycznym w pełni popierał zniewalanie i masową eksterminację, owo dobroczynne dzieło; było to zresztą za czasów takiego poprzednika Karola Wojtyły, którego ten – niewdzięczny – nie wspomina ani razu w czterdziestu siedmiu homiliach latynoskich, zapewne dlatego, że tamten chyba nie tak bardzo cenił celibat, „bezcenną wartość chrześcijaństwa – według słów Jana Pawła II – i tysiącletnie dziedzictwo Kościoła”, skoro sam miał z różnymi kochankami dziesięcioro dzieci i często współżył z bardzo jeszcze młodą rodzoną córką. Aleksander VI, wcale nie najgroźniejszy z „namiestników”, przyznał w bulli Inter coetera z 4 maja 1493 roku Nowy Świat (omnes insulas et terras firmas irwentas et inveniendas, detectas et detegendas), który nie należał do niego, tak jak Watykan nie należy do Dalaj Lamy, po prostu Hiszpanom i Portugalczykom, wzywając ich jednocześnie, by „tubylców, mieszkańców owych lądów, doprowadzili do okazywania czci Zbawicielowi i do wyznawania wiary katolickiej”.

Gdy w niecałe czterdzieści lat po tym akcie darowizny – jak zwykle wzmocnionym mszą i komunią świętą, bez udziału prawników, ale w asyście pobożnej braci zakonnej – rozpoczęto krucjatę przeciw Peru, władca Inków Atahualpa oświadczył po kazaniu misyjnym późniejszego biskupa ojca Yicente de Valverde: „Co się tyczy papieża, o którym mówicie, to musi być szalony, skoro myśli o tym, żeby rozdawać ziemie, do niego nie należące. Ja nie chcę zmieniać wiary. Wasz Bóg został, jak mówicie, zabity przez tych samych ludzi, których stworzył. Mój zaś – władca wska-zał na wspaniałe słońce, co właśnie zachodziło za góry – żyje wciąż w niebie i spogląda na swoje dzieci”. Po tych słowach ów mnich, jeden z tych tak często chwalonych przez Jana Pawła II „nieustraszonych misjonarzy” z „odległego XVI wieku, których wiara i wielkoduszność zasługuje na podziw”, rozkazał: „Atakujcie od razu! Udzielam wam absolucji!” I z okrzykiem bojowym Santiago ci, co nieśli „dobrą nowinę”, wymordowali od dwóch do dziesięciu tysięcy swoich bezbronnych gości; a na koniec, po odebraniu całego złota, zabito – jak pospolitego zbrodniarza – przy użyciu garoty, śruby duszącej, również władcę, ostatniego Inkę, którego ojciec de Valverde nawet ochrzcił i – co więcej – nazajutrz odprawił uroczystą mszę za jego duszę. Tak objawiła się „chrześcijańska miłość”, „ten istotny czynnik życia kościelnego”, tak odbywało się „budowanie Królestwa Bożego”, „ewangelizacja”, by powtórzyć kolejny stereotypowy, dobitny slogan Karola Wojtyły, tak wyglądało to, czemu papież nie od dziś zawdzięczają swoje latynoskie szczęście, a

latynosi jeszcze dziś – swoje nieszczęście.

Dla konkwistadorów i dla Kościoła zagrabienie Ameryki było jeszcze jedną „krucjatą”, walka przeciw tubylcom stanowiła bezpośrednią kontynuację ich wojny z Maurami; Indianie to dla nich „potwory” i ich „zagłada spodoba się Bogu”. Misjonarze ani myśleli podawać w wątpliwość konkwistę. Ta krwawa akcja była warunkiem powodzenia misji, „wojna sprawiedliwa” (guerra justa) jest zawsze dopuszczalna, a bellum romanum, wojna z niewiernymi, „zawsze sprawiedliwa ponad wszelką wątpliwość”, więc także każda wojna z Indianami. Hiszpański kaznodzieja nadworny Gregorio, który nazywał Indian „mówiącymi zwierzętami”, dowodził według pism Tomasza z Akwinu, że „trzeba rządzić nimi żelaznym prętem”, i propagował zniewalanie ich. Poza paroma znikomymi wyjątkami, misjonarze domagali się „przemocy”. Również ów, tak wychwalany przez papieża, jezuita Jose de Anchieta, „pionier ewangelizacji”, „boży człowiek”, „apostoł Brazylii, który więcej niż ktokolwiek przyczynił się do szczęścia waszego narodu”, „wzór dla całej generacji misjonarzy”, wypowiadał taką oto dewizę: „Miecz i żelazny pręt to najlepsi kaznodzieje” – a Jan Paweł II beatyfikował go w 1980 roku!

W końcu nie wystarczała już nawet reguła haitańska – stu martwych Indian za jednego zabitego chrześcijanina. Chcąc pomścić trzech jezuitów zamordowanych przez Karibów nad rzeką Orinoko, posłano tam żołnierzy, by – jak donosił w 1685 roku z Ameryki Południowej jezuita Johann Gastl – „zabili oni tylu Karaibów, ilu zdołają zabić. Nie ma lepszego sposobu na okiełznanie dzikości ludów barbarzyńskich [...]”. I jeszcze w 1812 roku jezuita del Coronil pouczał wojska wyruszające przeciw powstańcom w Wenezueli: „Zabijajcie wszystkich powyżej siódmego roku życia!”

Ale papież nie zawahał się ani chwili i powiedział: „Kościół chciałby poświęcić się Indianom. Dziś tak samo [!], jak czynił to wobec ich przodków od czasów odkrycia kontynentu”. Wyspa Haiti, w chwili przybycia katolików zamieszkała przez lud indiański na wysokim poziomie cywilizacji, miała około miliona stu tysięcy ludności; w 1510 roku – już tylko czterdzieści sześć tysięcy; w 1517 roku – już tylko tysiąc. „Tu, mimo trudności i ofiar, osiągnięto piękne wyniki” – powiedział papież. „Tu zaświadcza się dziś istnienie Chrystusa [...]”. Liczy się tylko jedno. Ich władza! Obecnie dziewięćdziesiąt pięć procent ludności Republiki Dominikańskiej to katolicy. I być może – któż to wie – jakaś wojna atomowa sprawi, że i dziewięćdziesiąt pięć procent mieszkańców Europy będzie katolikami, tyle że nie będą to już pewnie potomkowie Europejczyków, lecz na przykład wyłącznie rzymskokatolickich Latynosów. Jakież szczęśliwy byłby potem każdy papież – taki szczęśliwy, jak Jan Paweł II w Ameryce Łacińskiej!

Bo kto idzie po z górą pięćdziesięciu milionach trupów, tak jak to czynią papieże, ten potrafi przejść także po pięciuset milionach trupów czy po jeszcze większej ich liczbie. Gdyby nawet świat zginął – tak jezuita Gustav Gundlach zinterpretował doktrynę Piusa XII o wojnie atomowej (podkreślając, że papież „zdaje sobie doskonale sprawę z zasięgu i realiów”) – znaczyłoby to niewiele; bo przecież nie my, mówi dosłownie ten jezuita, „ponosilibyśmy odpowiedzialność za koniec świata”, natomiast „moglibyśmy wtedy powiedzieć, że Pan Bóg przyjmuje odpowiedzialność na siebie”.

Wskutek zagłady milionów Indian na Haiti, na innych wyspach i na kontynencie zaczęło brakować rąk do pracy. I wtedy właśnie Bartolome de Las Casas, współczujący Indianom, poradził, by sprowadzono do Ameryki niewolników murzyńskich, co rozpoczęło nowy wspaniały etap realizacji dzieła bożego. Jak się bowiem oblicza, w pewnych okresach na

jednego schwytanego niewolnika, który docierał żywy do wybrzeży Afryki, przypadało dziesięciu zmarłych podczas transportu drogą lądową, a potem na morzu umierało dziewięć osób z każdej ocalałej dziesiątki. Ludzie zachodni – stwierdza papież – „zaszczepili w Ameryce Łacińskiej nową kulturę, zasiedlając kontynent coraz to innymi narodami”, między innymi – jak wspomniał uczciwie – „Murzynami z Afryki”. Trzydzieści milionów – tego już nie powiedział – trzydzieści milionów czarnych, albo nawet o wiele więcej, sprowadzili z czasem chrześcijanie do Ameryki; prawie tyle samo, albo nawet o wiele więcej, straciło życie jeszcze na lądzie afrykańskim bądź na osławionych statkach niewolniczych. Ale i ten „rozdział”, pocieszył Jan Paweł II, „został już zamknięty [...]”. I pełen „niezatartych wspomnień” o „pięknych dniach”, które przynajmniej on przeżył „w kolebce katolicyzmu Nowego Świata”, odleciał w huku salw armatnich 27 lutego 1979 roku do Meksyku.

Po czterech godzinach wysiadł z samolotu DC-10 włoskiego (czy raczej: watykańskiego) towarzystwa lotniczego Alitalia, padł na „uświęconą meksykańską ziemię” całując ją, potem zwinnie się podniósł i szybko podszedł do przybyłego w ostatniej chwili prezydenta Jose Lopeza Portillo. Senor – powitał papieża szef państwa, w którym co prawda żyje dziewięćdziesiąt siedem i pół procent katolików, ale które nie ma stosunków dyplomatycznych z Watykanem – nawiązania ich po papieskiej wizycie spodziewał się tylko przywódca meksykańskich komunistów – i nawet wywłaszczyło kler na mocy konstytucji z 1917 roku. Ergo: Portillo powitał „namiestnika Chrystusa” nie jako składającego wizytę państwową, lecz jako turystę („bo to nic złego i do niczego mnie nie zobowiązuje”), zdobył się na dokładnie cztery krótkie zdania i niezwłocznie opuścił lotnisko.

Papież Jan Paweł II nawiązał nie do roku 1917, ale do czasów pomyślniejszych. „Już w dwadzieścia lat po rozpoczęciu, w 1492 roku, głoszenia dobrej nowiny w Nowym Świecie – poinformował – ta wiara dotarła do Meksyku”. Ale razem z wiarą, co ponti-fex znowu przemilczał, przyszły wojny, inkwizycja, niewolnictwo, syfilis – choroba, której oznakami ponoć się pyszniono tak, jak gdzie indziej bliznami po ranach wojennych.

Wraz z katolicyzmem rozprzestrzeniła się przeciw „atmosfera rozpasania seksualnego” i właśnie duchowieństwo nader płodnie powiększało Królestwo Boże, najchętniej za pośrednictwem czarnoskórych Mulatek i Murzynek, „Tutaj – podkreślił papież – nie może być żadnej różnicy między poszczególnymi rasami i cywilizacjami”; Chrystus jest bowiem „wszystkim i we wszystkich”. Ale i w jego wybranych oblubieńcach tkwił nie tylko Pan, lecz i syfilis. W klasztorach pobożnych kobiet było go aż nadto. „Wiem dobrze – pochwalił je papież – jak wielki był wkład zakonnic w rozpowszechnianie wiary w Ameryce Łacińskiej [...]. Tutaj pracowały one stale u boku kleru diecezjalnego”. Ale że oblubienice Pańskie mimo najlepszych chęci nie mogły zaspokoić wszystkich chętnych, to zastępczo ofiarowywały przynajmniej to, co upiekły, jako „brzuch zakonnic” i „westchnienie zakonnic”, jako „niebiańską słoninę” i „anielski kasek”.

Rozpasaniu seksualnemu towarzyszyło rozpasanie morderców. Bo „ewangelizacja”, która – według Jana Pawła II – „w tym kraju dokonała się w sposób cudowny”, była i tam, jak przy tylu innych okazjach, połączona z „totalną”, „dogmatyczną”, „świętą” wojną; bynajmniej nie z walką „błędnych twarzy przeciw czerwonoskórym”, lecz z walką „chrześcijan przeciwko niewiernym”. To wyjaśnia radykalny charakter rozpowszechnienia dzieła bożego również w Meksyku, a potraktowano tak ludzi całkowicie ufnych, gościnnych, którzy zfilizowali się do Hiszpanów dosłownie jak do bogów; pod względem techniki wojennej stali oni na tyle niżej od Hiszpanów, że w końcu ich heroizm nie zdał się na nic, „tak jak daremna byłaby odwaga

żołnierzy znad Marny w obliczu dzisiejszej bomby atomowej".

Mimo poniesionych strasznych ofiar w ludziach, stojąc pod względem etycznym znacznie wyżej od katolików, ci Indios, którzy ocaleli, otrzymali zatem to, co Karol Wojtyła określił w Meksyku jako „podstawy wiary chrześcijańskiej”, „miłość Chrystusa do ludzi”: „Ta miłość nie jest stronnicza, bo nikogo nie wyłącza [...]”, to, co propagował jako „dobrą nowinę” przynoszoną „ludziom bez względu na narodowość, poziom kultury, rasę, epokę rozwoju, status społeczny czy warunki życia”, to, co pochwalił jako „dzieło ewangelii i pokoju, oparte na sprawiedliwości i miłości między ludźmi i między narodami”; krótko mówiąc, otrzymali przeciwieństwo „ateistycznego humanizmu”, poznali „wymiar absolutu”: oszustwa, grabieże, tortury, niewolnictwo i masową zagładę.

Posłuszni Rzymowi katolicy bili, dźgali, dusili, zatapiali, palili; wszystko to w imię boże i w imieniu Najświętszej Maryi Panny. Palili królów, wodzów plemion, „czarownice”, całą warstwę rzą-dzącą dawnego Meksyku. Spalili mnóstwo wsi, miast, bezcennych świątyń, wizerunków bogów, dzieł sztuki, prawie całą kulturę Azteków. Uhonorowany przez papieża w Meksyku jako pierwszy z grona „wielkich postaci krzewicieli dobrej nowiny”, franciszkanin Juan de Zumarraga, pierwszy meksykański arcybiskup, szczególnie wyróżnił się w niszczeniu miejsc kultu. Już w 1531 roku doniósł o zburzeniu ponad pięciuset świątyń i ponad dwudziestu tysięcy „wizerunków bożków”. Kapitan Bernal Diaz del Castillo wyznał zresztą, że Hiszpanom „nie zdarzyło się nigdy takich rzeczy oglądać i nawet nie śniło się o nich [...]”. A przecież i Albert Durer zanotował, będąc w 1520 roku w Brukseli, na dworze Karola V: „I przez całe życie nie widziałem niczego, co by tak radowało moje serce, jak te przedmioty [...] i dziwiłem się przemysłności ludzi w obcych krajach”.

Trupy i popiół. „Oni mieli dla tamtych nie tylko o wiele mniej szacunku i litości – pisze Las Casas – a mówię prawdę, bo przez cały czas oglądałem to na własne oczy, nie tylko mniej szacunku i litości niż dla swego bydła, dałby Bóg, żeby nie traktowali ich okrutniej niż bydło, ale nawet znaczyli tamci nie więcej, raczej o wiele mniej niż nieczystości na drogach”. Na mężczyzn i na kobiety szczuli psy, karmione ludzkim mięsem, ćwiartowanymi żywcem indiańskimi niemowlętami. Rozrywali jeńców między dwoma końmi albo dwoma czółnami. Wbijali ciężarne kobiety na pale, przywiązywali ofiary do luf armatnich i puszczali je z dymem, „na większą chwałę Zbawiciela” prowadzili je na szubienice, ucięli im setki rąk, nosów, warg, piersi, „z pomocą Boga, Świętej Dziewicy i apostoła Santiago [...]”, świętego patrona Hiszpanów, Jakuba, którego rzekomy grób w Santiago de Compostela stanowi od późnego średniowiecza ważny cel pielgrzymek w świecie zachodnim. I to, co jeszcze w XVIII wieku zostało przez Gottfrieda Arnolda określone jako „czyny drapieżnych bestii, istnych diabłów wcielonych”, w XX wieku stanowi dla kardynała Hoffnera z Kolonii – kto by pomyślał, że stać go na taką otwartość! – wyraz „niekłamanej... religijności”!

Tym, których owi szczyrzy papiści nie zamordowali, którzy w obliczu ich religii miłości sami nie odebrali sobie życia, jak to często robili w Europie Żydzi, tym ludziom, przy oficjalnej aprobacie teologów, zakładano żelazne obroże na szyje, łańcuchy, i wypalano im na ciałach – w imieniu cesarza oraz w imię wiary chrześcijańskiej – rozżarzoną żelazną literę G (guerra = wojna). Bezustanne polowanie na ludzi. Bóg i bogactwo – jak pisze Las Casas – królom hiszpańskim dostało się dwieście milionów dukatów w złocie, srebrze i kamieniach szlachetnych; według pewnego badacza z naszych czasów, tamtym gangsterom udało się w ciągu stu pięćdziesięciu lat od początku konkwisty zarobić dwieście pięćdziesiąt siedem milionów czterysta osiemdziesiąt siedem tysięcy czterysta osiemnaście funtów szterlingów i

nic innego ich nie interesowało, chyba że kobiety, które ci szczerzy adoratorzy Maryi czynili „brzemiennymi”, żeby je móc drożej sprzedać. Za jednego konia płacili nawet ośmiuset Indianami.

„[...] i po stu latach głoszenia dobrej nowiny – mówił w Meksyku ojciec święty – znalazło się na tym nowym kontynencie ponad siedemdziesiąt biskupstw z czterema milionami chrześcijan”, w końcu tu właśnie „po pięciu wiekach ewangelizacji żyje blisko połowa wszystkich wiernych Kościoła katolickiego [...]”. Tak, czyż to nie równoważy dwunastu, może piętnastu milionów maluczkich, mężczyzn, kobiet, „a nawet dzieci”, wymordowanych – jak pisze Las Casas – w ciągu czterdziestu lat?! I prócz tego blisko czterdziestu milionów czarnoskórych?

Szkoda tylko, że papież nie wspomniał nigdy o człowieku, który zdobył cały Meksyk dla katolicyzmu, dla Kościoła, wysławianego wciąż przez Karola Wojtyłę jako instytucja troszcząca się o „ludzką godność”, „broniąca praw człowieka”, „wyspecjalizowana w humanizmie”, natomiast Adolf Hitler przypomniał owego wielkiego katolickiego bohatera 26 stycznia 1936 roku w Monachium, kiedy to przedstawił swoje wyobrażenia o „prawie” do kolonii i posłużył się przykładem krwiożerczej, potwornej grabieży, której dokonał Fernando Cortez „odważny i szlachetny – tak nazywa go szczerze katolicki leksykon Herder-Verlag – wykształcony i zasłużony dla propagandy chrześcijaństwa”.

Sam Cortez nazywał siebie „sługą Chrystusa, powiększającym jego władzę”; jego główne zadanie: „rozpowszechnianie wiary katolickiej”. Ma się rozumieć, towarzyszyli mu – podobnie jak Hitlerowi – kapelani polowi, którym polecał wygłaszać kazania, sam zawsze działał w imię boże, w imieniu Matki Boskiej i świętego patrona Hiszpanii. Jego towarzysz broni Bernal Diaz, opowiada: „Codziennie rano czytał brewiarz. Każdego dnia z wielkim skupieniem słuchał mszy. Na patronkę obrał sobie Madonnę”. Wszędzie w Meksyku kazał Cortez pokazywać wizerunki Maryi i wznosić krzyże; na sztandarach jego podpalaczy też widniał krzyż – „znak nadziei dla ludzi w każdej epoce” (Wojtyła). „Poprzez krzyż Bóg ukazał człowiekowi jego godność [...]”.

Dzięki Cortezowi nadzieja i godność spod znaku krzyża rozprzestrzeniały się zazwyczaj dopóty, „dopóki na polu nie było już żywych, a za to było pełno trupów” – to jego własne słowa. I dorzucimy zaraz dalsze cytaty z relacji przesyłanych przezeń między rokiem 1520 a 1522 do Karola V, w którego królestwie słońce nie zachodziło, między innymi dzięki Cortezowi! „Szacuję, że pozostało ich niewielu”. „[...] gnaliśmy ich przed sobą przez dwie mile i było to uciészne widowisko. Wielu z nich dopadliśmy i za-dźgaliśmy [...]”. „[...] napadłem na dwie wsie, w których zabiłem wielu Indian.” „[...] zdobyliśmy obie wsie, podpaliliśmy je i uradowani wróciliśmy do miasta”. „[...] wrzuciliśmy ogień do ponad trzystu domów”. „[...] podpaliłem sześć wsi.” „[...] spaliliśmy dziesięć wiosek”. „Ludzie wybiegali z domów bez broni, kobiety i dzieci nago, wszyscy przemieszani. Na początku wielu zabiliśmy [...]”. „[...] z okrzykiem bojowym Santiago! napadłem ich zniemacka i zadźgałem ponad stu mężczyzn”. „Z okrzykiem Santiago! przejechaliśmy konno szeroki plac i zadźgaliśmy wszystkich, którzy podpadli pod lance [...]. Zginęło ponad pięciuset wrogów”. „Przyzywając na pomoc świętego Jakuba, zaczęli oni atakować [...] i rzeka, która płynie w dole, była – jak mi doniesiono – czerwona od krwi pomordowanych”. „[...] wtedy to zabiliśmy albo wzięliśmy do niewoli ponad ośmiuset Temikstitańczyków”. „W ciągu dwóch godzin padło wtedy trzy tysiące mieszkańców”. „[...] i pognaliśmy obrońców do jeziora. Zginęło przy tym ponad sześć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci”. „[...] w tym jednym dniu zabiliśmy albo wzięliśmy do

niewoli ponad dwanaście tysięcy Temikstitańczyków". „Tego dnia [...] zabito albo wzięto do niewoli ponad czterdzieści tysięcy Temikstitańczyków". „Ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi umarło w tym mieście".

To, o czym Cortez lakonicznie informuje swojego katolickiego monarchę, staje się żywsze, a zwłaszcza bardziej krwiste, w pewnym tekście azteckim, opisującym rzeź tysiąca Indian w któreś święto. Jedynie w taki sposób przyczyniano się do zwycięstwa „fundamentalnych praw człowieka", „dzieła ewangelii i pokoju" – tak było na Haiti, tak w Meksyku i wszędzie indziej w Ameryce Południowej.

Właśnie wtedy, gdy „krąg tańczących wykonywał najpiękniejsze figury i rozbrzmiewała jedna pieśń po drugiej, w tym szczytowym momencie festynu", pobożni Hiszpanie wdarli się „na uważany za święty wewnętrzny dziedziniec, żeby wyciąć uczestników zabawy. Przybyli pieszo, mieli w rękach żelazne miecze oraz drewniane i żelazne tarcze. Tak uzbrojeni, zaatakowali tańczących i utorowali sobie drogę do tego miejsca, gdzie bito w bębny. Schwycili dobosza i odrąbali mu rękę. Potem odrąbali mu głowę, która potoczyła się daleko po ziemi. A później napadali na tańczących, dźgali, przebijali ich na wylot, zabijali swoimi mieczami. Niektórych przekłuwali od tyłu i ci padali na ziemię ze zwisającymi wnętrznościami. Innych skracali o głowę; najpierw rozdwa-jali głojwy, a potem roztrzaskiwali je na małe kawałki. Jeszcze innych dźgali w ramiona i otwierały się tym ludziom wielkie rany na plecach. Temu i owemu oderwano ramiona od ciała. Niektórych trafiono w uda i łydki. Innym rozplątano brzuchy i wnętrzności wylewały się na ziemię. Ten i ów próbował uciec, ale daremnie, bo potykali się o własne trzewia. Jakkolwiek się ratowali, nikt nie ocalał. Jedni próbowali przedostać się na zewnątrz, ale Hiszpanie mordowali ich przy bramach. Inni wspinali się na mury, lecz tych Hiszpanie wbijali na ostrza mieczów [...]. Krew wodzów lała się jak woda i zbierała się w kałużach. Kałuże zlewały się ze sobą, sprawiając, że cały dziedziniec świątyni przemienił się w wielkie grzaskie bajoro. W powietrzu unosił się odór krwi i wnętrzności. A Hiszpanie rozbiegli się teraz po domach prywatnych i zabili wszystkich, którzy się tam jeszcze ukrywali".

Ta krwawa orgia jest jedną z tych wielu, którymi Cortez wyludnił Meksyk – Cortez, katolik, który – jak pisał do swego cesarza – zgodnie z nakazami ewangelii „nie chciał odpłacać złem za zło", który nie tylko kazał swoim kapelanom głosić „najważniejsze prawdy wiary", ale i sam wygłaszał kazania: „Jesteśmy chrześcijanami i wierzymy tylko w jednego prawdziwego Boga, w Jezusa Chrystusa, który za nas cierpiał [...]". „Wierzymy tylko w niego i dlatego też jego tylko czcimy". „Na miejscu waszych bożków znajdzie się teraz nasza pełna chwały, święta Pani, matka Jezusa Chrystusa, który jest synem Boga [...]".

Właśnie kult Maryi jest tym, co szczególnie łączy ludobójcę Corteza z papieżem wszędzie i stale zalecającym nabożną cześć dla niej, i to chętnie właśnie w krajach, w których „spełnił się nakaz Chrystusa", gdzie „poprzez łaskę chrztu wszędzie przybyło dzieci bożych" – a dzieci szatana trochę ubyło...

Gdy katolicy Hiszpanie zawitali do Meksyku, żyło tam około jedenastu milionów Indian, a po stu latach – już tylko półtora miliona.

W taki sposób Kościół – „broniący praw człowieka", „wyspecjalizowany w humanizmie" – zdobył dla siebie kontynent, na którym odtąd panuje samowola i terror, na którym odtąd on sam stoi po stronie morderców, dyktatorów, na którym odtąd istnieje niewielka klika wielkich posiadaczy ziemskich, żyjących w fantastycznym przepychu, a prócz nich żyje tam ogromne mnóstwo ludzi wegetujących, niedożywionych, analfabetów, aż do końca XIX wieku były tam

społeczności utrzymujące instytucję niewolnictwa, co niewiele się różniło od sytuacji znanej ze starożytnego Rzymu.

„Dziękuję Bogu, że już nigdy nie będę musiał odwiedzić kraju, w którym są niewolnicy”, zanotował Charles Darwin 19 sierpnia 1836 roku, uszczęśliwiony tym, że „wreszcie na zawsze” opuszcza wybrzeże Brazylii.

Podobnie jak u schyłku epoki antycznej – gdy już pod koniec IV wieku feudalny żywot biskupa Rzymu, jego luksus, stał się przysłowiowy, gdy wreszcie Kościół nie tylko przodował pod względem liczby posiadanych niewolników, ale i, czego nigdzie indziej nie było, uniemożliwił wyzwolenie niewolników jako „dobra kościelnego” – podobnie jak w średniowieczu, tak później w Ameryce Południowej niewolnictwo było w zasadzie akceptowane przez Kościół katolicki. Korzystali z niego ludzie świeccy i duchowni; duchowni i klasztory, często będące w posiadaniu wielkich latyfundiów, uczestniczyli w handlu niewolnicami; co więcej, jezuita i franciszkanie, tyle razy chwaleńcy przez Jana Pawła II, sprzyjali małżeństwom między Indianami i czarnymi, by potem uznać ich potomstwo za chłopów pańszczyźnianych, co na przełomie XVIII i XIX wieku wytykał generał Arouche, dyrektor generalny brazylijskich wiosek indiańskich. Konkubinat wśród niewolników był dozwolony, ochrzczeni mogli zadawać się z nie ochrzczeni, tolerowano nawet zakazane współżycie z ludźmi wolnymi i było ono wręcz bardzo swobodnie uprawiane, również przez kler. Katolicka Ameryka hodowała niewolników, tak jak się trzyma trzodę albo gołębie. „Najproduktywniejsze przejawy niewolnictwa – czytamy w pewnym manifestie plantatorów – to płodne ciała kobiet”. Ale gdy ci ludzie umierali, to zwłoki owych nieszczęśników stawały się łatwym łupem psów i sępów, często składano je jakkolwiek na plaży albo, przywiązane do drewnianych bali, były w porze odpływu wyrzucane do morza... „Instytucja wyspecjalizowana w humanizmie [!]” Jeszcze w XX wieku Kościół Ameryki Łacińskiej jawi się jako beznadziejnie ultramontański, arcyreakcyjny, jako właściwa ostoja panującego „ładu”, wielkiej finansjery, kolonializmu na poły feudalnych latyfundystów. Podczas gdy masy ludowe z pokolenia na pokolenie marniały w brudzie i nędzy, kapłani stawali się niemalże wszechmocni, obrastali w ogromne bogactwo, podobnie jak pozostali właściciele niewolników, jak wielcy panowie; księża licytowali schwytanych Indian, żeby pokryć koszty budowy „domów bożych”, utrzymywali dla własnej przyjemności trzydziestoosobowe orkiestry i czasem potrzebowali nawet rąk niewolników przy załatwianiu się.

Franco i Salazar byli w Ameryce Łacińskiej bohaterami kle-rykalnej propagandy, czczono ich jako wzory do naśladowania, prawie wszędzie kręgi chrześcijańskie uczestniczyły w ustanawianiu dyktatur czy innych reżimów antyludowych, inscenizowały pucze i kontrpucze, torturowano, rozstrzelowano tysiące ludzi, biedacy ubożeli jeszcze bardziej, a bogaci byli coraz zamożniejsi. Majątki o powierzchni pięćdziesięciu tysięcy hektarów uważane są za niewielkie. W niektórych państwach, np. w Brazylii, do trzech procent ludności należą prawie dwie trzecie obszaru kraju; istnieją też diecezje, gdzie przeciętny dochód roczny nie przekracza stu pięćdziesięciu dolarów i na trzysta tysięcy mieszkańców przypada jeden szpital (z trzydziestoma łózkami). Szerzą się ciemnota, analfabetyzm, chroniczne niedożywienie. A przy tym (według danych z roku 1980) liczba ludności Peru podwaja się co dwadzieścia lat, Meksyku – co osiemnaście lat, Brazylii – co siedemnaście lat.

A co papież Jan Paweł II miał do zaoferowania temu głodującemu kontynentowi, gdzie w więzieniach jest coraz ciasniej, gdzie slumsy wciąż się rozrastają, gdzie całe masy peonów są prze-pędzane, zabijane, rozstrzeliwane w czasie ucieczki? Otóż zgodził się, że robotnikom

należą się pewne prawa, ale przypomniał im też o ich obowiązkach. Uznał własność za zobowiązanie socjalne, ale i podkreślił prawo do prywatnej własności. Wyraził pragnienie, by dobra były rozdzielane sprawiedliwiej, nie chciał jednak, żeby rozumiano Jezusa opacznie jako rewolucjonistę. Prosił rządzących, by czynili więcej dla rządzonych, i błagał Maryję, żeby uchroniła te państwa przed przewrotami. Co prawda jeden raz upomniał się o „pilne reformy”, „istotne zmiany”, mówił też o „przeprowadzonym we właściwy sposób wywłaszczeniu”. Ale utonęło to wręcz w powodzi prawie bezustannie powtarzanych perswazji całkiem innego rodzaju, w jawnym strofowaniu tych biednych, wyzyskiwanych ludzi, w ewidentnym tłumieniu sytuacji rewolucyjnej, w ciągłym zwalczaniu, jeśli się nie mylę, nie wymienionego nigdy z nazwy komunizmu, w który ten wykrwawiany od stuleci kontynent mógłby teraz popaść. Papież ostrzegał wciąż przed „ideologiami opartymi na nienawiści i przemocy”, przed „radikalizmem społecznym i politycznym”, przed „działaniem bezpłodnym i niszczącym”. „Walka klasowa nie prowadzi do ładu społecznego”. Ależ, señor, by powtórzyć odezwanie prezydenta Meksyku, czyżby chrześcijaństwo doprowadziło do „ładu społecznego”? I czy nie miało ono na to prawie dwóch tysięcy lat? A jak wyglądało, gdy było wszechmocne? Czy wtedy nie bywało tak, że chłop kosztował blisko trzykrotnie mniej, Indianin zaś osiemset razy mniej niż koń? A jak jest dzisiaj? Czy walka klasowa nie jest jednym z następstw chrześcijaństwa? „Instytucja wyspecjalizowana w humanizmie [!]” Apostoł „ładu społecznego” apelował też niestrudzenie do robotników, pouczał ich, że „robotnik powinien sumiennie wykonywać swoje obowiązki”, że powinien wносить swój „wkład” do tego, co inicjują ludzie „stojący nad nim”. Oddał hołd „godności pracy”, „szlachetności pracy”. „Praca czyni z was przede wszystkim współpracowników Boga”. „Praca zbliża was bardzo do zbawienia, które Chrystus sprawił męką na krzyżu”. Dlatego też robotnicy powinni być gotowi „przyjąć wszystko, co w codziennej monotonii jest ciężkie, przytłaczające, co upokarza i dręczy”. „Robotnicy, jesteście kochani przez Boga” – powiedział. „Bóg kocha was. Chrystus kocha was. Matka Boska, Maryja dziewica, kocha was. Kościół i papież kochają was [...]”. „I wy musicie kochać Boga”. „Na tym skorzysta nawet [!] gospodarka” – zawołał do robotników. (Nie, do przedsiębiorców!)

A co do tych najbiedniejszych z biednych? Ich zapewnił najważniejszy przedstawiciel, posiadającego miliardy, Watykanu o swej „szczególnej sympatii”. Ich nazwał „przyjaciółmi i braćmi”, „przyjaciółmi i uczestnikami tego samego dzieła”, „szczególnie kochanymi przez Boga”. W nich dopatrywał się „w całkiem odmienny sposób obecnego Chrystusa”. Co więcej, nie omieszkał przypomnieć im, że i Syn Boży „urodził się w biedzie”, że „żył wśród biedaków”, że „Bóg wybrał sobie biedną matkę”. Zażądał od robotników, by „dzień w dzień” troszczyli się o własny „rozwój religijny i moralny”, to znaczy, by pozwalali Kościołowi jeszcze bardziej sobą komenderować. Przestrzegł, by nie uważali bogactwa za coś, co daje szczęście, w żadnym wypadku, raczej niech „przezwyścizają troskę nadzieją”. Pochwalił „prawdziwą radość biedaków”, dostrzegł w nich „godne pozazdroszczenia bogactwo duchowe, ludzkie i religijne”. „Biedni wobec Boga są też bogatymi” – mówił w dzielnicy nędzy Yidigal, w Rio de Janeiro. Powiedział, że Bóg wszystko „wynagrodzi” i że „wszyscy jesteśmy braćmi [...]”. „Papież kocha was” – zawołał.

Za wprost „cudowne” uznał to nawet idol katolickich „rewolucjonistów”, biskup Helder Camara. A przy tym we wszystkich „encyklikach społecznych” papieży – Jan Paweł II słusznie często się na nie powoływał – jest takiego bezwstydnego mydlenia oczu pod dostatkiem; bogatych karci się w nich zawsze łagodnie, biednych ludzi się nabożnie, i każdy – to

doprawdy cudowne – może z tych encyklik, tak jak z Biblii, wyczytać, co zechce. Cały kunszt katolickiej moralności społecznej polega przecież na tym, by z wielkich ofiar na rzecz bogatych uczynić małe ofiary bogatych na rzecz biednych.

„Papież, który rozbudził nadzieje” – piała z zachwytu „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. „Papież dla biednych, papież dla robotników, dla Indian, więźniów, chorych i dzieci – papież, którego miliony darzą szczerym zaufaniem [...]”. I milionerzy też! Bankierzy robili już w całostronicowych ogłoszeniach, zawierających wiersze Wojtyły z jego polskiego okresu, reklamę i papieżowi, i „nowemu pokoleniu bankierów”.

Jan Paweł II domagał się usilnie czci dla Maryi, powszechnej pobożności, wierności biskupom, celibatu. W ostrym tonie protestował przeciw rozwodom, środkom antykoncepcyjnym, aborcji. Bo przecież wciąż jest za mało katolików, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej...

A „teologia wyzwolenia”? Pomijając już to, że podobno uznał ją za „fałszywą teologię” (zresztą wszelka teologia jest taka), zapytajmy: czy nie istniały zawsze białe kruki, nawet wśród chrześcijan? I czyż tacy ludzie nie byli zawsze – w starożytności, w średniowieczu, rozpinani na krzyżach i paleni przez purpuratorów? Czyż nie zdarzyło się w 1810 roku tak, że Miguel Hidalgo, ksiądz, wystąpił na czele zgrai Indian i Metysów w łachmanach przeciw despotom? Czyż nie rozstrzelano go z biskupim błogosławieństwem i czyż nie pokazywano przez dziesięć lat jego głowy zatkniętej na pal w centrum twierdzy katolicyzmu Guanajuato? A gdy w wypadku zwycięstwa socjalizmu wszystkie kruki zbieleją i ludzie pokroju Miguela Hidalgo zostaną uznani za świętych, to czyż socjalizm chrześcijański nie okaże się – powtórzmy słowa Lenina z 1913 roku, zawarte w liście do Maksyma Gorkiego – najgorszą odmianą „socjalizmu”, jego najgorszym wypaczeniem? Tak czy inaczej zapytajmy, jak pytano w Prusach Wschodnich: czyż koryta nie pozostają takie same, a tylko pojawiają się nowe świny?

Na trzecim synodzie generalnym biskupów latynoskich w Pu-ebli, w dniu 28 stycznia 1979 roku, Jan Paweł II stwierdził: „Kto zna historię Kościoła, ten wie, że zawsze bywali biskupi zasługujący na szacunek, tacy, którzy angażowali się mocno na rzecz godności ludzi powierzonych przez Boga ich trosce i odważnie bronili tej godności. Czynili to zawsze w imię swego biskupiego posłannictwa; bo dla nich godność ludzka stanowiła wartość ewangeliczną, którą nie należy poniewierać, jeśli nie chce się bardzo obrazić Stwórcy. W wypadku jednostki podeptanie tej godności następuje wtedy, gdy niedostatecznie respektuje się takie wartości, jak wolność, prawo do praktyk religijnych, nietykalność fizyczna i psychiczna, prawo do podstawowych dóbr niezbędnych do życia, prawo do życia właśnie [...]”.

Ale nikt nie respektował tych wszystkich praw mniej, nikt ich przez dwa tysiące lat nie deptał tak bezwzględnie i bezustannie, jak Kościoły chrześcijańskie, zwłaszcza Kościół rzymskokatolicki. I tylko taki papież, jak Jan Paweł II, który posuwa się do tego, że gloryfikuje biskupów jako „mistrzów prawdy”, potrafi zdobyć się i na to, żeby nieliczne wyjątki przedstawić jako regułę, a samą regułę przemilczać i w ten sposób okłamywać cały świat w żywe oczy, zresztą odwiecznym obyczajem swoich poprzedników. Mordowanie w imieniu Maryi [...] kult Maryi [...] to powstała z ludzkiej bezradności i potrzeby oparcia, z jezuickiego sprytu i kościelnej żądzy władzy historia zgoła infantylnego zabobonu, bezwstydných fałszerstw, przeinaczeń, arbitralnych interpretacji, omamień i manipulacji; widowisko do płaczu i do śmiechu – prawdziwa boska komedia.

ARTHUR DREWS

Jan Paweł II nasilił kult Maryi – od Polski po Afrykę, od Hiszpanii po Amerykę Łacińską. Nieszkodliwe zjawisko? Apolityczne wzmożenie pobożności? W tym Kościele nie ma rzeczy nieszkodliwych! Nie ma rzeczy apolitycznych! A już na pewno nie jest apolityczna Maryja, choć zdziwi to chyba katolików, którzy najmniej znają historię swego Kościoła. Nieprzypadkowo. Kim jest Maryja?

Czy triumfuje ona już w Biblii! Tak jak to dzieje się później, gdy wypiera ze świadomości wielu wiernych nawet „Syna Bożego”? Wręcz przeciwnie! W całym Nowym Testamencie mówi się o niej bez szczególnej czci. Paweł, najstarszy pisarz chrześcijański, wspomina o niej równie mało, jak najstarszy ewangelista. Ale ignorują tę postać także Ewangelia św. Jana, List do Hebrajczyków, Dzieje apostołskie. I sam Jezus, w Piśmie występujący z siedmior-giem rodzeństwa i jako „pierwszy syn” Maryi, przemilcza swe narodziny z dziewicy. Nigdy nie nazywa jej matką, karci ją, a ona widzi w nim szaleńca. Żaden Ojciec Kościoła sprzed III wieku nie wie nic o jej wiecznym dziewictwie, żaden sprzed VI wieku nie wspomina o Wniebowzięciu. Co więcej, zdogmatyzowana później wiara w Niepokalane Poczęcie była przez największych świętych: Bernarda, Bonawenturę, Alberta Wielkiego, Tomasza z Akwinu i innych, którzy powoływali się na Augustyna, zwalczana jako zabobon. Kim jest Maryja?

Postacią nową, wyjątkową w dziejach religii? Przeciwnie! To tylko chrześcijańska „kontynuacja” antycznej Wielkiej Matki, najstarszego bóstwa rodu ludzkiego, zaświadczonego już około 3200 roku p.n.e. Zna je już najwcześniejsza z rozpoznanych religii, sumerska. Wizerunek tej postaci znajduje się już na ołtarzu świątyni w Unik, prehistorycznym mieście na obszarze Babilonii. Sumerowie zwą ją Inanną, Babilończycy – Isztar, Huryci – Sauską, Asyryjczycy – Mylittą, Syryjczycy – Atargatis, Fenicja-nie – Astarte; jako Aszera, Anat albo Baalat (partnerka Baala) jest określana w Starym Testamencie, jako Kybele – przez Frygijczyków, jako Gaja, Rea, Afrodyta znana jest Grekom, jako Magna Mater – Rzymianom. Odnajdujemy ją też w Indiach pod imieniem Mahadevi. A w Egipcie widzimy ją pod postacią Izydy, niemalże dokładnego pierwowzoru Maryi.

Izyda była na długo przed Maryją czczona jako „matka pełna miłości”, „królowa niebios”, „królowa mórz”, „obdarzająca łaskami”, „ratująca”, „niepokalana”, semper virgo, sancta regina, mater dolorosa. Izyda uchodziła, jak później „Maryja umajająca”, za matkę zieleni i rozkwitu. Podobnie jak Maryja, już Izyda porodziła w dziewictwie i będąc w podróży. Podobnie jak Maryja, już Izyda trzymała dziecko boże – tu zwane Harpokratesem albo Horusem – na kolanach bądź karmiła je piersią. Podobnie jak Maryja, już Izyda nazywana jest „Matką Boską” (mwt n/r). I w roku 431 musi ona odstąpić swoje tytuły „Matki Boskiej” i „Bożej rodzicielki” żonie galilejskiego cieśli, przy czym jednym z czynników współdecydujących o przyjęciu tego dogmatu na soborze w Efezie były ogromne sumy, którymi patriarcha Aleksandrii, święty Ojciec Kościoła Cyryl, przekupił, kogo tylko mógł, począwszy od wysokich urzędników państwowych, poprzez małżonkę prefekta pretorianów, aż po wpływowych eunuchów i wpływowe pokojówki; choć sam był bogaty, wykosztował się tak, że musiał dopożyczyć sto tysięcy sztuk złota i jeszcze nie wyszedł na swoje. Nawet zapłodnienie Maryi zostało przypisane tej porze roku, kiedy nastąpiło zapłodnienie Izydy, której chronologię cięż nadzwyczaj dokładnie rejestrował egipski kalendarz świąt. Izyda przekazała tamtej Żydówce w spadku także swoje atrybuty: półksiężyc, gwiazdę i zdobiony gwiazdami płaszcz. A że istniały kiedyś czarne wizerunki Izydy, to i karnacja Maryi bywała

ciemna, nawet czarna, i tym czarnym madonnom – z Neapolu, Częstochowy, a zwłaszcza rosyjskim – przypisywano szczególną świętość. Kim jest Maryja?

Obrończynią kobiety? Symbolem kobiety, czczonej przez Boga jako „matka”? Przeciwnie! Karykaturą kobiety! Jest to istota wniebowzięta za życia cielesnego, „niepokalana” pożądaniem, bez skazy, czysta, triumfująca nad swoimi zmysłami, dziewica ante partum, in partii, post partum, pełna glorii antagonistka Ewy, grzesznicy, winnej, partnerki węża i fallusa. Im bardziej w bogobojnym średniowieczu rozkwita kult Madonny, im bardziej roi się od pieśni, kazań, kościołów, bractw na jej cześć, tym częściej jest poniżana, upokarzana, ujarzmiana – kobieta. Kobieta ma niewiele praw, jako menstruująca i ciężarna uchodzi za istotę nieczystą, jakoby kalał ją też poród, a nierzadko i kopulacja. Uchodzi za „stale otwartą bramę piekieł”, gdy tymczasem Maryja, „służebnica Boga”, a więc kapłana, awansuje do miana „bramy niebios”. Tu wywyższenie ponad wszelką miarę, tam nieomal bezgraniczne poniżanie, którego kulminacją stało się spalenie setek tysięcy czarownic. Kim jest Maryja?

„Umajającą królową”? „Matka Boską Lipową”? „Leśną”? Owszem. Ale zarazem, tak jak jej antyczne poprzedniczki, jak bogini miłości i walki Ishtar, jak dziewicza bogini wojny Atena i inne – chrześcijańską boginią krwi i zemsty, Matką Boską Bitewną i Matką Boską Eksterminacyjną. Bo starym obyczajem ludzi pobożnych jest mordowanie w imieniu Maryi.

Wojska bizantyjskie zabierały na wojny jej wizerunek, który znajdował się też w pałacu cesarskim w Konstantynopolu i w różnych miejscach stolicy. Liczni katolicycy wodzowie byli szczerymi czcicielami Maryi. Cesarz Justynian I, który z papieską pomocą wyplenił dwa plemiona germańskie: Wandalów i Ostrogotów, przypisał swe krwawe zwycięstwa Maryi. Podobnie uczynił jego bratanek Justyn II, który uznał ją za patronkę wojny z Persami. Na dziobach okrętów wojennych cesarza Herakliusza widniały wizerunki Maryi. Chlodwig, istny potwór, upamiętniany po dziś dzień nazwą jednego z placów w Kolonii, przypisywał swe brutalne triumfy nad „kacierzami” – Maryi. Będące celami pielgrzymek sanktuaria w Tours i Poitiers zostały ponoć przez Karola Młota, zwanego „młotem bożym”, wielkiego czciciela również „Matki Boskiej”, zarzucone trupami trzystu tysięcy Saracenów. Karol „Wielki”, który mając wiele żon i kochanek, zawsze nosił na piersi wizerunek Maryi, zdołał w ciągu czterdziestu sześciu lat rządów, podczas pięćdziesięciu kampanii, zdziesiątkować niejedyn naród i złupić setki tysięcy kilometrów kwadratowych, „wysłuchawszy naszych przestróg” – jak skomentował to papież Hadrian I. Poczuwając się do wdzięczności, Karol rozpowszechnił w swoim państwie kult Maryi na miarę wcześniej nie spotykaną i wzniósł „na polach bitewnych godne tej niebiańskiej protektorki sanktuaria” (Hócht).

Całe średniowiecze to epoka rozkwitu miłości do Maryi i ohydnych rzezi w jej imieniu. Myśl o „zwycięstwie Maryi” pojawiała się „we wszelkich dziedzinach życia [...]. Nawet w walkach świeckich imię Maryi rozbrzmiewało w bojowych okrzykach chrześcijan” (Hócht; z kościelnym impnmatu).

Przy pasowaniu na rycerza otrzymywało się poświęcony miecz, wręczany ze słowami: „Na chwałę Boga i Maryi przyjmij ten miecz i żadnego innego”. „Maryjo, dopomóż” – wołano często przed bitwą. O clemens, o pia, o dulcis virgo Maria – „O dobra, łagodna, słodka Panno Maryjo!” – śpiewali krzyżowcy przed wyruszeniem na okrutne rzezie w „Ziemi Świętej”. Na Wschodzie rycerze Zakonu Niemieckiego, którzy mordowali i pacyfikowali bez ustanku, „służyli tylko swej niebiańskiej Pani – Maryi”. Straszliwe rozprawienie się z albigensami to „triumf Naszej Pani Zwycięskiej”.

Trwająca przez całe średniowiecze, od roku 711 do 1492, wojna z islamem w Hiszpanii, też

została uznana za zwycięstwo „Matki Bożej”. Imię Maryi rozbrzmiewało podczas bitwy stoczonej w 1212 roku w dniu Święta Szkaplerza Najświętszej Paniienki pod Navas de Tolosa, gdzie król Kastylii Alfons i jego żołdacy pod maryjnymi sztandarami położyli ponoć trupem ponad sto tysięcy Maurów i nagrabili mnóstwo złota oraz kamieni szlachetnych. W kilkadziesiąt lat później, w 1248 roku, król Ferdynand Święty z wizerunkiem Maryi na piersi i jej imieniem na ustach pokonał Maurów w bitwie pod Sewillą. A wygnał ich w końcu z Hiszpanii Ferdynand Katolicki, fanatyczny czciciel Maryi.

Wszędzie była widoczna „mariańska dynamika dziejów”. W bitwie o Belgrad (1456) – „mariańskim czynie zbrojnym pod wodzą wielkiego propagatora Maryi” świętego Jana Kapistrana, szalejącego generała franciszkanów, który miał też na sumieniu bardzo wielu Żydów – zginęło, ponoć, z pomocą Maryi, osiemset tysięcy Turków. Osiem tysięcy padło podczas morskiej bitwy pod Lepanto (1571). Święty Pius V ogłosił dzień tej bitwy, 7 października, ważnym świętem „na pamiątkę Naszej Pani Zwycięskiej”. A Wenecjanie, którzy przyczynili się istotnie do zwycięstwa, umieścili pod powieszonym w Pałacu Dożów obrazem przedstawiającym bitwę napis: „Nie potęga, nie broń i nie wodzowie, lecz Maryja Różańcowa pomogła nam zwyciężyć!”

W Nowym Świecie adoratorem Maryi był krwawy zbir Cor-tez. Obrął ją sobie za patronkę wszędzie, gdzie na górach trupów wznosił krzyż, pokazywał też jej wizerunek i oświadczał, że oto na miejscu indiańskich „bożków” znajdzie się „nasza triumfująca, święta Pani, matka Jezusa Chrystusa, który jest synem Boga [...]”. Również pierwsza krwawa łaźnia wojny trzydziestoletniej, bitwa pod Białą Górą w pobliżu Pragi (1620) była zwycięstwem Maryi; katolicki wódz Tilly też ją z zapałem wielbił; na głównym sztandarze Ligi widniał wizerunek „Matki Boskiej” i napis, na który „Nasza Pani Zwycięska zasłużyła” (te słowa otrzymały *imprima-tur!*): *Terribilis, est castrorem acies ordinata* – „Straszna jak wojsko w szyku bojowym”.

Jak to możliwe, że Tilly odniósł trzydzieści dwa zwycięstwa „pod znakiem Naszej Pani z Altótting”, a potem, będąc jednym z „największych wodzów wszechczasów” i podówczas, uchodząc za „najpoważniejszy autorytet w kwestiach strategii nie tylko w Niemczech, ale i w Europie” (Gillardone), za trzydziestym trzecim razem uległ przewadze „kacerza” Gustawa Adolfa i sam też poległ – mimo udziału Maryi?

A zwycięża ona jeszcze w XX wieku. Po grabieżczej inwazji Mussoliniego na Abisynię Włosi przesyłali z wojny widokówki ukazujące ugwieżdżoną Madonnę z Dzieciątkiem ponad wieżą spowitego dymem z dział czołgu, który atakowali z boku żołnierze. Podpis: Ave Maria. Arcybiskup Neapolu kardynał Ascalesi urządził na trasie z Pompejów do Neapolu procesję z obrazem „Matki Boskiej”, podczas której samoloty wojskowe zrzucały ulotki gloryfikujące w tym samym zdaniu Świętą Dziewicę, faszyzm i wojnę w Abisynii. Patronką lotników Mussoliniego była „Święta Matka Boska z Loreto”. Sukcesem Maryi okazała się oczywiście także hiszpańska wojna domowa.

Krótko mówiąc, cała pobożna historia Zachodu to ciąg cudownych zwycięstw Maryi. Według tego, co twierdzi Hócht w swoim wydanym za zgodą władz kościelnych dziele *Maria ret-tet das Abendland. Fatima und die „Siegeñn in allen Schlachten Gottes” in der Entscheidung urn Ruftland* (Maryja ratuje świat zachodni. Fatima i „triumfatorka we wszystkich bitwach bożych” w starciu decydującym o losach Rosji, 1953) – utworze budzącym grozę i zasłużenie dedykowanym z „wyrazami czci Jego Świątobliwości Papieżowi Piusowi XII, wielkiemu bojownikowi o pokój” – większość decydujących bitew odbyła się w święta

maryjne albo przynajmniej „na trzy dni przed Jej największym świętem”, „na dwa dni przed narodzinami Maryi”, „w przeddzień Wniebowzięcia Maryi”, „w wieczór poprzedzający Święto Różańcowe” i tak dalej, i tak dalej, aż do Napoleona i Hitlera, który – czego się wreszcie stąd dowiadujemy – właściwie został pokonany tylko przez Maryję i papieża Pacellego. Albowiem, „jako papież prawdziwie mariański”, Pius XII wezwał w 1942 roku, „kiedy to narody zachodnie” były „w śmiertelnym niebezpieczeństwie”, „cały świat katolicki do ślubowania Królowej Różańca i do potężnej krucjaty modlitewnej” – i patrzcie, patrzcie, zwycięstwa Maryi następują jedno po drugim, tyle że nie po stronie państw osi, dla których przeznaczył je Pacelli.

Właśnie 31 października 1942 roku, gdy papież zaślubił ludzkość z Niepokalanym (!) Sercem Maryi, dokonało się, jak wiadomo, pierwsze przełamanie przez Anglików frontu nieprzyjacielskiego pod El Alamein. Następne zwycięstwo Maryi: Stalingrad! W Święto Matki Boskiej Gromniczej. „Matka Boska” w sojuszu z Armią Czerwoną! A dalej: wyzwolenie Tunisu i Afryki Północnej w święto Fatimy. Kapitulacja Włoch, kraju pochodzenia papieża, w Święto Narodzin Maryi. Ostateczne pokonanie Rzeszy Niemieckiej i zawieszenie broni w Święto Objawienia się archanioła Michała (patrona Niemiec!) na górze Gargano. Oprócz tego zwycięstwo nad Japonią, po zrzuconiu pierwszych bomb atomowych – triumf Maryi! Kapitulacja Japonii w Święto Wniebowzięcia!

Na pamiątkę najkrwawszych orgii bitewnych w naszych dziejach obszar Europy pokrywają kościoły pod wezwaniem Maryi Zwycięskiej: od Santa Maria de Yictoria pod Fatima, poprzez Maria de Yictoria w Ingolstadt, kościół Zwycięstwa Maryi w Wiedniu, kościół „Maryi Zwycięskiej” na polu bitwy pod Białą Górą koło Pragi, aż po kościół Maria delia Yittoria w Rzymie itd.

I akurat w okresie trwania otoczonego chwałą sojuszu klero-faszystowskiego, za czasów Mussoliniego, Hitlera, generała Franco, Salazara, Fatima staje się – wspólnie z Lourdes – kolejnym celem pielgrzymek maryjnych, sławnym i nader niesławnym zarazem, bo coraz wyraźniej funkcjonującym jako ośrodek propagandy antykomunistycznej i antybolszewickiej. Wszędzie powstają gazety, wydawnictwa, kościoły, kaplice ku czci Matki Boskiej Fatimskiej. Powstaje „szwabska Fatima” i „Fatima w kraju Zulu-sów” oraz „Fatima wschodnioafrykańska”. Kult dociera do Chin, na Południowy Pacyfik. I w roku 1942, gdy wojska Hitlera tkwią w głębi Rosji, a Pius XII i jego biskupi rozpętują na całym świecie, iście goebbelsowskimi metodami, kampanię antyradziecką, kolportuje się też „proroctwo” fatimskiej Madonny: Pokój nastanie, gdy Rosja się nawróci. „Jeśli tak nie będzie, to rozpowszechni ona swe pomyłki na całym świecie, wywoła niejedną wojnę i prześladowania Kościoła; dobrzy ludzie będą dręczeni, ojciec święty wiele wycierpi; niejeden naród zginie [...]”. A w roku 1950, gdy Pius XII, obdarzony widzeniami równie obficie jak kapitałem, ogląda na niebie „cud doliny fatimskiej”, biskup Sheen wykrzykuje, przemawiając w Fatimie: „Plac Czerwony w Moskwie ma oto przeciwwagę w Białym Placu w Fatimie [...]. Za pięćdziesiąt lat Plac Czerwony będzie Placem Białym. Młot przemieni się w krzyż Chrystusa, a sierp w księżyc pod stopami Naszej Pani!”

Nieważne, że przy okazji zniknie „niejeden naród”... Byleby Rzym uzyskał to, czego chce! Ale w tym wszystkim Maryja odgrywa, i w polityce kościelnej, i jako obiekt kultu, rolę niebagatelną – od Portugalii do Polski i Ameryki Łacińskiej. Na całym świecie Kuria zwalczała komunizm i ZSRR. Od lat dwudziestych, kiedy to czczono „cud nad Wisłą” (1920) jako zwycięstwo Maryi nad Armią Czerwoną, jako „ocalenie Europy przed bolszewi-zmem”

(biskup Graber), stolica apostolska otwarcie i potajemnie podtrzymywała istnienie frontu antyradzieckiego, stając po stronie Piłsudskiego, Hitlera, Stanów Zjednoczonych. A odwieczne zadanie Polski polega na tym, by stanowić „przedmurze chrześcijaństwa” w obronie przed Rosją, kordon sanitarny, a zarazem bazą wypadową.

Watykanowi chodziło przecież nie tylko o likwidację szatańskiego Związku Radzieckiego, lecz również o podporządkowanie sobie rosyjskiego Kościoła prawosławnego. Cel aktualny już prawie tysiące lat, a próbowano go osiągnąć na wszelkie sposoby, dyplomatyczne i militarne, poprzez krucjaty, wysiłkiem niemieckich rycerzy w habitach i wojsk szwedzkich; gigantycznym oszustwem, jak w wypadku awantury owej bezczelnej postaci, którą na początku XVII wieku jako rzekomego carewicza w efekcie kampanii wojennej osadzono na tronie, by Rosja stała się rzymskokatolicka. Ta farsa historyczna – nie ustępująca bynajmniej pod względem oszukańczego charakteru „darowi Konstantyna”, największemu fałszerstwu wszechczasów – również rozpoczyna się w Polsce, przy aplauzie ojca świętego Pawła V i szczególnym poparciu jezuitów, nuncjusza papieskiego oraz arcybiskupa krakowskiego, jednego z poprzedników Karola Wojtyły, który nie tylko niezmordowanie zaleca wszędzie nabożną cześć dla Maryi, lecz ponadto przypomina Polsce o jej „historycznym” zadaniu.

Właśnie podczas jego „pielgrzymki” w czerwcu 1979 roku powtarzało się to ciągle, chociaż z bardzo potrzebną ostrożnością, w wypowiedziach o budzących strach moskiewskich odmienicach. Ale każdy wie, co to oznacza, jeśli Jan Paweł II mówi w Polsce, że „przez swą tysiącletnią historię” należy ona do Europy, że „bez niepodległej Polski na mapie Europy nie może istnieć Europa sprawiedliwa!” Jeśli on, „papież słowiański, właśnie teraz chce uwidocznic jedność duchową chrześcijańskiej Europy” i woła: „Tak, tego chce Chrystus”, co paskudnie przypomina stary okrzyk bojowy krzyżowców, który słyszeliśmy jeszcze w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej: w czasie tej wojny, która „Europę w tragiczny sposób podzieliła” – z wszelką pomocą Watykanu! i dlatego „Europa musi zwrócić się ku chrześcijaństwu”, jak tego zażądał w czasie swej podróży po Polsce – kontynuując poprzednią myśl – papież Wojtyła; właśnie w „sanktuarium maryjnym” na Jasnej Górze, gdzie Czarna Matka Boska jest obłożona odznaczeniami wojennymi, zażądał „wolności Kościoła w Polsce i w dzisiejszym świecie”; właśnie tam, przed obliczem „Maryi, Królowej Polski”, wyjaśnił, „co to znaczy być chrześcijaninem w Polsce [...]. Być chrześcijaninem – to oznacza: czuwać. Jak Żołnierz na posterunku [...]”.

Horst Herrmann, były wykładowca katolickiego prawa kanonicznego, podkreśla słusznie w swojej książce *Papst Wojtyła. Der Heilige Narr* (Papież Wojtyła. Święty głupiec), że od czasów Piusa XII nie było tak bardzo zorientowanego na kult Maryi papieża, jak Jan Paweł II; że podczas jego podróży wizyty w miejscowych sanktuariach maryjnych są wręcz punktami kulminacyjnymi i tak było w irlandzkim Knock, włoskim Loreto, meksykańskim Guadalupe oraz w Polsce, na Jasnej Górze; że również jego adoracja Maryi jest „wyrazem swoistej teologii politycznej”; że również dla niego Maryja jest „triumfatorką”, co przypomina słowa Piusa XII, osławionego stronnika faszystów, który nazwał ją „triumfatorką we wszelkich bitwach bożych”. I tak jak papież Pacelli apelował o to, by śluby złożone Maryi stały się „wołaniem o skuteczne reformy obyczajów, o konieczne zmiany na poziomie życia osobistego i rodzinnego, na poziomie życia w państwie i społeczeństwie, na poziomie życia narodowego i międzynarodowego”, tak też papież Wojtyła wspominał w kontekście ślubów złożonych „Czarnej Matce Boskiej” z Częstochowy nie tylko o „polskich cierpieniach”, ale także o „polskich zwycięstwach” i uznał za konieczne, za „coraz bardziej konieczne panowanie Matki

Boskiej".

Czy chodzi tu o Polskę? O Niemcy? O Europę Zachodnią? O Stany Zjednoczone? Chodzi tylko o nich samych oraz ich władzę! „Gdyby pomyślny wynik wojny pozwolił Amerykanom stać się panami świata, zwłaszcza Włoch – wyjaśnił po drugiej wojnie światowej jezuita Tondiemu Monsignore Fallani z watykańskiego Sekretariatu Stanu – to sytuacja ekonomiczna Watykanu i katolicyzmu byłaby niepewna i ciężka. Teraz Ameryka daje nam tyle dolarów, ile chcemy, bo potrzebuje nas jako potęgi politycznej. Ale jutro przejęliby wszystko protestanci”. „A jak my się wówczas zachowamy?” – spytał jezuita. „Poszukamy kogoś, kto by podjął walkę z Amerykanami – odparł Fallani – tak jak teraz chcemy, żeby Ameryka walczyła z komunizmem”.

Ale i wówczas jakiś papież zaapeluje o pokój, jakiś „Kościół oddolny” będzie mieć nadzieję na „reformy”, kult Maryi będzie kwitł, a wierni będą śpiewać raczej odruchowo, niż z głębokim przekonaniem: „Maryjo, dopomóż...” Atak i kontratak Replika na skargę pewnego sługi Kościoła Deschner HaBfurt, 2 II 1987 Pan Dr Peter Huemer Redakcja „Club 2” Wiedeń

Szanowny Panie, jeszcze raz dziękuję serdecznie za zaproszenie mnie do udziału w programie „Club 2”. I proszę o wybaczenie tego, że przez kilka podróży i nadmiar korespondencji odpowiadam z opóźnieniem na Pańskie listy. A poza tym wahałem się, czy warto tracić czas przez święte oburzenie owego diakona z archidiecezji wiedeńskiej.

Zazwyczaj zadaję sobie w wypadku takich elukubragi tylko to jedno pytanie: czy ów człowiek jest nieświadomy, czy jedynie udaje niewiedzę? Ta pierwsza sytuacja świadczyłaby źle o jego intelekcie, ta ostatnia zaś – o jego charakterze. Ale przecież w klasycznym Kościele obłudy – tylko na pozór nielogicznie – straszy też połączenie jednego i drugiego zła. Co krytykuje ten człowiek?

Nieustannie rozwodzi się na temat moich „nierzeczowych i pełnych nienawiści wypowiedzi”, mojej „nacechowanej nienawiścią, wrogiej postawy”, braku „przyzwoitości i tolerancji”, mojego „niewłaściwego zachowania”, popadnięcia w „histerię i ton nienawiści”; lamentuje z powodu „wysączonego jadu”, narzeka na „agresywnego pisarza”, na „dzikie zachowanie tego pisarza”, który „wręcz cynicznie zaatakował łagodnego i odpowiadającego z godnością ojca Bsteh, wyszydźwiwszy i obraziwszy tym zachowaniem i swoimi wypowiedziami uczucia religijne wszystkich ludzi wierzących, również moje”.

Ależ to brzmi strasznie. Przełożeni diakona odnotowali jego wypowiedź i o to zapewne chodziło. A teraz trzeba by się spodziewać kontrargumentów, przekonującego zdezawuowania, niezbitego dowiedzenia mi tego, że mijam się z prawdą, że jestem niekompetentnym ignorantem, sprostowania moich zafałszowań, ujawnienia oszczerstw, przesady, pomyłek, sprzeczności, fałszywych wniosków, ulegania złudzeniom oraz kłamstw – ileż sługa Kościoła miałby tu możliwości rozprawienia się ze zdeklarowanym wrogiem Kościoła i wszystkimi jego perfidnymi wypowiedziami!

Ale na trzech stronach małego druku nie ma ani jednego sprostowania. Ów diakon przybiera tylko ton mentorski, ma za złe, gniewa się, nie pochwala, wyraża dezaprobatę, coś mu się nie podoba, z czym innym nie może się już pogodzić, jest oburzony, czuje się dotknięty, obrażony. A że niczego, zupełnie niczego nie może obalić, więc przypisuje mi ryczałtem nierzeczowość, ryczałtem niestosowne zachowanie, ryczałtem nietolerancję. Nierzeczowa, nieuczciwa, właściwie jednym wielkim skandalem jest bowiem dla takich jak on zawsze i z góry wszelka fundamentalna krytyka tego, ach, tak nieomylnego, wyłącznie uszczęśliwiającego, jedynie świętego Kościoła – Ecclesiae Catholicae.

Gdyby owieczki myślały, to uznałyby taką pretensję do wyłączności już a priori za podejrzaną. I gdyby miewały odczucia etyczne, to napawałaby je odrazą ta ich „łódka Piotrowa”, pokonująca łatwo wszelką mętną wodę, łódź, na której odbywa się wyprzedaż dusz; raziłaby historia dogmatyzmu, wojen, okropności, owo upokarzanie, ujarzmianie, wysysanie prawie sześćdziesięciu pokoleń, owe oszustwa za pomocą cudów i relikwii, oszustwa finansowe, intrygi, fałszerstwa, oglupianie wszystkich dokoła, bez mała dwa tysiące lat trwające przemykanie się przez dzieje świata dzięki kłamstwom, krwi, łzom. Ale owieczki nie myślą – one powtarzają modlitwy. Wiedzą, co prawda, że Kościół to też ludzie, że nawet kapłani są tylko ludźmi, że nie wszystko jest święte, że zdarzały się pomyłki, słabości, a nawet – to autentyczne słowa zaczerpnięte z jednej z masowych gazet katolickich – zdarzył się jeden zły papież. Myślenie, samodzielne myślenie jest jednak owieczkom niepotrzebne, jest dla nich niewskazane. Kiedy natomiast kościelne oświecanie stara się ludzi oślepić, żeby ich móc prowadzić, to zaspokaja potrzeby, które nie wystąpiłyby bez tego oświecania. Dobrze jest bić w puste głowy.

Ale co ja właściwie powiedziałem podczas tej odbytej tuż przed Zaduszkami dyskusji, która dotyczyła umierania, śmierci, obrzędów i kultów odnoszących się do niej?

Na wstępne pytanie prowadzącego Kunona Knóbła o to, jak wyobrażamy sobie swoje pogrzeby, odpowiedziałem, że już zadysponowałem, iż chciałbym zostać pochowany – oczywiście *mutatis mutandis* – tak jak moje psy; w najtańszej trumnie, odprowadzany tylko przez niosących ją ludzi, którzy powinni się jedynie upewnić, że grzebią właśnie mnie; bez śpiewów, bez słowa, bez żadnych innych dźwięków, bez dzwonienia, wieńców, nekrologów, podziękowań, bez – i w tym momencie odwróciłem się do siedzącego naprzeciw i na ukos ode mnie profesora teologii fundamentalnej i teologii religijnej, ojca Bsteh – proszę mi wybaczyć, bo byłem bliski dodania: i, Boże uchroni, bez klechy. I już dziś przeklinam każdego, kto chciałby rozgłaszać wieści o moim nawróceniu...

Często przecież rozpowszechnia się takie pogłoski. I jeśli nawet są prawdziwe, to „udowadniają” równie mało, jak przeciwna sytuacja, o której opowiada Hans Georg Brenner z Grupy 47 w odpowiedzi na moją ankietę „Co Pan(-i) sądzi o chrześcijaństwie?” – a mianowicie wspomina o duchownych popełniających w chwili śmierci „teologiczne samobójstwo”, pod koniec życia wyrzekających się swojej wiary; Brenner opowiadał mi to o swoim własnym ojcu, pastarze, który doświadczył szczególnie długich i ciężkich cierpień.

Kiedyś chciałem zniknąć przy dźwiękach trzeciej części VIII symfonii Brucknera; dziś, jak powiedziałem, chcę być w tym podobny do moich psów. Niejeden uzna, że zszedłem na psy. Ale ja cenię te zwierzęta znacznie bardziej niż wiele osobistości chowanych na koszt państwa. I niech się ludzie pobożni boczą o to, że można i tak, całkiem zwyczajnie, bez najrozmaitszych uczuć tych, co kołyszącym się krokiem podchodzą do pogrążonych w żałobie, składając kondolencje, tych, co uśmiechają się złośliwie, tych, po których widać współczucie, ciekawość, chęć udziału w spektaklu, radość z cudzego nieszczęścia; że można się obejść bez księdza, kazania, uścisków dłoni, sentencji: „[...] będzie żył, chociaż umarł”, bez pozornie pełnego troski, ale w podtekście groźnego wezwania: „Pomódlmy się za następnego, który nas opuści...”

W czasie tamtego programu także inne osoby wyrażały życzenie, by się nimi zbyt nie przejmowano po ich śmierci, wołały raczej więcej skorzystać za życia; ale wszyscy katolicy chcieli zapewnić swoim zwłokom – ku pocieszeniu rodziny – całą zwyczajową tromtadrę, żadnemu ceremoniałowi dla uczczenia obywatelskiego bohaterstwa nie towarzyszy tyle

kłamstw, co temu właśnie! Zapanowała wśród uczestników programu prawie pełna zgoda co do tego, że zmarły nie ma już z owych ceremonii żadnego pożytku, bardziej natomiast przydają mu się msze święte za jego duszę, jak stwierdziła jedna z dwóch pań siedzących obok zakonnika, która wydała mi się – to pewno zadziałała moja bujna fantazja! – wcieleniem pobożnej Heleny.

Pani Otilie Schiechl, pielęgniarka, zaznała co prawda tej pociechy (oprócz owej większej, jaką stanowi dla niej wiara), że na pogrzebie jej dwudziestojednoletniego syna było „bardzo, bardzo wiele osób i bardzo, bardzo dużo kwiatów”, przy czym w ciągu całego programu prawie że nie zniknął z jej ust niewątpliwie pogodny, ale i nieco drwiący uśmiech: niema demonstracja niezłomnej wiary, której nie zdradzały natomiast bynajmniej, świadczące przeważnie o przeżywanych katuszach, rysy twarzy ojca Bsteh (na ten temat wypowiedział się w pewnej znanej sentencji Nietzsche) – chociaż ten zakonnik bardzo się starał zatuszować taki stan rzeczy słowami. Ale powtórzmy słowa pani Otilie Schiechl: „Zmarły ma więcej pożytku z mszy odprawianych za spój jego duszy”. Tak mocny argument wysunęła, ze względu na jego moc, w dosłownym brzmieniu jeszcze raz, opatrując go niemalże zaskakującym zastrzeżeniem: „Zmarły ma, moim zdaniem, więcej pożytku z mszy odprawianych za spój jego duszy i ja je zresztą często zamawiam”. Dla niej jest bowiem wielką pociechą, że może wierzyć w to, iż kiedyś znowu będzie przy nim, a wierzy w to bardzo mocno. „Jestem przekonana, że on widzi nas stamtąd albo czuje, że tu jesteśmy...”

A z drugiej strony i w pewnej sprzeczności z powyższym nawet Otilie Schiechl (której wygląd, wyrażonym potem w domu zdaniem mojej córki, odpowiada jej nazwisku [schiechl – w austriackiej niemczyźnie: „brzydki”, przyp. tłum.]) była przekonana, że zmarły nie ma żadnego pożytku ze swojego pogrzebu; z „pięknych zwłok, jak mówi się w Wiedniu” – to jeden z nielicznych wtętów urzędnika wiedeńskiego zakładu pogrzebowego, pana Miüllera, według mojego wrażenia werbalnie i optycznie gwiazdy tego wieczoru, chociaż nie będę już pewno o nim później wspominał. (Tymczasem – korci mnie, żeby naszkicować wszystkich gości, mimo że nie dotyczy to tematu, ale jednak wiąże się z nim – pewien pisarz niemiecki, którego honor można uratować tylko stwierdzeniem, że lepiej pisze, niż mówi, chwilami zbyt zapalczywie włączał się, zaprzeczał, wpadał w słowo, w ogniu walki pienił się, jąkał, połykał całe wyrazy, tak jakby chciał je ocalić, jakby się bał, że zostanie ich zaraz pozbawiony albo że sam ich zapomni; tak, ten człowiek, który powinien pozostawić mówienie zawodowym gadułom, mistrzom show, demagogom, politykom, klechom, później, gdy w domu wpatrywałem się w ekran, w fatalny doprawdy sposób przypominał mi mnie samego...)

Jedynie moja austriacka koleżanka po piórze Lotte Ingrisch, znana z takich publikaq'i, jak Przewodnik po zaświatach, Umieranie dla początkujących, również wykazała pogładowo, choć inaczej niż Otilie Schiechl, z większą elokwencją i ostentacją, jaśniej i dogłębniej zarazem (jej sympatyczna twarz przypominała mi przegrzewający się kocioł) swoje stałe obcowanie z potęgami, siłami z innych wymiarów: „Wszyscy jesteśmy duchami” – zawołała w pewnej chwili, i to, jeśli się dobrze zastanowić, wcale słusznie, otóż Lotte Ingrisch wie, że zmarły współprzeżywa, źle mówię, współtrozkoszuje się swoim pogrzebem, „ponad wszelką wątpliwość jest ciekaw siebie w postaci zwłok”, bo „aż tak wielka jest ludzka ciekawość”! Nie tylko jednej z jej przyjaciółek przytrafiło się coś takiego, że zobaczyła zmarłego w chwili, gdy fikał koziołki, widziała go „całkiem pijanego”, ale i jej samej: „Widywałam, i to w sytuacjach zupełnie banalnych, już nie pamiętam, czy dyrektora banku, czy pisarza, rozmawiałam z tym kimś, potem wysiadałam z tramwaju albo zęgnęłam się i dopiero później przychodziło mi na

myśl, chwileczkę, ale przecież ten człowiek zmarł trzy tygodnie temu [...] – tu roześmiała się serdecznie – „tak, tak, zmarły zawsze towarzyszy swoim zwłokom”; to zdanie nawet we mnie nie budzi sprzeciwu.

Natomiast nieco smutne wydaje mi się to, że wiele osób nie zaznaje przez całe życie tylu objawów szacunku, ilu po śmierci; że ostatni zaszczyt, jaki je spotyka – powiedziałem to, posłużęwszy się dobitnym cytatem – nierzadko jest i pierwszym.

Na pytanie moderatora programu o życie „potem” odpowiedziałem: moim zdaniem, zmarli żyją nadal nie w swojej, lecz w naszej świadomości. Umierają, gdy popadają w zapomnienie. I – przeciwstawiając się chrześcijańskim iluzjom co do życia pozagrobowego – dodałem, że chrześcijaństwo w sposób sadyistyczny powiększa radość zbawionych tym, że dane im jest patrzeć z nieba na piekielne męki grzeszników, i to przez całą wieczność! Ale czy są to słowa nieprawdziwe? (Abstrahujmy od faktu, że cała ta wizja jest fałszywa!) To są przecież dawne chrześcijańskie wyobrażenia.

Już w Nowym Testamencie stykamy się z podjudzaniem przeciw niewiernym, z zachętą, by wyrzucić im to samo, co oni nam uczynili, i odpłacić im w dwójnasób, tak jak na to zasługują swoimi uczynkami. Nawiasem mówiąc, widać tu sprzeczność z pacyfistycznymi przykazaniami Jezusa. A potem Tertulian cieszy się, że grzesznicy „miękną i kruszeją” w piekielnym ogniu. Chciałby bez końca sycić wzrok widokiem swoich smażących się tam oponentów: „Jakież tam będzie wielorakie widowisko? Co będzie przedmiotem mojego zdziwienia, mojego śmiechu? Gdzie zaznam radości, ekstazy?” Także biskup-męczennik Cyprian obiecuje zbawionym, gwoli powiększenia niebiańskiej szczęśliwości, przez całą wieczność (!) widok mąk ich niegdysiejszych prześladowców. Podobnie Laktancjusz osładza życie wieczne widokiem potępionych. A przecież i oficjalny teolog Kościoła Tomasz z Akwinu („łagodny jak baranek” – szydzi Nietzsche) zapewnia: „Iżby świętym bardziej się spodobała (magis complacere) niebiańska szczęśliwość i żeby jeszcze żarliwiej dziękowali za nią Bogu, dane im jest widzieć w całej pełni (perfecte) kary dotykające bezbożnych”. Czyż to nie sadyzm?

Cóż znaczy piekło Oświęcimia wobec wiecznego pobytu w piekle? – powiedziałem i postawiłem pytanie: Jak takie wieczne męki piekielne dają się w ogóle pogodzić z ideą Stwórcy zawsze dobrego i wszechmogącego? Jak ten ostatni to wytrzymuje? Jak wytrzymują to wierni? Jak radzi sobie z tym sam ojciec Bsteh? Jakże można uznawać owo późniejsze „życie” za to właściwe, jakże tu cieszyć się nim, skoro duża część ludzkości, jej większość wiecznie pada ofiarą rzezi, jest dręczona, i to w najokropniejszy, najperfidniejszy sposób? W tym momencie ojciec Bsteh skinął głową, po czym powiedział: „Zrozumiałem pana dobrze”.

Nie zaprotestował. I tamten diakon też potrafi tylko narzekać ogólnikowo, jeśli protestuje, to nie wdając się w żadne szczegóły, skarżąc się na mnie, uderza tylko w patetyczny ton – nigdy nie wypowiada się konkretnie!

A w kwestii zgodności nauki o wiecznej karze piekła z miłosierdziem Pana Boga poradzmy się ks. A. M. Rathgebera, którego leksykon Czy państwo to wiedzą? zdążył się już „tak przyjąć i sprawdzić, jak Ploetz czy Dahlmann-Waitz w opinii historyków” („Deutsche Tagespost”) i przeczytamy u niego: „Bóg jest nieskończenie dobry i cierpliwy, zawsze chętnie wybacza. Ale Bóg nie może pozwolić na to, by wiecznie go lekceważono”. Zatem z jednej strony jest on nieskończenie dobry, cierpliwy, zawsze gotowy przebaczać, a z drugiej – jednak nie wiecznie i nie zawsze; niech tam, my to wytrzymamy, ale nie do zniesienia jest sposób, w jaki teologowie obchodzą się z logiką. „Bóg nie może pozwolić na to, by wiecznie go

lekceważono", nie, wiecznie, wiecznie potrafi on karać: za to, że ktoś przez kilkadziesiąt lat miał inne pragnienia niż on. I to, co określa monsignore Rathgeber jako sprawiedliwość, miłosierdzie, miłość – wszystko to charakteryzuje ową postać Boga. Ale i dla tego „Ploetza” i „Dahlmanna-Waitza”, katolików, piekło „stanowi właściwie wielką tajemnicę, tak wielką i głęboką, że [...]” – oszczędźmy sobie tych pustych słów. (Ten autor przypomniał mi zaraz przy lekturze pełen drwiny żart Roberta Musila, który stwierdził, że jeśli się dobrego chrześcijanina albo pobożnego żyda strąci z któregośkolwiek piętra nadziei czy dobrobytu, to „on zawsze spadnie, by tak rzec, na cztery łapy swojej duszy. Bierze się to stąd, że wszystkie religie przewidziały w swojej eksplikacji życia darowanego człowiekowi pewną irracjonalną, niewymierną resztę, do której odnoszono słowa o niezbadanych wyrokach Opatrzności; jeżeli śmiertelnikowi coś się nie zgadzało w jego rachubach, to wystarczało mu, żeby przypomnieć sobie o owej reszcie i już jego duch mógł z zadowoleniem zacierać ręce”.

Ojciec Bsteh nie zacierał rąk. Prawie bez przerwy malowała się na jego twarzy niejaka troska, gorycz, żeby nie powiedzieć: zgorzknienie (ale właściwie nie było po nim widać niechęci, nie). I teraz oto zdystansował się, wprawdzie łagodnym i nabożnym tonem, ale rzeczowo, jednoznacznie, od wszelkiej wiary w wieczny charakter mąk piekielnych, mało tego, w ogóle w piekło; trzykrotnie wypowiedział „z całą pewnością” i mówił tylko o piekle „w cudzysłowie”.

„Przeciwnie – wyznał ten rzymskokatolicki profesor teologii fundamentalnej oraz teologii religii – gotów byłbym z całą pewnością (!) powiedzieć, że jeśli o mnie chodzi, to jako chrześcijanin uważam za swój obowiązek żyć nadzieją, że w piekle – w cudzysłowie – nie znajdzie się żaden człowiek”, że „żadne” ze stworzeń boskich „nie zostanie na wieki odseparowane od Boga. Bo piekło z całą pewnością (!) nie istnieje nigdzie w żadnej postaci jako miejsce realne i czekające na gości bądź ludzi, którzy powinni tam trafić, jak to sobie czasem tak chętnie (!) wyobrażano [...]” – „jak to sobie wyobrażano przez całe stulecia”, wtrącił prowadzący program Kuno Knóbl – „tak, tak”, potwierdził Bsteh, po czym mówił dalej: „[...] a pozostali trafiają w inne miejsce. Nie jest więc z całą pewnością (!) tak – powtórzył, obalając tamto przypuszczenie – że ktokolwiek musi być na zawsze odłączony od Boga”.

„Ale ja chciałabym tego” – powiedziała siedząca obok mnie młoda pisarka niemiecka Constanze Elsner. „Mieć do czynienia z takim Bogiem, który jest odpowiedzialny za Sodomę i Gomorę i inne podobne historie, o nie... Mnie ten Bóg, w którego wierzy ojciec, przeraża”.

Reagując na ewidentne zanegowanie przez tego zakonnika wiecznych mąk piekielnych, stwierdziłem, iż jako katolicki teolog ma on obowiązek wierzyć w nie, bo wieczność mąk piekielnych występuje i w katolickiej, i w protestanckiej ortodoksji, ergo – powiedziałem z naciskiem – „ojciec jest heretykiem”. Bsteh uśmiechnął się łagodnie, a siedząca przy nim Otilie Schiechl też ledwo powstrzymała się od drwiącego uśmiechu. „Heretykiem” – powtórzyłem. Bo to, co głosi ten zakonnik, głosił już największy teolog pierwszych trzech wieków chrześcijaństwa, jeden z najszacowniejszych chrześcijan, Orygenes, a mianowicie doktrynę apo-katastazy, wszechpojednania, powrotu wszystkich – nawet szatana – do Boga. Ale Orygenes wciąż na nowo okrzykiwano heretykiem, „co dzisiaj pewno budzi żal wielu kolegów ojca – powiedziałem – bo przecież czasy się zmieniły [...]”. Ojciec Bsteh miał już skinąć głową, ale skrzywił się, gdy dodałem: „...a wtedy chętnie zmienia się trochę teologię”.

Ów uczyony poprosił w tym momencie, bym mu pozwolił zadać „jedno proste pytanie”: Czy w którejkolwiek prawdzie wiary tego Kościoła jest mowa o piekle? Kościół mówi o tym

od wieków, od dwóch tysięcy lat – odparłem. Ale teolog obstawał przy swoim: „Czy gdziekolwiek w doktrynie Kościoła stwierdza się, że tyle a tyle ludzi trafiło do piekła bądź też, że ktokolwiek jest w piekle? Czy istnieje taka prawda wiary?”

Przedtem wyraziłem swoją sympatię temu sprawiającemu wrażenie przygnębionego (co zawsze budzi moje współczucie), zapewne życzliwemu ludziom zakonnikowi, który wiele podróżował i nabył wielkiego doświadczenia życiowego i którego też na podstawie jego wypowiedzi zacząłem podejrzewać – on zaprotestowałby oczywiście – o to, że jego wiara w życie pozagrobowe nie jest (o wiele) większa niż moja (i niż wiara większości tych dość licznych teologów, których znam osobiście), otóż wyraziłem mu przedtem swoją sympatię, przekonawszy się o jego humanitarnych nadziejach dotyczących naszego losu po śmierci, teraz jednak stwierdziłem: „W tej chwili wydaje mi się ojciec mniej sympatyczny, jeśli wolno mi to powiedzieć. Bo teraz...” – „dlaczego?”, odezwał się Bsteh – „nie, proszę mi pozwolić to powiedzieć, teraz odzywa się w słowach ojca znana aż do przesytu obłuda, do której w wypowiedziach kolegów ojca i tego Kościoła jesteśmy przyzwyczajeni. Bo z jednej strony ma ojciec wprawdzie rację, to nie zostało dogmatycznie zdefiniowane, zgadza się, ale rzeczywistość była taka, że przez dwa tysiąclecia kolejne pokolenia nękano nauką o piekle... to był horror dla każdego człowieka”. „Tak, z całą pewnością – stwierdził ojciec Bsteh. – Gotów jestem potraktować bardzo poważnie to, co pan mówi, to nie ulega wątpliwości. Ale tu chodzi o sposoby rozumienia wiary, które w dziejach faktycznie ustaliły się tak czy inaczej i jeszcze (!) się jakoś ustala, z pewnością. Ale zależałoby mi na tym, żeby stało się jasne, że Kościół nie wysuwa nigdzie w wykładzie wiary twierdzenia, iż choćby jeden człowiek jest naprawdę definitywnie odseparowany od Boga, twierdzenia, z którym jako chrześcijanin musiałbym się pogodzić [...]”.

Prowadzący dyskusję chciał zakończyć rozważania o Kościele, dodał jednak: „z drugiej strony, dopowiem tylko to jedno – i tymi słowami chciałbym uzupełnić wypowiedź pana Deschnera – otóż przypominam sobie, kiedykolwiek wspomnę swoje dzieciństwo i swoich przyjaciół: panował wtedy wielki strach...” – „o tak!”, potwierdził ktoś – „...przed piekłem z widłami, diabłem i wiecznym smażeniem się, i można to sobie było wyobrazić, i oczywiście tego nauczali księża, katecheci et cetera, nie mnie, ale moich przyjaciół: zobaczysz, co cię spotka, jeśli nie zrobisz tego czy tamtego...” – albo to zrobisz!

Zająłem się, szanowny panie Huemer, szerzej tym tematem, by wykazać, że profesor teologii katolickiej pozwala sobie na to, żeby na oczach milionów widzów po prostu zbagatelizować wiarę w piekło i wieczne męki piekielne, zbyć ją, tak jakby prawie wcale nie istniała.

Dzisiaj bowiem jest to wierzenie dla niejednego trudne do przyjęcia. Dziś wydaje się to i katolikom, i protestantom niewiarygodne; dlatego też liczni „postępowi” słudzy Boga starają się do-stosować do ducha nowych czasów, to jest zresztą ich najważniejsze zajęcie i z tej właśnie przyczyny zawsze określam takich „najbardziej postępowych” teologów jako najgorszych. Jednocześnie jednak wciąż nie brak chrześcijan, są ich pewno setki milionów, tych, którzy nadal wierzą w istnienie piekła i oczywiście powinni wierzyć – są to bynajmniej nie tylko ludzie prymitywni. Znam pewnego wykształconego człowieka (właściciela fabryk w Europie i Ameryce), który teraz, gdy jest stary i chory, znów – i z większym przejęciem – ulega wyobrażeniom swego katolickiego dzieciństwa i dręczy go myśl o piekle.

Można by stworzyć ogromne biblioteki tekstów, które w wszystkich epokach istnienia chrześcijaństwa prezentowały okropności piekła. I mimo że papieństwo nigdy nie zdefiniowało

wiary w piekło jako dogmatu, to jednak przysporzyła mu większych korzyści niż którakolwiek (zdefiniowana) prawda wiary, a ponadto – chociaż bez definicji – i w katolicyzmie, i w ortodoksji protestanckiej występuje owo wierzenie jako prawda absolutna.

Najsławniejsze autorytety chrześcijaństwa nie ustają w uświadamianiu tego, że piekło istnieje.

Biblia wspomina o tym ponad siedemdziesiąt razy. Dwadzieścia pięć razy mówi o piekle Jezus, przestrzega przed „robakiem, który nie umiera”, „ogniem, który nie wygasa”, „ogniem nie dającym się ugasić”, „wieczną karą”. Podobnie czyni Paweł, podkreślając, że tego, kto grzeszy, spotyka „kara i wieczna męka”. I powołując się na Biblię, na Jezusa i Pawła, formułują swoje sądy najwybitniejsi Ojcowie Kościoła; Jan Chryzostom wie, „że ów ogień nie ma końca” i dlatego „zawsze” trzeba o nim myśleć, „w czasie porannego posiłku nie mniej niż przy wieczerzy”! Także Augustyn mówi często o „wiecznej udręce”, o „wiecznej karze”, o tych, co „na swoje nieszczęście pozostają w stanie wiecznej śmierci”, chociaż od 421 roku – co zabrzmiało dosyć kuriozalnie – występuje w jego pismach swoiste zawieszenie ognia, weekend w piekle, przerwanie kary od sobotniego wieczoru do wczesnych godzin rannych w poniedziałek! Jeszcze kilka lat wstecz, aż do 415 roku, gwałtownie negował taką możliwość, a Tomasz z Akwinu odrzucił ją ponownie.

Naukę o piekle rozpowszechniali przez wiele stuleci oczywiście również papieże, Wigiliusz, Pelagiusz I, Innocenty III, Innocenty IV i inni, jest to też doktryna soborowa, na przykład niesławnej pamięci, ze względu na decyzje godzące w Żydów, IV soboru laterańskiego (1215) albo, o wiele wcześniejszego, zgromadzenia Konstantynopolitańskiej Prowincji Kościelnej (543), które po raz kolejny uznało Orygenesza za heretyka: „Kto mówi bądź wierzy, że kara spotykająca złe duchy i bezbożnych ludzi trwa tylko do czasu i po upływie pewnego okresu ustaje, po niej zaś następuje całkowite przywrócenie do łask [apokatastaza] złych duchów i bezbożników, ten niechaj będzie usunięty z Kościoła” – jest to zresztą takie zdanie, które czołowy rzekomo katolicki teolog XX wieku Karl Rahner uważa za twierdzenie doktrynalne nacechowane nieomylnością.

Katechizm rzymski ustalony przez sobór trydencki i wydany na polecenie Piusa V też uprzedza w mocnych słowach, że „bezbożni są w piekle wiecznie (perpetuo) pozbawieni światłości boskiego obrazu”, że zostają wrzuceni „w ogień wieczny” (in ignem aeternum) i cierpią ból, „jak przy biciu albo biczowaniu, albo też przy innego rodzaju karach cielesnych, spośród których bez wątplenia największy ból sprawia udręka ognia”, tym bardziej że „trwać będzie po wsze czasy” (ut perpetuum tempus duraturum sit) i potępieni „nigdy nie zdołają się uwolnić od towarzystwa najniegodziwszych diabłów”! Catechismus Romanus podkreśla jednoznacznie: „Oto co duszpasterze powinni bardzo często uświadamiać wiernym” (saepissime inculcare debent).

Jeszcze przecież w XX wieku jezuici wykonują „ćwiczenia duchowe” założyciela zakonu Ignacego Loyoli – który, zdaniem jednego z jego „synów”, łączył w sobie ludzką wielkość z „czynami człowieka obłąkanego” – muszą w różnych ćwiczeniach i różnymi zmysłami przekonywać samych siebie o takich wymiarach, jak „długość, szerokość i głębokość piekła”, wyobrażać sobie „owe niezmiernie ogniste czeluście oraz dusze znajdujące się jakby w ognistych ciałach”, a ponadto „płacz, wycie, krzyk”, „dym, siarkę” et cetera. I wreszcie w ostatnim ćwiczeniu „na godzinę przed wieczerzą” powinni „przypominać sobie wszystkie dusze, które są w piekle” i cieszyć się, że sami (jeszcze) się do nich nie zaliczają.

Powtarzam: przez dwa tysiące lat wbijano to do głów, choć nigdy ex cathedra, przez dwa

tysiące lat w ten sposób doprowadzano niezliczone rzesze ludzi do najgorszych, dożywotnich wyrzutów sumienia, do beznadziejnego nieszczęścia, i oto teraz, gdy nawet katolicy wierzą w to coraz mniej, ojciec Bsteh – jak z całą pewnością wielu innych teologów w naszych czasach – daje do zrozumienia, że chrześcijanin jest obowiązany mieć nadzieję na coś całkowicie sprzecznego ze wszystkim, czego na ten temat uczono dotychczas, i w to wierzyć. Nagle przestają się liczyć wszelkie wezwania soborów, papieży, największych Ojców Kościoła, nawet słowa Pawła i nawet te, które wypowiedział Jezus.

A czy w ogóle go kiedykolwiek słuchano?! Czyż nie uśmiercano go wciąż na nowo? Dlatego właśnie w odpowiedzi na ankietę katolika Heinricha Spaemanna: „Kim jest Jezus z Nazaretu – dla mnie?” napisałem krótko: „Na pewno nie Bogiem. Być może człowiekiem. W Biblii ukrzyżowanym jeden raz, a w dziejach Kościoła stale rozpinanym na krzyżu”.

Właśnie, któż przejmował się zawsze Jezusem mniej niż kler! Nie bez powodu mieszkańcy Rzymu rozszyfrowują skrót S.C.Y. (Stało Citta del Yaticano) na tablicach rejestracyjnych samochodów dostojników Kurii słowami: Se Cristo vedesse (Gdyby Chrystus to widział!)

Przypomina mi się przy tej okazji karta pocztowa, którą przysłała mi niedawno „zapalona czytelniczka” z Górnej Bawarii, od lat w służbie Kościoła. „Na Pańskie książki – czytamy – jak i na zamordowanie papieża w roku 1978, na miliardowe oszustwo z 1971 roku, na zasługi Kościoła dotyczące pigułki antykoncepcyjnej i przy tym próby przekupstwa zwróciłam uwagę członka kapituły diecezjalnej... (telef.) Zadałam mu pytanie! «Co powiedziałby na to Jezus?» Ten duchowny odparł: «Ach, gdybyśmy zawsze pytali o zdanie Jezusa...»”

Ale ci ludzie nie tylko nie pytają Jezusa, z całą konsekwencją nie spieszą się też do niego. Tak samo jak my – to zadziwiające zjawisko – boją się umierania.

W książce Ein Jahrhundert Heilsgeschichte. Die Politik der Papste im Zeitalter der Weltkriege (Sto lat dziejów zbawienia. Polityka papieży w epoce wojen światowych) – niewątpliwie najaktualniejszej z moich krytyk Kościoła i właśnie dlatego na ogół przemilczanej – wskazałem na podeszły wiek papieży w ciągu ostatnich stu lat i w programie „Club” przypomniałem o tym: Leon XIII – powiedziałem – dożył do dziewięćdziesięciu trzech lat; Pius X – do siedemdziesięciu dziewięciu, Pius XI – do osiemdziesięciu dwóch, Pius XII – do osiemdziesięciu dwóch, Jan XXIII – do osiemdziesięciu dwóch, Paweł VI – do osiemdziesięciu jeden lat. Co do dwóch głów Kościoła zmarłych w młodszym wieku istnieje podejrzenie, że nie spotkała ich śmierć naturalna. Benedykt XV, chyba nieprzypadkowo najmniej znany papież w tym stuleciu, odszedł do wieczności jako człowiek sześćdziesięciosiedmioletni, całkiem niespodziewanie, zaskakująco szybko, skulony i wykrzywiony z bólu, co dało powód do pogłoski o otruciu (on sam ponoć – nie według pogłosek rozpowszechnianych przez ludzi nieżyczliwych, lecz według tego, co mówiono w Watykanie – otruł kiedyś rywala). Równie nagle, w bardzo zagadkowych okolicznościach, zgasł Jan Paweł I, uśmiechnięty Albino Luciani, ledwo zaczął rządzić i ledwo chwycił za miotłę, żeby zrobić porządek. Ale nawet jeśli uwzględnić tych zmarłych w młodszym wieku książąt Kościoła, przeciętna długość życia znacznie przewyższa naszą.

Nieodparcie nasuwa się taki oto wniosek: ani ten urząd, ani tęsknota piastujących go ludzi do Jezusa nie są pewno zbyt wyczerpujące. Umacnia nas w tym podejrzeniu aktywność ich lekarzy osobistych i innych koryfeuszy medycyny, sprowadzanych w chwilach kryzysów zdrowotnych z całego świata, a „ostatnie słowa” niejednego z papieży przed odejściem do Chrystusa nie zawsze były wyważone, jak na przykład wyznanie wiary Piusa X: „[...] chyba wszystko się kończy” czy wyznanie Leona XIII: „Zbliży się katastrofa [...]”.

W każdym razie pozostali ludzie, także ci katolicy, osiągają przeciętnie wiek o wiele młodszy niż papież, którzy widocznie poświęcają znacznie więcej troski i pieczy własnemu życiu niż życiu swoich owieczek. Bo przecież od późnego antyku po dziś dzień dopuszczają do tego, by często nawet kolejne generacje wymierały na polach bitewnych; ostatnimi czasy co prawda zawsze towarzyszą temu wypowiedziane z namaszczeniem apele o pokój, ale równocześnie żołnierzy obowiązuje „święta przysięga”, iż będą walczyć do ostatniej kropli krwi. Tak, to, czego kler strzeże w łonie matki, to zarazem wydaje na pastwę losu, gdy jest wojna; tak jakby gromadził mięso armatnie w brzuchach kobiet. Posłuszeństwo – oto ideał tych, którzy chcą panować. Nie jest to przesłanka mądrości, jak sądził Augustyn, lecz nieraz przesłanka bohaterskiej śmierci. Tak więc sternicy Kościoła starają się wydłużać własne życie, mimo radości czekającej w zaświatach, a jednocześnie – kiedykolwiek widzą taką potrzebę, co zdarza się często – skracają życie innym.

Przyznaję, że w Wiedniu to i owo pomieszałem, nie wypowiedziałem się tak jasno: dyskusowanie nie jest moim atutem i pora przed pomocą nie jest też dla mnie najlepsza (bo przez całe życie wstawałem wcześniej).

Tak czy inaczej mój wkład do dyskusji nie był aż tak dez-orientujący, żeby ojciec Bsteh musiał uznać siebie za zdezorientowanego. „Szczerze mówiąc – odrzekł on, dostojnie i roztropnie dobierając słowa – w tej chwili właściwie nie wiem, jak miałbym ocenić pańskie wypowiedzi, zważywszy na temat tej rozmowy.

Pańskiej książki nie czytałem. Przypuszczam, że to, co pan mówi, wiąże się z całą treścią pańskiej książki. Powiedziałbym po prostu, że padły tu słowa, do których nie potrafię się odnieść, na przykład do tego, czy papież są teraz starsi, czy nie. Proszę mi nie wziąć tego za złe, to znaczy, jest tu jakaś kwestia, ale po prostu nie wiem co, traktuję pana poważnie, naprawdę, bo czuję, że dla pana jest to jakaś kwestia, ale ja nie mogę podzielić pańskiej oceny, bo czy papież Leon XIII do dziewięćdziesięciu lat, czy tylko do siedemdziesięciu [...]”.

Tak jakby o to chodziło! Przypomniała mi się (i wspomniałem o tym) recenzja pierwszego tomu moich *Dziejów zbawienia* napisana przez innego teologa, który na łamach „Wiener Zeitung” stwierdził, że Deschner „z nienawiścią i cynicznie żałuje, iż papież dożył do tak późnej starości”.

O tym nie może oczywiście być mowy – powiedziałem w programie „Club” – to jest oszczerstwo, zawarte zresztą w „krytyce” pełnej oszczerstw, ale przecież tym przypominającej potępienie sformułowane przez owego diakona i kogo tam jeszcze, iż dezawuuje wyłącznie ogólnikowo, piętnuje sumarycznie, ryczałtem deprecjonuje mnie i moją pracę, mówi o moim „diabolicznym sercu”, odmawia mi „dokładności”, „uczciwości”, przypisuje mi dzieło, w którym roi się jakoby „od błędów, nieprecyzyjnych sformułowań, fałszywych wniosków i niezrozumiałych stwierdzeń niezgodnych z prawdą”, „rzecz monstrualną”, której cechy charakterystyczne to „nieznośne ślizganie się po powierzchni, niechlujstwo i wywołana nienawiścią nierzeczowość”, opluwanie w stylu „totalitarnych pismaków w Trzeciej Rzeszy, literatów stalinowskich i nieprzyjaciół Boga z podziemi tajnych stowarzyszeń, sekt, bractw międzynarodowych, tak ohydne, że w dzisiejszych czasach wręcz niespodziewane [...]”.

To ta sama ogólnikowa maniera i mania krytycznego osądu, co u owego diakona – bez jakichkolwiek dowodów! Jedyny konkretny obiekt ataku tego katolika na łamach „Wiener Zeitung”, mój rzekomy żal, „iż papież dożył do takiej późnej starości”, został zmyślony – ja tego nie napisałem!

Przeciętna długość życia biskupów Rzymu (i wszystkich innych) jest mi obojętna już

choćby dlatego, że jak wykazuje historia rzadko kiedy pojawia się ktoś lepszy albo też dlatego, że jeśli wyjątkowo zdarzy się ktoś taki, to przecież ów aparat jest tak przemożny, skorumpowany, zły, iż nawet „lepszy” papież nie wprowadzi istotnych zmian. „W gruncie rzeczy jest to całkiem obojętne – oświadczyłem więc w Wiedniu – kto stoi na czele tej instytucji”. Nie może ona stać się niczym innym, niż jest – po dwóch tysiącach lat można to już powiedzieć.

Potem przypominałem, że umierają nie tylko ludzie, ale i zwierzęta, i uznałem za znamienity fakt, iż zawsze mówi się tylko o człowieku, tym „ukoronowaniu dzieła stworzenia”, które trzeba by raczej nazwać ukoronowaniem dzieła wyzysku. A przecież już w Starym Testamencie czytamy: „Kto wie, czy dusza człowieka kieruje się ku górze, dusza zaś bydła w dół, pod ziemię?” (Stara religia Izraelitów nie znała wiary w zmartwychwstanie; odrzucali ją też saduceusze i Samarytanie). Z drugiej jednak strony jest również w Starym Testamencie owo straszne w swej wymowie i skutkach wezwanie: „Poddajcie je sobie!”

Jedynymi osobami, które w programie „Club” jednoznacznie podzielały moje współczucie wobec zwierząt (powiedziałem tam, że człowiek jest notorycznym przestępcą – jadłospis to naj-krwawsza karta, jaką zapisujemy!) były młoda aktorka Katerina Jacob i, nawet bardziej, Lotte Ingrisch. Ale właśnie ta ostatnia słyszała – oczywiście z ust teologa, pewno któregoś z „postępo-wych”, zieleniących się jak trawa na wiosnę – że w owym miejscu wystąpił „błąd w tłumaczeniu”. W rzeczywistości miałoby to zdanie brzmieć nie: „Poddajcie je sobie”, lecz: „Idźcie i strzeżcie, ochraniajcie ziemię”.

To aż nazbyt śmieszne. (I aż nazbyt typowe). Przecież już na pierwszej stronie Biblii Bóg nakazuje podobnym mu ludziom kilkakrotnie, by objęli władzę nad rybami w morzu, nad podniebnymi ptakami, nad bydłem i wszelką zwierzyną na polu. I zaraz po tym wzywa się nas jeszcze raz: „[...] poddajcie je sobie i panujcie [...]”. A później jeszcze raz mowa jest o strachu i grozie, którą powinien człowiek budzić we wszystkich zwierzętach, o tym, że one powinny znaleźć się w dyspozycji człowieka. „Niech wszystko, co się porusza i żyje, będzie waszym pokarmem”.

Z owego ogarniającego najwięcej istot wyroku niewoli i śmierci, z owej piekielnej introdukcji do przeobrażenia jednej z gwiazd w rzeźnię, ojciec Bsteh, wierny właściwej jego rzemiosłu sztuce łagodzenia, przeinaczania, przedstawiania rzeczy sprzecznie z faktami, uczynił coś całkiem odmiennego, prawdziwie pięknego. Zapytany o ów „błąd w tłumaczeniu”, ten sługa Boga stwierdził bowiem: „Widzi pan, ja zacząłbym akurat w tym miejscu, a raczej wyszedłbym jednak od tego, że chrześcijanin, który uzależnia własną egzystencję od pomocy boskiej, musi zakładać to samo w odniesieniu do zwierząt, do całego świata, gwiazd, światła, księżyca i słońca. Nie ma on prawa uważać siebie za w jakiegokolwiek mierze uprzywilejowanego, jako stworzony przez Boga, a wszystko inne uważać za po prostu istniejące i nadające się do takiego czy innego wykorzystania. Motywacją mojej wiary jest właśnie świadomość, że jestem tym, kim jestem, bo Bóg w swej miłości chce mnie takiego, i że to samo dotyczy zwierzęcia, słońca, księżyca i kwiatów”.

Do zasad biblijnych przystaje to wszystko jak pięść do nosa. Bo Genezis, pierwsza księga Mojżesza, mówi bardzo wyraźnie o wywyższeniu człowieka, nigdzie zaś o tym, jakoby nie miał on prawa „uważać siebie za w jakiegokolwiek mierze uprzywilejowanego”. Według Księgi Rodzaju powinien on „panować”, sprowadzać strach i grozę na wszystkie zwierzęta i te ostatnie są jednoznacznie oddane mu we władanie, ale nie po to, by ich strzegł i je chronił, lecz by pożerał wszystko, „co się porusza i żyje”! Natomiast ojciec Bsteh, przedstawiciel religii

jaskrawię dualistycznej, zaprezentował zgoła monistyczny obraz świata, obraz wielce pozytywny, taki, że w harmonii sfer nieomal słychać dzwony, ale z Pismem Świętym, a jeszcze bardziej z chrześcijańską praktyką, kontrastuje ta wizja w sposób budzący grozę. Dlatego też moderator programu Knóbl uznał za pożądane, nader interesujące z politycznego punktu widzenia i nader ważne dogmatyczne zdefiniowanie „takiego sposobu myślenia przez Rzym”. Na to Bsteh: „Widzi pan, zagadnięty o to, stwierdziłbym jednak, że cały Kościół zawsze utrzymywał, iż nie ma żadnej rzeczy widzialnej ani niewidzialnej, której by nie stworzył Bóg. Jest on więc stwórcą nieba i ziemi. Inna sprawa, że po części, i nie wiem, jak wielka to część, zostało to później zapomniane i przepadło, nie wiadomo gdzie”. Ależ właśnie o to chodziło i o to chodzi! „Skoro mówi pan, że byłoby pożądane, żeby Kościół sformułował to kiedyś ex cathedra, ja powiedziałbym, iż odkąd istnieje chrześcijańskie wyznanie wiary, zaczyna się ono od słów: «Wierzę w Boga, Stworzyciela nieba i ziemi». A jeżeli ma pan na myśli Genezis (!), to przecież w tych wielkich wizjach zawiera się cała historia stworzenia, nie tylko globalnie wszystko to, co w niebie i na ziemi, ale wspomina się tam też o wodzie, o oddzieleniu światła, o księżycu i słońcu, o zwierzyńcu, robactwie i rybach [...]”. Wtem rozległ się okrzyk protestu. Teolog mówił jednak dalej: „Najpierw zostało to stworzone przez Boga. Takie stwierdzenie występuje w istocie również w Nowym Testamencie. W wierze chrześcijańskiej świat stanowi przecież niepodzielną całość. I na tym świecie żyje człowiek ze swym powołaniem [...]”. „Jakim?”, zainteresował się ktoś. Bsteh pominął to pytanie milczeniem. „Powiedziałbym więc, że tak się szczęśliwie składa, iż naprawdę od zarania dziejów wiary chrześcijańskiej datuje się wyraźna świadomość tego, że nie może być tak, by człowiek uważał tylko siebie za stworzenie boże, a wszystko inne za istniejące ot tak, po prostu. Z tego wynika, że każdą inną istotę też muszę traktować jak stworzenie boże, to znaczy pochodzi ona od Boga, Bóg obdarzył ją racją istnienia, odrębnością, a nie ja, On ją stworzył, nieprawdaż, tak jak stworzył mnie”. Pani Jacob zapytała dwa razy pod rząd: „Kto daje nam prawo do zabijania?” Na to Bsteh odpowiedział w końcu: „Kto, kto daje, kto je sobie usurpuje, dzieje się tak po prostu gwoli zabijania”.

To oczywisty nonsens. Zabija się nie gwoli zabijania, lecz – to niemalże zbyt banalne stwierdzenie – gwoli zysku i z żądzy panowania.

Co się tyczy zwierzęcia, to już starsi greccy filozofowie z czasów przedchrześcijańskich przyznają mu duszę podobną do naszej. U pitagorejczyków wiązał się z tym przekonaniem zakaz spożywania mięsa; podobnie w Indiach. Już Budda żąda wyrzeczenia się przemocy „wobec wszelkich istot”, obojętnie, czy chodzi o roślinę, o zwierzę, czy o człowieka. Zgodnie z tym nakazem, buddyzm stawia zwierzę na równi z człowiekiem, na równi z bóstwem. Hindus symbolizuje takie myślenie kultem okazywanym krowie.

Ale w chrześcijaństwie zwierzę stanowi rzecz; wyłącznie przedmiot eksploatacji, hodowli, łowów, pożerania; człowiek jest śmiertelnym wrogiem zwierzęcia, jego diabłem. „Czyż Bóg troszczy się o woły? Czyż nie wypowiada się zawsze tylko z myślą o nas?” Tak pytał już Paweł, „pierwszy chrześcijanin” (Nietzsche). W czasach inkwizycji w dniu świętego Jana w całej Europie Zachodniej wrzucano masowo koty do ognia, a w Metz takie autodafe utrzymywały się aż do połowy XVIII wieku. Chrześcijańska miłość do zwierząt kwitnie: dzisiaj w masarniach, rzeźniach, wylęgarniach, tuczarniach, ciemnych oborach, w „szlachetnym myślistwie” rzeźników leśnych i łąkowych, w akcie dogdum-ping, tormentum malitiae, na arenach walk byków, podczas walk kogutów i psów, przy wiwisekcjach. W Republice Federalnej Niemiec przynajmniej do 1970 roku istniało publiczne „ucinięcie łbów

kogutom" i „ucinianie łbów gęsiom", przy czym wieszane łbem w dół ofiary były często straszliwie masakrowane. Dawniej było niemalże powszechnym zwyczajem przed wyjazdem na urlop, że wyrzucano do sedesu i splukiwano, a teraz przed swoim wypoczynkiem ludzie pozbywają się psów i kotów, przywiązując je do drzew, rozbijając im łby, wyrzucając je do zsyków, w Ameryce taki los rokrocznie spotyka miliony zwierząt. A miliony innych bada się (nie tylko) w naszym kraju w sposób ohydny, by tak rzec, w celach naukowych.

Wspomniałem wówczas o Włoszech, gdzie ludzie uśmiercający zwierzęta nadal mówią: senza anima [bez duszy – przyp-tłum.] i non e cristiano [to nie jest stworzenie chrześcijańskie – przyp. tłum.]. Przypomniałem takich filozofów, jak Klages i Theodor Lessing, którzy dali wstrząsające opisy na początku XX wieku tego niesamowitego zniszczenia. Podówczas ginęło rok w rok trzysta milionów ptaków, padając ofiarą mody damskiej. „Cywilizacja – pisze Klages – ma cechy rozpasanej żądzy zabijania i jej trujące wyziewy wyniszczają bogactwo ziemi". Lessing zaś ubolewa nad niesamowitym pastwieniem się nad zwierzętami, na przykład fokami, przy ich zabijaniu i pisze: „Połowy ryb i mordy popełniane na ptakach ciągu jednego roku sprowadzają na ziemię tyle cierpień, że w porównaniu z tym krwawa łaźnia wojny światowej lat 1914-1919 wydaje się niewinną dziecięcą zabawą".

Niestety nie wymieniłem Schopenhauera, który dopatruje się w chrześcijańskiej pogardzie dla zwierząt „następstwa owej sceny instalowania się w rajskim ogrodzie" i twierdzi, że znalazł tylko jedno takie miejsce w Biblii, gdzie – dość słabo – występuje się na rzecz oszczędzania zwierząt.

Ale ojciec Bsteh uczcił w swej przemowie stworzenie nieba i ziemi, wielkie wizje Genezis, chrześcijańskie wyznanie wiary, słońce, księżyc i gwiazdy, także kwiaty, wszystko; powiedział, że każdą inną istotę też trzeba traktować jak stworzenie boże, bo tego chce Bóg w swej miłości, bo od niego te istoty pochodzą. Mimo to sposób wypowiedzania się owego katolickiego teologa, wykluczający dyskusję, bo uciekający od przedmiotu i od dziejów, raczej nieporadny niż świadomie wprowadzający w błąd (choć ten człowiek nie jest pewno aż tak poczciwy, za jakiego chciałby uchodzić), otóż jego sposób wypowiedzania się wydaje mi się jednak nie tak fatalny, jak wypowiedzi protestanckiego papieża naszych czasów Karla Bartha, który co prawda również uznaje zwierzę za pochodzące od Boga, a nawet zabrania człowiekowi je mordować, ale czyniąc takie oto sofistyczne, źle mówię, teologiczne rozróżnienie: „Człowiekowi nie wolno też mordować zwierzęcia. Może je tylko zabić, gdy jest świadomy tego, że należy ono nie do niego, lecz do Boga [...]. Zabijanie zwierząt jako wyraz posłuszeństwa jest możliwe tylko w postaci pełnego czci aktu pokuty, dziękczynienia, okazania przez ułaskawionego grzesznika wdzięczności temu, który jest stwórcą i panem człowieka i zwierzęcia. Zabijanie zwierząt dokonywane z przyzwoleniem i z nakazu Boga stanowi akt kapłański [...]". Tak jak zabijanie ludzi! O-hy-da!

Pod koniec programu podjąłem się zwięzłego podsumowania i wskazania kwintesencji naszego stosunku do umierania, do śmierci, a mianowicie: żyć aktywniej, świadomiej, intensywniej, z o wiele większym szacunkiem dla życia, dla życia każdej innej istoty, każdego człowieka i każdego zwierzęcia. I zakończyłem słowami: „Być może nasza tragedia polega przede wszystkim na tym, że utrudniamy życie innym, nie potrafiąc ułatwić sobie własnego życia. I być może źródłem nadziei dla nas byłyby przede wszystkim sytuacja, w której ułatwialibyśmy życie innym po to, by i nam samym żyło się łatwiej".

Tak to, szanowny panie Huemer, w większości – z wyjątkiem wtrąceń – ująłem swój wkład do dyskusji, to i owo przedstawiwszy zwięzłej, inne kwestie zaś rozszerzywszy. Zadaniem

owego skarżącego się diakona byłoby wychwycenie, podważenie i obalenie wypowiedzi, które go zaszokowały. Jak powiedziałem, nie spróbował tego nawet, tak jak – co wielce znamienne – nie spróbował tego nigdy wobec mnie Kościół (katolicki).

W innych wypadkach rzuca się Kościół na wszystko, co nadaje się do zaatakowania, na najmniejsze, najbłahsze potknięcie. A jakże chętnie sprowadziłby mnie ad absurdum – gdyby mógł! Kościół nigdy mi tego nie wybaczy, że jest tak odrażający, jak go przedstawiłem. Gdy jednak z braku argumentów trzeba unikać kontrowersji, to – jeśli nie sposób milczeć – argumentuje się zawsze ad kominem, wybiera się znieważenie osoby. Dlatego też nasz diakon mówi źle o mnie, bo nie może mówić źle o moich intencjach. Stawia mnie na równi z osobnikami podstępными („sączy [...] jad”) albo patologicznymi („histeria”), niemalże dzikimi – pod względem etycznym jednak bardziej godnymi szacunku niż ludzie „cywilizowani”, do których sam siebie zalicza. Ów diakon przypisuje mi również hasła „ateistyczne”, chociaż nie jestem ateistą, czego dowodziłem nieraz, nawet tytułami swoich książek. Oczywiście i w tym wypadku oskarża tylko ryczałem. I ryczałem tylko wytyka „niedbałe, nieobiektywne prowadzenie programu Club 2”, ponieważ moderator pan Kuno Knóbl „nie przeszkodził temu dziko zachowującemu się pisarzowi powiedzieć aż tyle przeciwko wierze, przeciw Kościołowi i przeciwko Bogu”. (Ten człowiek opowiada się za tolerancją!)

Jedynie ogólnikowo krytykuje „hasła z dziewiętnastowiecznego lamusa kulturkampfu” – tak jakby hasła były błędne dlatego, że są stare, dziewiętnastowieczne, ze stulecia Marksa i Nie-tzschego. A jak głośno zaprotestowałyby pewno, gdybym mu wskazał hasła z lamusów I, II i III wieku, kiedy powstało to, czego on, herold antyku, broni po dziś dzień!

Ów diakon stwierdza u mnie kilkakrotnie nienawiść, która nigdzie nie grasuje tak bardzo, jak w szeregach duchowieństwa, w traktatach Ojców Kościoła, papieży, teologów: najgorsza, najohydniejsza, najzwyczajniejsza nienawiść. Diakon się myli – ja nie pałam nienawiścią do nich. Ja nimi pogardzam.

Nie jestem fanatykiem, jestem sceptykiem. A nie widziano chyba nigdy sceptyka, który byłby fanatykiem. Nie, ja nie propaguję żadnej doktryny, żadnego dogmatu ani też nieomyślności. Nie, nie chcę mieć prozelitów, nie chcę stworzenia wspólnoty, zwolenników i osób zależnych ode mnie. Nie cierpię na zapędy misjonarskie, chęć nawracania, wyolbrzymione posłannictwo. Wszystko podaję w wątpliwość, czasem nawet własne wątpliwości. Wierzę w mało co i nawet nie zawsze z pełnym przekonaniem. Lubię znak zapytania: to mój znak rozpoznawczy, mój krzyż, moja wiara, jedyna, której misjonarzem, a nawet męczennikiem mógłbym się stać – gdyby nie moje Wątpliwości.

Ale wątpliwości i krytyka mają to do siebie, że są atrakcyjne nie dla ludzi najgłupszych, lecz dla tych myślących. I nawet nasz diakon trafia jeden raz w sedno, gdy pisze: „Krytyczna młodzież, ludzie stojący z boku, wątpiacy, rozczarowani Kościołem [...] umocnią się natomiast w swej rezerwie wobec Kościoła i uznają wypowiedzi pana Deschnera za demaskujące chrześcijaństwo i Kościół”. „Jad, jaki sączy ten autor, utwierdzi chrześcijan niepraktykujących i odszczepieńców w ich postawie”.

Ale i cała większość owieczek nie cieszy tego diakona. Bo „w masach chrześcijan substancja wiary jest bardzo cienka”. Uważa owe masy za podatne jeśli nie na „agresję, to jednak na awersję czy animozję”. Czyja to wina? Czy takich aroganckich, zdziczałych bojowników kulturkampfu jak ja? Czy raczej tych, co mają monopol na uszczęśliwianie, tych, którzy przecież od dwóch tysięcy lat troszczą się o ową „substancję wiary”, od dwóch tysięcy lat strzygą, posyłają na rzeź swoje owieczki, od dwóch tysięcy lat ogłupiają, wyzyskują,

zniewalają, zabijają. To nie „przesadnie przedstawione fakty historyczne”, to są po prostu fakty historyczne – obojętnie, czy ów diakon je zna, czy nie, czy przyznaje, iż zaistniały, czy też nie.

Wygląda na to, że tego służbę Kościoła uszczęśliwiają tylko najubożsi w intelekt i najubożsi duchem. „Prości ludzie – na przykład w szpitalach” (gdy przez chorobę i bliską perspektywę śmierci znowu ogarnia ich strach przed piekłem!) – „skarżą się na skrócenie kazania porannego z pięciu do trzech minut, na to, że przeniesiono część audycji religijnych na mniej dogodną porę itd. Jak osiągnąć to, żeby te tak przecież liczne (!) audycje planowano i przygotowywano w sposób na tyle przemyślany i atrakcyjny, by podstawowe wartości chrześcijaństwa oraz nasza wiara, jako pomocna w życiu każdemu z osobna i wszystkim ludziom razem, lepiej docierały i wywoływały entuzjazm? Serca, umysły, ręce niechaj przeciwstawiają się zanikowi!” Właśnie, trzeba dać światu jeszcze więcej tego katolickiego bełkotu na ekranie!

Czy jestem nietolerancyjny? Czy raczej dotyczy to owego diakona? „To było oburzające... Protestuję... Żądam...” Tak w kilku kolejnych wersach strofuje on zarząd radia i telewizji austriackiej i pyta władcym tonem: „Gdzież my jesteśmy?”

Ha, na pewno już nie w Austrii Ignaza Seipela! Księdza i kanclerza, który rządził całkowicie zgodnie z oczekiwaniami Watykanu. Którego pierwsze i ostatnie pytanie brzmiało: „Czy to posłuży Kościołowi?” Który nie cofnął się przed niczym w walce z „wrogami Jezusa Chrystusa”, nawet przed wojną domową. Który polecił otworzyć ogień do tych, co ze zrozumiałych powodów podpalili Pałac Sprawiedliwości, czego następstwem było ponad tysiąc rannych i osiemdziesiąt dziewięć ofiar śmiertelnych w Wiedniu. Który bezustannie, aż do śmierci, nakłaniał swoich przyjaciół w niemieckiej katolickiej Partii Centrum, by się porozumieli z Hitlerem. Który wyznał 26 września 1930 roku na łamach sztokholmskiej gazety „Aftonbladet”: „Nie znam Hitlera, ale jestem przekonany, że i on, i wielu innych młodych ludzi, którzy opowiedzieli się za nim, to ludzie z ideałami”. W przerażający sposób przypomina to pewną wypowiedź jego kolegi, duchownego i teologa – księdza Kaasa, przywódcy Partii Centrum, który – przyczyniwszy się do zaprowadzenia dyktatury przez Hitlera – napisał z Watykanu: „Hitler potrafi poprowadzić nawet państwa. Zanim jeszcze został kanclerzem, spotkałem się z nim kilka razy i byłem pod wielkim wrażeniem jasności jego myśli oraz tego, że liczy się on z faktami, a przy tym pozostaje wierny swoim szlachetnym ideałom [...]”. Podobnie – wszystko to się wiąże i przystaje wzajemnie do siebie! – kardynał Innitzer z Wiednia uznał, że z chwilą zajęcia Austrii przez Hitlera, „tego wodza zesłanego przez Boga”, spełniła się „tysiącletnia tęsknota naszego narodu”; uczcił wkroczenie Niemców biciem w dzwony i wywieszeniem flag ze swastyką na kościołach, po czym za swoje zasługi został osobiście przez Hitlera odznaczony Medalem Marchii Wschodniej – to fakt po dziś dzień prawie nie znany, bo wszędzie pomija się go milczeniem. (O innych szczegółach i dalszych powiązaniach może się ten diakon dowiedzieć z mojej książki Ein Jahrhundert Heilsgeschichte; wszystko jest tam bardzo dobrze udokumentowane). „Gdzież my jesteśmy?!”

Czy to ja jestem nietolerancyjny? Czy zażądałem od ojca Bsteh albo innych katolików z grona dyskutantów, żeby przeprosili mnie za to, iż rozpowszechniali twierdzenia nierzeczowe i fałszywe? Za to, że ich wiara głęboko rani moje uczucia? Czy miałem pretensję do prowadzącego program o to, iż nie „wmieszał się”, żeby apodyktycznie „przyhamować” katolików? Czy zażądałem od niego przeprosin za „niepoważne ekscesy w tym programie”?

Nie, to on, wyznawca religii miłości bliźniego i miłości wroga, ubolewa, oburza się, protestuje „w imieniu wszystkich katolików austriackich przeciw niepoważnemu i obraźliwemu prowadzeniu programu Club 2, jeśli to w ogóle można określić jako prowadzenie"... „My, katolicy, nie pozwolimy już, by tak się z nami obchodzono (!)".

On stawia czoło, pod którym kryje się niewiele, i również on nie skorzystał na tym, że kiedyś żył Karl Kraus.

„Żądam, żeby ten pisarz przeprosił ojca Bsteh osobiście za swoje napaści, i chciałbym prosić, by ORF poinformowało mnie o treści swojego listu do wspomnianego pisarza oraz o jego reakcji nań. Jeśli to nie jest możliwe, prosiłbym, by pan Kuno Knóbl (!) – galopując do Rzymu, diakon pozostawia za sobą słowa i nazwiska z takim samym brakiem żenady, jak i materię, o którą tu chodzi – „przeprosił ojca Bsteh za swoje niewłaściwe prowadzenie i poinformował mnie o tym".

Kuno Knóbl prowadził dyskusję lekko, swobodnie, szarmancko. Zachowywał – wobec wszystkich! – neutralność, niemalże wyłączając siebie samego, każdemu dawał czas na wypowiedź, pozwalał każdemu mówić bez ograniczeń. I właśnie za taką tolerancję, liberalizm, otwartość – z pewnymi wyjątkami – program „Club 2" jest lubiany w Austrii i gdzie indziej przez bardziej wybrednych widzów, ale być może nie przez wszystkich prostych ludzi w szpitalach i nie przez wszystkich diakonów. Nawet nasz sługa Kościoła potwierdza jednak, że „dotychczas zwyczajem ORF była przyzwoitość i tolerancja, także w programie Club 2", a więc od lat, jeśli nie dziesięcioleci.

Ale teraz on protestuje, żąda, oczekuje przeprosin; przeprosin za moją rzekomą nietolerancję, „zjadłość", „histerię", „jad".

Czyż nie wie, że to wszystko stanowi odwieczne domeny zwłaszcza jego Kościoła? Czyż nie wie, że chrześcijanie, między innymi niejeden z największych świętych katolicyzmu, już we wczesnych dziejach Kościoła nawet chrześcijan innego wyznania lżyli jako „zarażonych", „kalekich", „synów diabła", „psy", „wściekłe psy", „chore psy", „lisy", „wilki", „zwierzęta w ludzkiej postaci", „dzikie zwierzęta", „bestie", „żydowskich pobratymców", „brudne świny", „bydło rzeźne nadające się do piekła", „całkiem obłąkanych, zasługujących na zgładzenie"?

Czyż nie wie, że jeszcze w XX wieku katolicy piszący petycje do Watykanu nazywają wszystkich innowierców „zwierzętami nurzającymi się w brudzie"? Że jeszcze w XX wieku katolicy opowiadają się za prawem do zabijania kacerzy, mówią o „błogosławionym ogniu stosów" i bronią palenia kacerzy jako „aktu żarliwej miłości"? Że jeszcze w XX wieku „Osservatore Romano" określa protestancką szkołę w Rzymie jako „obrazę naszego Pana"? Czyż nie wie, że jeszcze w 1947 roku madryccy studenci puszyli się w pewnej ulotce wydanej przed splądrowaniem anglikańskiej kaplicy: „My, hiszpańska młodzież akademicka z roku 1947, uważamy siebie za – w pełnym tego słowa znaczeniu – spadkobierców ducha inkwizycji"? Że inna ulotka głosiła: „Wolelibyśmy stosy inkwizycji niż liberalistyczną tolerancję! Ani kroku dalej w tej herezji!"? A on mnie zarzuca brak tolerancji!

I czyż nie wie, że kardynał Segura w swym dotyczącym protestantów liście pasterskim z roku 1952 uznał, że „kacerzom" nie przysługuje ochrona prawna w wypadku konfliktu z katolikami? Że jeszcze w 1953 roku kardynał Ottaviani z Kurii oświadczył w kwestii protestanckich mniejszości w Europie Południowej, co następuje: „Z punktu widzenia prawdziwego katolika tak zwana tolerancja jest nie na miejscu"?

A ja miałbym przeproszać, iż przeciwstawiam się nietolerancji, brutalności oraz oszustwom tego Kościoła?

Czyż Ecclesia Catholica wyraziła choćby jeden raz skruchę – co zresztą byłoby bezsensowne! – z tego powodu, że bezpośrednio i pośrednio jest odpowiedzialna za eksploatację i uśmiercenie setek milionów ludzi, że przez długie lata i dożywotnio więziła rzesze niewinnych, że całe rzesze ludzi przez wiele wieków skazywała na spalenie, poprzedzone ucięciem rąk czy języka, a gdy umierali, kazała im śpiewać: „Chwalimy Cię, wielki Boże!”? Z tego powodu, że – by przytoczyć tylko ten fakt – za jej sprawą Anno Domini 1600, po siedmiu latach ciężkiego więzienia, trafił również na stos jeden z najgenialniejszych myślicieli czasów nowożytnych Giordano Bruno? Wręcz przeciwnie! Gdy w 1889 roku na tym samym rzymskim targu kwietnym, na którym Kościół spopielił tego dominikanina, odsłonięte jego pomnik, papież Leon XIII modlił się, pragnąc odpokutować to świętokradztwo, przez cały dzień przed „sakramentem”, potępił tę rzekomą próbę wytrzebienia wiary chrześcijańskiej i otrzymał niezliczone wyrazy poparcia z całego świata. Difficile set satiram non scribere.

Chyba że zbrodnia nie jest zbrodnią, jeśli datuje się sprzed kilkuset lat? Byłaby to bardzo chrześcijańska interpretacja!

I czyż ten człowiek nie wie, że – w ujęciu czysto ilościowym – Kościół katolicki dopuścił się w XX wieku większych potworności niż w którymkolwiek wcześniejszym stuleciu swoich dziejów? Czyżby nie wiedział, jak Kościół zachowywał się podczas pierwszej i drugiej wojny światowej, w czasie wojny wietnamskiej? Jak się odnosił do faszystowskich dyktatur Mussoliniego, Franco, Hitlera?

Czyż nie wie, że w katolickiej Polsce, odrodzonej dzięki traktatowi wersalskiemu, w latach dwudziestych i trzydziestych doszło do bodaj czy nie najokrutniejszych prześladowań religijnych w nowszej historii, i to według instrukcji prosto z Watykanu? Że większość cerkwi prawosławnych na Ukrainie rozgrabiono, przemieniono w stajnie i latryny, że ponad tysiąc księży prawosławnych trafiło do więzienia i poprzez masakry wyludniono całe wsie? Podówczas to watykańscy wizytatorzy jeździli stale po kraju, żeby obserwować rozpowszechnianie się tej jedynie zbawiennej religii. W roku 1930, jak się twierdzi, aż dwieście tysięcy Ukraińców przebywało w więzieniach. Czyż nie wie, że w 1938 roku doszło tam do kolejnych pogromów? Że w lipcu spośród trzystu cerkwi prawosławnych na Chełmszczyźnie i Podlasiu sto przerobiono już na kościoły rzymskokatolickie, ponad siedemdziesiąt zostało spalonych albo uległo zniszczeniu w inny sposób, prawie tyle samo zamknięto; że już w sierpniu po stu trzydziestu tamtejszych świątyniach prawosławnych pozostał tylko popiół?

I sługa tego Kościoła chce mnie uczyć tolerancji! Czyż nie wie, że od roku 1941 do 1943 podczas katolickiej krucjaty przeciw Serbskiemu Kościołowi Prawosławnemu dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć cerkwi obrabowano, zburzono, przemieniono w magazyny, szalety, stajnie, że dwieście czterdzieści tysięcy prawosławnych Serbów nawrócono pod bezwzględnym przymusem na katolicyzm, a blisko siedemset pięćdziesiąt tysięcy prawosławnych Serbów – chrześcijan! – wymordowano, często po straszliwych torturach? Że obcinano im uszy, nosy, wykluwang oczy, że wrywano im włosy, brody, że ich skalpowano? Że dzieci, starcy, mężczyźni i kobiety byli ścinani, sztyletowani, rozstrzeliwani, duszeni, topieni, że palono ich żywcem, ćwiartowano ich żywcem, krajano żywcem na kawałki, grzebano żywcem i rozpinano żywcem na krzyżach?

Czyż nie wie, że zamordowano również co najmniej trzystu prawosławnych księży, że w Zagrzebiu, stolicy Chorwacji, gdzie rezydowali prymas arcybiskup Stepinać oraz legat

papieski Marcone, metropolita prawosławny Dozyteusz był torturowany tak okrutnie, iż popadł w obłąd? Że uduszono osiemdziesięcioletniego metropolitę Sarajewa Petera Simonicia, że osiemdzie-sięciojednoletniemu biskupowi Platowowi z Banja Luki podkuto stopy jak koniowi, po czym zmuszono go, by szedł dopóty, dopóki nie stracił przytomności, później zaś rozniecono ogień na jego piersi, wykluto mu oczy, odcięto uszy, nos, w końcu go dobito?

Czyż nie wie, że haniebne wyczyny jego Kościoła w tej „Chorwacji Boga i Maryi”, w tym „Królestwie Chrystusa”, były tak ohydne, iż zaproteowały nawet niemieckie czynniki oficjalne, dyplomaci, generalicja, funkcjonariusze partyjni, nawet służba bezpieczeństwa SS i wreszcie także hitlerowski minister spraw zagranicznych polecił, by wyrażono w Zagrzebiu zdecydowaną dezaprobatę rządu Rzeszy dla „niesamowitych ekscesów”, mało tego, sam Hitler oświadczył: „Kiedyś rozprawię się z tym reżimem – ale nie teraz!”?

Czyż nie wie, że Kościół katolicki miał ściśle powiązania z tym państwem, że nie tylko był jego duchowym protektorem i adherentem, ale ponadto część kleru, zwłaszcza jezuici, a jeszcze liczniej franciszkanie, wzięła czynny udział w masakrach? Że duchowni przyznawali się, iż „często sięgają po pistolet maszynowy”, iż „nadszedł czas na używanie rewolweru i pistoletu”, iż „nie jest już grzechem zabicie siedmioletniego dziecka, jeśli naruszy ono ustaszowskie prawo”. „W możliwie krótkim czasie wymordować wszystkich Serbów – oto nasz program”. Czyż nie wie, że prymas Alojzije Stepinac dopatrywał się „w tej akcji ręki Boga”, że wyraził on w jednoznacznych słowach podziękowania chorwackiemu klerowi, „przede wszystkim franciszkanom”, i usprawiedliwił nawet „metody zastosowane przeciwko Żydom”? Że sam ojciec święty, prywatnie multimilioner, Pius XII szefa partii, rządu i państwa – tego rajy dla morderców – Antego Pavelicia (który nazywał zresztą swoje państwo „Królestwem Bożym”) przyjął w Watykanie na uroczystej audien'ci, na pożegnanie życzył mu powodzenia w „dalszej pracy”, a podczas samej audien'cji pochwalił go jako „praktykującego (!) katolika”? I przedstawiciel tego Kościoła żąda ode mnie, bym przeprosił innego sługę tego Kościoła! Czy ten człowiek jest szalony? Nieświadomy? Bez charakteru? Jakkolwiek się to przedstawia, ja zrobię co innego. Tak, postaram się mu przysłużyć – a mianowicie udzielę mu pewnej rady, wskażę mu coś palcem, i niech on bądź jego przełożeni skorzystają z tego w pełni, ci ostatni bowiem mogliby zobaczyć w nim człowieka z inwencją, odznaczającego się wyczuciem potrzeb duszpasterskich, zrozumieniem potrzeby zwiększenia powszechnej pobożności, umiejętnością nieomylnego rozpoznawania, co jest, a co nie jest katolickie; Bóg raczy wiedzieć, czy ten duchowny nie zasługuje na awans...

Wspólnota świętych, do której on należy, ma, jak wiadomo, patronów do wszystkiego; są to święci, których ludzie wzywają na pomoc i których czczą jako tych, co mają w swojej opiece konkretne kościoły, osoby, stany, zawody, a dzieje się tak zarówno na podstawie prawdy wiary dotyczącej wspólnoty właśnie świętych, jak też na podstawie doktryny pouczającej o różnych funkcjach mieszkańców Królestwa Bożego. Bóg potrzebuje pomocników – do „dalszej pracy”; do pracy w Winnicy Pańskiej.

Ale wśród owych patronów, owych świętych zapewniających ochronę, są i tacy, którzy opiekują się rzemiosłami wręcz krwawymi, aż nazbyt krwawymi, dlaczegóż by nie, skoro krew ma w tym Kościele tak wielkie znaczenie! Pośród tego mnóstwa patronów – uświadomiłem to sobie właśnie wówczas, gdy zainteresowałem się „Chotwaq'ą Boga i Maryi”, owym „Królestwem Chrystusa” – brak jednak wciąż patrona komendantów obozów koncentracyjnych. Takiego „autentyku” zabrakło we wspaniałej galerii katolickich monstrów. (Chciałoby się powiedzieć, że ojcem chrzestnym tego sformułowania jest kodeks karny).

Krótko mówiąc: dla wypełnienia luki, o którą tu chodzi, proponuję osobę franciszkanina Filipovicia-Majstorovicia, zwanego „bratem-szatanem”. Będąc komendantem obozu koncentracyjnego w Jasenovcu, osławionego masowymi egzekucjami, zlikwidował w ciągu czterech miesięcy niemało, bo czterdzieści tysięcy osób, ma więc za sobą praktykę zawodową, a w 1945 roku doczekał się męczeńskiej korony. Wynieśmy go na ołtarze!

Czy kaci mają już swojego patrona? Zważywszy na rolę, jaką to właśnie rzemiosło odgrywało w cywilizacji chrześcijańskiej, brak ich patrona byłby wprost niepojęty. Ale jeśli go nie ma, to proponuję kolejnego koryfeusza: franciszkanina-stypendy-stę Brzicę. W ciągu jednej nocy, 29 sierpnia 1942 roku, skrócił on w Jasenovcu o głowę tysiąc trzysta sześćdziesiąt osób, posługując się specjalnym nożem. Wynieśmy go na ołtarze!

Czy takie kanonizacje nie zdziałałyby więcej niż przedłużenie porannego kazania z trzech do poprzednich pięciu minut? Oby w ich następstwie „podstawowe wartości chrześcijaństwa” – by powtórzyć za diakonem i jego słowami zakończyć – oby dzięki nim wiara chrześcijańska „jako pomocna w życiu każdemu z osobna i wszystkim ludziom razem, lepiej docierała i wywoływała entuzjazm”! Niechaj pracują na to serca, umysły, ręce – czy tak, jak u skracającego o głowę Brzicy, czy raczej tak, jak u diakona bez głowy? Drogi panie Huemer, życzę Panu wszystkiego najlepszego. Karlheinz Deschner Występ solowy Deschnera w bibliotece albo Przeciwno dwojgu ewangelickim oszczercom Deschner HaBfurt, 7 II 1987 Do Redakcji „Marler Zeitung” Szanowna Redakcjo, powołując się na znaną Państwu ustawę prasową, uprzejmie proszę o zamieszczenie w miejscu, w którym został omówiony mój wieczór autorski w Marł, następującego sprostowania:

1. Nieprawdą jest to, co napisano 2 II 1987 w „Marler Zeitung” w artykule pod tytułem Występ solowy Deschnera w Insel: siłą słów przeciw chrześcijaństwu, a mianowicie, że Deschner „poprosił pod koniec wieczoru autorskiego w bibliotece [ośrodka kultury] «Insel» o powstrzymanie się od braw i zwrócił się do słuchaczy z prośbą o zastąpienie ich «wsparciem materialnym i duchowym»”. To prawda, iż od ponad dwóch lat, po największym wstrząsie w moim życiu, nie pragnę już braw, o czym za każdym razem informuję audytorium, powtarzając to wyjaśnienie; w Marł brzmiało to, jak wynika z nagrania magnetofonowego dokonanego przez pracowników biblioteki, tak: „Proszę państwa o niewyrażanie aplauzu. Jeśli zamiast uznania, braw dla mnie, pomogliby państwo komukolwiek, ale nie mnie, materialnie bądź, co też jest chwalebne, duchowo, byłby to gest o wiele rozsądniejszy”.

Dziennikarka tej gazety zniekształciła moje słowa w sposób perfidny (być może spała), zmieniła je w swoisty apel o jałmużnę, i napisała: „Trzeba by kupować jego książki choćby przez współczucie [...]”. Zanim to napisała, mogła zasięgnąć języka u aż stu pięćdziesięciu słuchaczy albo przesłuchać (widoczną wówczas dla wszystkich) taśmę magnetofonową; na nią spadnie odpowiedzialność, jeżeli owo zgodne z tendencją artykułu pomówienie trafi do innych gazet czy książek, co nie byłoby pierwszym takim wypadkiem.

Moja Kryminalna historia chrześcijaństwa, której fragmenty czytałem, doczekała się w cztery miesiące od ukazania się drukiem czwartego wydania. Według informacji zawartej w niewielkiej broszurce wydawnictwa Rowohlt Uber Karlheinz Deschner. Leben, Werke, Resonanz (O Karlheinz Deschnerze. Życie, twórczość, recepcja), jestem sponsorowany przez „pewnego wspaniałomyślnego Szwajcara”. Ale i bez tego nie pozwoliłbym sobie nigdy na zwrócenie się do publiczności o „wsparcie materialne i duchowe”. Nawet w koszmarnym śnie nie mógłbym zapragnąć, żeby kupowano moje książki „przez współczucie”. Mam kilka milionów czytelników i przypuszczam, że jeszcze nikt nie kupił żadnej z moich książek przez

współczucie. Ale tamta chrześcijańska dziennikarka nie ma jak oponować. I dlatego, że nie może zbić żadnego z moich argumentów (nawet nie usiłuje tego zrobić), ucieka się do drwiny i pisze nieprawdę – typowe zachowanie.

I dlatego, że również nikt inny nie mógł mi zarzucić kłamstwa, przypisuje mi ona „arogancję człowieka chcącego zawsze mieć rację” i twierdzi, że była to dla mnie okazja do „pławienia się w arogancji i bucie tego jedyne, który wie”. Kto mnie zna, wie, że nie kwapię się do dyskusowania; w swoim zawodzie naprawdę dobrze czuję się tylko za biurkiem. Kto mnie zna, ten wie, że nie jestem bynajmniej arogancki, chyba że w stosunku do pewnego określonego typu ludzi. A w mniemaniu, jakie faktycznie mam o sobie: iż po kilkudziesięciu latach zajmowania się historią chrześcijaństwa (przy stu godzinnym tygodniu pracy) wiem na ten temat chyba nieco więcej niż niejeden ministrant albo ten i ów spośród moich słuchaczy, nie wyrażają się – mam nadzieję – arogancja i buta. Pozostawmy bez komentarza słowa o „tym jedynym, który wie”.

W wiedzy dopatruję się – cum grano salis – nieszczęścia, ale prawdziwym nieszczęściem jest dla mnie (ludzka) niewiedza. Do nauki, zwłaszcza do historiografii, odnoszę się sceptycznie i z wiekiem dochodzę do przekonania, że najmniejsza pomoc znaczy więcej niż największa myśl.

2. Nieprawdą jest to, co w „Marler Zeitung” zostało stwierdzone już w tytule: Wieczór autorski bez możliwości sprzeciwu. Prawdą jest natomiast, iż nie zabrakło głosów przeciwnych, w których przeważały wątpliwości, ale zdarzały się i protesty. Niemalże zawsze zachęcam i – jeśli mnie całkiem nie zawodzi pamięć – zachęciłem także w Marł do metodycznego powątpiewania, do „niewiary” w moje wywody, a uczyniłem to jednoznacznie, bo – cóż za arogancja! – uważam, że mogę sobie na to pozwolić, w przeciwieństwie do tych, którzy zawsze odwołują się do wiary i muszą się do niej odwoływać. Zachęcam jednak również do porównywania argumentów obu stron, to znaczy: do myślenia, samodzielnego rozstrzygnięcia, ale nie do powtarzania czegokolwiek jak modlitwy!

3. Nieprawdą jest, że „To, co nie było możliwe przez dwie i pół godziny trwania imprezy, mianowicie dyskusja, zaczęło się później w mniejszych grupach”. Prawdą jest natomiast, że czytałem przez godzinę i kwadrans, a potem tyleż czasu dyskutowano. Jeżeli faktycznie, jak utrzymuje gazeta – „siła słów tego krytyka Kościoła zdruzgotała słuchaczy”, to nie ja jeden

2.

wywołałem taki efekt.

W (ustnych) debatach nie odznaczam się jednak siłą swoich słów (czym upodabnam się nawet do świętego Pawła, z którym nie miałbym zbytnej ochoty stanąć w jednym szeregu): poruszane kwestie mówią same za siebie więcej, niż ja mógłbym powiedzieć (u Pawła wygląda to inaczej).

4. Jeśli owa chrześcijańska reporterka uważałaby „za przynajmniej uczciwszą [...] polemikę z teologiem”, to przychodzi mi wyjaśnić, iż przebieg imprezy zależał nie ode mnie, lecz od organizatorów, których dobrym prawem jest taka koncepcja wieczoru autorskiego bez polemiki – to jest zresztą reguła z nielicznymi wyjątkami. Czy po prelekcji teologa „Marler Zeitung” życzyła sobie kiedykolwiek polemiki z wrogiem Kościoła? Idę o zakład, że jeszcze nigdy! A dlaczego odwrotnie? Czy w ogóle polemizuje się z kazaniem? Czy po kazaniach odbywają się dyskusje? Na przykład po „Słowie na niedzielę”? Nie pozwala na to nie tyle „dostojeństwo” materii, ile ona sama! Na pojedynki słowne ze mną i innymi przeciwnikami Kościoła zapraszano dziesiątki teologów, ale nie zjawił się prawie żaden. Oni nie mogą sobie na to pozwolić. Jak zarazy boją się porażki w merytorycznej dyskusji oraz krytycznej eksplikacji.

5. Typowa jest postawa duchownego – podobnie jak owa dziennikarka ewangelika – który spotwarzył mnie w artykule na czterech szpaltach „Marler Zeitung”, zanim jeszcze wystąpiłem w tym mieście; który wyrzekł, że proponuje się „takiego literata”, ogłupiającego słuchaczy w stylu „Sturmera”, że doprowadzam do „upadku kultury” (mój dawniejszy i obecny wkład do niej jest chyba większy niż wkład tego pastora), że w moich wypowiedziach „powraca w najlepsze mentalność «Sturmera» oraz hasła, które w III Rzeszy pociągnęły za sobą zagładę ludzi inaczej myślących i wysegregowanych pod względem rasy”. Człowieku! Czy ja kiedykolwiek rozgłaszałem kłamstwa i przerażające opowiadania o Żydach? Czy porównywałem Żydów ze świniami, czy lżyłem ich jako „gorszych niż prosięta”? Czy żądałem dla nich kary śmierci za udział w nabożeństwach, zakazu publikacji, zniszczenia ich domów, szkół, synagog, żeby zniknęli „na wieki” i „na chwałę Pana naszego i całego chrześcijaństwa, by Bóg przekonał się, że jesteśmy chrześcijanami”? Czy to ja napisałem to, a oprócz tego tyle innych podobnych rzeczy, które trzeba uznać za nakłanianie do zbrodni?

Nie, to napisał Marcin Luter, w którego Kościele ksiądz pastor służy! Luter, na którego słusznie powoływał się Streicher, szef wydawanego w Norymberdze „Sturmera”! I ten pastor mnie zarzuca styl i mentalność „Sturmera”!

Czyżby ten człowiek nie wiedział o tym, że już w IV wieku chrześcijanie podpalali synagogi, a biskupi deklarowali żarliwą solidarność z podpalaczami? Czyż ten człowiek naprawdę nie wie, że hitlerowska gwiazda dla Żydów ma swoje źródło w średniowiecznym papieżstwie i prawie kościelnym? Że niesławnej pamięci slogany „Sturmera”: „Nie kupujcie u Żydów!”, „Ojcem Żyda jest szatan”, pochodzą od chrześcijańskich świętych? Czyżby ten człowiek nie wiedział, że mające długą i krwawą tradycję prześladowanie Żydów przez chrześcijan wiedzie prosto do hitlerowskich komór gazowych? Czyż ten człowiek naprawdę nie wie, z jakim entuzjazmem właśnie jego Kościół, Ewangelicki Kościół Niemiec, układał się z Hitlerem i nazistami? Że w wielu Kościołach krajowych odsunięto nawet Żydów wyznania ewangelickiego od praktyk religijnych? Jeżeli tego nie wie, to wyzywani go na pojedynek słowny w Marł – ale od razu dodam: on się uchylił od tego. Już raz tak zrobił: najpierw na czterech szpaltach, w najlepszym stylu klechów, obrzucił mnie błotem, domagając się zresztą

„szansy na replikę”, potem zaś, gdy przyjechałem do Marł, sam świecił nieobecnością; wiedział, co czyni.

Mało tego: ów pastor sugeruje, że opowiadam się za „moralnością autorytarną” i walczę z „etyką współczucia”. W rzeczywistości właśnie współczucie, właśnie to, że nie potrafię się pogodzić z cierpieniem, niesprawiedliwością, przemocą, stało się moją główną motywacją pisarską, a zaświadczają o tym wszystkie moje publikacje. Podobnie, powodowany braterskim podejściem do zwierząt, nie jadam ani mięsa, ani ryb. Ow sługa Boga kłamie twierdząc, że ja, Karlheinz Deschner, nie uznaję już „żadnych wartości w życiu człowieka prócz absolutnej wolności władzy”. In summa: elukubracje owego ewangelickiego pastora przypominają mi, tak jak wywody tamtej ewangelickiej damy, pewne (cytowane z pamięci) zdanie Karla Krausa: Zniekształcenie rzeczywistości w relacji stanowi wiarygodną relację o rzeczywistości. Z wyrazami szacunku Karlheinz Deschner Alternatywa dla świąt Bożego Narodzenia

Chrześcijańska baśń o Bożym Narodzeniu jest nam wszystkim tak dobrze znana, iż wielu sądzi, że znajduje się w każdej Ewangelii. Ale opowiada ją tylko Łukasz, a wywiódł ją niemalże w całości z żydowskich i pogańskich legend. I ponieważ jedynie na zmyślenia zdobyli się także Marek, Mateusz i Jan, to i sam Albert Schweitzer dochodzi do następującego wniosku: „Nie ma niczego, co byłoby bardziej negatywne niż rezultaty badań nad życiem Jezusa. Ów Jezus z Nazaretu, który pojawił się jako Mesjasz, zapowiedział Królestwo Boże i zmarł, by nadać dziełu swego życia znamiona świętości, nigdy nie istniał”.

Zastąpmy więc pasterkę, uroczyste kazania i Bóg raczy wiedzieć, jakie jeszcze inne chimery szczęśliwości, bodaj chwilową refleksj ą historyczną.

Radzę zostawić choinki w lesie, a świece w domu towarowym i raczej zapalić światło z myślą o sobie samych. Już bowiem nawet przy nikłym oświetleniu staje się jasne to, że niewiele jest rzeczy tak błahych, jak cały ten bożonarodzeniowy blichtr i fałsz dookoła, prawie nic zaś nie ma tak wielkiego znaczenia, jak niedostatek dotyczący bliźniego. Lepiej nakarmić głodującego, niż się samemu przejeść i wrzucić swoje pieniądze w paszczę przemysłu. Zamiast rok w rok wsłuchiwać się w słowa rzymskiego „świętego Mikołaja”, należałoby się zainteresować kapitałem, jakim dysponuje Kościół, jego nadal olbrzymimi posiadłościami ziemskimi oraz zarobkami purpuratów. Niejednego zdziwiłyby one bardziej niż wszystkie bożonarodzeniowe cuda opisane przez Łukasza i niejednen zrozumiałby pewno, dlaczego już w dniu narodzin Pana znalazły się w pobliżu wół i osioł. „Lud – mówi Arno Holz – ma duże szare uszy, a jego poganiaczami są rabini, księża i pastorki”. Krótko mówiąc, zamiast śpiewać „o świeczkach na choince”, warto byłoby sobie przypomnieć, gdzie jeszcze się coś pali na tym świecie; można by odtąd odwrócić tę ohydłą zabawę: codzienne swoiste Boże Narodzenie, a tylko w Boże Narodzenie – dni powszednie. Proponuję: od zaraz zrezygnować z poruszania w pełnym tajemnic dniu narodzin Pana – przez najdawniejszy Kościół, który przecież musiał to wiedzieć najlepiej, wiązany z datą 19 kwietnia, 20 maja lub 14 listopada – słynnego tematu

„A na Ziemi pokój ludziom dobrej woli” i kazać zamilknąć wszystkim chórom dziecięcym, dzwonom katedralnym i klechom. Niech wszelkie przejawy popadania w nastrój sentymentalny zasłużą na potępienie, niech zostanie surowo ukarany każdy, kto będzie miał w domu choinkę, kto zaintonuje kolędę, kto złoży życzenia „Wesołych Świąt”, kto będzie z namaszczeniem rozprawiał o pokoju albo wypowie jakieś inne nabożne słowa.

Zamiast tego niech stanie się obowiązkowe uprawianie właśnie w owym dniu – intensywniej, z większą koncentracj ą i, jakże by inaczej, z całym chrześcijańskim elan vital i elan d'amour – tego, co zwykle rozkłada się równomiernie na cały rok: szerzenia niezgody,

nienawiści, jadu, przemocy, ledwo skrywanego barbarzyństwa, wojny wszystkich przeciw wszystkim. Teraz intrygujemy w Boże Narodzenie, dopuszczajmy się iście diabelskich oszustw, rzucajmy oszczerstwa, judźmy i niszczy bliźnich. Aut Caesar aut nihil, aut vincere aut mori. Kto zabija przez cały rok, niechże teraz popełnia swe mordy rabunkowe, seksualne, z mocy prawa – już tylko w Boże Narodzenie. I niech odtąd wszystkie wojny toczą się wyłącznie w aeter dies. A w pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery dni niechaj panuje bezwzględny rozejm, najwspanialszy pokój, niech każdy postępuje tak, jak postępowałibyśmy pewno, gdyby była choć odrobina prawdy w tym, co słyszymy tutaj spomiędzy choinek, ze szklanych ekranów, w kościołach. „A na Ziemi pokój ludziom...” – gdy tymczasem ludzkość w każdej minucie każdego roku trwoni bez mała milion marek na zbrojenia i co kilka sekund umiera z głodu jakieś dziecko. „Cicha noc, święta noc, wszystko śpi [...]”. Otóż to. Nota o autorze

Karl Heinrich Leopold Deschner urodził się 23 maja 1924 r. w Bambergu. Jego ojciec Karl, leśnik i hodowca ryb, pochodził ze skromnej rodziny katolickiej. Matka, Margareta Karolinę, z domu Reischböck, protestantka, wychowywała się w pałacach swego ojca we Frankonii i Dolnej Bawarii. Później przeszła na katolicyzm.

Karlheinz Deschner, najstarszy z trójki dzieci, uczęszczał do szkoły podstawowej w Trossenfurcie (Steigerwald) w latach 1929-33, później do seminarium franciszkańskiego w Dettelbach nad Menem, gdzie początkowo zamieszkał z rodziną swego ojca chrzestnego (i bierzmowania), radcy duchownego Leopolda Bau-manna, a później w klasztorze franciszkanów. W latach 1934-42 uczęszczał w Bambergu do Starego, Nowego i Niemieckiego Gimnazjum jako uczeń Internatu Karmelitów i Angielskich Panien. W marcu 1942 r. zdał maturę.

Studia zaczął zaocznie na wydziale leśnictwa Uniwersytetu Monachijskiego, w latach 1946/47 słuchał wykładów z dziedziny prawa, teologii, filozofii i psychologii w Wyższej Szkole Filozoficzno-Teologicznej w Bambergu. W latach 1947-51 na uniwersytecie w Wiirzburgu studiował nowe literaturoznawstwo niemieckie, filozofię i historię. Studia zakończył w 1951 r. broniąc pracy doktorskiej na temat Liryka Lenaua jako wyraz metafizycznej rozpacz. Z zawartego jeszcze w tym samym roku małżeństwa z Elfi Tuch urodziło się troje dzieci: Katja, (1951), Barbel (1958) i Tho-mas (1959-1984).

W latach 1924-1964 Deschner mieszkał w byłej siedzibie myśliwskiej książąt biskupów w Tretzen-dorf (Steigerwald), następnie przez dwa lata w domku wiejskim swego przyjaciela w Fischbrunn (Hersbrucker Schweiz). Wreszcie przeniósł się do HaBfurtu nad Menem, gdzie mieszka do dziś.

Karlheinz Deschner uznawany jest za współczesnego Wol-tera i „najwybitniejszego krytyka Kościoła ostatnich stu lat”. Publikował powieści, krytykę literacką, eseje, aforyzmy, a przede wszystkim dzieła historyczne z zakresu krytyki religii i Kościoła: *Abermals kraehte der Hahn* (1962), *Mit Gott und den Faschisten* (1965), *Kirche und Faschismus* (1968), *Kirche und Krieg* (1970), *Das Kreuz mit der Kirche* (1974), *Opus Diaboli* (1987). Wygłosił ponad dwa tysiące odczytów, które zarówno fascynowały jak prowokowały słuchaczy. W 1971 r. stanął przed sądem w Norymberdze oskarżony o „znieważanie Kościoła”.

Od 1970 r. pracuje nad zakrojonym na wielką skalę opus magnum: *Kriminalgeschichte des Christentums* (Historią kryminalną chrześcijaństwa). Z zaplanowanych dziesięciu tomów do dziś ukazały się cztery. Ponieważ dla tak niespokojnych i niepokojących duchów jak on nie ma posad, urzędniczych stanowisk, stypendiów naukowych, gratyfikacji i dotacji, całą jego ogromną pracę badawczą i jej prezentację umożliwiła jedynie bezinteresowna pomoc kilku

przyjaciół i czytelników, zwłaszcza poparcie serdecznego przyjaciela i mecenasa pisarza, Alfreda Schwarza – który wraz z autorem przeżywał wydanie pierwszego tomu Historii... we wrześniu 1986 r., ale drugiego już nie doczekał – oraz niemieckiego przedsiębiorcy, Herberta Steffena.

W semestrze letnim 1987 r. na uniwersytecie w Munster prowadził Deschner seminarium na temat „Historia kryminalna chrześcijaństwa”.

W 1988 r. za swe racjonalistyczne zaangażowanie i dokonania literackie – po Koeppenie, Wollschlagerze, Ruhmkorfie – został wyróżniony nagrodą im. Arno Schmidta, w czerwcu 1993 r. – po Walterze Jensie, Dieterze Hildebrandtzie, Gerhardzie Zwerenzu – Alternatywną Nagrodą im. Büchnera, a w lipcu 1993 r. – po Andrieju Sacharowie i Aleksandrze Dubćeku jako pierwszy Niemiec – otrzymał International Humanist Award.

THE END